

Georgette -Heyer

---

*Czarna ćma*

## ***Przedmowa pióra Diany Palmer***

*Kiedy Wydawnictwo Harlequin poprosiło mnie o napisanie przedmowy do reedycji pierwszej powieści Georgette Heyer, „Czarna ćma”, poczułam się niezwykle wyróżniona. Odkąd skończyłam czternaście lat, chętnie czytam książki tej autorki i uważam ją za jedną z najważniejszych pisarek historycznych, które miały znaczący wpływ na moją karierę.*

*Chociaż napisałam stosunkowo niewiele powieści historycznych i nigdy nie dotyczyły one okresu regencji, zdaję sobie sprawę, że wymagają one od autora wiele pracy zarówno związanej ze zbieraniem materiałów, jak i samym pisaniem. Regencja to dawno miniona epoka, w której obowiązywały całkowicie odmienne od współczesnych wzorce zachowań i obyczaje, noszono inne ubiory, a także posługiwano się różnym od dzisiejszego słownictwem.*

*„Czarna ćma” to pierwsza powieść Georgette Heyer. Powstała na kanwie opowieści, którą siedemnastoletnia Georgette usiłowała umilić czas choremu bratu. Dwa lata później, w 1921 roku, wydano „Czarną ćmę” i od niej zaczęła się kariera przyszłej wybitnej pisarki. Do 1935 roku, kiedy to Heyer napisała pierwszy romans z czasów regencji, spod jej pióra wychodziły książki historyczne i kryminalne. Niemal wszystkie powieści wydane po 1935 roku były osadzone w realiach regencji i stały się klasyką gatunku.*

*Introwertyczna z natury Heyer unikała wywiadów, rozgłosu i ludzi. Twierdziła, że jeśli ktoś pragnie ją poznać, powinien sięgnąć po jej książki. To prawda. Błyskotliwa osobowość, dowcip, dobroć i poczucie humoru pisarki przebijają z jej powieści. Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy; słowo pisane z pewnością również zasługuje na to miano. Trudno ukryć się przed czytelnikiem w tak intymnym miejscu jak kartki powieści.*

*Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęłam czytać romanse (większość z tych, które uwielbiałam, nazywa się powieściami historycznymi), miałam trudności ze znalezieniem sobie miejsca w świecie. Pochodzę z prowincji, uczyłam się w podmiejskiej szkole nieopodal Atlanty i byłam boleśnie*

*świadoma własnego braku oglądy. Z tego powodu zaszywałam się w bibliotece, by odkrywać grube tomy przygód moich fikcyjnych przyjaciół, gotowych spędzać ze mną wolne chwile po lekcjach. Z bibliotekarkami byłam na ty. Wkrótce się przekonałam, że książki to magiczne drzwi do egzotycznych miejsc, fascynujących czasów, wspaniałych mężczyzn.*

*Jako czternastolatka byłam ekstrawagancką dziewczyną w obszernych, brązowych sukienkach. Lubiałam chować się pod zbyt luźnymi swetrami i płaszczami, za niedopasowanymi okularami i nieśmiałym uśmiechem, który maskował niską samoocenę oraz strach przed ludźmi. W latach dorastania dużo czasu spędziłam na ucieczkach od nieszczęśliwej codzienności domu i szkoły, która była dla mnie koszmarem aż do matury. Przetrwałam tylko dzięki fantazjom i wyobraźni.*

*Georgette Heyer przenosiła mnie w dawno minione czasy, kiedy szlachetność, honor i powinność nie były pustymi słowami. Czy istnieje ktoś bardziej atrakcyjny niż odważny łotr o wrażliwym sercu i doskonałym podejściu do kobiet? Polubiłam rozbójnika w „Czarnej ćmie”, wyjętego spod prawa arystokratę, hrabiego Wynchama. Aby uchronić młodszego brata przed kompromitacją, wziął na siebie winę za oszustwo podczas karcianej gry- ideał, nieprawdaż? Był uosobieniem ofiarności, męstwa i wytrwałości. Budził mój niesłychany podziw. Rzecz jasna, uwielbiałam też bohaterki książek Heyer- dzielne, śmiałe i nieujarzmione, ale przy tym głęboko moralne i szlachetne. W gruncie rzeczy należy je uznać za prababki współczesnych, wyrazistych bohaterek literackich, zarówno w romansach, jak i w powieściach obyczajowych, a także w filmach telewizyjnych.*

*Wraz z Frankiem Yerby, którego do dziś uważam za jednego z najwybitniejszych autorów romansów z dawnych lat, Georgette Heyer nauczyła mnie kochać historię. Zafascynowali mnie bohaterowie tamtych czasów. Uwielbienie dla historii sprawiło, że w 1991 roku powróciłam na uniwersytet jako studentka pierwszego roku i spędziłam tam cztery cudowne lata,*

*zwieńczone uzyskaniem dyplomu. Wiele się dowiedziałam o regencji w Anglii, a im więcej informacji uzyskiwałam, tym głębszy czułam szacunek dla wiedzy Georgette Heyer. Zbieranie materiałów to praca rządząca się własnymi prawami, jeśli ktoś się do niej przyklada, szybko odczuje, jakie to wyczerpujące zajęcie.*

*Z nielicznych źródeł pisanych dowiedziałam się o pani Heyer i tego, że utrzymywała w tajemnicy życie prywatne i słynęła z niechęci do udzielania wywiadów. Lubiła podróżować, i to poza granice Anglii.*

*Dzięki pisaniu zyskałam grono wspaniałych czytelniczek. Mogę podróżować i zwiedzać wiele egzotycznych miejsc, o których czytałam jako nastolatka. Ubolewam nad tym, że jeszcze nie dotarłam do Anglii, lecz chętnie obejrzałabym choćby część miejsc, opisanych przez Georgette Heyer z taką wyrazistością i humorem.*

*Heyer była pionierką, jej książki odniosły taki sukces wśród ówczesnych kobiet, że inni autorzy romansów musieli dostosować się do jej poziomu. Niestety, podobnie jak większość współczesnych autorek, pani Heyer nie znalazła uznania w oczach krytyki.*

*Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego romans napisany przez kobietę jest uważany za pozbawiony*

*wartości literackich, podczas gdy zaliczany do głównego nurtu w literaturze romans autorstwa mężczyzny niemal automatycznie zdobywa nobilitujące nagrody.*

*Nie zapomnę, że słynna pikantna powieść Edith Maude Hull „The Sheikh” („Szejk”) stała się przebojem niemego kina na początku lat dwudziestych XX wieku - w filmie zagrał Rudolph Valentino - lecz imiona autorki należało zapisywać w formie inicjałów, aby nie rozpoznano jej płci. W tamtych czasach eleganckie panie - zwłaszcza niezamężne! - nie mogły nawet się domyślać, co mężczyźni i kobiety robią na osobności.*

*Dzięki odważnym pisarkom, takim jak Georgette Heyer, dzisiejszym autorkom romansów łatwiej opublikować swoje utwory. Fakt, że powieści Heyer były niesłychanie dochodowe, zachęcił innych do pójścia w jej ślady.*

*Obecnie wydawane romanse- chociaż nadal nie cieszą się aprobatą krytyki - stanowią duży odsetek książek na rynku. Bez romansów wiele wydawnictw popadłoby w poważne tarapaty finansowe. Bez względu na wiek, zawód i przekonania, na koniec wyczerpującego dnia kobiety lubią po nie sięgać, aby poczytać o szczęśliwie rozwiązywanych fikcyjnych problemach.*

*Moi czytelnicy to między innymi profesorki uniwersytetów, lekarki, prawniczki, pielęgniarki, nauczycielki, matki, studentki, robotnice, a nawet - uwaga! - mężczyźni. Nigdy nie zapominam, że Georgette Heyer i pisarki takie jak ona przetarły szlak mnie, dziewczynie z małego miasteczka na połu-*

*dniu Stanów Zjednoczonych, której książki są czytane w tak odległych miejscach jak Japonia, Ameryka Południowa czy Afryka.*

*Mam nadzieję, Drogie Czytelniczki, że przeczytacie „ Czarną ćmę” z równą przyjemnością, jaką ja czułam podczas odświeżania znajomości z cudownymi, ponadczasowymi bohaterami powieści Georgette Heyer. Zamierzam ponownie zgromadzić całą kolekcję jej książek i z pewnością przeczytam je wszystkie.*

*Serdecznie pozdrawiam*

***Diana Palmer***

## PROLOG

Hugh Tracy Clare Belmanoir, ksiązę Andover, siedział przy sekretarzyku w bibliotece swego miejskiego domu i pisał list. Kruczoczarne, starannie ułożone włosy księcia nie były upudrowane, jak zwykle wdział czarno-srebrny strój. Na palcach nosił pierścienie z brylantami, na szyi zawiązał fular.

Jego twarzy nie zdobił róż, a niemal nienaturalna bladość cery kontrastowała z dolepionym pod prawym okiem pieprzykiem i smolistymi, lekko uniesionymi brwiami. Podłużne oczy księcia, o ciężkich powiekach, miały barwę zieloną, a ich spojrzenie wydawało się zadziwiająco przenikliwe. Wąskie usta wykrzywiła lekka pogarda, kiedy biała dłoń sunęła po papierze.

„...niemniej piękna dama ma brata, który z powodu mej miłości wyzwał mnie na pojedynek. Solidnie przetrzepałem skórę aroganckiemu młodzieniaszkowi i na tym stanęło. Skoro Ty, drogi Franku, również interesowałeś się ową damą, piszę do Ciebie, by wyjaśnić, że nie doznała ona krzywdy z mej strony i z pewnością nie dozna. Z tego względu nie musisz czuć się w obowiązku stawać w jej obronie - wczoraj wyczytałem w Twych oczach, że masz na to chętkę. Z najwyższą niechęcią potykałbym się z Tobą po raz drugi, gdyż wówczas musiałbym dać Ci surowszą nauczkę niż poprzednio. Nie pragnę tego, gdyż darzę Cię sympatią.

Wierz mi, że te słowa wynikają z przyjaźni.

Twój unizony, pokorny

Diabeł"

Jaśnie oświecony ksiązę Andover znieruchomiał z piórem uniesionym w powietrzu. W jego oczach błysnął przekorny ognik i ksiązę ponownie nachylił się nad listem.

„Gdyby się tak zdarzyło, że zaryzykowałbyś i uderzył w konkury do mej dawnej ukochanej, pozwól, że przestrzegę Cię przed jej porywczym bratem, istnym raptusem. Natychmiast zapragnąłby rozprawić się z Tobą, a także ze mną. Mam nadzieję, że spotkamy się na raucie u Queensberry'ego w czwartek, a

wtedy raz jeszcze spróbujesz skierować moją rogatą duszę na ciernistą ścieżkę cnoty".

Jego Wysokość przeczytał postscriptum i uśmiechnął się z satysfakcją. Złożył list, zakleił i zadzwonił po służbę.

Pół godziny później czcigodny Frank Fortescue odczytał postscriptum i również się uśmiechnął, choć z innych powodów. Westchnął i wrzucił pismo do ognia.

- Oto zmierzch jeszcze jednego romansu - rzekł. - Ciekawe, czy do samego końca będziesz taki pewny siebie. - Patrzył, jak papier kurczy się w płomieniach. - Dobrze by było, mój nieszczęsny Diabło, gdybyś pokochał kogoś całym sercem. Może twoja wybranka ocaliłaby cię przed samym sobą.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### *W gospodzie Chequers w Fallowfield*

Gospodarz, rumiany, tęgi mężczyzna o wielko-pańskich manierach, zwał się Chadber. Jego świat ograniczał się do Chequers; gospodę nabył pradziad gospodarza, w roku 1667, kiedy na angielskim tronie zasiadał król Karol II z dynastii Stuartów, a elektorzy z dynastii hanowerskiej nikomu się nawet nie śnili.

Pan Chadber był torysem do szpiku kości. Gorąco sprzeciwiał się polityce małego Niemca i z wielką nadzieją liczył na nadejście walecznego Karola Edwarda. Prawda, swój patriotyzm ograniczał wyłącznie do picia za zdrowie księcia, któż jednak by go za to winił? A kiedy dżentelmeni, z przekonaniem wigowie, zatrzymywali się w Chequers po drodze na wybrzeże i zamawiali butelkę reńskiego, jakże pan Chadber miałby odmówić spełnienia z nimi toastu za zdrowie miłościwie panującego króla? Cóż znaczył taki niewinny gest, skoro pan Chadber wiernie służył dwóm zwolennikom księcia?

Pan Chadber chwalił się swym pełnym podziwu torysowskim sąsiadom, że ryzykował życie, gdy udzielił schronienia dwóm uciekinierom z klęski powstania jakobitów, którzy dotarli aż do spokojnego Fallowfield. Nie było

powodu, aby nie wierzyć słowom uczciwego gospodarza, choć nigdy nie widziano żadnego ze zbiegów. Nikt nie śmiałyby powątpiewać w opowieści pana Chadbera. Był on nie lada osobistością w miasteczku, umiał czytać i pisać, a za młodu zawędrował tak daleko na północ, że dotarł aż do Londynu, gdzie bawił przez dziesięć dni i widział wielkiego księcia Marlborough we własnej osobie, kiedy dżentelmen ten jechał do St James słynną ulicą Strand.

Nie wolno też zapominać, że warzone przez pana Chadbera piwo było znacznie smaczniejsze od tego, które oferował właściciel konkurencyjnej gospody na drugim końcu miasteczka.

Najogólniej biorąc, pan Chadber był bardzo ważną osobą i sam wiedział o tym najlepiej ze wszystkich.

Wobec „urodzonych dżentelmenów”, których -iako twierdził - potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oka, zachowywał się wręcz służalczo, jednakże urzędnikom i służącym, a także ludziom, którzy nie mieli wpływów ani władzy nad innymi, skąpił grzeczności.

Z tego powodu, kiedy niski, ubrany na zielono prawnik wysiadł pewnego dnia z dyliżansu pocztowego, został powitany wyniosłe i niezbyt entuzjastycznie.

Nieznajomy był wyraźnie przejęty. Zaraz na początku obraził pana Chadbera, kiedy zasugerował, że pragnie się tu spotkać z dżentelmenem o podejrzanym reputacji, być może w lichej odzieży i z pustą sakiewką. Pan Chadber w niezwykle ostrych słowach dał mu do zrozumienia, że pasujący do takiego opisu goście są zjawiskiem całkiem nieznanym w Chequers.

Prawnika otaczała aura tajemniczości, zdawało się, że pragnie wy badać gospodarza. Pan Chadber nieco się rozeźlił, a następnie przybrał pozę wyniosłą i arogancką.

Gdy prawnik ośmielił się spytać wprost, czy pan Chadber miał ostatnio styczność z rozbójnikami, gospodarz poczuł się wręcz znieważony.



Nieznajomy nagle się odprężył. Popatrzył z ukosa na pana Chadbera i wepchnął szczyptę tabaki do wąskiej dziurki w nosie.

- A może gości pan u siebie pewnego jegomościa, sir Anthony'ego... Ferndale'a? - zaryzykował.

Pan Chadber momentalnie przestał czuć urazę do prawnika. Wyjaśnił, że w rzeczy samej, sir Anthony przybył wczoraj, by spotkać się w gospodzie ze swym radcą prawnym.

Prawnik pokiwał głową.

- To o mnie chodzi - wyjaśnił. - Czy mógłby pan powiadomić sir Anthony'ego o moim przybyciu?

Pan Chadber skłonił się wyjątkowo nisko i poprosił gościa, by ze względu na nieznośne przeciągi opuścił kawiarenkę. Sir Anthony byłby oburzony, gdyby się dowiedział, że jego radca prawny czeka w takim miejscu. Czy gość zechciałby przejść do prywatnego salonu sir Anthony'ego?

Na pociągłej twarzy prawnika błąkał się lekki uśmiezek, kiedy szedł wąskim korytarzem tuż za panem Chadberem. Po chwili obaj znaleźli się w przytulnym pokoju o niskim suficie, z widokiem na cichą uliczkę. Prawnik pozostał tam, podczas gdy gospodarz udał się na poszukiwania sir Anthony'ego.

Ściany oraz sufit salonu wyłożono dębowym drewnem, w oknach wisiały niebieskie zasłony, a kanapkę przy kominku ozdobiono niebieskimi poduszkami. Pośrodku pomieszczenia stał przykryty białym obrusem stół, przygotowany dla dwóch osób. Mniejszy stolik, a także krzesło i stołek, ustawiono bliżej kominka.

Prawnik uważnie zlustrował pomieszczenie, cały czas rozmyślając nad nieoczekiwaną zmianą nastawienia gospodarza. Najwyraźniej sir Anthony był w Chequers wielce cenioną osobistością.

A jednak niepozorny człowieczek wydawał się nieszczęśliwy. Ze zwieszoną głową i dłońmi splecionymi za plecami zaczął chodzić z kąta w kąt.

Przyjechał odnaleźć zhańbionego syna hrabiego i bał się, co może go tutaj spotkać.

Sześć lat wcześniej lord John Carstares, najstarszy syn pana na Wyncham, wybrał się z bratem Richardem na karty i powrócił w niesławie.

To, że John Carstares mógłby oszukiwać podczas gry, było niewiarygodne, nieprawdopodobne i z początku nikt nie wierzył w błyskawicznie rozprzestrzeniającą się plotkę. Tymczasem John sam ją potwierdził, głośno i bezwstydnie, a następnie wyjechał. Ludzie powiadali, że najpewniej do Francji. Richard pozostał na miejscu i poślubił damę, w której kochali się obaj bracia. Więcej nie słyszano o lordzie Johnie, a rozwścieczony hrabia zabronił wymieniać jego imię w Wyncham i poprzysiągł, że wydziedziczy marnotrawnego syna. Richard pojął za żonę piękną lady Lavinie i sprowadzi ją do rodowej siedziby, dziwnie pustej bez charyzmatycznego lorda Johna. Pan młody nie radował się ślubem. Wydawało się, że z podróży poślubnej przywiózł tylko ponure wspomnienia, tak bardzo był milczący i nieszczęśliwy.

Sześć lat upłynęło powoli i bez żadnych wieści o lordzie Johnie, aż wreszcie, dwa miesiące temu, w drodze z Londynu do Wyncham powóz Richarda został zaatakowany przez rozbójnika, który okazał się - jakże by inaczej - niegodziwym arystokratą.

Łatwo można sobie wyobrazić, co poczuł Richard. Lord John nie krył rozbawienia wywołanego nietypową sytuacją. Niedoszły napastnik dostał ataku śmiechu, na co Richard poczuł ból w sercu.

Pod naciskiem John podał bratu adres gospody, „na wszelki wypadek” i zalecił, by pytać o „sir Anthony'ego Ferndale'a”, ale tylko w razie konieczności. Następnie pożegnał Richarda mocnym uściskiem dłoni i pogalopował w ciemność...

Prawnik nagle zastygł i nadstawił ucha. Usłyszał zbliżający się stukot obcasów na drewnianej podłodze oraz towarzyszący mu szelest sztywnego jedwabiu.

Mężczyzna nerwowo dotknął fularu. A jeśli beztroski lord John nie był już taki beztroski? A jeśli... Nie, nie miał śmiałości snuć takich rozważań. Pospiesznie wyciągnął z kieszeni zwój pergaminu i pogłaskał go palcami. Ktoś mocno nacisnął na klamkę od drugiej strony i otworzył drzwi na oścież, po czym wszedł i energicznym ruchem zamknął je za sobą.

Prawnik ujrzał szczupłego, dość wysokiego dżentelmena, który złożył mu niski ukłon i uprzejmie uchylił kapelusza. Nieznajomy trzymał w ręku laskę i perfumowaną chustkę. Ubrany był zgodnie z wymogami najnowszej wersalskiej mody - w długi płaszcz w kolorze jasnoliliowym, srebrzyste spodnie do kolan i białe pończochy oraz kamizelkę z kwiecistego atłasu. Na stopach miał buty na wysokich, czerwonych obcasach, zdobione srebrnymi sprzączkami, na głowie nową, starannie upudrowaną perukę prosto z Paryża. W fularze mężczyzny tkwiła brylantowa szpila, a na smukłej dłoni, częściowo przysłoniętej luźno opadającą koronką, połyskiwał ogromny szmaragd.

Prawnik patrzył uważnie na nowo przybyłego i nie mógł wykrztusić ani słowa aż do chwili, kiedy napotkał spojrzenie intensywnie błękitnych oczu. Dopiero wtedy, szczerze zaskoczony, zrobił krok do przodu.

- Panicz John - wyszeptał oszołomiony. - Panicz John.

Elegancki dżentelmen podszedł bliżej i ostrzegawczo wyciągnął rękę. Dolepiony pieprzyk w kąciku -ego ust drgnął.

- Sądzę, że nie zna mnie pan, panie Warburton - przemówił z rozbawieniem. Miał przyjemny, lekko gardłowy głos. - Pozwolę sobie się przedstawić: sir Anthony Ferndale, *a vous servir!*

Prawnik energicznie potrząsnął wyciągniętą dłonią, a w jego oczach zamigotały wesołe ogniki.

- Podejrzewam, że i pan nie zna siebie tak dobrze, jak pan przypuszcza, milordzie - oznajmił.

Mężczyzna odłożył kapelusz oraz laskę na mniejszy stolik i zrobił umiarkowanie zainteresowaną minę.

- Co pan ma na myśli?

- Przybywam poinformować pana, milordzie, że hrabia, pański ojciec, odszedł przed miesiącem.

- Naprawdę? Proszę, proszę! Apopleksja, jak mniemam?

- Nie. - Usta prawnika mimowolnie drgnęły.

- Księżę zmarł na atak serca.

- Coś podobnego. Nie spocznie pan? Lada moment mój służący zleci kucharzowi podanie kolacji. Sądzę, że dotrzyma mi pan towarzystwa.

Prawnik wymamrotał podziękowania i usiadł na kanapce. Cały czas uważnie i z ciekawością obserwował rozmówcę.

Lord przysunął krzesło i wyprostował nogi przed kominkiem.

- To już sześć lat, co? Szczerze zapewniam, że wspaniale jest ponownie ujrzeć pańskie oblicze, panie Warburton... Zatem zostałem hrabią? Ja hrabią, na Boga! - Zaśmiał się cicho.

- Mam tu dokumenty, milordzie... Carstares obejrzał zwój przez monokl.

- Już wszystko wiem. Proszę je schować.

- Niezbędne są pewne formalności prawne...

- Otóż to. Proszę mi o nich nie wspominać.

- Ależ, milordzie!

Carstares uśmiechnął się bardzo życzliwie, ale i triumfalnie.

- Przynajmniej do zakończenia kolacji! - poprosił.

- Tymczasem chciałbym usłyszeć, jak mnie pan odnalazł.

- Pan Richard skierował mnie w to miejsce.

- Ach, naturalnie. Zapomniałem, że wyjawilem mu swoje *pied-a-terre*, kiedy go napadłem.

Prawnika przeszył dreszcz, gdy usłyszał, z jaką uciechą i swobodą jego lordowska mość mówi o hańbiącym go zajęciu.

- Eee... w rzeczy samej. Pan Richard nie może się doczekać pańskiego powrotu.

Przystojna, młoda twarz Johna spochmurniała. Pokręcił głową.

- Wykluczone, drogi panie. Jestem pewien, że Dick nigdy nie wygłosił podobnie niedorzecznej sugestii. No już, proszę się przyznać! Sam pan to wymyślił, zgadza się?

Warburton zignorował zaczepny ton rozmówcy i odrzekł spokojnie:

- Milordzie, jestem absolutnie przekonany, że brat chce odpokutować winy.

Carstares posłał mu czujne, podejrzliwe spojrzenie.

- Czyżby?

- Tak jest. Odpokutować.

Lord zmrużył oczy i uważnie oglądał szmaragd.

- Ale dlaczego odpokutować, panie Warburton? - spytał.

- Czy wyrażam się niejasno?

- Przyznaję, że jestem zaskoczony doborem słów. Nie rozumiem, w czym rzecz.

- Zawsze pan wszystko rozumiał.

- Czyżby? Sześć lat zmienia człowieka, drogi panie. Czy pan Carstares dobrze się miewa?

- Tak sędzę - odparł prawnik i zmarszczył brwi, niezadowolony ze zmiany tematu.

- A lady Lavinia?

- Ona także. - Pan Warburton popatrzył pytająco na rozmówcę. W jego oczach dostrzegł rozbawienie.

- Miło mi to słyszeć. Proszę pozdrowić ode mnie pana Carstaresa i zachęcić go, by rządził w Wyncham wedle własnego uznania.

- Sir! Paniczu Johnie! Błagam pana! - wybuchnął prawnik i zerwał się z miejsca.

Lord zeszywniał. Z pewnym wahaniem obserwował gwałtowne ruchy rozmówcy, lecz gdy przemówił, jego głos zabrzmiał spokojnie i chłodno.

- Tak, słucham?

Pan Warburton obrócił się na pięcie i podszedł do kominka. Z uwagą spojrzał na obojętną twarz lorda. Z całych sił starał się zapanować nad emocjami.

- Paniczu Johnie, lepiej powiem panu to, co sam już pan odgadł. Wiem. Arystokrata uniósł brew.

- Co pan wie, drogi panie?

- Wiem, że nie jest pan winny. - Czego?

- Oszustwa podczas gry w karty. Lord się odprężył i strzepnął drobinę kurzu z obszernego mankietu.

- Żałuję, że muszę pozbawić pana złudzeń.

- Błagam, proszę nie udawać przede mną! Przecież mnie może pan zaufać.

- Naturalnie.

- Wobec tego niech pan zrezygnuje z tej gry. I proszę tak na mnie nie patrzeć! Znałem pana, gdy był pan jeszcze dzieckiem, i widziałem, jak pan dorastał. Tak samo dobrze znam panicza Dicka. Po prostu wiem, że nie oszukiwał pan ani u pułkownika Dare'a, ani nigdzie indziej. Wtedy mogłem to przysiąc, a gdy ujrzałem twarz panicza Dicka, w jednej chwili zrozumiałem, że to on zachował się niegodnie, a pan wziął na siebie winę.

- Nie!

- Ja wiem swoje. Paniczu Johnie, czy może pan spojrzeć mi w oczy i z ręką na sercu zaprzeczyć temu, co powiedziałem? Czy może pan to uczynić?

Lord milczał.

Warburton westchnął i ponownie usiadł na kanapce. Miał zarumienione policzki i błyszczące oczy, lecz mówił spokojnie.

- Oczywiście, że pan nie może. Nigdy nie widziałem, żeby pan kłamał. Bez obaw, nie zdradzę pana. Dla pana zachowałem milczenie przez te wszystkie lata i nie puszczę pary z ust, dopóki nie otrzymam od pana przyzwolenia.

- Czyli nigdy.

- Paniczu Johnie, proszę przemyśleć swoją decyzję. Błagam! Teraz, kiedy jego lordowska mość nie żyje...

- Jego śmierć niczego nie zmienia.

- Niczego? Czyż nie z powodu ojca postąpił pan tak, a nie inaczej? Przecież dobrze pan wiedział, jak bardzo hrabia kocha panicza Dicka. Dlatego zataił pan prawdę.

- Nie.

- Zatem z powodu lady Lavinii...

- Nie.- Lord uśmiechnął się smutno.-Ach, drogi panie. A twierdził pan, że doskonale nas zna.

- Tego się obawiałem! - Prawnik w dramatycznym geście uniósł ręce. - Nie wróci pan?

- Nie, nie wrócę. Dick może zarządzać posiadłością. Ja pozostanę tutaj.

Pan Warburton podjął ostatnią próbę.

- Wasza lordowska mość! - krzyknął z rozpaczą. - Czy w ogóle nie myśli pan o hańbie, jaką okryłby pan swoje nazwisko, gdyby pana złapano?

- Drogi panie, jest pan dziś wyjątkowo ponury. Czy sądzi pan, że nie wziąłem pod uwagę takiej nieprzyjemnej okoliczności? Przysięgam, że nie przyszedłem na ten świat po to, by zawisnąć na szubienicy!

Ciągnęliby tę rozmowę, gdyby w drzwiach nie stanął służący z pełną tacą. Rozstawił talerze na stole, zapalił świece i przysunął dwa krzesła.

- Kolacja podana - oznajmił.

Lord skinął głową i leniwym gestem wskazał okna. Służący natychmiast podszedł do nich i zaciągnął ciężkie zasłony.

Carstares popatrzył na pana Warburtona.

- Czego pan sobie życzy? - spytał. - Burgund, bordo czy białe wytrawne wino?

Warburton zdecydował się na bordo.

- Prosimy bordo, Jim. - Carstares wstał. - Mam nadzieję, że podróż zaostrzyła pański apetyt, bo jestem pewien, że Chadber będzie mocno urażony, jeśli nie odda pan sprawiedliwości jego kapłonom.

- Postaram się nie zranić uczuć gospodarza - odparł prawnik pogodnie i usadowił się za stołem.

Panu Chadberowi nie brakowało wad, lecz jego kucharz był doskonałym fachowcem. Pan Warburton najadł się do syta - na początek uraczył się tłustą kaczką, a potem wieloma innymi daniami, które składały się na posiłek.

Gdy naczynia zostały uprzątnięte, służący wyszedł, a butelka porto stanęła na stole, prawnik próbował skierować rozmowę na poprzedni, interesujący go temat. Lord, zajęty rozważaniami o ostatniej rebelii, najwyraźniej nie miał na to ochoty. Nagle pan Warburton wyprostował się na Krześle.

- Krążą pogłoski, że opowiedział się pan czynnie po stronie pretendenta - oświadczył.

- Ja? - Carstares odstawił kieliszek, autentycznie zaciekawiony,

- W rzeczy samej. Nie wiem, skąd się wzięła ta plotka, dotarła jednak do Wyncham. Jego lordowska mość nie komentował jej w żaden sposób, ale myślę, że niemal w nią uwierzył.

- Oby nie! Dlaczego miałby uważać, że trzymam stronę rebeliantów?

Pan Warburton zmarszczył brwi.

- Rebeliantów?

- Rebeliantów, panie Warburton. Służyłem pod rozkazami jego królewskiej mości.



- Carstaresowie zawsze byli torysami, paniczku Johnie, wiernymi prawowitemu królowi.

- Drogi panie, nic nie zawdzięczam książętom z rodziny Stuartów. Urodziłem się pod panowaniem króla Jerzego Pierwszego i oświadczam, że jestem porządnym wigiem.

Pan Warburton z dezaprobatą pokręcił głową.

- W rodzinie Wynchamów nigdy nie było wiga.

- I żywi pan nadzieję, że już nigdy nie będzie, prawda? A co z Dickiem? Czy jest wierny pretendentowi?

- Sądzę, że pański brat nie interesuje się polityką. Carstares uniósł brwi i zapadła cisza.

Po minucie lub dwóch pan Warburton odchrząknął.

- Jak podejrzewam... nie ma pan zamiaru... eee... zrezygnować ze swej... profesji?

Lord nie mógł opanować śmiechu.

- Więcej optymizmu, panie Warburton, dopiero rozpocząłem tę działalność.

- Ale... przecież rok temu pan Richard...

- Chodzi o to, że na niego napadłem? Niewątpliwie, niemniej prawdę mówiąc, od tamtego czasu niewiele zrobiłem.

- Zatem nie jest pan... eee... recydywistą?

- Dobry Boże, nigdy! Recydywistą, też coś! Niech pan się przyzna, panie Warburton, czy uważał mnie pan za bohatera? Może za „Rozbójnika Harry'ego”?

Pan Warburton poczerwieniał na twarzy.

- Cóż, ja tylko... eee... zastanawiałem się...

- Zatem muszę pana rozczarować. Szczerze mówiąc, to zajęcie niespecjalnie mi odpowiada.

- Wobec tego czemu...?

- Muszę mieć jakiś pretekst do szwendania się po kraju - wyjaśnił John. - Nie cierpię beczynności.

- Czy nie ma pan... przymusu rabowania, milordzie?

Carstares zmarszczył brwi.

- Przymusu? Ach, rozumiem, w czym rzecz. Nie, drogi panie, w pełni zaspokajam swe potrzeby.

Różnie to bywało, ale mniejsza o przeszłość. Rabuję wyłącznie dla rozrywki.

Pan Warburton popatrzył na niego uważnie.

- Jestem zdumiony, że pan, Carstares z krwi i kości, uważa rabowanie za formę rozrywki.

John milczał przez chwilę, a potem wygłosił nietypowo zaczepne i pełne gorczy słowa:

- Świat, drogi panie, nie potraktował mnie na tyle sprawiedliwie, żebym odczuwał wyrzuty sumienia. Jeśli jednak sprawi to panu satysfakcję, spieszę zapewnić, że rabowałem rzadko. Wspomniał pan o moim prawdopodobnym końcu na szubienicy. Nie powinien pan się tego obawiać.

- Przyznaję, że pańskie słowa, milordzie, sprawiły mi ulgę - wybąkał prawnik i zamilkł. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Po dłuższej chwili ponownie wydobył zwój pergaminu i położył go przed Carstaresem. - Interesy, milordzie - mruknął przepraszająco.

Carstares przestał błędzić myślami w chmurach : z wyraźnym niesmakiem zerknął na dokumenty. Następnie bardzo powoli napełnił oba kieliszki.

Westchnął ciężko, spojrzał panu Warburtonowi - oczy, zaśmiał się na widok jego pytającego wzroku przełamał pieczęć.

- Skoro pan nalega, przejdźmy do interesów.

Pan Warburton pozostał na noc w Chequers, i następnego dnia dylizansem o drugiej wyruszył w drogę powrotną do Wyncham. Przez cały wieczór grał z

lordem w pikietę i *ecarte*, a potem udał się na spoczynek, nie znajdując sposobności, aby omówić szczegóły swej misji. Za każdym razem, gdy usiłował skierować rozmowę na właściwe tory, był łagodnie, acz stanowczo naprowadzany na inne tematy i z niewiadomych powodów nie potrafił powrócić do zasadniczej kwestii. Lord okazał się wyjątkowo pogodnym i uroczym towarzyszem, lecz o „interesach” dyskutować nie zamierzał. Dzielił się z rozmówcą pikantnymi anegdotami oraz opowieściami z zagranicy, jednak ani razu nie pozwolił panu Warburtonowi wspomnieć o domu i bracie.

Prawnik udał się na spoczynek, uspokojony pogodą ducha lorda. Niestety, próby nakłonienia panicza Johna do powrotu do Wyncham zakończyły się fiaskiem.

Nazajutrz, chociaż pan Warburton wstał około południa, i tak był na nogach wcześniej niż lord, który przybył dopiero na lunch podany w salonie.

Carstares wkroczył do pokoju w typowy dla siebie, niespieszny, lecz zdecydowany sposób i uraczył pana Warburtona wyśmienitą pieczenia wołową. Następnie zaprowadził go do stajni, by zaprezentować mu klacz, Jenny, z której był niesłychanie dumny. Kiedy powrócili do salonu, pan Warburton uświadomił sobie, że zabrakło mu czasu na przekonanie lorda do swych racji.

Służący kręcił się po pokoju i na wszelkie sposoby ułatwiał im życie, aż wreszcie chlebodawca kazał mu się zająć bagażami prawnika. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Carstares rozparł się na krześle i popatrzył na gościa. Na jego ustach błąkał się niepokojący uśmiezek.

- Drogi panie, doskonale wiem, że chce mnie pan namawiać, i w rzeczy samej, zamierzam pana wysłuchać. Proszę mi jednak wierzyć, po stokroć wolałbym, żeby porzucił pan ten temat.

Pan Warburton usłyszał stanowczość w jego głosie

- Rozumiem, że to bolesne sprawy, milordzie, dlatego nie powiem już ani słowa. Proszę tylko pamiętać o tej kwestii i błagam o jej przemyślenie.

Troska na jego twarzy wzruszyła Carstaresa.

- Jest pan dla mnie zbyt dobry, panie Warburton. Mogę tylko powiedzieć, że doceniam pańską życzliwość i wytrwałość. Ufam, że wybaczy mi pan pozorną nieuprzejmość, i uwierzy, że naprawdę jestem panu wdzięczny.

- Chciałbym zrobić dla pana więcej, paniczu Johnie! - wykrztusił pan Warburton, przygnębiony smutnym tonem ulubieńca. Na dalszą pogawędkę zabrakło już jednak czasu. Dyliżans czekał, bagaż został załadowany. Gdy stali na ganku, mocno uściskał dłoń lorda i pożegnał się z nim. Potem pospiesznie zajął miejsce w pojeździe, a woźnica zatrzasnął za nim drzwi.

Lord patrzył, jak ciężki pojazd rusza z miejsca toczy się drogą. Potem stłumił westchnienie i wrócił do stajni. Służący natychmiast zauważył jego przybycie i wyszedł mu na spotkanie.

- Klacz, sir?

- Tak jest, Jim, klacz. Za godzinę. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Sir!

Znieruchomiał i popatrzył przez ramię.

- Słucham?

- Patrolują okolicę. Lepiej zachować ostrożność.

- Oni nigdy nie tracą czujności, Jim. Mimo to dziękuję za ostrzeżenie.

- Czy... czy nie mógłby pan zabrać mnie z sobą? - spytał sługa błagalnie.

- Miałbym cię zabrać? Na Boga, wykluczone! Nie zamierzam narażać cię na niebezpieczeństwo. Najlepiej mi pomożesz, wykonując moje polecenia.

Służący cofnął się o krok.

- Tak jest, ale... ale...

- Nie ma żadnych „ale”.

- No dobrze. Będzie pan uważał?

- Będę najostrożniejszym z ludzi. - Uznając rozmowę za zakończoną, John poszedł do domu.

W godzinę zmienił się nie do poznania. Znikł szmaragdowy pierścień, najmodniejsza laska i pozorna ociężałość. John był teraz energiczny i bardzo

sprawny. Ubrał się jak do jazdy wierzchem, w skórzany płaszcz i także bryczesy, a do tego w lśniące buty z cholewami. Pudrowaną perukę zastąpiła zwykła, kasztanowa, zwieńczona czarnym, trójgraniastym kapeluszem.

Carstares stanął na pustym ganku i patrzył na Jima, który przywiązywał bagaż do siodła. Od czasu do czasu wygłaszał krótkie polecenia. W pewnej chwili w drzwiach zjawił się pan Chadber z kieliszkiem i trunkiem. Lord wypił strzemiennego, po czym zwrócił naczynie z podziękowaniem i gwineą na dnie.

Ktoś donośnie zawołał ze środka; gospodarz uklonił się nisko, wymamrotał przeprosiny i znikł.

Jim po raz ostatni rzucił okiem na popręgi, zostawił spokojną klacz na drodze i podszedł do pana, aby wręczyć mu rękawice i pejcz.

Carstares przyjął je w milczeniu. Kilka razy trzasnął pejczem w cholewę buta, cały czas uważnie patrząc słudze w twarz.

- Jak zwykle wynajmiesz dyliżans - powiedział powoli. - A mój bagaż zawieziesz do... - zamilkł zmarszczył brwi - ... Lewes. Wynajmiesz pokój w "White Hart" i zamówisz kolację. Włożę ubranie w kolorze... morelowym i... hm...

- Niebieskim, sir! - zasugerował Jim, w przekonaniu, że jest niezwykle pomocny.

Kąciki ust lorda uniosły się mimowolnie.

- Żartowniś z ciebie, Salter. Morelowym i kremowym. Kremowym? Tak, to dobry pomysł - kremowym. I tyle. Jenny!

Klacz odwróciła łeb i zarżała.

- Grzeczna dziewczynka! - Carstares lekko wskoczył na siodło i poklepał zwierzę po lśniącym karku.

Następnie pochylił się, by ponownie przemówić do Saltera, który stał obok, z ręką na uździe.

- Peleryna?

- Za panem.

- Pistolety?  
- Nabite.  
- Dobrze. Zjawię się w Lewes na kolację - jeśli dopisze mi szczęście.  
- Tak jest. Czy... czy będzie pan ostrożny? - spytał spokojnie Jim.  
- Przecież już ci mówiłem. - John wyprostował się w siodle, trącił klacz obutą piętą, lekko skłonił głowę i uśmiechnął się zdawkowo do sługi, a następnie pokłusował w dal.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

*Lord w „White Hart”*

„Sir Anthony Ferndale” siedział przed toaletką w swoim pokoju w „White Hart” i leniwie piłował paznokcie. Na oparciu krzesła wisiał haftowany pudermantel, a Jim pracowicie układał perukę na głowie swego pana. Płaszcz i kamizelka już czekały.

Carstares zakończył piłowanie paznokci, ziewnął i rozparł się na krześle. Jego szczupła, pełna gracji sylwetka dobrze prezentowała się w białej bawełnianej koszuli i spodniach z morelowego atłasu. Przez chwilę John uważnie oglądał w lustrze fular, a następnie go dotknął. Salter wstrzymał oddech. Lord z namaszczeniem chwycił wysadzaną brylantami i szmaragdami szpilę, wyciągnął ją i przesunął o ułamek centymetra w bok. Salter wypuścił powietrze z płuc. Chlebodawca zerknął na niego z ukosa.

- Wszystko w porządku, Jim?

- W jak najlepszym.

- U mnie też. Poszło mi jak po maśle. Równie dobrze mógłbym łapać wróble. Dyliżansem podróżowało dwóch mężczyzn: nisko urodzony, pyszałkowaty kupiec oraz jego sekretarz. Rety, żal mi było tego biedaka. - Umilkł z dłonią na pojemniczku z różem.

Salter pytająco spojrzał na pana.

- Tak. - Carstares pokiwał głową. - Bardzo żal. Grubas znęcał się nad nim i obarczał go odpowiedzialnością za wszystko. Tłusty obwieś uznał nawet, że jego podwładny jest również winien tego napadu. Tak, Jimie, słusznie domniemywasz, nie przypadł mi bo gustu ów pan Fudby. Z tego względu uwolniłem go od szkatuły oraz dwustu gwinei. Podarunek dla biedoty w Lewes - dodał z zadowoleniem.

Jim wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Skoro wszystko pan rozdaje, to po co w ogóle rabować? - spytał wprost.

Na ustach Carstaresa błąkał się tajemniczy uśmiech

- Taki mam cel w życiu, Jim. Szlachetny cel. Poza tym bawi mnie udawanie Robin Hooda: zabieram bogatym i rozdaję biednym - wyjaśnił, żeby Salter nie miał wątpliwości. - Wracając do moich ofiar; nieźle byś się uśmieł, gdybyś widział, jak ten człowieczek potoczył się z dyliżansu, gdy otworzyłem drzwi.

- Wytoczył się? Dlaczego?

- Miał trudności z wyjaśnieniem przyczyny. Zdaje Zdaje się, że nakazano mu przytrzymać drzwi, bym nie wtargnął do środka. Wobec tego mocno szarpnąłem, i on wołał wypaść na drogę, byle tylko nie puścić klamki. Rzecz jasna, przeprosiłem go najuprzejmiej,

jak mogłem i ucieliśmy sobie pogawędkę. Całkiem zacny jegomość... niemniej z trudem tłumilem śmiech, kiedy gramolił się z ziemi.

- Szkoda, że tego nie widziałem. Naprawdę chciałbym panu towarzyszyć. Wiele bym dał, żeby widzieć, jak rabuje pan dyliżans.

John dostrzegł w lustrze jego pełne podziwu spojrzenie i zaśmiał się cicho.

- Nie wątpię... Na takie okazje wypracowałem doskonały głos, nieco szorstki i zachrypnięty, dość donośny... Taki głos to marzenie. Chociaż wątpię, by przypadł im do gustu - dodał refleksyjnie i przylepił sztuczny pieprzyk w

kąciku ust. - Myślisz, że za cicho mówię? Moim zdaniem jest w sam raz. Co tam się dzieje?

Z ulicy docierały odgłosy zamieszania: stukot kopyt, krzyki stajennych i terkot kół na kocich łbach. Jim podszedł do okna i spojrzał w dół, wychylając się jak najdalej, aby dojrzeć cokolwiek pod balkonem.

- Zajechał dyliżans.

- Tego się domyśliłem - rzekł Carstares, zajęty pudrowaniem oblicza.

- Tak, sir. O rety! - Nagle sługa zatrząsł się od śmiechu.

- Co znowu?

- Paradny widok! Dwóch, jegomościów, jeden malutki, drugi gruby. Jeden przywiedły i skurczony jak pajak, a drugi...

- Przypomina hipopotama, zwłaszcza z oblicza?

- Tak jest, sir. Szczera prawda. I jest ubrany we fiolety.

- Na Boga, tak! Fiolety i pomarańczową kamizelę.

Jim wyjrzał ponownie.

- Wszystko się zgadza. Skąd pan wiedział? - Jesz-cze *nie* skończył pytania, a już sam się domyślił, jak brzmi odpowiedź.

- Żywię podejrzenie graniczące z pewnością, że miałem już zaszczyt poznać tych dżentelmenów

- wyjaśnił spokojnie Carstares. - Moja sprzączka, " Hmm, Czy to okazały dyliżans z charakterystycznymi, żółtymi kołami?

- Tak jest, sir. Dżentelmeni sprawiają wrażenie zdenerwowanych.

- To całkiem prawdopodobne. Czy drobniejszy z nich ma nieco... hm... ubłoconą odzież?

- Nie widzę, grubas mi zasłania.

- Pan Bąk... Jim!

Słyszając ponaglący ton, Jim szybko się odwrócił.

Okazało się, że lord wstał i z niesmakiem trzyma między kciukiem a palcem wskazującym kamizelkę w groszkowy wzorek na nieprzyjemnie żółtym



tle. Pod przenikliwym spojrzeniem pana Jim stał bezradnie niczym uczeń przyłapany na gorącym uczynku.

- Wyciągnąłeś to paskudztwo, żebym je włożył?! - rzekł ostro Carstares.

Jim ponuro popatrzył na kamizelkę i skinął głową.

- Tak, milordzie.

- Czy nie powiedziałem wyraźnie, że ma być kremowe tło?

- Tak, sir. Myślałem... Myślałem, że to jest kremowy kolor.

- Przyjacielu, to jest... to jest... Nie potrafię określić co to jest. I do tego zieleń groszkowa. - Wstrząsął się z obrzydzenia. - Zabierz to.

Jim pospiesznie sięgnął po problematyczną kamizelkę i natychmiast ją schował.

- Przynieś mi tę z haftowanego atłasu. Tak, właśnie tę. Jest wyjątkowo przyjemna dla oka.

- To prawda, sir - potwierdził zmieszany Jim.

- Tym razem ci wybaczam - z błyskiem w oku oświadczył Carstares. - Co wyprawiają nasi dwaj przyjaciele?

Salter podszedł do okna.

- Weszli do gospody. Nie, widzę pająkowatego jegomościa. Najwyraźniej gdzieś mu się spieszyło.

- Ach. Pomóż mi włożyć frak. Dziękuję.

Lord z trudem wcisnął się w atłasowy strój, który po włożeniu wyglądał jak odlany na jego plecach, tak doskonale pasował. Poprawił fałdy i lekko zachmurzony wsunął na palec pierścień ze szmaragdem.

- Chyba zabawię tu przez kilka dni - oznajmił - aby odsunąć od siebie podejrzenia. - Popatrzył na służącego spod na wpół przymkniętych powiek.

Wypytywanie pana o jego prywatne sprawy nie leżało w naturze Jima, a już zupełnie nie wyobrażał *on* sobie, że mógłby okazywać zdumienie czynami lub słowami chlebowdawcy. Z zadowoleniem przyjmował i pilnie wykonywał

wszystkie polecenia, a przy tym wielbił Carstaresa niczym wiemy pies, ślepo za nim podążał i czuł się szczęśliwy, mogąc mu służyć.

Carstares natrafił na Jima we Francji. Służącemu głód zajrzał w oczy; niedawno stracił pracę u poprzedniego pana ze względu na fatalny stan jego finansów. John zatrudnił Jima jako kamerdynera i od tamtej pory trzymał go przy sobie. Wielokrotnie miał okazję się przekonać, jak cennym nabytkiem jest Jim. Pomimo niezbyt inteligentnego wyrazu twarzy w żadnym wypadku nie był głupcem i nieraz miał okazję dowieść swej użyteczności, ratując pana z opresji nieodłącznie związanych z ryzykowną zabawą w rozbójnika. Prawdopodobnie rozumiał kapryśnego pana lepiej niż ktokolwiek inny i teraz intuicyjnie wyczuwał, co milordowi chodzi po głowie. Mrugnął znacząco.

- To tych dżentelmenów zatrzymał pan dzisiaj. - Kciukiem wskazał okno.

- Owszem. Pana Bąka i Pajączka - tak możemy ich nazwać. Chyba nie doceniłem pana Bąka. Jego sposób bycia mnie nuży, nie wykluczam, że on ma takie samo zdanie na mój temat. Zawrę z nim bliższą znajomość.

Jim chrząknął pogardliwie, a Carstares uważnie na niego popatrzył.

- Nie podziwiasz naszego przyjaciela? Ależ nie wolno go oceniać na podstawie wyglądu. Być może cechuje go wybitny umysł. Cóż, właściwie tak nie uważam. Nie, zdecydowanie to wykluczam. - Za-chichotał cicho. - Wiesz, Jim, chyba dzisiejszy wieczór upłynie mi na pierwszorzędnej zabawie.

- Nie wątpię. Zakpienie z tego grubego jegomościa to z pewnością dziecinna igraszka.

- Zapewne. Rzecz w tym, że nie z grubym dżentelmenem będę miał do czynienia. Chodzi mi raczej o wszystkie ważne osobistości tego urokliwego miasteczka. Czyżbym słyszał powracającego Pajączka?

Salter podszedł do okna.

- Tak jest, sir. To on, wraz z trzema innymi ludźmi.

- Otóż to. Bądź łaskaw podać mi tabakierę, a także laskę. Dziękuję. Czuję, że nadeszła pora, by zjawić się na scenie. Pamiętaj, proszę, że właśnie wróciłem

z Francji i niespiesznie zmierzam do Londynu. Poza tym zachowuj durnowatą minę. O, tak, to ci przyjdzie bez trudu, jak mniemam.

Jim uśmiechnął się zachwycony; wcale nie przybrał głupkowatego wyrazu twarzy i był ogromnie zadowolony z aprobaty pana. Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i patrzył, jak „sir Anthony” idzie korytarzem ku schodom.

W salonie przebywał już kupiec, pan Fudby, który z patosem opowiadał o doznanych krzywdach, wielokrotnie przerywając relację, której słuchali burmistrz, radca miejski i urzędnik parafialny miasteczka Lewes. Całą trójkę sprowadził na polecenie przełożonego pan Chilter, sekretarz pana Fudby'ego. Im liczniejsza publiczność słuchała kupca, tym głębsze zadowolenie prezentował. Teraz był ogromnie usatysfakcjonowany pomimo utraty cennej szkatuły.

Nie dało się tego powiedzieć o burmistrzu miasteczka, Hedgesie. Był to nerwowy człowieczek, który cierpiał na niestrawność.\* Sprawa go nie interesowała i nie miał pojęcia, co począć z panem Fudbym. Burmistrz musiał odejść od kolacji i był głodny, a na domiar wszystkiego uznał pana Fudby'ego za osobę wybitnie odpychającą. Mimo to sprawa rabunku na drodze była na tyle poważna, że należało podjąć odpowiednie kroki. Pan Hedges wysłuchał więc historii z pozornym zainteresowaniem, nie zapominając o robieniu mądrych min, a w odpowiednich momentach wydawał dźwięki świadczące o zatroskaniu.

Im dłużej słuchał pana Fudby'ego, tym mniej mu ten kupiec podobał. Taki same odczucia żywił radca miejski. Coś w panu Fudbym nie zjednywało mu sympatii otoczenia, zwłaszcza że traktował rozmówców jak osoby z niższych szczebli drabiny społecznej. Urzędnik parafialny w ogóle niewiele myślał, uznając (słusznie, jak się okazało), że sprawa niewiele ma z nim wspólnego, rozparł się na krześle i wbił spojrzenie w sufit.

Relacja pana Fudby'ego była zadziwiająco niezgodna z prawdą. Kupiec zaprezentował niesłychanie podkoloryzowaną wersję wydarzeń, w której zachował się wyjątkowo bohatersko. Nad odpowiednim przeinaczeniem historii pan Fudby myślał przez małą drogę do Lewes. Jegomość jeszcze przemawiał,

kiedy Carstares wszedł do pomieszczenia. Powoli podniósł monokl przyjrzał się zebranym, następnie skłonił się lekko podszedł do kominka. Tam usiadł w fotelu i przestał zwracać uwagę na resztę towarzystwa.

Pan Hedges od razu spostrzegł, że ma do czynienia z *grand seigneur* i pomyślał, że lepiej by było, aby pan. Fudby nie przemawiał tak donośnie. Otyły jegomość nie krył jednak zadowolenia z przybycia nowego słuchacza i kontynuował relację z namaszczaniem, a do tego jeszcze głośniej.

Carstares ziewnął dyskretnie i zażył szczyptę tabaki dla poprawy humoru.

- Cóż miałbym zrobić oprócz tego, że mogę posłać do Londynu po śledczych? - Pan Hedges westchnął. - Jeśli to uczynię, rzecz jasna, pan będzie musiał pokryć koszty.

Pan Fudby natychmiast się zjeżył.

- Ja mam pokryć koszty? Czy dobrze usłyszałem? Jestem zdumiony.

- Czyżby? Mogę wynająć herolda, który opíše konia i ogłosi, że za schwytanie człowieka na takim wierzchowcu czeka nagroda. Tak czy owak - wzruszył ramionami i popatrzył na radcę - podejrzewam, że to na nic. Prawda, panie Brand?

Radca zacisnął usta i rozłożył ręce.

- Też tak myślę; niestety, to bardzo możliwe. Doradzałbym panu Fudby'emu rozesłanie listu gończego po całym kraju - dodał z miną człowieka, który udzielił stosownej pomocy i nie zamierza robić nic więcej.

- Oho! - burknął pan Fudby i dodał: - Byłby to nielichy wydatek, lecz podejrzewam, że należy się na niego zdecydować. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdyby nie twoje skrajne tchórzostwo, Chilter-tak, powtarzam: skrajne tchórzostwo.- nigdy nie straciłbym moich dwóch setek! - Sapnął i wbił pełen pogardy oraz złości wzrok w zaczerwienionego i milczącego Chiltera. - Woźnica-zapewnia mnie, że bez trudu rozpoznałby konia, chociaż jeźdźca nie pamięta zbyt dobrze. Chilter! Jak on opisał konia?

- Och... eee... kasztan... Kasztan z białym półksiężycem na czole i białą pęcina.

Carstares uznał, że pora działać. Odwrócił głowę i spojrzął na pana Chiltera przez monokl.

- Co takiego?! - zawołał.

Oczy pana Fudby'ego pojaśniały. Elegancki dżen-telmen wreszcie się zainteresował! Kupiec ponownie zaczął relacjonować zdarzenia, tym razem wyłącznie na potrzeby nowego słuchacza. Carstares patrzył na niego lodowato. Na ten widok pan Hedges pospieszył z prezentacją.

- Eee... tak, panie Fudby... wszystko jasne. Proszę wybaczyć, ale nie miałem zaszczytu poznać pańskiego nazwiska.

- Ferndale. Sir Anthony Femdale.

- Ach, tak... - Pan Hedges złożył mu ukłon.

- Proszę nam wybaczyć natręctwo...

- Nic się nie stało - odparł lord.

- Ależ przeciwnie... Faktem jest, że ci... eee... dżentelmeni mieli nieszczęście stać się obiektem napaści i rabunku podczas podróży.

Sir Anthony ponownie uniósł monokl na wysokość oczu i popatrzył na grupkę mężczyzn. Na jego twarzy pojawiło się lekkie zdumienie.

- Wszyscy ci dżentelmeni? - spytał łagodnie.

- O mój Boże...

- Och, nie, nie, nie! Nie wszyscy! Tylko pan...

- Fudby - dopowiedział zainteresowany.

Sir Anthony złożył mu wyniosły ukłon. Kupiec zerwał się z miejsca, oparł zaciśnięte pięści na stole przed sobą i powoli, z trudem opuścił całe ciało. Sir Anthony pochylił głowę, a wtedy, ku zachwytowi zgromadzonych, pan Fudby ukłonił się ponownie, z jeszcze większą czołobitnością niż poprzednio. Pan Hedges zauważył, że usta sir Anthony'ego drżą nerwowo. Burmistrz zaczekał, aż pan Fudby usiądzie, a potem kontynuował:

- Tak... pan Fudby i pan...

- ... sekretarz! - prychnął Fudby.

Sir Anthony obdarzył pana Chiltera życzliwym uśmiechem i ponownie skierował wzrok na pana Hedgesa.

- Rozumiem. Rabunek w biały dzień, powiada pan?

- W biały dzień, a jakże! - zagrział pan Fudby.

- Tak, tak - wtrącił burmistrz z obawy przed powtórką opowieści. -

Ciekawi mnie, czy widział pan zwierzę, opisane przez pana... Chiltera.

- To wprost niesłychana sprawa - oznajmił Carstares powoli. - Właśnie kupiłem takiego konia.

- Rozejrzał się z pytającym uśmiechem i uniesioną brwią.

- Proszę! - zawołał pan Fudby. - Proszę! Cóż za osobliwy zbieg okoliczności! Czy wolno spytać, gdzie pan go kupił i od kogo?

- To klacz i mam ją od niecałych dwóch godzin. Kupiłem ją od podejrzanego obszarpańca, gdy tutaj jechałem. Pomyślałem, że to dziwne, by ktoś taki miał równie piękne zwierzę - idę o zakład, że czystej krwi. Nie wiedziałem, dlaczego tak bardzo chce się jej pozbyć.

- Spieszyło mu się, bo wiedział, że koń go zdradzi

- wyjaśnił uprzejmie pan Fudby.

- Bez wątpienia. Może chcieliby panowie obejrzeć klacz? Poślę służącego...

- Och, nie, nie! - zaprotestował burmistrz. - Przez myśl by nam nie przeszło kłopotać pana.

- Drobiazg. -John się uklonił. Skrycie liczył na to, że pan Fudby nie zechce oglądać konia, który z całą pewnością zdradziłby właściciela, okazując mu przywiązanie.

- To nie jest konieczne, sir Anthony, zapewniam pana, niemniej dziękuję za propozycję. Panie Fudby, gdyby zechciał pan opisać napastnika, wówczas niezwłocznie sporządziłbym list gończy.

- Chilter, opisz go! - zażądał nagle zirytowany pan Fudby.

Sekretarz niespodziewanie się uśmiechnął.

- Naturalnie! - odparł energicznie. - To był ogromny zbój, monstrualnie wysoki...

- Jak wysoki? - przerwał mu radca. - Czy miał ponad metr osiemdziesiąt?

- Och, zdecydowanie - skłamał pan Chilter. - I do tego był opasły.

John z trudem opanował śmiech,

- Opasły, powiada pan? - spytał łagodnie.

- Niesłychanie - potwierdził pan Chilter. - I okropnie szorstki w obyciu, jego mowa pełna była wulgarnych przekleństw.

- Podejrzewam, że nie widział pan twarzy obwiesia?

Pan Chilter się zawahał.

- Widziałem usta i brodę - przyznał. - I zauważyłem jeszcze długą bliznę, biegnącą od dolnej wargi do podbródka.

Carstares mimowolnie pogłaskał dłonią nieskazitelnie gładką brodę.

Sekretarz albo był patologicznym łgarzem, albo rzeczywiście nie chciał, by pojmano rozbójnika.

- Więc jak, sir Anthony? - spytał burmistrz. - Czy ten opis pasuje do typka, który sprzedał panu klacz?

Lord zmarszczył brwi.

- Wysoki - powiedział powoli - i opasły... Użył pan słowa „opasły”, panie Chilter, czyż nie?

Sekretarz przytaknął niepewnie.

- Ach! I z długą blizną... Tak, to niewątpliwie on. Co więcej, zezuje na lewe oko - dodał śmiało. - To najbardziej odrażający drań, jakiego sobie można wyobrazić.

- Takie można odnieść wrażenie, sir Anthony

- zauważył burmistrz ostrożnie. Ani przez moment nie uwierzył w historię o zezie i podejrzewał, że elegancki dżentelmen zabawia się ich kosztem. Mimo

to nie zamierzał okazywać dezaprobaty, gdyż uznał, że im szybciej wycofa się z tej męczącej historii, tym lepiej. W ponurym milczeniu zapisał wszystkie absurdalne szczegóły, po czym zauważył, że niełatwo będzie znaleźć rabusia, i zaczął szykować się do wyjścia.

Radca wstał i postukał urzędnika parafialnego w ramię, na co ten chrząknął, zrezygnował z nieruchomości, wyniosłej pozy i wyszedł za burmistrzem z pokoju.

Pan Fudby również wstał.

- Nie sądzę, bym jeszcze kiedyś zobaczył moje pieniądze - rzekł zirytowany. - Chilter, gdybyś nie był taki...

- Czy mogę zaproponować panu szczyptę tabaki, panie Chilter? - przerwał Carstares i podsunął sekretarzowi szkatułkę wysadzaną drogimi kamieniami.

- Bez wątpienia chce pan zobaczyć moją klacz?

- Nie znam się na koniach - wtrącił pan Fudby.

- Mój sekretarz zapamiętał wszystkie szczegóły dotyczące tamtego wierzchowca.

- Wobec tego proszę ze mną do stajni, panie Chilter. Lepiej się upewnić w sprawie klaczy. Panie.... Fudby, kłaniam się.

- A teraz, panie Chilter, muszę się z panem rozmówić. Mam do pana żal - oświadczył Carstares, kiedy szli przez nieduży ogród.

- Do mnie? Och... jak to, sir Anthony? Podniósł wzrok i ujrzał, że dżentelmen się śmieje.

- Tak, drogi panie, bardzo poważny żal - opisał mnie pan jako opasłego. Chilterowi zakręciło się w głowie.

- To był pan! - wykrzyknął osłupiały.

- Na dodatek utrzymywał pan, że potwornie klnę mam rozległą bliznę, biegnącą od ust do podbródka.

Pan Chilter stanął jak wryty pośrodku ścieżki.



- A więc to był pan? To pan nas obrabował? Pan wyważył drzwi dyliżansu?

- Ja byłem tym niegodziwym łotrem. Ponownie błagam o wybaczenie: nie powinienem był tak gwałtownie otwierać tych drzwi. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego tak wytrwale mydlił pan oczy tym nieszczęśnikom?

Niespiesznie ruszyli przed siebie. Sekretarz oblał się pąsem.

- Właściwie nie wiem. Polubiłem tego rabusia i...

- Rozumiem. To znakomicie, szanowny panie.

Zastanawiam się, jak mogę okazać panu wdzięczność?

Sekretarz ponownie się splonął i dumnie uniósł głowę.

- Dziękuję panu, ale nie trzeba.

Po chwili dotarli do stajni. Carstares otworzył drzwi i weszli do środka.

- Może jednak zechce pan przyjąć ten drobiazg na znak mego szacunku? - zapytał.

Pan Chilter wbił wzrok w pierścień ze szmaragdem. Po chwili spojrzał prosto w błękitne oczy sir Anthony'ego.

- Ależ, sir, ja... ja... - zająknął się.

- Proszę przyjąć ten upominek. Chyba nie chce pan zranić moich uczuć odmową? Zachowa go pan na pamiątkę pewnego mężczyzny - opasłego obwiesia, drogi panie - który nieuprzejmie wyrzucił pana z dyliżansu.

Sekretarz drżącymi palcami ujął pierścień.

- Dziękuję najserdeczniej...

- Nie, proszę przestać! To ja dziękuję za życzliwą pomoc. Niech pan podejdzie i obejrzy moją Jenny. Jak tam, maleńka? - Na dźwięk jego głosu klacz odwróciła się w boksie, zarżała i ochoczo zatupała kopytami.

- Nic nie rozumiem. Jak to możliwe, że jest pan rozbójnikiem? Czemu mi pan zaufał? Tak czy owak, dziękuję.

Pan Chilter położył dłoń na ręce lorda i po raz drugi w życiu poczuł uścisk jego mocnych, smukłych palców.

- Sir! Zgubił pan szmaragd!
- Nie, Jim. Oddałem go.
- Od... oddał go pan?
- Uhm. Pajęczkowi.
- Ale...
- Powiedział, że jestem opasły.
- Opasły? - powtórzył osłupiały służący.
- Tak jest. Bardzo opasły. Aha, żebym nie zapomniał - kupiłem Jenny dzisiaj w Fittering od pewnego niegodziwego łotra, który obrabował pana Bąka,
- Następnie opowiedział służącemu wszystko, co usłyszał w salonie. Gdy skończył, Jim z dezaprobatą pokręcił głową.
- Wątpię, czy kiedykolwiek zrozumie pan, co to zdrowy rozsądek - zganiał chlebobdawcę.
- Słucham? Co ja takiego zrobiłem?
- Dlaczego opowiedział pan o wszystkim Pajęczkowi? To wyjątkowo nieostrożne posunięcie. To pewne, że podzieli się wiadomościami z grubasem, będziemy mieli na karku całe miasto.
- Twoje słowa dowodzą, że niewiele wiesz o Pa-jączku - odparł spokojnie lord. - Podaj mi pudernicę.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

*Pojawia się czcigodny Richard Carstares*

Wyncham to dostojny, stary dom o wielodzietnych oknach, częściowo zasłoniętych przez pnącza. Z jednej strony budynku płynęła rzeczka, pełna niezliczonych kamyków, a jej wody szumiały pod drzewami, przetaczały się po głazach i skałach. Z drugiej strony, aż do granicy z sadami i cichymi łąkami, rozpościerały się aksamitne trawniki.

Tarasy wydawały się oślepiająco białe w promieniach słońca. Kamienne stopnie prowadziły do miniaturowego stawu pełnego lilii wodnych i drobnych, ruchliwych rybek

*Między* grządkami kwietnymi, mieniającymi się mnogością barw, a wyniosłymi, starymi drzewami, rosnącymi tu od wieków, biegły wyłożone kamiennymi płytkami ścieżki.

Za rzeczką wznosiły się lasy o poszyciu z ciemnego mchu, z którego wiosną wychylały się pierwiosnki. Korony drzew tworzyły taką gęstwinę, że na ziemi promienie słoneczne tworzyły tylko nieregularne łaty.

Po ścianach tarasów pięły się róże, żółte i czerwone, różowe i białe, i wszechobecny pędami przysłaniały balustradę. Wdrapywały się na mury budynku i mieszały z fioletowymi powojnikami, jaśminem i wiciokrzewem. Powietrze było ciężkie od ich woni, a na dodatek z grządek w dole docierał dymny aromat lawendy.

Stary, skąpany w słońcu dom sprawiał wrażenie częściowo uśpionego. Nie licząc pawia, stroszącego pióra na stopniach tarasu, nigdzie nie było widać śladu życia...

Budynek od wieków dawał schronienie pokoleniom Carstaresów. Kolejny hrabia zastępował poprzedniego i wszyscy świetnie się spisywali w roli administratorów. Teraz jednak w domu nie było hrabiego. Nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Dziedzic zmarł ledwie miesiąc temu, lecz zabrakło najstarszego syna, skłonnego przejąć schedę. Przepadł jak kamień w wodę. Nie widziano go od sześciu lat i nikt nie ośmielił się wymówić jego imienia nawet szeptem, gdyż młodzian okrył je hańbą. Dlatego stary hrabia odtrącił syna i zabronił o nim mówić. Biedota z okolicy dobrze go jednak pamiętała. To wśród ubogich krążyły opowieści o jego brawurze, czarującym uśmiechu i ujmujących manierach, beztrójce, niezwyklej dobroci oraz pogodzie ducha. Cóż to był za jeździec! Wystarczyło spojrzeć, jak dosiadał konia. Co za szermierz! Dość przypomnieć walkę z młodym panem Welshem, stoczoną za laskiem, na oczach połowy okolicznych wieśniaków. Nie łąda był z niego gagatek. A jak sprawnie wytrącił panu Welshowi szpadę z ręki, a potem czekał, aż przeciwnik ją podniesie! A jak lśniły mu oczy i śmiał się głośno, ciesząc się życiem.

Anegdotom o nim nie było końca. Starsi ludzie kręcili tylko głowami i wzdychali, tak bardzo pragnęli ujrzeć go ponownie. Potem wskazywali kciukami posiadłość i znacząco wzruszali ramionami. Któż chciałby pana Richarda za głowę rodziny? Z pewnością nie oni. Wiedzieli, że dobry z niego administrator i życzliwy człowiek, ale woleli panicza Johna, który potrafił się śmiać, błysnąć dowcipem i nie zachowywał się tak ponuro jak panicz Dick.

Tymczasem Richard Carstares przemierzał bibliotekę w tę i z powrotem. Co pewien czas przystawał, by z niechęcią zerknąć na wiszący nad biurkiem wizerunek brata. Artyście udało się uchwycić szczególny wyraz błękitnych oczu portretowanego, które uśmiechały się do Richarda w typowy sposób: pogodnie i zarazem tęsknie.

Richard miał dwadzieścia dziewięć lat, lecz już wyglądał na dwakroć starszego. Był wyjątkowo chudy, a jego przystojne oblicze porały głębokie zmarszczki. Szare oczy wydawały się smutne i znużone, ustom, choć kształtnym, zadziwiająco brakowało zdecydowania. Richard nie był tak elegancki jak sześć lat wcześniej. Młodszy z braci Carstaresów nosił się na czarno na znak żałoby po ojcu i być może ta surowość, przełamana jedynie koronką pod szyją, znacznie i przedwcześnie postarzała jego oblicze.

Brakowało mu choćby cienia spontaniczności brata, Nawet uśmiech wyglądał na wymuszony, a w śmiechu rzadko dawało się usłyszeć szczerą radość.

Richard wyciągnął czasomierz i porównał godzinę ze wskazaniem zegara nad kominkiem. Następnie podszedł do drzwi i otworzył je nerwowo, po czym zaczął nasłuchiwać. Do jego uszu nie dotarł żaden dźwięk. Cofnął się powrócił do przemierzania pokoju z kąta w kąt, nerwowo wyczekując dźwięku dzwonka. Wszędzie panowała cisza, zakłócona po chwili tupaniem butów na korytarzu za drzwiami. Ktoś zapukał. Richard w dwóch susach znalazł się przy wejściu raptownie otworzył drzwi. Za nimi stał Warburton. Arystokrata chwycił przybysza za rękę.

- Pan Warburton! Nareszcie! Czekałem przez godzinę, a może dłużej.

Pan Warburton uwolnił się z uścisku i skłonił

- Żałuję, że nie mogłem przyjść wcześniej - powiedział tylko.

- Nie wątpię, że śpieszył się pan tak jak to możliwe. Wreszcie. Zapraszam do środka.

Wprowadził prawnika do pokoju i zamknął drzwi.

- Niech pan usiądzie. Czy... czy odnalazł pan mego brata?

Pan Warburton ponownie się pokłonił.

- Miałem szczęście go zobaczyć.

- Dobrze się miewa? Jest w pogodnym nastroju? Czy pańskim zdaniem się zmienił? Pewnie się postarzał, czyż nie? A może...

- Jego lordowska mość nie zmienił się specjalnie.

- Dalej, szanowny panie, dalej! - Richarda rozpieierała niecierpliwość. - Niech pan opowiada wszystko. Co powiedział? Czy będzie żądał zysków z posiadłości? Czy on...

- Jego lordowska mość niechętnie przyjmuje cokolwiek, lecz po głębszym zastanowieniu postanowił... zaakceptować to, co mu się należy z tytułu urodzenia. Prosi jednak, by pan sam zajął się sprawą zysków.

- Ach! Powiedział mu pan jednak, że nie tknę niczego, co doń należy?

- Usiłowałem przekonać jego lordowską mość. lecz bezskutecznie.

Pragnie, by to pan przejął Wyncham, wedle uznania.

- Nie wezmę jego spadku!

Warburton *nieznacznie wzruszył ramionami.*

- Jak pan sobie życzy.

Coś w uprzejmym tonie prawnika sprawiło, że Richard popatrzył na niego przenikliwie. W jego umyśle narastały podejrzenia. Już miał przemówić, lecz Warburton ciągnął:

- Uważam, że może pan być całkowicie spokojny w jednej kwestii: sytuacja jego lordowskiej mości jest komfortowa, dochody pozwalają mu na dostatnie życie.

- Ależ... on żyje... z rozboju! Warburton wydał wąskie usta.

- Czyżbym był w błędzie? - dopytywał się Car-stares.

- Jego zachowanie świadczyłoby o tym, że w rzeczy samej rabuje, sir.

- A więc to prawda. On na mnie napadł.

- Czy pana obrabował?

- Obrabował? Nie mógł przecież obrabować własnego brata.

- Za pozwoleniem, panie Carstares, ma pan rację, Jego lordowska mość nie mógłby obrabować brata. Znam jednak człowieka, który nie zawahał się tego uczynić.

Zapadła cisza. W oczach Richarda pojawiła się podejrzliwość. Policzki mu pobladły, zwilżył usta językiem. Palce, zacisnięte na oparciu krzesła, rozluźniły się, ale natychmiast ponownie kurczowo ścisnęły mebel. Richard skierował rozgorączkowane spojrzenie na twarz prawnika.

- John panu powiedział... powiedział panu...- zaczął i utknął.

- Jego lordowska mość *nic* mi nie powiedział. Był wyjątkowo dyskretny. Nie mógł jednak zdradzić mi niczego, czego już bym nie wiedział.

- Co pan ma na myśli? Dlaczego tak pan na mnie patrzy? Krótko mówiąc, o co chodzi?

- Znam pana, panie Richardzie, i pańskie prawdziwe oblicze.

- Ach! - Carstares uniósł dłoń, jakby chciał zakryć się przed ciosem.

Ponownie zapadła pełna napięcia cisza. Prawnik z najwyższym trudem nad sobą panował. Po chwili przyoblekł twarz w maskę obojętności. Po pełnym żalu westchnieniu Richard odzyskał spokój i usiadł.

- Poznał pan prawdę... z ust Johna. Czy on... mnie  
prawda?

- Nie, sir, nie dowiedziałem się prawdy od niego, on. nigdy pana nie wyda.

Richard odwrócił głowę. Spojrzał wprost na pana Warburtona.

- Och. - Odetchnął głęboko. - Zatem to pan...?

- Nie. Dałem słowo jego lordowskiej mości. Przez wzgląd na pańskiego ojca przez wiele lat zachowywałem milczenie, a teraz robię to dla pańskiego brata. - Warburton umilkł, wielce przejęty.

- Czy pan... lubi Johna? - Richard nadal mówił apatycznym, zmęczonym głosem.

- Czy ja go lubię? Dobry Boże, paniczu Dicku, ja go Kocham!

- Ja też - rzekł Richard bardzo cicho. Nie usłyszał odpowiedzi, spytał więc: - Nie wierzy mi pan?

- Dawniej byłem tego pewien. Teraz... - Wzruszył ramionami.

- A jednak to prawda, drogi panie. Oddałbym wszystko, byle tylko cofnąć tamtą noc.

- Nie oczekuje pan chyba, że dam temu wiarę. Wyłącznie od pana zależy, czy imię panicza Johna zostanie oczyszczone, czy też nie. Pan tymczasem milczy.

- Panie Warburton, ja... Och, czy pan sądzi, że nic dla mnie nie znaczy fakt, iż John został przestępcą?

Szczery żal wyzierający z szarych oczu Richarda sprawił, że złość pana Warburtona częściowo się ulotniła.

- Chciałbym mieć o panu jak najlepsze zdanie. Pański brat nic mi nie powiedział. Czy pan... Czy pan zechciałby mi wyjaśnić, jak to się stało, że wziął na siebie całą odpowiedzialność za pańskie oszustwo?

Richarda przeszył dreszcz.

- Nie istnieje żadne wytłumaczenie. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zmusiłem go do wszystkiego. Och, John, mój brat. Oszalałem z miłości do Lavinii. Boże, na samą myśl o tym zaczynam tracić

zmysły. Sądziłem, że potrafię zapomnieć; a potem... potem go spotkałem. Jego widok przywołał wspólne wspomnienia. Od tamtego dnia nie wiem, jak żyć, nie wyjawiając wszem wobec prawdy. Ale nigdy tego nie uczynię! Przenigdy!

- Niech mi pan wszystko opowie - poprosił pan Warburton, wzruszony wbrew sobie.

Richard ukrył twarz w dłoniach.

- To jakiś koszmar... Chyba postradałem zmysły... Nie miałem pojęcia, co robię... Ja...

- Spokojnie. Co pana skłoniło do oznakowania kart?

- Dług zaciągnięty u Gundry'ego. Ojciec nie miał z czego go spłacić, sam musiałem zdobyć pieniądze. Nie mogłem dopuścić do skandalu - przecież szaleńczo kochałem Lavinie. O niczym innym nie potrafiłem wtedy myśleć. Przestałem przejmować się Johnem, bo uznałem, że pragnie mej ukochanej. Nie potrafiłem znieść myśli o tym, jak potworną hańbą by mnie okrył, gdyby odebrał mi moją miłość... Potem nadszedł tamten wieczór u Dare'a. Przegrywałem. Wiedziałem, że brak mi pieniędzy na zapłacenie długu. Chryste! Tymczasem pod łokciem Milwarda piętrzył się stos moich weksli... John grał z Milwardem przede mną i wygrał. Pamiętam, śmiali się i mówili, że wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście - zawsze przegrywał w karty. Grałem z Milwardem tą samą talią, z której korzystali... Był jeszcze jeden stół, o ile pamiętam. Dare rzucał kości z Fitzgeraldem; za moimi plecami ktoś grał z Johnem w faraona. Usłyszałem, jak John się skarży, że szczęście znowu go opuściło - śmiali się ponownie... Przez cały czas przegrywałem... przegrywałem...

W pewnej chwili szpila z fularu upadła mi na kolana. Chyba nikt tego nie spostrzegł. Gdy ją podnosiłem, przemknęło mi przez myśl, że powinienem oznakować karty - och, to godne pogardy, wiem! W dłoni trzymałem asa trefl: zadrapałem go szpilą w jednym rogu. Łatwo mi poszło. Oznakowałem wszystkie cztery asy, a potem trzy króle. Nikt nic nie widział, ale ogromnie się



denerwowałem. Postanowiłem przestać. Ponownie wpiąłem szpilę w fular. Wkrótce zacząłem wygrywać niewielkie sumy. Potem z drugiego kąta pokoju nadciągnął Tracy Belmanoir, żeby popatrzeć, jak nam idzie. Od tej chwili wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Zaczęły się kłopoty. Tracy stał za mną i obserwował.. Wyczuwałem jego obecność, krążył nade mną niczym czarna ćma... Nie wiem, ile czasu to trwało - odniosłem wrażenie, że wiele godzin. Czulem na sobie jego wzrok... Miałem ochotę krzyczeć, mogę przysiąc, że trzęsły mi się ręce. Nagle drgnął. Wyszedłem asem kier.

„Zaraz!” -usłyszałem jego cichy, złowróźbny głos Milward był zaskoczony. Próbowałem sobie wmówić, że niczego nie spostrzegł... Znak na karcie był tak dyskretny, że sam ledwie go widziałem Doszedłem do wniosku, że przygodny obserwator z pewnością nie miał szansy go dostrzec. Tracy zbliżył się o krok i musnął moje ramię. W brylantach,które nosił, zabłysło światło. Nie mogłem zebrać myśli. Powtarzałem sobie w duchu: Pretensjonalny diabeł! Pretensjonalny diabeł! Patrzyłem na migoczącą-klejnoty. Potem pomyślałem: to brat Lavinii, ale go nie lubię; nie lubię go... Przychodziły mi do głowy tylko takie chaotyczne myśli. Zaszło mi w ustach, Brałem spragniony.

Tymczasem on się nachylił nad stołem... wyciągnął białą jak kreda dłoń... odwrócił asa... podniósł szkło powiększające... uważnie obejrzał kartę. Potem opuścił lupę i wydobyl tabakierę... Na emaliowanym pudełeczku widniała Afrodyta. Cały czas mam ją przed oczami. ..Usłyszałem, jak Tracy prosi Milwarda o obejrzenie asa. Miałem ochotę skoczyć mu do gardła i go udusić... Aż mnie swędziały ręce. - Richard umilkł. Zasłonił ręką oczy i zadrzał, a po chwili kontynuował:

- Miliard dostrzegł rysę. Krzyknął, że karty są znaczone. Nagle wszyscy zbiegli się do naszego stolika i coś mówili, jeden przez drugiego. John oparł dłoń na moim ramieniu; wraz z Dare'em przeglądali każdą talię. Nie mogłem oderwać wzroku od Andovera sprawiał wrażenie tak posępnego, tak groźnego

w tym swoim czarnym stroju. Przez cały czas mrużył oczy. był nienaturalnie blady... I patrzył na mnie! zdawało się, że czyta mi w myślach. Przez chwilę myślałem, że zna całą prawdę. Pragnąłem wykrzyknąć, że się myli. Chciałem, by przestał na mnie patrzeć. Nie wiedziałem, co zrobić, lecz on nagle oderwał ode mnie wzrok i skierował go na Johna, a na jego obliczu zjawił się szydery uśmiech. Chciałem go zabić za ten grymas. Chyba John zrozumiał, co to oznacza. Rzucił karty na stół i popatrzył uważnie na Tracy'ego.

Wszyscy ich obserwowali... nikt nie spoglądał na mnie. Gdyby zainteresowali się mną, natychmiast poznaliby prawdę. Woleli jednak patrzeć raz na Andovera, raz na Johna, i tak bez końca... Przypominam sobie, że Fitzgerald upuścił chustkę - zupełnie absurdalnie zainteresował mnie ten fakt. Zastanowiło mnie, czemu jej nie podniósł, a potem ponownie odezwał się Andover: „Do Carstaresa uśmiechnęło się szczęście...”. Użył właśnie tych słów, do tego mówił z wyraźnym powątpiewaniem.

Zanim John zdążył coś powiedzieć, Dare krzyknął do Andovera: „Hańba!”. Roześmieli się, uznając to za żart, ale widziałem, jak wymieniają spojrzenia: zastanawiali się... To, że Johnowi nagle zaczęło sprzyjać szczęście, a potem ponownie go opuściło, gdy tylko odszedł od stołu, było podejrzane.

Milward - biedny, niemądry Milward - gapił się na Tracy'ego i w końcu wymamrotał, że z pewnością korzystaliśmy z innej talii. Ledwie mogłem złapać oddech. Andover jednak zaprzeczył. Skąd wiedział? Nikt inny nie przypominał sobie tego faktu ani też nie pomyślał o zwróceniu uwagi na ten szczegół - tylko on!

John stał zeszywniały, z podniesioną głową i błyszczącymi, błękitnymi oczami.

- Czy mam rozumieć, że mnie pan oskarża. Belmanoir? - spytał. Kipiał wściekłością. Tracy nie wypowiedział ani słowa, tylko zerknął na mnie. a zaraz potem znowu odwrócił wzrok.

John mocno zacisnął dłoń na moim ramieniu. Wyczuwałem jego złość. Dare zawołał, że ta sugestia jest niedorzeczna. Jakże John mógłby oszukiwać?

Tracy spytał, czy karty należą do Dare'a. O Boże! Cały czas dźwięczy mi w uszach jego cichy, drwiący głos. Dare poczerwieniał, jak zawsze, gdy jest zdenerwowany.

- Talia została otwarta przy tym stoliku, w twojej obecności! - zawołał.

- Przez Carstaresa! - Tracy się uśmiechnął.

To była prawda. Dlaczego jednak zapamiętał to Tracy i nikt inny? Ludzie patrzyli na niego zdumieni. Dare spojrzał na Johna, oczekując od niego potwierdzenia. John skinął głową. Chyba nigdy nie widziałem na jego twarzy takiej wyniosłości.

Dobrze pan wie, jak wielką życzliwością Dare darzył Johna. Usiłował zatuszować sprawę, lecz bez rezultatu. Byliśmy tylko marionetkami, a ten diabeł, Belmanoir pociągał za sznurki. On jeden kierował rozwojem zdarzeń. Zauważył, że tylko my trzej korzystaliśmy z tej talii: John, Milward i ja. John się roześmiał.

- Za chwilę oskarżysz Dicka! - prychnął szyderczo

- Winny jest z pewnością jeden z was trzech. - Andover się uśmiechnął. -

Nie wykluczam Milward

Tak więc dla wszystkich stało się jasne, że jeden z naszej trójki oznakował karty. Milward był zdenerwowany, ale pozostawał poza podejrzeniami. Zebrani zgodnie sądzili, że to wina Johna albo moja.

Do końca życia nie zapomnę grozy tamtych chwil, Gdybym został napiętnowany mianem oszusta karcianego, oznaczałoby to koniec nadziei na względy Lavinii. Powiadam panu, gotów byłem popełnić każdy możliwy grzech. Żadne przestępstwo mnie nie przerażało - nie zniósłbym jej utraty. Nie wyobraża pan sobie, jak wiele dla mnie znaczyła.

- Domyślałem się - mruknął prawnik ponuro.

- Ależ skąd! Nikt nie był w stanie ogarnąć głębi mojej miłości. Chyba nawet John tego nie potrafił... Poczułem, jak cofnął rękę z mojego ramienia... Dotarła do niego prawda. Usłyszałem jego oddech; z pewnością właśnie wtedy pojął, co uczyniłem... Z trudem wstałem z krzesła, chwytając się stołu. Popatrzyłem na Johna. Nie zamierzałem się usprawiedliwiać: wiedziałem, że moje zachowanie było naganne. Popatrzyłem na niego i tylko wypowiedziałem jego imię, jakbym nie mógł uwierzyć własnym uszom. Tak pomyśleli wszyscy zebrani. John wiedział jednak, o co mi chodzi. Miał świadomość, że błagam go o pomoc. Zrozumiał, co usiłowałem mu przekazać. Patrzył na mnie przez krótką chwilę. Pomyślałem... pomyślałem... Niech mi Bóg wybaczy, ale modliłem się, by wziął na siebie odpowiedzialność. Potem się uśmiechnął. Byłem tchórzem, ale kiedy ujrzałem ten pełen bólu i smutku uśmiech, niemal wykrztusiłem z siebie słowa prawdy. A jednak tego nie uczyniłem... Pewnie jestem zbyt podły.

John uklonił się zebrany i skierował wzrok na Dare'a.

- Jestem ci winien przeprosiny - oświadczył. Dare rzucił się ku niemu i chwycił go za ramię, krzycząc, że to nie może być prawda. Kiedy John się roześmiał, Dare cofnął się jak od trędowatego. Podobnie postąpili pozostali. To był okropny widok, kiedy odchodzili, nawet nie patrząc na Johna. Tymczasem jego twarz z każdą chwilą stawała się coraz bardziej blada i stężała. Wszyscy przyjaciele... odwrócili się od niego. Davenant -nawet Jim Davenant - odszedł do kominka wraz z Evansem. Nie byłem w stanie patrzeć na Johna. Nie miałem śmiałości. Jakże mógłbym podejść bliżej i stanąć obok niego? To byłoby bezczelne. Musiałem go zostawić tam, pośrodku pokoju, całkiem samego. Przeszył mnie dreszcz, gdy ujrzałem nieopisany ból w jego oczach. Zakręciło mi się w głowie, dostałem mdłości i opadłem na krzesło, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie obchodziło mnie, czy ktoś mógłby mnie obarczyć winą, ale najwyraźniej byłem poza podejrzeniami. Wszyscy wiedzieli, jak silna miłość nas łączy, i nikogo nie zdziwiło moje załamanie.

Usłyszałem przyciszony głos Andovera... opowiadał Dare'owi jakąś historię. Och, ci ludzie mieli nienaganne maniery - zignorowali nieprzyjemny epizod i całkowicie przestali zwracać uwagę na Johna.

John ponownie przemówił. Mogę się tylko domyślać ile go kosztowało robienie dobrej miny do złej gry. Pamiętam każde słowo:

- Panie Dare, wasza książęca mość, panowie, przepraszam za ten nieprzyjemny incydent. Proszę mi wybaczyć, że panów opuszczę.

Udawali, że go nie słyszą. Dotarł do mnie stukot jego butów, potem odgłos otwieranych drzwi. Nie potrafiłem na niego spojrzeć. On... stanął... i powiedział tylko jedno słowo: „Dick”. Mówił cicho. Nie mam pojęcia, jak do niego doszedłem. Pamiętam tylko, że po drodze przewróciłem krzesło. To zwróciło uwagę Dare'a.

- Chyba nie wychodzisz, Dick? - spytał.

- Idę - odparłem, a John wziął mnie za ramię i wyprowadził.

Później powiedział tylko: „Biedny, biedny Dick!”. Nie obwinił mnie ani słowem. Nie pozwolił mi wrócić! i publicznie wyznać prawdy, choć gotów byłem to uczynić. Tak, panie Warburton, gdy John mnie przywołał, mogłem wykrzyknąć prawdę, ale on do tego nie dopuścił... Powiedział: „Dla dobra Lavinii”.

Pan Warburton głośno wydmuchał nos. Ręce mu drżały.

- Wie pan, co się zdarzyło później. Ojciec wyrzucił Johna z domu, bez grosza przy duszy. Przyjaciele odwrócili się od niego, moja biedna matka przeżyła załamanie. Wie pan również, że John wyjechał, i nie potrafiliśmy go znaleźć, gdy zmarła... Przed odejściem powiedział do mnie: „Daj Lavinii szczęście

i spróbuj zapomnieć o wszystkim”. Zapomnieć Chryste! Choć się starałem, przez lata nie miałem żadnych wiadomości o nim, aż dwa miesiące temu na mnie napadł. Byłem oszołomiony tym zdarzeniem Tymczasem on wziął mnie za rękę i... wybuchnął śmiechem. Panowały takie ciemności, że ledwie go

widziałem. Wystarczyło mi czasu tylko na to, by spytać go o adres, a potem pogalopował prze: wrzosowisko. Myślę, że nawet wtedy nie miał de mnie żalu.

- Teraz też nie ma - wtrącił pan Warburton - Paniczu Dicku, jeśli to wszystko prawda, to czemu nawet *nie* spróbuje pan zmazać hańby z jego imienia Z pewnością...

Richard powoli odwrócił głowę.

- Nie mogę wciągać mojej żony w to bagno. Jeśli ego oczyszczę, ją pograżę.

Warburton nie wiedział, co powiedzieć. Dopiero po pewnym czasie odchrząknął i wyznał, że czuje się zaszczycony zaufaniem, okazanym mu przez pana Iarstaresa.

- Pan... jakby to ująć... poświęcił sporo uwagi roli, jaką tamtego wieczoru odegrał jego książęca mość. Czy to możliwe, że pańska... wzburzona wyobraźnia wyolbrzymiła nieco jego rolę?

Richard nie wykazał zainteresowania.

- Bardzo możliwe - przyznał. - Niewykluczone, że przytłoczyła mnie jego niesłychanie silna osobowość. Wykluczam, by mógł pociągać za wszystkie sznurki, choć wcześniej byłem tego pewien. Nawet Belnianoir nie zdołałby mnie skłonić do takiego zachowania, jakie zaprezentowałem. Ale wówczas czułem, że jestem popychany... nakłaniany do oskarżenia Johna. Och, musiałem oszaleć!

Warburton ze współczuciem patrzył na swego żalosego chlebobawcę. Po chwili jednak wziął się w garść i znów przemówił surowym głosem.

- Zatem jest pan zdecydowany zrezygnować ze spadku?

- Tak nisko jeszcze nie upadłem, żeby brać to, co do mnie nie należy.

- Jego lordowska mość pozostawia Wyncham wszystkie inne dobra do pańskiej dyspozycji. Pańska odmowa sprawi mu przykrość.

- Nawet nie tknę tych dóbr. Prawnik skinął głową.

- Wyznam, że z ulgą przyjmuję do wiadomości pańską decyzję. Nie ma potrzeby ponownego komunikowania się z jego lordowską mością. Moim zdaniem nie jest on skłonny do utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z rodziną, to dla niego zbyt bolesne doświadczenie. Chciał jednak przypomnieć się panu, a także pańskiej małżonce.

- Dziękuję... Czy może pan mi opisać jego obecną sytuację? Czy opowiedział panu cokolwiek na swój temat?

- Był bardzo dyskretny. Moim zdaniem nie jest nieszczęśliwy.

- Czy jest rozgoryczony?

- Z całą pewnością nie.

Pan Warburton wstał, najwyraźniej zdecydowany odejść. Richard niechętnie poszedł za jego przykładem.

- Zatem... nie ma pan mi nic więcej do powiedzenia o Johnie?

- Żałuję, ale nie.

Richard powoli podszedł do drzwi i je otworzył.

- Chciałbym podziękować za życzliwość, jaką mi pan okazał, podejmując się tego niewątpliwie przykrego zadania. Jestem ogromnie zobowiązany.

Pan Warburton uklonił się nisko.

- To naprawdę drobiazg. Wszystko, co mogę uczynić dla rodziny Carstaresów, to dla mnie zaszczyt.

Ponownie złożył Richardowi ukłon i energicznie odszedł.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

*Pojawia się lady Lavinia Carstares*

Richard powoli podszedł do krzesła. Po chwili usiadł i z roztargnieniem wyjrzał przez okno; luźno splecione dłonie położył na blacie biurka. Siedział dość długo w takiej pozycji, całkiem nieruchomo. Wreszcie drgnął, westchnął cicho i wziął do ręki pióro. Zanurzył je w kałamarzu, drugą ręką przysunął do siebie stosik kartek, potem zaczął niespiesznie pisać.

Przez może dwadzieścia minut zapełniał literami czyste stronice. W pewnym momencie pióro zawisło w powietrzu, a Richard skierował wzrok na drzwi, które nagle się otworzyły. W progu stała lady Lavinia. Energicznie wmaszerowała do pokoju, trzymając w dłoni haft. Dygnęła przed mężem, podeszła do fotela o wysokim oparciu i wyciągnęła dłoń, by go przysunąć. Gdy dotknęła mebla, nieoczekiwanie zmieniła zdanie i powędrowała do sofy, na której usiadła. Elegancka suknia z brokatu mocno zaszeleściła. Po chwili Lavinia zajęła się haftowaniem.

Richard w milczeniu obserwował żonę; doskonale widział każdy ruch jej ładnej dłoni i głowy.

Cisza zdecydowanie nie odpowiadała Lavinii. Zaczęła niecierpliwie tupać smukłą stopą w podłogę. Richard wciąż uparcie milczał, spojrzała więc na niego przezrzystymi, błękitnymi oczami.

- Skąd to przygnębienie, Dicky? Dlaczego unikasz rozmowy ze mną? - Mówiła cienkim, dziecinnym głosem i miała osobliwy zwyczaj kończenia każdego zdania piskliwym dźwiękiem, a także przedłużania ostatniej sylaby. Słuchanie jej było fascynującym przeżyciem.

Richard uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem.

- Naprawdę unikam, moja droga? Najmocniej przepraszam. Przed chwilą gościłem pana Warburtona.

Twarz Lavinii momentalnie spochmurniała, a usta wydeły się z irytacją.

- Spotkał się z nim - dodał Richard.

- Oooch? - Specjalnie wydłużyła to słowo, starając się, by zabrzmiało zupełnie obojętnie.

- Tak. John nie jest zainteresowany majątkiem. Poprosił o zarządzanie Wyncham wedle mojego uznania. To bardzo wielkodusznie z jego strony.

- Tak, w rzeczy samej. I co ty na to, Richardzie? Puścił jej pytanie mimo uszu.

- On - pan Warburton - twierdzi, że John niewiele się zmienił.



- Oooch? - Ponownie przeciągnęła monosylabę, której tym razem towarzyszyło dyskretne ziewnięcie.

- Mówi też, że jego zdaniem John nie czuje do mnie urazy... - Urwał, jakby w oczekiwaniu na reakcję, ale jego żona była zbyt zajęta aranżacją dwóch kwiatów, które wyjęła ze stojącej z boku misy przyłożyła do dekoltu. Richard ze znużeniem od-

wrócił głowę. - Gdyby nie ty, moja droga, wyznał-bym prawdę. Czuję, że oszaleję, jeśli tego nie zrobię.

- Dick! - Upuściła kwiaty na podłogę i przestała zaprzętać sobie nimi głowę. - Dick!

- Och, niepotrzebnie się lękasz. Nie sądzę, bym po sześciu latach miał odwagę stawić im wszystkim czoło - dodał z goryczą.

Lavinia poruszyła się niespokojnie i musnęła dłonią sofę.

- Nie zrobisz tego, Richardzie, prawda? Obiecujesz? Na pewno tego nie uczynisz? Nie mogłabym znieść takiej hańby. Przrzeknij, że nigdy tego nie zrobisz.

- Nie - odparł powoli, nie patrząc żonie w oczy.

- Tego nie mogę ci obiecać.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła nerwowo wymachiwać drobnymi dłońmi.

- A zatem uczynisz to. Pragniesz mojej hańby! Nie obchodzi cię, jak bardzo mnie ranisz! Ty...

- Lavinio, na litość boską... - Westchnął i odsunął krzesło. - Uspokój się. - Wiedział, że jego żona lada moment dostanie ataku nieopanowanego wzburzenia i z irytacją zmarszczył brwi.

- Nie! Och, tak, tak! Uważasz mnie za piekielnicę! Wiem! Wiem! Nie ma potrzeby, byś patrzył na mnie takim wzrokiem, jesteś znacznie gorszy. Nie, nie uciszę się. Jestem okropną kobietą, a ty oszustem. Oszust! Oszust!

Richard podszedł bliżej.

- Lavinio.

- Nie, nie! Daj mi spokój! Doprowadzasz mnie do szału! Nie dajesz mi niczego, czego pragnę, a w dodatku grozisz mi niesławą...

- Bzdura! - krzyknął Richard, zmuszony do odpowiedzi. - Po prostu nie mogę ci tego obiecać, i na tym koniec. Czego ci odmówiłem? Ofiarowuję ci: wszystko, co leży w zasięgu moich możliwości: finansowych. Bóg mi świadkiem, że robisz, co w twojej mocy, by mnie zrujnować...

- To moja wina, tak? Powiedz, czy nie namawiałeś ojca, by pozostawił pieniądze Johnowi, choć wiedziałeś, że chętnie przekazałby ci wszystkie, gdybyś tylko milczał? O mnie nawet nie pomyślałeś...

- Na litość boską, Lavinio, przestań się unosić! Nie masz pojęcia, co wygadujesz!

Przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków.

- Nie... Nie myślę racjonalnie, wiem, ale nie wypominaj mi tego, bo nie odpowiadam za siebie i nie patrz na mnie jak na wariatkę. Nawet nie wiesz, jak mnie irytujesz. - Miotła się po pokoju niczym zwierzę w klatce, rozbudzając w sobie coraz większą furję. - Richardzie, powiedz coś! Zrób coś! Nie stój tak, odezwij się! Och, nie powinieneś się ze mną żenić. Budzę w tobie odrazę, a przez ciebie jest ze mną coraz gorzej. Wiesz, że nie potrafię żyć bez przyjemności, bez pieniędzy. Czy jestem godna pogardy? Tak, tak, ale pomyśl o sobie. Och, dlaczego dopiero po ślubie wyznałeś mi, że jesteś łgarzem?

- Załkała z wściekłością; podarta na strzępy chustka leżała na podłodze.

Richard odwrócił się plecami do żony, aby nie dostrzegła, jak bardzo go irytuje. Jego zachowanie jeszcze bardziej rozżłościło Lavinie.

- Nie rób tego! Nie! Nie! Twoje nieznośne milczenie działa mi na nerwy! Och, gdybyś naprawdę mnie kochał...

- Nie możesz w to wątpić! - krzyknął i nie-spodziewanie odwrócił się do żony. - Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham! Prawda? - Chwytał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Drgnęła i roześmiała się płaczliwie. Jej wściekłość nieoczekiwanie się ulotniła.

- Och, tak, tak. Ty mnie kochasz, Dicky, prawda?

- Zrzuciła mu ręce na szyję.

- Bóg mi świadkiem, że tak! - zawołał i odepchnął ją od siebie. -

Tymczasem ty... ty przejmujesz się wyłącznie sobą!

- Nie! Nie! - zaprotestowała i ponownie do niego przywarła. - Nie mów tak, proszę. Kocham cię, ale zabawa jest mi niezbędna do życia, dobrze o tym wiesz. Och, nie wątpię, że jestem samolubna, ale taka już moja natura i nie potrafię tego zmienić. Teraz cię skrzywdziłam, choć wcale nie chciałam. Wcale nie chciałam.

- Moja droga, wiem, że nie chciałaś. Błagam tylko, spróbuj czasami nie zachowywać się jak dziecko. Jesteś taka nieopanowana, taka...

- Wiedziałam, że to powiesz. Nie rozumiesz mnie. Oczekujesz, że będę dobra, cierpliwa i wyrozumiała, a ja powtarzam ci, że to nie leży w mojej naturze.

- Lavinio, przecież potrafisz zapanować nad emocjami - zauważył łagodnie.

- Nie! Nie potrafię! My, Belmanoirowie, jesteśmy tacy, jakimi nas stworzył Bóg. To on uczynił nas rozrzutnymi, hulaszczymi i szalonymi. - Podeszła powoli do drzwi. - Ty tego nie rozumiesz i usiłujesz mnie poskromić, nakazujesz mi rozwagę, chcesz, bym była dobrą matką, choć ja pragnę radości, podniet i nie troszczę się o dom. - Otworzyła drzwi.

- Teraz boli mnie głowa, ty jesteś zasepiony i powiadasz, że wszystko przez mój paskudny charakter, choć ja pragnę, byś mnie żałował i zrobił coś, co mnie pocieszy. Dlaczego nie zabierzesz mnie do Londynu, skoro wiesz, jak

bardzo pragnę się tam znaleźć? Nie dbam o ten ponury i nudny dom, w którym mogę tylko zajmować się dzieckiem i robótkami. Jestem znużona. Dość mam takiego życia!

Zamierzała odejść, lecz Richard ją zatrzymał.

- Czekaj, Lavinio. Mówisz, że jesteś nieszczęśliwa? Puściła klamkę i zniecierpliwiona zamachała rękami.

- Nieszczęśliwa? Nie, otepiała. Zirytowana. Niezadowolona. Jestem taka, jaką chcesz mnie widzieć, nie smuć się więc, Richardzie. Nie potrafię znieść twojego przygnębienia. Och, dlaczego się kłócimy?

- W przyływie namiętności ponownie przywarła do męża i zwróciła ku niemu piękną twarz. - Kochaj mnie, Richardzie! Zabierz mnie do Londynu i nie przejmuj się, że szastam pieniędzmi. Powiedz, że na to nie zważasz. Powiedz, że ważne jest tylko moje szczęście. Czemu tego nie mówisz? Czy cokolwiek innego ma znaczenie? Skończ z rozsądkiem, Dicky.

- Szalej. Swawol. Rób cokolwiek, byle tylko oddalić od siebie widmo starości i smutku. - Oparła ręce na jego ramionach. - W drogę, do Londynu!

Carstares czułe odgarnął jej z czoła miękkie włosy, lecz w jego oczach widniała troska.

- Moja droga, pojedziemy tam, ale jeszcze nie teraz. Mamy tutaj dużo do zrobienia. Zaczekaj trochę...

- Ach, gdybym mogła zaczekać. Gdybym po-trafiła być cierpliwa i dobra. Rzecz w tym, że nie mogę. Och, nic nie rozumiesz, Dicky-nie rozumiesz. - Żałuję, moja droga. Obiecuję, że pojedziemy

tam w najbliższym dopuszczalnym terminie i pozo-staniemy tak długo, jak zechcesz. Opuściła ramiona.

- Chcę jechać teraz!

- Kochanie...

- Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Pojedziemy wkrótce. Tylko niczego mi nie tłumacz. Patrzył na nią z troską.

- Jesteś podenerwowana, kochanie, a do tego przemęczona.

- Racja-przyznała apatycznie. -Och, racja. Teraz pójdę odpocząć. Wybacz mi, Dicku. - Przesłała mu pocałunek. - Pewnego dnia stanę się grzeczna.

- Odwróciła się i pospiesznie opuściła pokój; nie zamknawszy za sobą drzwi, wbiegła na schody.

Richard machinalnie podniósł haft i szczątki chustki. Dwa kwiaty były połamane, więc je wyrzucił. Potem wyszedł na słoneczny taras, skąd mógł podziwiać piękne ogrody, rysujące się w błękitnej oddali.

Po trawniku biegło dziecko, cztero- lub pięcioletnie. Pomachało mu brudną rączką.

- Papo!

Richard popatrzył w dół i się uśmiechnął.

- Co słyszeć, Johnie?

Chłopiec wdrapał się na stopnie tarasu.

- Wujek Andrew przyjechał na spotkanie z tobą. Idzie tu, do ciebie - poinformował ojca.

- Naprawdę? Czy zostawił konia w stajni?

- Tak. Dlatego przybiegłem powiedzieć ci o tym.

- I słusznie. Pójdiesz ze mną na spotkanie? Drobną, zaróżowioną buzią pojaśniała z radości.

- Och, naprawdę mogę? - zawołał malec i wsunął dłoń w rękę Richarda.

Zeszli po schodach i powędrowali przez trawnik.

- Uciekłem Betty - oznajmił John z niekłamaną dumą. - Oto wuj Andrew!

- Ruszył ku nadchodzącej postaci.

Lord Andrew Belmanoir był szwagrem Richarda i bratem obecnego księcia. Uścisnął chłopca i zartobliwie popchnął go na ziemię.

- Witaj, Dicky. Masz tu wyjątkowo rozpuszczone dziecko.

- Nie da się ukryć. Właśnie uciekł opiekunce.

- Doskonale. Chodź, Johnie, pójdziemy razem. Gruba Betty zrobi wielkie oczy. - Mówiąc to, lord Andrew ujął Richarda pod rękę. - Dicky, chciałbym z tobą porozmawiać. - Uśmiechnął się smutno.

Dziecko pobiegło w kierunku lasu. Malcowi towarzyszył potężny bullmastif.

- I co teraz? - spytał Richard, robiąc zatroskaną minę.

- Jest fatalnie, to pewne - odparł lord i przygnębiony pokręcił głową.

- Długi?

- I to jakie! Wczoraj wieczorem byłem u Delaby'ego i sporo mnie to kosztowało. W sumie straciłem około trzech tysięcy, łącznie z tym, co jestem winien Carew. Diabli wiedzą, skąd wezmę tyle pieniędzy. Tracy nagle zmienił front i poprzysiągł, że prędzej go diabli wezmą, niż wspomocze mnie choć-by pensum. Chyba nie mówił poważnie.

Tracy był księciem. Richard uśmiechnął się nieco cynicznie; już wcześniej musiał pożyczyć lordowi Tysiąc gwinei na spłatę „niewielkiego długu”.

- Mówił absolutnie serio.

- Powiadasz?

Co za niemożliwy człowiek. Tracy jest w mieście ledwie od dwóch tygodni, a ma takie szczęście, jakby zaprzedał duszę diabłu. Mówię ci, jednej nocy widziałem, jak wychodzi z pięcioma tysiącami w kiesze-ni. A żałuje mi raptem trzech. Boże, co z niego za brat! - przy tym cały czas udaje anioła, jakby sam nigdy nie przegrał w kości. I w dodatku zmusza mnie do wysłuchiwania swoich kazań. Można by pomyśleć, że to ja oszukiwałem, a nie... mhm... Dicky, ogromnie przepraszam! Ale jestem bezmyślny! Zupełnie nie pomyślałem o Jo... O czym to ja mówiłem... Dureń ze mnie!

Richard zeszywniał.

- Nic na to nie poradzisz - rzekł i roześmiał się nieszczerze. - Dość przeprosin, mów dalej.

Dotarli do strumienia i po niewielkim mostku przeszli na drugi brzeg, gdzie rozpościerał się las.

- Właściwie niewiele mam do dodania. Po prostu coś trzeba zrobić, bo Carew nie będzie dłużej czekał. Zaszuszonego stracha na wróble. Dlatego przychodzę do ciebie.

Andrew puścił rękę Richarda i usiadł na zwałonym pniu, nie zważając na aksamitne ubranie i koronki.

- Dobry z ciebie człowiek i nie prawisz kazań jak Tracy, niech go diabli! Poza tym sam grywasz o wysokie stawki, a przynajmniej kiedyś grałeś, bo już od wieków nie widziałem, żebyś wygrał albo przegrał znaczącą sumę.

Ostatecznie jesteś mężem Lawy i... och, psia krewo, strasznie trudno cię prosić...

Carstares, oparty o drzewo, z rozbawieniem patrzył na młodego eleganta.

- Spokojnie, Andrew - powiedział. - Możesz prosić bez obaw, problem jednak w tym, skąd wezmę taką sumę. Rety, co za życie! Lavinia ciągle kupuje jedwabie, nic nie mogę na to poradzić, a poza tym...

- Zawsze była rozrzutną dziewczuchą. - Andrew z największą irytacją zmarszczył brwi.

Richard się roześmiał.

- Rzecz jasna, ty jesteś wzorem oszczędności. Andrew rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś,

czym mógłby rzucić w szwagra, lecz nic nie znalazł, ponownie więc wpadł w głęboką rozpacz.

- Masz słuszość. Wszyscyśmy nicponie. To bez wątpienia przez naszego ojca, a po części także przez matkę. Nie znałeś jej. Była Francuzką. Lawy ogromnie ją przypomina. I jeszcze Tracy... Diabeł wcielony! Widziałeś kiedyś podobne oblicze? Zaręczam, że nie. Wiecznie pogardliwa mina, przenikliwie zielone oczy... Kto ma takiego brata, musi zejść na psy. Ach, śmiejesz się, lecz sprawa est poważna.

- Mów dalej.

- Jeszcze jest Bob... Do diaska, żal mi Boba. w wojsku płacą mu tyle, co kot napłakał, a on nigdy nie był oszczędny. Co robić? Właściwie go nie widuję, a jeśli już, to słyszę: „Pożycz setkę, Andy!” albo coś podobnego. A wszystko po to, żeby mógł kupić swojej aktualnej damie błyskotki. Słabo się robi. Bob zawsze potrzebuje pieniędzy na utrzymanie, a co do Tracy'ego... Rety, jak oni mogą! Pozostaje jeszcze Lavinia, ale chyba już ją dobrze poznałeś, no i ja, sługa uniżony. Powiadam ci, Dicky, przez te wyścigi, karty i butelkę, nim się spostrzeżę, będę zrujnowany. Najgorsze, że nigdy się nie zmienię. Mam to we krwi, po cóż zatem próbować? - Skrzywił się ponuro, spojrzał na siostrzeńca i wstał. - Chodź, młodzieńcze. Wracamy.

John, skupiony na łowieniu kijanek w pobliskim stawie, pobiegł przed siebie.

- Niestety, moja małżonka jest niedysponowana - wyjaśnił Richard z wahaniem. - Chciałbyś ją zobaczyć?

- Dostała szalu, co? - Andrew wymownie mrugnął okiem. - Och, dobrze ją znam. Nie, nie zależy mi na spotkaniu z Lawy. Zupełnie się mną nie interesuje. chociaż zawsze pamięta o Tracym, a niech mnie.

Powoli szli do domu. Andrew w milczeniu obracał łaskę ze złotą gałką.

- Rzecz jasna, otrzymasz pieniądze. Kiedy chcesz je mieć? - spytał Richard zwięźle.

- Na honor, piekielnie dobry z ciebie człowiek! Jeśli jednak mam cię przez to wpędzić...

- Absurd. Na kiedy potrzebujesz pieniędzy?

- Powinienem zapłacić Carew jak najszybciej. Markham zaczeka, jeśli...

- Nie, nie! Na środek?

- Byłoby wspaniale. Jesteś...

- Och, sza! To drobiazg. Chciałbym poznać twoją opinię na temat gniadej klaczy, którą kupiłem w zeszłym tygodniu. Być może uznasz, że ma nieco zbyt długie nogi, niemniej to piękne zwierzę.



John wbiegł do domu, a obaj mężczyźni powędrowali do stajni. Andrew przez cały czas opowiadał szwagrowi o najciekawszych skandalach, które aktualnie przykuwały uwagę mieszkańców miasta. Richard słuchał jednym uchem, lecz to nie zraziło Andrew: ani na chwilę nie przestał mówić, żeby usłyszeć odpowiedź. Zresztą, był zbyt pogodnie usposobiony, by się przejmować jej brakiem.

Przed czwartą zakończyli ogląd klaczy i poszli do domu. Carstares nie zdziwił się, widząc na tarasie żonę w zupełnie nowej sukni. Włosy Lavinii wyglądały na świeżo ufryzowane.

- Lawy najwyraźniej doszła do siebie - zauważył Andrew, kiedy wchodzili na schody. - Z nią tak zawsze: jej nastrój zmienia się z minuty na minutę. Jak się miewasz?

- Co u ciebie słyhać, Andrew? - Niedbalym ruchem wyciągnęła dłoń do męża i jednocześnie uśmiechnęła się słodko. - Ból głowy prawie minął - wyjaśniła. - Poza tym usłyszałam, że Andrew przyszedł w odwiedziny. W takiej sytuacji postanowiłam zejść. - Odwróciła się do brata. - Powiedz mi, Andrew, czy Tracy jest w domu.

- Ależ tak. Przybył wczoraj, niech go diabli. Chcesz się z nim spotkać?

- Tak, chętnie. - Skinęła głową. - Mam ochotę ponownie go ujrzeć. Od stu lat się nie widzieliśmy. Zabierzesz mnie ze sobą, dobrze?

- Czy nie jest odrobinę za późno na takie eskapady? - spytał Richard, usiłując ukryć lekką irytację. - Chyba lepiej poczekać do jutra.

- Co racja, to racja, Lawy. Będziesz musiała poczekać, bo to pewne, że dziś cię nie zabiorę. Jadę prosto do Fletchera. Tracy'ego możesz odwiedzić jutro, jeśli wyrazi zgodę.

- A czy tak się stanie? - spytała z powątpiewaniem.

Andrew poklepał dłonią kieszeń kamizelki.

- O mało nie zapomniałem! - wykrzyknął. - Mam od niego list. Zamierza jutro czekać na ciebie. To straszne, jak fatalnie funkcjonuje mój umysł.

Wyciągnął garść papierów i wybrał zaklejoną kopertę, na której widniał adres napisany pochyłym, rzymskim pismem.

Lavinia pośpiesznie rozdarła papier, Andrew zaś schował pozostałe kartki i zaśmiał się smutno.

- Monity, Richardzie. Monity.

- Daj mi je - odparł Carstares i wyciągnął rękę.

- Och, nie! Ale z serca dziękuję, Dicky. Te nie są specjalnie ważne.

- Dlaczego nie spłacisz wszystkich długów i nie zaczniesz od początku? - dopytywał się Richard.

- Rety, nie! Byłbym do tego stopnia wniebowzięty, że przed końcem dnia zaciągnąłbym mnóstwo nowych długów.

- Może na początek pożyczę ci tysiąc? Czy nie mógłbyś przestać się zadłużać?

- Przestać się zadłużać? Wykluczone! Nie rób takiej ponurej miny. Już mówiłem: mam to we krwi. Nigdy nie potrafiliśmy oszczędzić ani grosza, ale cóż to zmienia? Wkrótce szczęście się do mnie uśmiechnie; nie mogę bez przerwy przegrywać. Wówczas będę miał okazję cię spłacić, ale - rzecz jasna - tego nie zrobię. Wszystko stracę przy sąsiednim stoliku. Wiem to doskonale. - Mówił z taką niewinnością, że Richard nie miał siły się złościć. Andrew przynajmniej był szczery. Richard lubił szwagra, choć wiedział, że ma do czynienia z utracjuszem i samolubnym hulaką. Chętnie kontynuowałby rozmowę, lecz podeszła do nich Lavinia.

- Tracy odwiedzi nas jutro po południu - wyjaśniła mężowi. - Doskonale się składa, prawda?

Przytaknął z wyraźnym brakiem entuzjazmu, co nie umknęło jej uwagi.

- I zostanie na obiad! - krzyknęła wyzywająco.

- Oczywiście, moja droga.

- Dicky, powinieneś wyglądać na zachwyconego. Czemu nie przepadasz za Tracym? To mój rodzony brat: musisz go lubić.

- Naturalnie, że go lubię, Lavinio. Proszę, nie bądź niemądra.
- Och, nie jestem. Nie złość się, drogi Dicky.
- Zdumiewa mnie, że go lubicie - wtrącił Andrew. - Nie cierpię Tracy'ego.

Tak, piorunuj mnie wzrokiem, Lawy, wcale mnie to nie wzrusza.

Lavinia otworzyła usta, żeby coś odburknąć, lecz Richard pośpiesznie interweniował. Ta kłótnia była ponad jego siły, wiedział, że Lavinia nie przestanie sprzeczać się z porywczym bratem, który usilnie próbował wyprowadzić ją z równowagi.

Zaprowadził oboje do domu, czując się jak niania dwójki niesfornych dzieci.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

### *Księżę Andover*

Następnego popołudnia lady Lavinia ubierała się jeszcze staranniej niż zwykle i niemal doprowadziła służącą do płaczu wybuchami złości oraz pełnymi irytacji, sprzecznymi poleceniami. Toaleta trwała tak długo, że Lavinia wciąż przebywała w buduarze, gdy ogłoszono przybycie księcia Andovera. Nie zdążyła nawet przekazać lokajowi, że przyjmie gościa, gdyż ledwie James skończył mówić, przybysz, przekonany o życzliwym przyjęciu, stanął w drzwiach.

Księżę zdumiewająco przypominał siostrę, a zarazem się od niej różnił. Oboje mieli wystające kości policzkowe oraz wąskie, arystokratyczne nosy, lecz zielone oczy pod ciężkimi powiekami wyglądały zupełnie inaczej. Brwi księcia były nieznacznie wygięte, a jego oczy- przenikliwe i jasne - raz za razem przysłaniał welon czarnych rzęs. Tracy jak zwykle nie przypudrował kruczonych włosów, co w połączeniu z czarno-srebrnym ubraniem podkreślało naturalną bladość jego oblicza. Już z daleka rzucał się w oczy; teraz stał w białych drzwiach i kłaniał się lady Lavinii. Siostra natychmiast ruszyła ku niemu, zamiatając podłogę perłowszarą suknią z brokatu.

- Och, Tracy - zagruchała i wyciągnęła ręce. Księżę wszedł do pokoju i złożył jej niski ukłon.

- Cieszę się, że cię zastałem, Lavinio - oznajmił z zauważalnym sarkazmem w głosie. - Jak zapewne zauważyłaś, przyjechałem. - Ruchem dłoni wskazał buty z wysokimi cholewami i ostrogami. - Najwyraźniej Andrew zapomniał przekazać ci list ode mnie?

- Nie - zaprzeczyła i wzięła go pod rękę. - Przypomniał sobie o nim w ostatniej chwili i... Och, Tracy, tak bardzo się ucieszyłam, że do mnie napisałeś.

- Ogromnie miło to słyszeć - odparł. - Przybywam w ważnej sprawie.

- Och! - Z rozczarowaniem cofnęła rękę. - Pieniądze!

- Moja droga, jesteś doprawdy cudowna. Ujęłaś to bez ogródek: pieniądze! Może usiądziesz?

Z rezygnacją opadła na kanapę i patrzyła, jak gość zajmuje krzesło naprzeciwko.

- Twój szlachetny małżonek swego czasu pożyczył mi niewielką kwotę. Jak zwykle, jestem w tarapatkach. A ten niedojrzały dureń Andrew musiał wpaść w długi.

Lavinia szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Czyżbyś chciał pieniędzy od Richarda na spłacenie długów beztroskiego Andrew? - spytała ze szczerym niedowierzaniem.

- Skąd! Czy to prawdopodobne? Napomknąłem o jego długach mimochodem

- Tak czy owak, Andrew wczoraj pożyczył od biednego Dicka trzy tysiące. Wiem, bo słyszałam, jak o tym mówił.

Księżę uniósł czarne brwi, wyraźnie znużony.

- Jakże to niepotrzebne. I jakże typowe dla Andrew. Zatem „biedny Dick” został już oskubany?

- Nie mów tak, Tracy! - krzyknęła. - Dicky jest dla mnie dobry! - Wytrzymała przeszywające spojrzenie brata.

- A to ciekawe - mruknął książę. - Kiedy doszłaś do tego wniosku? Skąd ta nagła lojalność?

- Zawsze byłam wobec niego lojalna. Doskonale o tym wiesz. Wzbudzam w nim niepokój, a to bardzo wyrozumiały człowiek.

- Jakie to urocze.

- Nie kpij, Tracy! Obiecał, że na całą zimę zabierze mnie do Londynu... Książę rozparł się na krześle.

- Teraz wreszcie rozumiem - oświadczył spokojnie. - Wcześniej trochę się pogubiłem.

- Nie o to chodzi, Tracy! Po prostu mam świadomość, jaki jest dla mnie dobry. Znowu się posprzeczałyśmy. Wiem, że sama wszczynam te kłótnie.

- Chyba ci wygodnie tak myśleć, moja droga.

- Nie, nie! Nie ma w tym nic wygodnego. Sama nie wiem, czemu nie potrafię się zmienić, chociaż pragnę być cierpliwa i urocza. Tracy, nienawidzę Wyncham!

- Nienawidzisz Wyncham? Swego czasu...

- Wiem, wiem. Nigdy nie zamierzałam zamieszkać tu na stałe. Chcę jechać do Londynu!

- Przecież podobno tam jedziesz.

- Tak, jadę, ale chcę tam przebywać z kimś, kto est wesoły, a nie...

- Tak naprawdę potrzebujesz rozrywki, a nie spokojnego Richarda. W rzeczy samej, życie z nim pewnie jest mało urozmaicone. Bezpieczne, moja droga, lecz nie fascynujące.

- Wiedziałaś, że zrozumiesz! On nie chce, żebym grała w karty, bo nie potrafię przestać. I nie rozumie, dlaczego nic a nic mnie nie obchodzi „życie domowe”, jak on to nazywa. Przecież są ansamble, rauty zabawa. On... on jest taki... taki... solidny i ostrożny.

- U męża to zaleta, Lavinio — cynicznie zauważył książę. - Ja nie jestem takim człowiekiem i dlatego żyję w stanie kawalerskim.

Wydeła z pogardą usta, bo doskonale знаła brata.

- Nie, nieprawda. To dlatego, że jesteś wcielonym diabłem. Żadna kobieta nie zechciałaby się z tobą związać.

- To niesłychanie interesujące, moja droga. Postaraj się jednak wykazać większą oryginalnością. Kontynuuj, proszę, analizę nieskazitelnego charakteru Richarda.

- Problem w tym, że bardzo się różnimy. Ja chcę mieć wszystko od razu. Rozumiesz, Tracy? On woli czekać, myśleć i... Och, to takie męczące i wprawia mnie w okropny humor, a wtedy zachowuję się jak histeryczna *bourgeoise!* - Energicznie wstała i klasnęła w dłonie. - Gdy mówi do mnie w taki łagodny, rozsądny sposób, mam ochotę krzyczeć. Myślisz, że jestem wariatką? - Zaśmiała się głucho.

- Nie - odparł - ale przytrafiło ci się coś bliskiego szaleństwu: pochodzisz z Belmanoirów. Może szkoda, że poślubiłaś Richarda. Nie wolno jednak zapominać o pieniądzach.

- Nie ma pieniędzy! - krzyknęła donośnie.

- Nie ma? Jak to?

- Tracy, właśnie o tym chciałam mówić. Uważasz, że hrabia zostawił pieniądze Dickowi?

- Oczywiście. Powinien być oszałamiająco bogaty.

- Nic z tego.

- Ależ, moja droga, dochody muszą być gigantyczne. Przecież ma ziemię, prawda?

- Nie! Nie! Nie ma ziemi. Och, taka jestem wściekła, kiedy o tym myślę. Dick skłonił ojca do pozostawienia jej Johnowi i teraz dysponuje tylko częścią należną młodszemu synowi.

- Wciąż nie rozumiem. Powiedziałaś, że hrabia pozostawił wszystko Richardowi.

- Hrabia zmienił testament!

- Zmienił... testament. Wobec tego, moja droga, najwyraźniej wyjątkowo niezręcznie rozegrałaś tę partię.

- To nie moja wina, Tracy, zaręczam ci! O niczym nie wiedziałam do czasu odczytania testamentu. Richard ani słowem nie wspomniał mi o tej sprawie. W rezultacie jesteśmy raczej biedni. - Jej głos zadrżał z oburzenia, lecz książkę tylko gwizdnął pod nosem.

- Rzecz jasna, zawsze wiedziałem, że Dick to dureń, ale aż do teraz nie miałem pojęcia, jak bezmierna jest jego głupota.

Lavinia nie kryła wzburzenia.

- Nie jest głupi! To uczciwy człowiek! Za to my... my jesteśmy podli, godni pogardy i chciwi.

- Ponad wszelką wątpliwość, Lavinio, niemniej nie warto, byś się niepotrzebnie ekscytowała tym faktem. Jak rozumiem, nadal darzy uwielbieniem tego młodego napaleńca?

- Tak, tak - w kółko tylko John, John, John... Nie mogę już znieść tego imienia. W dodatku... - Urwała przygryzła wargę.

- W dodatku? - zainteresował się książkę.

- Mniejsza z tym. To wszystko jest takie przykre, Tracy!

- Z pewnością. Zdaje się, że w świetle tych wszystkich faktów, powinnaś była wybrać Johna.

Gniewnie tupnęła nogą.

- Nie zamierzam tolerować impertynencji!

- Droga Lavinio, nie masz obowiązku tolerowania czegokolwiek. Ta cała sytuacja jest nawet zabawna. Pomyśleć, że szlachetny Richard tak zręcznie niweczy wszystkie moje plany.

- Gdyby nie ty, być może nigdy bym go nie poślubiła. Dlaczego postawiłeś ich obu na mojej drodze? Dlaczego w ogóle ich spotkałam?

- Wasz związek zapowiadał się na wyjątkowo udany, moja droga, i jeśli pamiętam, nikt nie wierzył w to goręcej od ciebie.

Ze złością wykrzywiła usta i odwróciła się od brata.

- Mimo to - ciągnął z rozmysłem - przyznaję, że choć nie brak nam sprytu, tę sprawę ewidentnie pokpiliśmy.

Lavinia spojrzała na niego uważnie.

- Och, i na tym koniec twoich przemyśleń? Jak możesz być taki spokojny? Czy ta sprawa zupełnie cię nie obchodzi?

Tracy demonstracyjnie zmarszczył cienki nos.

- Nie będę płakał nad rozlanym mlekiem, Lavinio. choć kwestia ta poważnie mnie irytuje. Musimy pomyśleć, co zrobić; tym samym chciałbym powrócić do tematu naszej rozmowy. Twoje rewelacje budzą niepokój, niemniej nadal potrzebuję pieniędzy.

- Och. - Westchnęła. - Ile, Tracy?

- Pięćset powinno załatwić sprawę.

- Czyżby twoje nieruchomości nie przynosiły dochodu? - spytała z irytacją. - Andrew wyjawiał nam, że dwa tygodnie temu uśmiechnęło się do ciebie szczęście i opuściła cię zła passa.

- Od tamtego czasu, moja droga, trzykrotnie doświadczyłem pecha. Co do posiadłości, jak doskonale wiesz, mają hipotekę obciążoną do granic możliwości. Jakikolwiek mizerne zyski pójdą na spłatę. A Robert jest rozrzutny.

- Nie cierpię Roberta!

- Osobiście również niespecjalnie za nim przepadam, lecz to bez znaczenia.

- Oby umarł! Och, nie... Nie! Znowu zachowuję się odrażająco! Wcale tego nie chcę. Po prostu jestem zmęczona. Mam wszystkiego dosyć. Dostaniesz tę sumę jak najszybciej. Ale uważaj, Tracy, bądź ostrożny! Uzyskanie pieniędzy od Dicka to niełatwa sprawa.

- Nie wątpię. Dotychczas radziliśmy sobie całkiem nieźle, sama przyznasz.



- Dotąd Dick miał dużo pieniędzy. Ojciec niczego mu nie odmawiał.
- Co robić. To nieszczęście, ale musimy jakoś wytrwać. Gdzie twój mąż?
- Nie wiem. Zostaniesz na kolację?
- Dziękuję. Z wielką chęcią.
- Tak, tak... Och, jakże przyjemnie ponownie cię widzieć. Wkrótce zawitam do Andover Court. Pozwolisz mi zatrzymać się tam na kilka dni?
- Spytaj raczej, czy mąż pozwoli ci przebywać na tak długo w moim toksycznym towarzystwie.
- Richard nigdy by mnie nie powstrzymał - odparła dumnie. - Och, dlaczego już go nie kocham? Dlaczego on mnie nie obchodzi tak bardzo jak ty?
- Moja droga Lavinio, podobnie jak wszyscy z rodziny Belmanoirów, troszczysz się w pierwszej kolejności o siebie, a w drugiej o mężczyznę, który kieruje twoimi poczynaniami. Niestety, Richardowi nie udaje się ta sztuka.
- Ale ja naprawdę kocham Richarda! - wykrzyknęła, zapominając, co wyznała przed chwilą. - Naprawdę, lecz mimo to...
- W tym rzecz. Tak. Nie zaznałaś prawdziwej namiętności, a do tego jesteś bardzo skupiona na sobie.
- Skupiona na sobie? To poważny zarzut.
- Ale uzasadniony. Myślisz tylko o sobie, o własnych uciechach, o swoim charakterze i uczuciach. Gdybyś potrafiła nabrać do siebie nieco dystansu, byłabyś mniej pobudliwa i z pewnością bardziej zadowolona z życia.
- Jak śmiesz, Tracy! Skup się na sobie. Skąd ta nagła bezinteresowność?
- Znikąd. Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Sugerowałem jedynie, że byłabyś szczęśliwsza, gdybyś zechciała przemyśleć swoje postępowanie.
- Najlepiej zacznij od siebie.
- Moja droga Lavinio, kiedy ogarnie mnie tęsknota za większym szczęściem, z pewnością się zmienię. Na razie jestem całkowicie z siebie zadowolony.

- Zachowujesz się nieprzyjemnie i pogardliwie - oświadczyła.

- Przyjmij moje najszczerze przeprosiny. Pojedziesz do Andover Court, jeśli cnotliwy Richard wyrazi zgodę.

Jej twarz rozpromieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Och, Tracy! Och, tak bardzo jestem spragniona uciech! Z powodu żaloby nie mogę nawet urządzić przyjęć. Kiedy jednak znajdę się w Andover - nie będziemy się niczym przejmowali i będę miewała złe humory, nie zważając na to, że kogoś urażę! Och, idź do Dicka od razu - natychmiast!

Wstał leniwie.

- Rozumiem, że wystawiasz cierpliwość Richarda na próbę - zauważył. - Na szczęście twoja porywczosć w żaden sposób mi nie przeszkadza. Chodźmy poszukać twego małżonka.

W połowie wysokich schodów Lavinia dostrzegła męża i natychmiast do niego podbiegła.

- Richardzie, właśnie cię szukam. Tracy zaprosił mnie na tydzień do Andover Court. Zamierza przyjąć jeszcze kilku innych gości, będzie urządził przyjęcia i zabawy. Pozwolisz mi jechać? Zgódź się, Dicky. zgódź się natychmiast!

Carstares uklonił się księciu. Tracy przyglądał się im ze schodów i natychmiast odwzajemnił ukłon. Richard popatrzył na żonę.

- Tak szybko, Lavinio? — upomniał ją i wskazał żalobną suknię. Niecierpliwie strząsnęła jego rękę.

- Och, Dicky, jakie to ma znaczenie? Co to może oznaczać? Przecież nie proszę, byś pojechał ze mną...

- W rzeczy samej - przyznał trochę ze smutkiem, trochę z rozbawieniem. - Zauważyłem, moja droga.

- Nie, nie! Nie chciałam być nieuprzejma, nie wolno ci tak myśleć. Chyba tak nie uważasz, prawda, Dicky?

- Och, nie.

- Dobry Dicky. - Pieszczotliwie poklepała go po policzku. - Wobec tego musisz mi pozwolić jechać. Posłuchaj mnie koniecznie. Dobrze wiesz, jaka jestem znudzona i jak niemądrze postępuję - to dlatego, że potrzebna mi odmiana, i naprawdę chcę jechać do Andover. Muszę tam jechać!

- Tak, kochanie, wiem. Rzecz w tym, że mój ojciec zmarł niecałe półtora miesiąca temu i nie uważam za stosowne...

- Proszę, Dicky, proszę! Proszę, nie mów nie! Tak bardzo byś mnie unieszczęśliwił. Chyba nie będziesz lici niedobry? Nie zabronisz mi jechać?

- Proszę cię, Lavinio, byś nie jechała. Jeżeli potrzebujesz odmiany, dyskretnie zabiorę cię do Bath lub tam, dokąd zechcesz. Nie sprawiaj mi bólu wyjazdem do Andover właśnie w takim okresie.

- Bath! Bath! Po cóż miałabym jechać do Bath o tej porze roku? Och, to miło z twojej strony, że proponujesz wycieczkę, lecz pragnę być w Andover. Chcę ponownie zobaczyć starych przyjaciół. Poza tym mam ochotę uciec od tego miejsca - tu jest tak ponuro po... po śmierci ojca.

- Najdroższa, oczywiście, że wyjedziesz, pod warunkiem, że nie zapomnisz o żałobie...

- Ależ ja właśnie chcę wymazać ją z pamięci! Och. Dicky, proszę, proszę, proszę, nie bądź niedobry...

- Zatem dobrze, kochanie. Skoro musisz jechać - jedź.

Z radości klasnęła w dłonie.

- Och, dziękuję, Dicky. Nie jesteś na mnie zły?

- Nie, kochanie, naturalnie, że nie.

- Ach! Co za radość! Mój słodki Dicky, przyznaj się, że w skrytości ducha cieszy cię perspektywa mojej tygodniowej nieobecności. Zgadza się? - Uradowana, rozpostarła wachlarz i kokieteryjnie popatrzyła na męża. Richard nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Będzie mi ciebie brakowało, moja droga.

- Och! - Opuściła wachlarz. - Pomyśl, jak bardzo będziesz się cieszył na spotkanie ze mną. Ja zresztą też. Po tygodniowym wyjeździe powrócę z taką wdzięcznością, że przez kilka miesięcy będę grzeczna.

Twarz mu pojaśniała, wziął żonę za rękę.

- Kochanie, gdybym mógł wierzyć, że będziesz za mną tęskniła...

- Oczywiście, że będę, Dicky. Tracy, prawda, że będę tęskniła?

Richard nagle przypomniał sobie o obecności szwagra. Odwrócił się i podszedł do schodów.

- Zatem postanowiłeś za wszelką cenę odebrać mi żonę? - Uśmiechnął się.

Tracy zszedł niespiesznie, otwierając tabakierę.

- Tak, potrzebuję gospodyni - oznajmił. -I dlatego - umilkł na chwilę - skłoniłem Lavinie, by zaszczyliła Andover Court swą obecnością. Czy możemy liczyć także na twoje odwiedziny?

- Wybacz, lecz nie. Chyba rozumiesz, że nie jestem w nastroju na przyjemności, których pragnie moja biedna Lavinia.

Księżę pochylił się lekko i wszyscy troje wyszli na taras. Lavinia śmiała się i nie przestawała paplać. Richard od tygodni nie widział jej w równie dobrym humorze. Była duszą małego przyjęcia, które urządzili w porze kolacji, miło flirtowała i dbała o jego dobry nastrój. Osiągnęła swój cel i dlatego świetnie się bawiła: nie przygnębiło jej nawet to, że niechcący rozlała kapkę wina na nową, jedwabną suknię.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

*Bath: Queen Square 29*

Jesień i zima minęły szybko, a kwiecień zastał Carstaresów w Bath, dokąd pojechali za sprawą lady Lavinii, choć Richard marzył o powrocie do Wyncham i do Johna. Lavinia nie miała ochoty przebywać z dzieckiem i całkowicie zadowalało ją, że Richard od czasu do czasu jeździł do domu, by sprawdzić, czy synowi nie dzieje się krzywda.

Najogólniej biorąc, Lavinia pysznie się bawiła zimą, gdyż zdołała skłonić Richarda do otwarcia domu w londyńskiej dzielnicy Mayfair, miejskiej rodowej rezydencji, gdzie mogła zorganizować kilka całkiem udanych balów oraz wiele pomniejszych spotkań karcianych. Gromadziła wokół siebie wielu adoratorów, nic nie lechtało jej próżnego serca bardziej niż męski podziw. Carstaresowi nie zdarzyło się wejść do własnego domu i nie natknąć na kolejnego ulubieńca żony. Ponieważ w większości żyli to osobnicy, których pogardliwie nazywał „pachołkami”, ani razu nie odczuł zazdrości i cierpliwie znosił ich wizyty. Lavinia była szczęśliwa i to go satysfakcjonowało. Nic innego nie ma znaczenia, powtarzał sobie w chwilach smutku.

Dobre samopoczucie Lavinii zakłócał tylko jeden problem: brak pieniędzy. Co prawda, nigdy jej na niczym nie zbywało, a wszystkie zachcianki były spełniane - w granicach rozsądku - lecz potrzeby zdawały się nie mieć granic. Pewnego dnia zażądała nowego powozu z jasnoniebieską tapicerką - nie dlatego, że dotychczasowy już się zniszczył, lecz z powodu znużenia purpurowymi poduszkami. Zdarzało się też, że nagle nabierała ochoty na nową, zwykle fantastycznie drogą zabawkę, którą nudziła się po tygodniu.

Richard bez szemrania ofiarowywał jej pieski do towarzystwa, czarnych służących, klejnoty i niezliczone smakołyki, za które nagradzała go najpogodniejszymi uśmiechami i najczulszymi pieszczotami. Kiedy jednak zażądała, by na nowo wyposażył dom upodobił go do francuskiego dworu poprzez wyrzucenie wszystkich mebli w stylu królowej Anny, gobelinów i wiekowych ozdób oraz akcesoriów, bez wyjątku pięknych i cennych, zaprotestował ze stanowczością, która szczerze zdumiała Lavinie. Żadna jej zachcianka nie mogła zmusić Richarda do zmian w domu Johna. Ani umizgi, ani łyż żony nie miały na niego wpływu, a gdy posunęła się do spazmów, skarcił ją tak surowo, że się przestraszyła i umilkła.

Przez cały tydzień rozmyślała i marzyła wyłącznie o połączonych francuskich krzesłach, a następnie - jak zawsze - zachcianka poszła w

niepamięć. Rachunki od krawca opiewały na tak zawrotne kwoty, że Richard niejedną noc spędził na rozpamiętywaniu wydanych pieniędzy. Jego żona zawsze jednak sprawiała wrażenie tak uroczo skruszony, że nie miał siły chować urazy. Uznał, że w ostatecznym rozrachunku woli marnotrawić pieniądze na fatalaszki małżonki niż na jej braci. Lavinia na przemian okazywała mu namiętność i chłód. Jednego dnia zachwycała go przymilnością, następnego warczała ze złością, gdy się do niej zwracał.

Na początku sezonu posłusznie prowadził ją na rauty i bale maskowe, lecz wkrótce zaczęła konsekwentnie chadzać na nie z Andrew lub z Robertem. Obaj przebywali w mieście, a zdecydowanie przedkładała ich swobodnie traktowane obowiązki przyzwoitek nad mężowską troskę. Tracy nieczęsto gościł w Londynie dłużej niż kilka dni z rzędu i Carstares, ku swej nieopisanej uldze, widywał go z rzadka. Richard darzył niechęcią pułkownika lorda Roberta Belmanoira, lecz księcia szczerze nie cierpiał, nie tylko ze względu na pogardę, której przy każdej okazji doświadczał z jego strony, lecz także z powodu wpływu księcia na Lavinie. Richard był o to głęboko zazdrosny i niekiedy z najwyższym trudem panował nad gniewem, kiedy Tracy odwiedzał siostrę. Słusznie czy nie, w głębi duszy obwinał szwagra za wszystkie szalone pomysły żony, a także za jej okresowe napady złego humoru. Przenikliwy książę wkrótce się zorientował, jak stoją sprawy, i z diabelską przebiegłością oraz nieskrywaną uciechą nakłaniał Lavinie do nowych ekstrawagancji. Właśnie w tym celu odwiedzał ją za każdym razem, gdy bawił w mieście.

Carstares nigdy nie wiedział, kiedy zastanie go w domu: książę przyjeżdżał do miasta i opuszczał je bez słowa. Nikt nie potrafił przewidzieć, czy aktualna wizyta potrwa dłużej niż dzień, i nikogo nie dziwił ego widok w Londynie, mimo że wedle wszelkich założeń Tracy miał właśnie przebywać w Paryżu, ludzie tylko wzruszali ramionami, wymieniali spojrzenia, mamrocząc „Diabelski Belmanoir!” i łamiąc sobie głowę nad tym, jaką nową intrygę szykuje.

Richard ani trochę nie ubolewał, kiedy Lavinii nagle sprzykrzyło się miejskie życie i zateśniła za Bath. W skrytości ducha żywił nadzieję, że może zechce wrócić do Wyncham, lecz gdy nie wyraziła na to ochoty, stłumił tęsknotę za domem, zamknął podwoje londyńskiej siedziby i wyruszył z żoną oraz bagażami do Bath. Tam zatrzymali się przy Queen square, w jednym z najwykwintniej urządzonych domów w okolicy.

Lady Lavinia z początku była zauroczona miastem, podobał się jej dom i zachwyciła ją projekty nowego francuskiego kapelusznika. Wystawiane przez niego rachunki okazały się jednak gigantyczne, a salon domu niedostatecznie obszerny na ansamble, które zaplanowała. Uznała, że panuje tu zbyt odprężająca atmosfera, a poza tym była bez przerwy narażona na ataki hipochondrii, równie kłopotliwe dla niej, jak i dla otoczenia. Wieczorami cierpiała na bóle głowy, których nigdy nie doświadczyła w Londynie, a wilgoć wywoływała u niej przeziębienia. Na domiar złego, przyjazd pewnej atrakcyjnej i niesłychanie zamożnej wdowy skazał Lavinie na wiele godzin irytacji, która fatalnie się odbiła na jej ogólnym samopoczuciu.

Któregoś popołudnia leżała znudzona na kanapie w biało-żółtym salonie - co robić, fascynacja francuskimi meblami minęła. W dłoni trzymała butelkę z wonnymi solami i toczyła zmagania z bólem głowy, kiedy drzwi się otworzyły i na progu stanął Tracy.

— Dobry Boże! - powiedziała omdlewająco i odfajkowała buteleczkę.

Księżę zjawił się u niej po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Bath, i doskonale pamiętała, że uprzejmie odrzucił zaproszenie, które od niej otrzymał.

Uklonił się nad wyciągniętą dłonią siostry i od stóp do głów obejrzał chorą.

— Ubolewam nad twoją niedyspozycją, moja droga - oświadczył.

— To drobiazg. Nedorzeczny ból głowy. Czuję się fatalnie. a w tym domu jest duszno - poskarżyła się z irytacją.

— Powinnaś pić wody mineralne - zasugerował i obejrzał przez monokl krzesło, które mu wskazała.

- Moja droga, ten mebel sprawia wrażenie niestabilnego, chyba wybiorę sofę. - Podeszedł do mniejszej kanapy i usiadł.

— Powiedz, od jak dawna gościsz w Bath? - spytała.

— Przyjechałem w ubiegłym tygodniu. We wtorek.

Lady Lavinia aż podskoczyła.

- We wtorek? *Zatem* jesteś tu od dziesięciu dni - dopiero teraz mnie odwiedzasz?

Wyglądał tak, jakby oceniał biel swoich dłoni, częściowo ukrytych pod fałdami czarnej koronki, która luźno opadała z mankietów.

- Niestety, miałem inne zajęcia - wyjaśnił oziębło. Modlitewnik, z którego usiłowała korzystać, upadł

na ziemię, gdy poprawiła przesuniętą poduszkę.

- I przychodzisz do mnie, kiedy ci akurat wygodnie? Jak mogłeś tak niemiło wzgardzić moim zaproszeniem? - Mówiła coraz bardziej podniesionym tonem, który zapowiadał zbliżający się atak wściekłości.

- Droga Lavinio, jeśli zamierzasz demonstrować swoje humory, odejść, więc miej się na baczności. Sądziłem, że zrozumiesz, iż towarzystwo twojego zacnego męża jest dla mnie nużące. W gruncie rzeczy zdziwił mnie twój list.

- Mogłeś przybyć przez wzgląd na mnie - oświadczyła z rozdrażnieniem. - Mniemam, że nadskakiwałeś tej kobiecie, niejkiej Molesly. Ach! Wy, mężczyźni, najwyraźniej wszyscy poszaleliście.

Książę wreszcie pojął, w czym rzecz, i uśmiechnął się prowokująco.

- Czy właśnie to cię denerwuje? - spytał. - Cały czas się zastanawiałem, co może być przyczyną.

- Nie, wcale nie! - prychnęła. - Nie wiem, dlaczego tak sądzisz! Uważam, że ta osoba jest wręcz trudna do zaakceptowania, a mężczyźni zachowują się przy niej w sposób odrażający. Ohyda! Tak to jednak bywa, kiedy kobieta jest



wolna i majątna. Tak, tak. Dlaczego nic nie mówisz? Czy uważasz, że ona jest urocza?

- Tak szczerze, moja droga, ledwie zaszczyliłem ją spojrzeniem.

Bywałem już zaręczony i na razie nie interesuję się kobietami, z wyjątkiem jednej.

- Już to mówiłeś. Czy zamierzasz wziąć ślub? Ach! Żal mi tej dziewczyny. - Zaśmiała się lekceważąco, lecz było widać, że jest zainteresowana.

Księżę nawet nie drgnął.

- Nie biorę pod uwagę małżeństwa, Lavinio, twoje wyrazy współczucia są więc nieadekwatne. Poznałem dziewczynę - prawie dziecko - i nie spocznę, póki nie będzie moja.

- Rety! Jeszcze jedna kuta na cztery nogi córka farmera?

- Nie, moja droga siostrze, to nie jest jeszcze jedna córka farmera. To dama.

- Niech ją Bóg ma w opiece! Kim ona jest? Gdzie mieszka?

- W hrabstwie Sussex. Nie wyjawię ci jej nazwiska.

Lavinia zrzuciła poduszkę na podłogę.

- Och, jak sobie życzysz. Nie umrę z ciekawości.

- Ach! - Księżę cynicznie i irytująco wydał usta, a lady Lavinia nabrała przemożnej ochoty, by cisnąć w niego buteleczką z wonnymi solami. Wiedziała jednak, że wściekłość na Tracy'ego pozbawiona jest sensu, ostentacyjnie więc ziewnęła w nadziei, że w ten sposób go rozżłości. Jeśli nawet jej się to udało, nie miała okazji napawać się triumfem, bo księżę kontynuował jakby nigdy nic.

- Jest najdelikatniejszą istotą pod słońcem, lecz mogę przysiąc, że pod warstwą lodu kryje się żar.

- Czy to możliwe, że ta dziewczyna nic sobie nie robi z uczuć waszej księżęcej mości? – zastanawiała się Lavinia z udawanym zdumieniem i z satysfakcją dostrzegła, że jej brat marszczy czoło.

Wąskie brwi zetknęły się nad nosem, a spojrzenie powędrowało w bok. Lavinia zauważyła jeszcze, jak białe zęby księcia zaciskają się na zmysłowej dolnej wardze. Tracy sięgnął do tabakiery, a jego siostra nie posiadała się z radości, że wreszcie udało się jej go zranić. Satysfakcja nie trwała jednak długo, gdyż w następnej chwili zmarszczka na czole znikła, dłoń na tabakierze się rozluźniła, a na twarz księcia powrócił zwykły uśmiezek.

- Na razie jest oziębła - przyznał. - Mam jednak nadzieję, że z czasem się rozrusza. Myślę, Lavinio, że nie brak mi doświadczenia w sprawach związanych z twą uroczą, choć kapryśną płcią.

- W to nie wątpię. Gdzie spotkałeś tę piękność?

- W pijalni wód.

- Doprawdy? Chętnie się dowiem, jak twoja wybranka wygląda.

- Już mówię. Jest wyższa od ciebie i ciemnowłosa. Jej fryzura przypomina mroczną, czarną chmurę, kusząco faluje nad brwiami i za małymi uszkami. Ma brązowe oczy, lecz skrzą się w nich ogniki o barwie najczystszej bursztynu; to ciemne, aksamitne spojrzenie...

Lavinia sięgnęła po buteleczkę z solami.

- Odnoszę jednak wrażenie, że cię nużę. Zakochany mężczyzna, moja droga Lavinio...

- Zakochany? - Momentalnie się zainteresowała. - Ty? Bzdura! Po trzykroć bzdura! Nie masz pojęcia, co oznacza to słowo. Przypominasz... rybę, masz w sobie tyle miłości, co ona, tyle samo serca i...

- Oszczędź mi reszty, błagam. Jestem oślizgły, wszystko mi jedno, ale nie możesz twierdzić, że nie mam większego mózgu niż ryba.

- Och, na mózgu ci nie zbywa! - Wrzała w niej złość. - Ani na chęci do złego! Tego nie sposób ci odmówić.

- To naprawdę miło z twojej strony...

- Namiętność, która cię teraz ogarnęła, nie ma nic wspólnego z miłością. To ledwie... ledwie...

- Wybacz, moja droga, ale obecnie jestem osobiście pozbawiony wszelkich negatywnych emocji, toteż twoja uwaga jest...

- Och, Tracy, nawet z tobą się kłóczę! - krzyknęła rozzłoszczona. - Och, dlaczego? Dlaczego?

- Moja droga, jesteś w błędzie. To tylko wymiana komplementów. Proszę, nie powstrzymuj mnie przed przekazaniem należnej ci porcji.

- Mów. - Usta Lavinii zadrżały.

- Doskonale. Opisałem już jej oczy, prawda?

- Ze szczegółami.

- Spróbuję wyrażać się zwięźle. Nigdy nie widziałem równie fascynujących i kuszących ust...

- A masz w tym względzie doświadczenie, jak sam zauważyłeś - mruknęła.

Skłonił głowę z drwiącą miną.

- Ogólnie biorąc, to pełna życia, energiczna dziewczyna. Trzeba ją tylko nauczyć dyscypliny i posłuszeństwa.

- Czyżby energiczne dziewczyny należało uczyć posłuszeństwa? Sądziłam raczej...

- Moja droga, jak zwykle masz rację. Nie należy. Trzeba je łamać. Dziękuję za poprawienie mego nietrafnego określenia.

- Och, nie ma o czym mówić.

- Jak sobie życzysz. Tę dziewczynę koniecznie trzeba oswoić. Myślę, że to może być ciekawe.

- Ciekawe? - Lavinia popatrzyła na brata z uwagą.

- Ogromnie. Wierzę, że to możliwe. Będę ją miał.

- A jeśli ona cię nie zechce?

- Nie pozostawię jej wyboru. Lavinia drgnęła i się wyprostowała.

- Oj, Tracy! Nie masz krztyny przyzwoitości! - wykrzyknęła i piychnęła, po czym dodała: - Jak sądzę, rozmyślasz o porwaniu tej dziewczyny.

- Otóż to - potwierdził.

Westchnęła, słysząc to bezczelne wyznanie.

- Dobry Boże, oszalałeś? Chcesz porwać damę? To nie jest dziewczyna ze wsi, pamiętaj. Tracy, nie bądź niemądry. Jak zamierzasz to uczynić?

- Moja droga, w tej kwestii nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Nie spodziewam się jednak kłopotów.

- Na litość boską, czy to dziecko nie ma opiekunów? Braci? Ojca?

- Jest ojciec - odparł Tracy. - Bawił tutaj przez pewien czas, zaraz po ich przyjeździe. Wcale się jednak nie liczy, a w dodatku jest człowiekiem słabym i ustępliwym. Gdybym mu się przedstawił, zapewne w ciągu godziny dziewczyna zostałaby moją żoną. Tego jednak nie chcę. Przynajmniej nie teraz.

- Boże drogi, Tracy! Myślisz, że żyjesz w średniowieczu? Teraz nie robi się już takich rzeczy. Zapominasz, że reprezentujesz naszą rodzinę? Tylko skandalu nam brakowało. - Bezradnie opuściła ręce i przyglądała się, jak księżę strzepuje z fularu odrobinę tabaki. - Och, Tracy! To ryzykowna zabawa. Lepiej pomyśl o konsekwencjach.

- Doprawdy, Lavinio, zabawna jesteś. Wiesz, że doskonale potrafię zadbać o siebie i o swój honor.

- Och, nie kpij! Nie kpij! - krzyknęła. - Czasami mam niemal pewność, że cię nienawidzę!

- Jesteś naprawdę niezwykle zabawna. Dramatycznym gestem zasłoniła oczy dłońmi.

- Ależ jestem zirytowana - oświadczyła i zaśmiała się głucho. - Musisz ze mną wytrzymać, Tracy. Słabuję.

- Powinnaś pić wody mineralne - powtórzył.

- Ach, tak. To mi przypomina, że muszę poszukać twojej piękności.

- Nie znajdziesz jej w pijalni wód - odparł. - Bardzo rzadko tam chadza.

- Coś podobnego! Czyżby była zakonnica?

- Zakonnica! Dlaczego, na litość boską?

- Nie chadza do pijalni...

- Zatrzymała się tutaj z chorą ciotką. Raczej nie utrzymują kontaktów z towarzystwem.

- Koszmar! Musiała jednak bywać w pijalni, skoro tam ją poznałeś?

- To prawda - przyznał oziębło. - Właśnie z tego względu obecnie tam nie chodzi.-

- Biedne dziecko! - wykrzyknęła Lavinia, zdjeta niespodziewanym współczuciem. - Jak możesz ją prześladować, skoro cię nie lubi?

- To nieprawda.

- Nieprawda? Zatem...

- Raczej się mnie obawia. Jest jednak zaintrygowana. Prześladowuję ją, jak to ujęłaś, dla jej własnego - i swojego - dobra. Za kilka dni wyjeżdża z Bath wraz z ciotką, a wtedy zobaczymy. - Wstał. - Co z naszym zacnym Dickiem?

- Nie używaj tego okropnego określenia w stosunku do Richarda! Nie zamierzam tolerować takiego lekceważenia!

- Okropnego, moja droga? Okropnego? Czyżbyś raczej wolała, gdybym mówił o nim „niedobry Dick”?

- Dość! Dość! - zawołała Lavinia i zatkała uszy. Księżę zaśmiał się cicho.

- Och, musisz jak najszybciej wyleczyć się z tych migren. Wierz mi, tego typu przypadłości wyjątkowo skutecznie odstraszaają mężczyzn.

- Odejdź! Odejdź! Drażnisz się ze mną tak długo, że nie mogę już wytrzymać, choć naprawdę nie chcę być piekielnicą. Idź wreszcie, proszę!

- Właśnie zamierzałem to uczynić, moja droga. Mam nadzieję, że dojdiesz do siebie przed naszym następnym spotkaniem. Przekaż mężowi wyrazy szacunku.

Wyciągnęła rękę.

- Zajrzyj jak najszybciej - poprosiła. - Jutro powinnam czuć się lepiej. Tylko dzisiaj głowa boli mnie tak, że mam ochotę wyć. Przyjdź wkrótce.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności od spełnienia twoich życzeń, niestety, za dzień lub dwa zamierzam opuścić Bath. - Ucałował ją w rękę

- ruszył do wyjścia. Po chwili przystanął w drzwiach drwiąco spojrzął za siebie. - Przy okazji: ma na imię Diana - dodał, po czym wyszedł. Lavinia wtuliła twarz w poduszki i wybuchnęła płaczem.

Właśnie w takim stanie zastał ją Richard dwadzieścia minut później. Jego troska była tak wyraźna, że Lavinia częściowo odzyskała równowagę, dzięki czemu mogła spędzić spokojny - a z punktu widzenia Richarda wręcz cudowny - wieczór na grze w pikietę.

W połowie partii nagle gwałtownie wyciągnęła rękę i chwyciła go za przegub.

- Dicky! Dicky! Wrócę do domu!

- Do domu? Jak to? Chyba...

- Tak, tak! Do Wyncham! Czemu nie?

- Moja droga, czy mówisz poważnie? - W jego głosie zabrzmiało radosne zaskoczenie, a karty wysunęły mu się z dłoni.

- Tak, najzupełniej poważnie. Zawieź mnie tam szybko, nim zmienię zdanie. W Wyncham sypiam bez trudu, tutaj zaś po całych nocach nie mogę zmrużyć oka i głowa potwornie mnie boli. Zabierz mnie do domu, a spróbuję być lepszą żoną. Och. Dicky, czy byłam męcząca i wymagająca? Nie miałam takiego zamiaru. Dlaczego mi na to pozwalasz? - Prędko obeszła stół i uklękła u boku męża, nie zwracając uwagi na gniotące się fałdy sukni. - Byłam niegodziwą, samolubną kobietą - oświadczyła z emfazą. - Zapewniam cię jednak, że stanę się lepsza. Nie możesz mi pozwolić być złą. Nie możesz, absolutnie.

Richard otoczył ręką pulchne ramiona żony i mocno ją przytulił.

- Gdy wrócimy do Wyncham, kochanie, obiecuję, że będę trzymał cię krótko. - Roześmiał się, by ukryć zmieszanie. - Zrobię z ciebie kurę domową.

- Nauczę się ubijać masło. - Pokiwała głową.

- Włożę muślinową suknię z fartuchem i czepkiem. Och, tak, tak! Suknia z muślinu. - Zrobiła kilka tanecznych kroków. - Czyż nie będę urocza, Richardzie?

- Niewątpliwie, Lavinio.

- To jasne! Och, jedźmy do domu natychmiast. 3d razu! Najpierw jednak muszę obstałować kilka nowych sukien u Marguerite'a!

- Do ubijania masła, kochanie? - zapytał nieśmiało.

Lavinia nie słuchała.

- Muślinowa suknia... A może raczej tafty z halką? Albo jedno i drugie - rozmyślała na głos. - Dicky, :o ja wytyczę wiejską modę.

Richard tylko westchnął.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

### *Przedstawienie różnych bohaterów*

Niespełna dwadzieścia minut spacerem od domu lady Lavinii na Queen Square mieszkała pewna wdowa, niejaka pani Thompson. Sprowadziła się do Bath przed piętnastoma laty. To u niej zatrzymała się panna Elizabeth Beauleigh z bratanicą Dianą. Pani Thompson uczęszczała wraz z panną Elizabeth do tego samego żeńskiego gimnazjum i od tamtych lat serdecznie się przyjaźniły. Od czasu do czasu składały sobie wizyty, lecz najczęściej zadowalało je wypisywanie długich epistoł, pełnych nieistotnych, wrywkowych wiadomości i licznych plotek, interesujących tylko w wydaniu panny Elizabeth, gdyż wdowa pisała nudno i chaotycznie.

Pani Thompson z niekłamana radością odczytała list panny Beauleigh, w którym autorka gorąco prosiła o przyjęcie jej w gościnę w Bath, gdzie *zamierzała* zabawić z bratanicą przez co najmniej trzy tygodnie. Pocziwa dama była zachwycona i natychmiast wysłała przychylną odpowiedź. W domu przygotowano najlepszą sypialnię dla panny Beauleigh, która - jak rozumiała wdowa

- pragnęła przybyć do Bath głównie dla zmiany klimatu oraz otoczenia po długiej i dość wyczerpującej chorobie.

Obie panie przyjechały w ustalonym terminie. Starsza była niska i drobna, w ruchach ptasia. Młodsza okazała się umiarkowanie wysoka, gracją dorównywała wiotkiej wierzbie. Jej wielkie, szczere, brązowe oczy bez strachu spoglądały na świat, a smutne wargi mylnie sugerowały melancholijne usposobienie. W rzeczywistości dziewczyna zazwyczaj zachowywała pogodę ducha.

Pani Thompson, która nie знаła Diany, zwróciła uwagę na jej smutne usta, kiedy rozmawiała z panną Elizabeth, czy też Betty, jak ją częściej nazywano. Obie panie siedziały tego pierwszego wieczoru przy kominku, a Diana postanowiła udać się na spoczynek do swej sypialni.

Panna Betty pokręciła głową i oznajmiła, że pewnego dnia jej ukochana Di pokocha jakiegoś mężczyznę, choć przecież żaden nie zasługuje na miłość.

- I na dodatek ogromnie przeżyje to uczucie - dodała, energicznie postukując drutami. - Dobrze znam tę porywczą młodzież.

- Sprawia wrażenie melancholijnej - zaryzykowała wdowa.

- I tutaj się mylisz - odrzekła panna Betty. - To najpogodniej usposobione dziecko pod słońcem, a przy tym najśłodsze na całym świecie, niech jej Pan Bóg strzeże. Nie przeczę, bywa smutna. I to jak! Widziałam nawet, jak wyplakiwała śliczne oczy nad zdechłym szczeniakiem. Zwykle jednak jest radosna.

- Obawiam się, że uzna ten dom za nudny i nieciekawym. - Pani Thompson westchnęła z żalem. - Gdyby tylko był tutaj mój kochany syn George, aby ją zabawić...

- Moja droga, nie masz się czym przejmować. Zapewniam cię, że Diana nie będzie protestowała przeciwko tej odrobinie spokoju, która ją tutaj czeka, po zimie spędzonej z rodziną jej przyjaciółki.

Cokolwiek Diana myślała o tym spokoju, przynajmniej nie marudziła i z zadowoleniem dostosowała się do nowych warunków.



Rankami wszystkie trzy wychodziły, a panna Betty piła wodę mineralną w starej pijalni zdrojowej, po czym spacerowała dostojnie po okolicy w towarzystwie przyjaciółki i bratanicy. Pani Thompson miała bardzo niewielu znajomych w Bath - osoby, z którymi utrzymywała kontakt, przypominały ją z wieku i przyzwyczajzeń. Damy rzadko docierały do tłocznej, modnej dzielnicy. W rezultacie Diana musiała się zadowolić towarzystwem dwóch starszych pań, które ochoczo z sobą plotkowały, lecz ich rozmowa żadną miarą nie interesowała młodej dziewczyny.

Diana podpatrywała świat z ukrytym smutkiem, patrzyła, jak Beau Nash bryluje wśród pań, widywała umalowane damy w sukniach na ogromnych ob-  
ręczach, z włosami absurdalnie skreconymi i przypudrowanymi, sunące dostojnie w towarzystwie swoich kawalerów. Podstarzali amanci chadzali we frakach ze specjalnie doszytymi poduszkami, ukrywającymi obwisłe ramiona, a ich twarze pokrywał wypełniający zmarszczki róż. Rzucali się też w oczy młodzi pięknie, grube wdowy ze skromnymi córkami, starsze panie, które przyjechały do Bath podreperować zdrowie, utytułowani, modni panowie i szlachta z prowincji - wszyscy oni paradowali przed oczami dziewczyny.

Paru bezczelnych młodzianów usiłowało zawiesić na niej spojrzenie, lecz napotkali tak pogardliwy wzrok Diany, że nigdy potem nie odważyli się ponownie jej niepokoić. Przez większość czasu nikt jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na nieznaną i bezpretensjonalnie ubraną pannę.

Dopóki na scenę nie wkroczył książę Andover.

Przyciągnął uwagę Diany od pierwszej chwili, kiedy wszedł do pijalni: wyglądał jak czarna ćma wśród jaskrawo ubarwionych motyli. Pobieźnie rozejrzał się dookoła i momentalnie zauważył Dianę. Natychmiast podszedł do jej ciotki i się przedstawił, jego manieri i wytworność obycia momentalnie zdobyły serce damy. Pani Thompson, która żyjąc w samotności, nigdy nie odwiedzała Auli, nie mogła rozpoznać Diabła Belmanoira w skromnym panu Everardzie - tak bowiem przedstawił się książę.

Jak zauważył w rozmowie z siostrą, Diana odniosła się do niego chłodno. W księciu było coś zniechęcającego, chociaż jego hipnotyczna osobowość wyraźnie ją fascynowała. Miał rację, gdy utrzymywał, że dziewczyna się go boi: czuła zdenerwowanie, a obawa rodziła ciekawość. Była zaintrygowana i spostrzegła, że cieszy się na jego codzienne wizyty w pijalni, a oczekiwaniu na spotkanie towarzyszy mieszanina podniecenia i niepokoju. Pochlebiali jej, że pan Everard zwraca na nią uwagę. Często obserwowała, jak spaceruje po sali, rozdając ukłony na lewo i na prawo, z typową dla siebie wyniosłością. Zmierzał prosto ku niej i nie zbaczał z drogi nawet dla wymalowanych piękności, które pożerały go wzrokiem i wyraźnie kusiły. Czuła własną moc i była tym zachwycona. Uśmiechała się do pana Everarda, wyciągała ku niemu dłoń do ucałowania i łaskawie pozwalała mu usiąść przy sobie i ciotce. Specjalnie dla niej wskazywał wszystkie osobistości Bath, a także przypominał sobie i uważnie cenzurował anegdoty na temat każdej z nich. Odkryła, że pan Everard jest towarzyskim i sympatycznym rozmówcą, a nawet odprężyła się w jego obecności, dzięki czemu miał okazję poznać jej zmienną naturę: często się przy nim śmiała, lecz zdarzyło się też, że uroniła łzę.

Książę Andover widział dostatecznie dużo, by poznać zakamarki duszy młodej dziewczyny, dzięki czemu stał się jej niebezpiecznie bliski. Wyczuwając to, Diana instynktownie się wycofała. Nie przestraszyły jej słowa arystokraty, tylko jego sposób mówienia oraz trudny do opisanego nieco złowróżbny pomruk w głosie. Na widok tego dżentelmena jej serce biło gwałtownie, a krew tętniła w skroniach. Z początku zaczęła się obawiać porannej przechadzki, potem jej unikać. Pierwszego dnia cierpiała na ból głowy. Drugiego bolała ją stopa. Trzeciego zapragnęła pracować nad wymyślnym haftem, na co ciotka, świadoma żelaznego zdrowia Diany i jej tradycyjnej niechęci do robótek, otwarcie oskarżyła ją o zamiar nie wychodzenia z domu.

Obie przebywały wtedy w sypialni dziewczyny. Diana usiadła przy toalecie, by uczesać włosy przed snem. Nagle ciotka spytała ją wprost o powody

zmiany w zachowaniu. Diana chwyciła grzebieniem długie pasmo i udała, że jest zajęta jego rozplątywaniem. Falujące włosy zasłoniły połowę twarzy, lecz panna Betty zauważyła drżenie palców podopiecznej i ponowiła pytanie. Wtedy poznała prawdę. Usłyszała, że pan Everard jest nieznośny, jego umizgi ohydne i że budzi wstęt w pannie Di. Bała się go, jego groźne, zielone oczy budziły trwogę, przyciszony głos był nieprzyjemny. Żałowała przyjazdu do Bath, a jeszcze bardziej znajomości z panem Everardem. Patrzył na nią tak, jakby... jakby... Och, krótko mówiąc, był odpychający.

Panna Betty nie kryła wzburzenia.

- Chyba nie mówisz poważnie! Rety, rety, rety! Cały czas żywiłam przeświadczenie, że to taki sympatyczny dżentelmen, a tymczasem ten niegodziwiec prześladował moją biedną Di, nikczemnik! Znam ten typ mężczyzn, kochana. Zamierzam dać mu nauczkę.

- Och, nie, nie! - zaprotestowała Diana. - Nie wolno ci zrobić nic podobnego, ciotuniu. Ten człowiek nie powiedział ani słowa, które mogłoby mnie urazić. Chodzi o jego sposób bycia oraz... oraz o to, jak na mnie patrzy. Wykluczone, nie możesz z nim rozmawiać.

- Cicho, moje dziecko. Naturalnie, będę milczała. Po prostu ogromnie irytuje mnie, że taki niegodziwiec pastwi się nad moim małym jagniątkiem. Mogłabym wydrapać mu oczy. Tak, moja droga. Na szczęście w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy z Bath.

- Tak. - Diana westchnęła. - Cieszę się, choć pani Thompson jest taka miła. Wszystko układa się całkiem inaczej, kiedy kobietom towarzyszy zaufany mężczyzna.

- Masz absolutną rację, kochanie. Powinnyśmy były nalegać, aby twój ojciec został z nami, a nie wracał do tych zatechłych i zapleśniałych ksiąg. Zapewniam cię, że następnym razem nie będę tak nierozsądna. Nie musimy już odwiedzać Auli.

- Ja przestanę się w niej pojawiać — poprawiła ją Diana łagodnie. - Rzecz jasna ty, ciotuniu, nadal powinnaś tam chadzać razem z panią Thompson.

- Prawdę powiedziawszy, moja droga - wyznała panna Betty - z chęcią wykorzystam ten pretekst do rezygnacji ze wspólnych wypraw. To nieładnie z mojej strony, ale uważam, że Hester ogromnie się zmieniła od naszego ostatniego spotkania. Ciągle opowiada o kazaniach i dobrych uczynkach.

Diana uczesała gęste włosy w długi warkocz i wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- Och, ciotuniu, przyznasz, że to przygnębiające. Zastanawiało mnie, jak to wytrzymujesz. Ona jest taka napuszona i pompatyczna.

- Co robić. - Panna Betty pokiwała głową. - Biedna Hester, życie nie było dla niej łaskawe. Mam wątpliwości co do tego jej George'a. Bezwartościowy młodzieniec, niestety, a przynajmniej wszystko na to wskazuje. To, co powiem, będzie nieuprzejme, ale cieszę się z powrotu do domu, ot co! - Wstała i podniosła świecę. - Szczerze mówiąc, Bath nawet w połowie nie jest tak interesujące, jak mi je opisywano.

Diana odprowadziła ją do drzwi.

- Brak przyjaciół może dawać się we znaki. W ubiegłym roku, kiedy przebywali z nami kuzyni i tata wynajął na cały sezon dom w North Parade, znakomicie się bawiliśmy. Szkoda, że ciebie tam nie było, zamiast tej naburmuszonej ciotki Jennifer.

Gorąco ucałowała opiekunkę i oświetliła jej drogę przez półpiętro do pokoju. Potem wróciła do siebie, zamknęła drzwi i dyskretnie ziewnęła.

Mniej więcej w tym samym czasie księżę Andover został wprowadzony do tłoczego salonu karcianego w domu lorda Avona w Catharine Place. Tam powitały go donośne okrzyki: „Oho, Belmanoir!” oraz „A gdzie dama, Diable?”.

Dumnie wyszedł na środek pomieszczenia i stanął w pełnym świetle pod wielkim żyrandolem. Brylantowy order na piersi lśnił i migotał niczym żywe stworzenie. Brylanty w fularze i na palcach połyskiwały przy każdym ruchu,

wydawało się, że mężczyzna jest przyprószony opalizującymi klejnotami. Jak zwykle miał na sobie czarną odzież; trudno byłoby znaleźć strój bardziej wytworny od jego ciemnego ubioru z jedwabiu, łączonego ze srebrem, a także połyskującej kamizelki. Miał na szyi i na mankietach srebrną koronkę. Na znak sprzeciwu wobec mody, nakazującej wiązanie włosów wyłącznie czarnymi wstążkami, ostentacyjnie obnosił się z długimi, srebrnymi tasiemkami, wyraźnie widocznymi na tle nieupudrowanej fryzury.

Podniósł monokl i wyniosłe rozejrzał się po pomieszczeniu. Lord Avon odchylił się na krześle przy jednym ze stołów i pogroził przyjacielowi palcem.

- Belmanoir, Belmanoir, widzieliśmy ją i twierdzimy, że jest dla ciebie zbyt urocza.

- Prawdę mówiąc, pofinniśmy otsymać posfolenie partycypofania fufmiechach tej fspaniałej damy - wyseplenił ktoś za jego plecami. Książę odwrócił się i ujrzał zniewieściałego, drobnej postury wicehrabiego Fotheringhama, w wytwornych, różowych jedwabiach i seledynowo-żółtych aksamitach. Jego szaty były tak sztywne od fiszbinów, że wyraźnie odstawały od ciała, a obcasy tak wysokie, że zamiast chodzić, mógł jedynie drobić.

Tracy skłonił mu się nisko.

- Z pewnością będziesz miał okazję nacieszyć się uśmiechami tej damy, kiedy zechce cię ona nimi obdarować - odparł. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Modniś momentalnie oblał się rumieńcem i pospiesznie wycofał.

Należał on do grona tych, którzy usiłowali zagadnąć Dianę. Will Stapely, plotkarz całą gębą, był przy całym zdarzeniu i wiernie zrelacjonował szczegóły porażki wicehrabiego co najmniej sześciu osobom. Wszystkich bez wyjątku setnie ubawiła klęska arystokraty.

- Co takiego powiedział Selwyn? - spytał leniwie sir Gregory Markham, tasując karty przy stole lorda Avona.

Davenant popatrzył na niego pytająco.

- George? Na temat Belmanoira? Kiedy?

- Och, któregoś wieczoru u White'a... Nie pamiętam... John Cholmondely tam był, on będzie wiedział. Harry Walpole także. Coś o Diable i świetle jego miłości... Coś zręcznego.

- Czyżbym słyszał swoje nazwisko? - spytał zaintrygowany Cholmondely.

- A jakże. Co takiego powiedział George na temat Belmanoir'a u White'a, tego wieczoru, gdy Gilly zawarł ten niedorzeczny zakład?

- Kiedy Gilly... Och, tak, pamiętam. To był tylko stary werset heksametrowy, gra słów związana z jego nazwiskiem: *Est bellum bettis vellum bellare puellis*. Najwyraźniej uznał, że to dobre motto dla książęcego domu.

Ponownie rozległy się śmiechy.

- Kim ona jest, Tracy? - wtrącił się Markham. Książę odwrócił ku niemu głowę.

- Jaka ona? - spytał obojętnie. Lord Avon wybuchnął śmiechem.

- Och, daj spokój, Belmanoir, nie wykpisz się. Naprawdę, tym razem nic z tego. Mów, kto to taki.

- Tak jest, Belmanoir, kim jest ciemnowłosa piękność i gdzie ją znalazłeś?

- zawołał Tom Wilding, przeciskając się bliżej z kieliszkiem w jednej dłoni : butelką porto w drugiej. - Byłem pewien, że usidlila cię Cynthia Evans.

Tracy przez moment sprawiał wrażenie zagubionego, lecz szybko się rozpromienił.

- Evans! Ach, tak! Ta energiczna wdówka z Kensington, prawda? Pamiętam.

- Zapomniał! - krzyknął Avon i znów wybuchnął hałaśliwym śmiechem, który nieraz wywoływał u pana Nasha dreszcz. - Wykończysz mnie, Diable! Przez ciebie trafię na tamten świat.

- Och, mam nadzieję, że nie. Dziękuję, Wilding. - Tracy przyjął ofiarowany mu kieliszek i wypił odrobinę trunku.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie - przypomniał Fortescue od stolika obok, nie przerywając rozdawania kart. - Czy należy się trzymać od niej z daleka?

- Z całą pewnością - odparł ksiązę. - Z reguły tak jest najlepiej, o czym dobrze wiesz.

- Przekonałeś mnie - odparł ze śmiechem Fortescue i potarł prawe ramię, jakby na wspomnienie bólu. - Jesteś znakomitym szermierzem, Tracy.

- Nie tak dobrym, jak by wypadało. Mogłem pokonać cię znacznie szybciej.

Wicehrabia, który był sekundantem podczas pojedynku, zachichotał przyjaźnie.

- Najfspanialsza falka, jaką fidziałem, klnę się na honor. Sprafa była rozstrzygnięta f niecałą minutę, Afon! Daję słofo!

- Nie wierzę, walczyłeś z Diabłem? Co cię opętało?

- Podejrzewam, że dopadło mnie większe szaleństwo niż zazwyczaj - odparł Fortescue cichym, nieco marzycielskim tonem. - W rezultacie stanąłem pomiędzy Tracym a jego francuską śpiewaczką. Uprzejmie zaprotestowałem i rozstrzygnęliśmy spór w Hyde Parku.

- Na Boga, tak właśnie było!— wykrzyknął jego partner do gry, lord Falmouth. - Co więcej, byłem sekundantem Diabła! Tyle że wszystko to działo się przed wiekami.

- Dwa lata temu - sprecyzował Fortescue. - Nie zapomniałem, jak widzicie.

- A mnie to zdarzenie kompletnie wyleciało z głowy. W życiu nie widziałem takiej śmiesznej walki. Byłeś wściekły jak osa, a Diabeł zimny jak lód. Szczerze mówiąc, nigdy nie należałeś do mistrzów fechtunku, ale tamtego poranka wywijając szpadą prawie na oślep. Niech mnie diabli, jeśli nie pomyślałem, że Diabeł cię wykończy. Mógł bez trudu przeszyć cię na wylot.

Tymczasem celowo przebił ci prawe ramię, w którym dzierżyłeś broń, a ty wybuchnąłeś dzikim śmiechem. Pamiętam, zupełnie nie mogłeś się uspokoić. Potem wszyscy poszliśmy na śniadanie, i ty także. Cali w skowronkach! Tak, tak! Takie walki to nieczęsty widok.

- Zabawnie było - przyznał Tracy i zerknął przez ramię na Fortescue. -  
Nie licytuj, przyjacielu.

Fortescue natychmiast odłożył karty koszulkami do góry.

- Niechże cię, Tracy, przyniosłeś mi pecha - skomentował bez cienia  
złości w głosie. - Zanim przyszedłeś, szło mi całkiem nieźle.

- Belmanoir, stafiam sfoją kasztankę przecifko tfojej nowej sifej klacze -  
wyseplenił wicehrabia, podchodząc do stołu z pudełkiem kości w dłoni.

- Niech mnie kule biją, jeśli to dobra propozycja! - krzyknął Wilding. -  
Nie podejmuj wyzwania, Diable! Myśl rozsądnie!

Czwórka graczy zrezygnowała z kart i była gotowa na kości.

- Wierz we własne szczęście, Belmanoir. Przyjmij wyzwanie - poradził  
Pritchard, który uwielbiał, kiedy inni stawiali majątek, lecz sam nigdy nie  
ryzykował utraty własnego dobytku.

- Tak, graj - przyłączył się Falmouth.

- Nie rób tego - ostrzegł Fortescue.

- Oczywiście, przyjmuję wyzwanie - uciał dyskusję księżę, jak zawsze  
cicho i spokojnie. - Moja siwa przeciwko twojej kasztance. Wygrywa lepszy w  
trzech rzutach. Zaczynasz?

Wicehrabia z namaszczaniem zagrzechotał kośćmi i rzucił. Oczom  
zebranych ukazały się dwie trójki i jedyńka.

Z dłonią na ramieniu Fortescue i nogą opartą o poprzeczkę krzesła, Tracy  
pochylił się i rzucił kości na stół. Przebił wynik wicehrabiego o pięć punktów.  
Następny rzut wygrał Fotheringham, lecz ostatni zakończył się sukcesem  
księcia.

- Psiakref - skomentował wicehrabia pogodnie.

- Postafisz sfoją sifą przecifko mojemu Terrorofi?

- Grzmoty i pioruny, Fotheringham! Stracisz go! ~ krzyknął ostrzegawczo  
Nettlefold. - Nie wystawiaj Terrora!

- Nonsens! Przyjmujesz fyzfanie, Belmanoir?



- Jak najbardziej - przytaknął książę i rzucił.

- Och, skoro jesteś w nastroju na hazard, zagram z tobą o prawo do próby sił z ciemnowłosą pięknoską! - zawołał Markham z końca sali.

- Co postawisz? - spytał Fortescue.

- Cokolwiek wskaże Diabeł!

Wicehrabia rzucił i przegrał. Książę wygrał także drugi rzut.

- Najwyraźniej fortuna się do mnie uśmiechnęła

- zauważył. - Postawię moją pięknoską przeciwko twoim posiadłościom, Markham.

Sir Gregory pokręcił głową i roześmiał się serdecznie, choć nie krył dezaprobaty.

- Nie, nie! Zatrzymaj damę dla siebie.

- Tak zamierzam postąpić, drogi przyjacielu. Ona nie jest w twoim typie. Zaczynam się zastanawiać, czy na pewno odpowiada potrzebom mego podniebienia. - Dobył tabakiery i poczęstował gospodarza. Zebrani doszli do wniosku, że jest odporny na ich zaczepki, i je sobie darowali.

W dalszej części wieczoru książę wygrał trzy tysiące gwinei - dwa w lombra i jeden w kości - przegrał siwego konia do polowań, obiekt powszechnej zazdrości, a następnie wygrał go z powrotem od Wildinga. Wieczór zakończył się dla niego o trzeciej nad ranem, kiedy wyszedł w towarzystwie Fortescue. Obaj całkiem trzeźwo rozmawiali, chociaż książę wypił niemało burgunda oraz taką ilość ponczu, która zamroczyłaby zwykłego śmiertelnika.

Kiedy lord Avon zamknął za nimi drzwi, Tracy popatrzył na przyjaciela.

- Pójdziemy pieszo?

- Nie widzę przeciwwskazań, skoro zmierzamy w tym samym kierunku - odparł Fortescue i ujął księcia pod rękę. - Najkrótsza droga przebiega wzdłuż Brock Street i przez Circus.

Przez kilka chwil szli w milczeniu. Po drodze minęli latarnika - Fortescue przywitał go pogodnie, a robotnik odpowiedział mu wyjątkowo chrapliwym,

przepitym głosem. Książę nie powiedział ani słowa. Frank uważnie popatrzył na towarzysza.

- Dzisiejszego wieczoru szczęście ci sprzyjało, Tracy - rzekł.

- Umiarkowanie. Liczyłem na to, że w całości wyrównam zeszłotygodniowe straty.

- Jesteś zadłużony, jak sądzę?

- Nie da się ukryć.

- Ile pożyczyłeś?

- Drogi przyjacielu, nie mam pojęcia i nic mnie to nie obchodzi. Tylko nie wygłaszaj mi tutaj kazań.

- Nie zamierzam. Powiedziałem już wszystko, co rnam do powiedzenia w tej sprawie.

- I to wielokrotnie.

- Tak, wielokrotnie. Twoje zachowanie świadczy o tym, że równie dobrze mogłem nie strześcić sobie języka.

- W rzeczy samej.

- Szkoda, że tak to wygląda, Tracy, bo wiem, że w głębi duszy jesteś rozważnym i dobrym człowiekiem.

- Jaki pokrętny tok myślenia doprowadził cię do takich konkluzji?

- Cóż... - Fortescue nie krył rozbawienia. - Nawet w najgorszych ludziach tkwi okruch dobra. Liczę na to.

- Ciekawe, czy kiedykolwiek okazałem ci dobroć. Naturalnie nie biorę pod uwagę przypadku, gdy byłem zmuszony stanowczo nakłonić cię do pozostawienia w spokoju mnie i moich spraw.

- Nie miałem na myśli tamtego zdarzenia - odparł Frank. - Nie w takim świetle postrzegam twój czyn. Chodzi mi o coś innego.

- Twoje słowa pogrążają cię do reszty - oznajmił książę spokojnie. - Odbiegliśmy jednak od tematu. Jakiej to dobroci doświadczyłeś z mej strony?

- Doskonale wiesz. Wyciągnąłeś mnie z tej przeklętej gospody, gdzie piłem na umór.

- Teraz sobie przypominam. Tak, to był dobry uczynek. Nie mam pojęcia, czemu to zrobiłem.

- Właśnie to chciałbym wiedzieć.

- Zapewne czuję do ciebie coś w rodzaju sympatii. Z całą pewnością nie postąpiłbym tak wobec innych.

- Nie wyłączając własnego brata! - zauważył Frank ostro.

Minęli Circus i szli Gay Street.

- Zwłaszcza nie wyłączając braci - padła spokojna odpowiedź. - Pewnie masz na myśli niefortunne posunięcie Andrew? Wyjątkowo zabawna sprawa, prawda?

- Najwyraźniej tak to odebrałeś.

- Nie przeczę. Chciałem jeszcze pobawić się tą sytuacją, ale mój szlachetny szwagier pośpieszył na ratunek.

- Pomógłbyś bratu?

- Obawiam się, że w końcu bym musiał.

- W twoim mózgu musi być jakiś feler! - krzyknął Fortescue. - Nie potrafię w inny sposób wytłumaczyć tak niezwykłego postępowania.

- My, Belmanoirowie, jesteśmy częściowo dotknięci szaleństwem - oświadczył Tracy. - Uważam jednak, że w moim przypadku to skoncentrowane zło.

- Nie uwierzę. Dowiodłeś, że potrafisz postępować inaczej. Nie próbujesz pozbawić mnie własności. Czemu tych wszystkich nieszczęsnych młodzieńców, z którymi grywasz, traktujesz znacznie gorzej?

- Po prostu masz tak mało... - wyjaśnił ksiązę.

- Poza tym nie szydzisz ze mnie w typowy dla siebie, pełen jadu sposób.

Dlaczego?

- Bo rzadko czuję taką potrzebę. Lubię cię.

- A widzisz! Z pewnością jest na świecie jeszcze ktoś poza mną, kogo lubisz.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Poza tym nie mogę powiedzieć, bym wielbił wszystko, co z tobą związane. Na myśl o braciach czuję wstręt. Kochałem rozmaite kobiety i niewątpliwie pokocham ich jeszcze sporo...

- Nie, Tracy - przerwał mu Fortescue. - Nigdy w życiu nie kochałeś kobiety. Właśnie to cię może ocalić. Nie chodzi mi o typową dla ciebie pożądliwą namiętność, tylko o prawdziwe uczucie. Na litość boską, Belmanoir, żyj przyzwoicie!

- Nie powinienes się tak mną przejmować. Nie jestem tego wart.

- Wolę myśleć, że jesteś. W moim przekonaniu byłbyś innym człowiekiem, gdybyś w dzieciństwie otrzymał więcej miłości. Twoja matka...

- Czy kiedykolwiek widziałeś moją matkę? - spytał księżę od niechcienia.

- Nie, ale...

- Widziałeś moją siostrę?

- Eee... tak...

- Gdy się złości?

- Cóż, ja...

- Jeśli tak, to widziałeś moją matkę, tyle że ona była dziesięć razy bardziej gwałtowna. Kiedy wszyscy przebywaliśmy w domu, tworzyliśmy niesłychanie przyjemną gromadę.

- Rozumiem...

- Dobry Boże! Czyżbyś mnie żałował?! - krzyknął Tracy z przyganą.

- Owszem. Czy to arogancja z mojej strony?

- Jeśli zacznę się uzalać nad sobą, ty również będziesz miał do tego prawo. Do tego czasu...

- Gdy nadejdzie ten dzień, już nie będzie mi ciebie żal.

- Ciekawe założenie. Sądysz, że będę bliski ozdrowienia? Śmiała koncepcja. Na szczęście ten moment jeszcze nie nadszedł i nie sędzę, by to się kiedykolwiek stało. Chyba jesteśmy na miejscu.

Stali przed wysokim budynkiem, w którym mieszkał Fortescue. Frank odwrócił się i chwycił przyjaciela za ramiona.

- Tracy, zrezygnuj z tego szalonego życia. Daj sobie spokój z kobietami i alkoholem, ogranicz hazard. Wierz mi, pewnego dnia posuniesz się za daleko i będziesz zrujnowany.

Księżę uwolnił się z uścisku przyjaciela.

- Stanowczo protestuję przeciwko używaniu siły fizycznej na ulicy. Podejrzewam jednak, że powodują tobą szlachetne intencje. Powinieneś walczyć z tego typu skłonnościami.

- Nie wiem, czy masz pojęcie, jak bardzo arogancki jest twój ton, Belmanoir - zauważył Fortescue spokojnie.

- Ależ jak najbardziej. W przeciwnym razie nie osiągnąłbym mistrzostwa w tej sztuce. Przyjmij moje podziękowania za dobre rady. Z pewnością mi wybaczysz, że z nich nie skorzystam. Wolę podążać drogą łajdactwa.

- To widać. - Fortescue westchnął. - Jeśli nie spróbujesz obrać prostej ścieżki, mam nadzieję, że pewnego dnia zakochasz się szczerze w kobiecie, która cię ocali.

- Z pewnością powiadomię cię, gdy do tego dojdzie - obiecał księżę. - Tymczasem życzę dobrej nocy.

- Dobranoc. - Frank uklonił mu się na pożegnanie. - Do zobaczenia jutro, a raczej dzisiaj rano, w łaźniach.

- Dosyć ma dzień swojej biedy - odparł księżę z uśmiechem. - Śpij spokojnie. - Zdawkowo machnął ręką na pożegnanie i ruszył do domu po drugiej stronie ulicy.

- Ty zapewne będziesz spał tak mocno, jakby twoje sumienie było czystym łożem i jakbyś nie próbował zniechęcić do siebie jedyne przyjaciela,

którego ci pozostał - powiedział Frank, choć księżę już zniknął w mroku. - Niech cię лихо, Tracy, ależ z ciebie łotr! - Poszedł po schodach do drzwi wejściowych i obrócił klucz w zamku. Spojrzał przez ramię za siebie, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi po drugiej stronie ulicy. - Biedny Diabie! - Westchnął. - Mój ty biedny Diabie!

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

*Kto pod kim dołki kopie*

Zima minęła Johnowi Carstaresowi bez godnych uwagi zdarzeń.

Kontynuował rabunkową działalność, lecz popełnił dwa zasadnicze błędy - nie z punktu widzenia złodzieja, lecz dżentelmena, którym niewątpliwie był. Do pierwszej omyłki doszło, gdy zatrzymał wystawny, wydawałoby się, dyliżans. Jak się okazało, podróżowały nim dwie damy ze służącą i klejnotami. Za drugim razem dużym powozem jechał starszy wiekiem dżentelmen, którego odwaga znacznie przewyższała możliwości fizyczne. W pierwszym wypadku lord nie krył nieopisanego rozczarowania i pospiesznie się wycofał. Starszy pan jednak przeciwstawił mu się tak godnie, że John podarował ofierze jeden ze swych pistoletów. Staruszek był do tego stopnia zdumiony, że upuścił broń na ziemię, gdzie wypaliła, wzniesając chmurę kurzu oraz dymu, i na szczęście nie czyniąc nikomu krzywdy. Carstares pokornie poprosił o wybaczenie, pomógł napadniętemu wsiąść do powozu i odjechał, nim oszołomiony pan Dunbar zdołał pozbierać myśli.

Rabowanie nie przebiegało systematycznie, gdyż Carstares nie potrafił się zmusić do terroryzowania kobiet i starszych osób. Pozostawali więc tylko dżentelmeni młodzi i w średnim wieku. Jednemu z nich John zaproponował pojedynek o zachowanie kosztowności. Jego wyzwanie zostało ochoczo przyjęte przez szlachcica o ogromnym poczuciu humoru. Dostrzegł on szansę na ocalenie swej własności, lecz szybko ustąpił pola Johnowi, który był tak zadowolony ze szczególnie zręcznego pchnięcia, że zrezygnował z połowy łupu.

Obaj usiedli na poboczu i wspólnie podzielili zawartość szkatuły. Przedsiębiorczy podróżny zachował większość wartościowych przedmiotów, John zaś przejął resztę. Rozstali się w pełnej zgodzie, a Carstares wyniósł z tej przygody nieco doświadczenia szermierczego oraz garść świecidełek.

Nadszedł maj. John patrolował zachodnią stronę hrabstwa Sussex, za Midhurst; nie zapuszczał się tam dla domniemanych nadzwyczajnych korzyści materialnych, lecz z tego powodu, że znał i lubił te okolice. Pewnym późnym popołudniem pod koniec miesiąca wjechał radośnie do jednej z małych wiosek, rozsiansych wśród wzgórz Downs, i podążył starą drogą do gospody „U George'a”. U jej wrót ściągnął wodze i zeskoczył z siodła. Na jego wezwanie z bocznych drzwi wybiegł podstarzały stajenny.

Jednostajnie przeżuwając słomkę, z daleka obrzucił baczny spojrzeniem przybysza oraz wierzchowca. Najwyraźniej uznał, że są godni jego uwagi, bo podszedł bliżej i zauważył, że panuje ładna pogoda.

Carstares przytaknął i zasugerował, że następny dzień również zapowiada się przyjemnie, o ile można wierzyć zachodowi słońca. Stajenny odparł na to, że osobiście nie ufa czerwonej tarczy na koniec dnia, i dodał ponuro, iż nie ma nic bardziej zwodniczego. Widział już takie czerwone zachody słońca, a mimo to następnego dnia cały czas lało jak z cebra... Czy odprowadzić klacz?

Carstares pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Nie zabawię tu długo. Może jest spragniona... Jak tam, Jenny?

- Podać wodę, sir?

- Jej, i owszem. Ja zaś mam ochotę na kufel waszego domowego piwa. Stój, Jenny! - Odwrócił się i ruszył po schodkach do drzwi gospody.

- Zamierza pan zostawić ją tutaj luzem? - spytał zaskoczony sługa.

- Ależ tak! To łagodne stworzenie.

- Sam nie wiem. Jak dla mnie, to ryzykowna sprawa pozostawiać tak konia, i to płochliwego, luzem, przy drodze. Nie przywiążę jej pan do palika?

Carstares oparł dłonie o balustradę i popatrzył z góry na konia i służącego.

- Nie, to zbędne. Zresztą takie traktowanie sprawiłoby jej przykrość.

Prawda, maleńka?

Jenny potrząsnęła łbem, jakby przyznała właścicielowi rację. Stajenny podrapał się po głowie. Spojrzał najpierw na konia, potem na lorda.

- Prawie tak, jakby rozumiała, co pan do niej mówi - wymamrotał.

- Oczywiście, że mnie rozumie. To bystra młoda dama. Jeśli ją zawołam, podejdzie tutaj i żaden stajenny na całym bożym świecie jej nie powstrzyma.

- Niech się pan nie fatyguje. - Starszy mężczyzna cofnął się o krok. - Musi być szczególnie panu oddana.

- Będzie o wiele bardziej oddana panu, jeśli dostanie coś do picia - zasugerował John.

- Tak jest, sir. Już pędzę, migiem! - Ruszył do stajni, po drodze kilkakrotnie spoglądając za siebie na całkiem spokojną klacz. Po chwili zniknął w otwartych drzwiach budynku.

Kiedy Carstares wyłonił się z gospody z kuflem piwa w dłoni i zasiadł na jednej z ustawionych pod ścianą ław, Jenny chciwie piła wodę z wiadra, które trzymał przed nią sługa.

- To cudowna klacz, sir - zauważył stajenny po dokładnych oględzinach zwierzęcia.

Carstares skinął głową z aprobatą i popatrzył na Jenny spod na wpół przymkniętych powiek.

- Myślę to samo za każdym razem, gdy na nią patrzę.

- Od razu widać, że szybka z niej sztuka. Może wystawiał ją pan w wyścigach?

- Nie, nie została do tego przeszkolona. Ale i tak chyżo biega.

- Tak myślałem. Nie ma żadnych wad?

- Skąd!

- Nie kopie?



- Nie mnie.

- Och, konie zawsze wiedzą, kogo można kopnąć, a kogo nie.

John osuszył kufel, odstawił go na ławę i wstał.

- Nawet nie przyszłoby jej do głowy kopnąć przyjaciela. Jenny!

Stajenny ujrzał, jak klacz rusza do pana, kokieteryjnie potrząsając łbem i drepcząc tak, jakby chciała się bawić. Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech.

- Ech, to prawdziwa przyjemność patrzeć - oświadczył z zachwytem, po czym przyjął gwineę od Johna, który nigdy nie miał dość wysłuchiwania pochwał pod adresem ukochanej Jenny.

Carstares dosiadł konia, na pożegnanie skinął głową stajennemu i niespiesznie odjechał. Wkrótce skręcił w prawo, w typową dla hrabstwa Sussex ścieżkę, którą pokłusował wzdłuż żywopłotów. Powietrze przesycone było słodkim zapachem kwitnących, majowych kwiatów, a po obu stronach drogi rozpościerały się pola, które w oddali zmieniały się we wzgórza, ledwie dostrzegalne w zapadającym mroku. Wieczór był cudownie pogodny, wiał łagodny, zachodni wiatr, księżyc słabo świecił na ciemnym niebie. Ciszę zakłócał tylko stukot kopyt klaczy.

Przez dłuższy czas John nie napotkał żywej duszy; dopiero po niecałej godzinie ujrzał przy drodze rolnika, wracającego do domu na kolację po dniu ciężkiej pracy w polu. John pozdrowił go wesoło i popatrzył, jak mężczyzna idzie drogą, nucąc pod nosem jakąś melodię.

Potem nie widział już nikogo. Powoli przejechał kilka kilometrów w szybko zapadającym zmierzchu. W pewnej chwili zmarszczył brwi, pogrążony w rozmyślaniach. Co ciekawe, dotyczyły one czasów, gdy bez grosza przy duszy przebywał we Francji. Był zdecydowany zapomnieć o tamtym mrocznym okresie, lecz ciągle zdarzały się momenty, kiedy-wbrew sobie - wspominał minione wydarzenia.

Zacisnął zęby na myśl o dniach, kiedy on, syn hrabiego, nauczał w Paryżu szermierki i z tego żył... Nagle roześmiał się gorzko, a na ten nieoczekiwany

dźwięk klacz postawiła uszy i niepewnie przeszła na drugą stronę drogi. Nietypowo dla siebie, jeździec nie zwrócił na nią uwagi, przyspieszyła więc kroku i lekko poruszyła głową.

John myślał o tym, jak on, rozrzutnik i hulaka, oszczędzał, ciułał i pracował, żeby się nie zadłużyć; jak mieszkał w jednej z biednych dzielnic miasta, sam, bez przyjaciół - bezimienny.

Potem ze wzgardą odtworzył w pamięci czas picia, intensywnego i systematycznego, a także moment, gdy śmierć zajrzała mu w oczy, i dopiero wtedy wziął się w garść.

Następnie przyszła wiadomość o śmierci matki... John szybko skupił uwagę na czym innym. Rozważania o tamtej chwili nadal wzbudzały w nim zadawnione uczucia żalu i bezsilnej niechęci.

Jego myśli skoncentrowały się na dniach we Włoszech. Dzięki oszczędnościom mógł sobie pozwolić na wyjazd do Florencji. Stamtąd przemieszczał się stopniowo na południe, a po drodze poznawał najnowsze metody i sztuczki fechtowania.

Zmiana otoczenia i nowi znajomi w dużym stopniu przyczynili się do poprawy stanu ducha. W efekcie doszły do głosu stare problemy; powrócił do hazardu, choć zostały mu ledwie grosze. Tym razem, wyjątkowo, fortuna postanowiła się do niego uśmiechnąć: podwoił, potroił i wreszcie czterokrotnie pomnożył zawartość sakiewki. Następnie spotkał Jima Saltera, którego zatrudnił. Był to jego pierwszy przyjaciel od wyjazdu z Anglii. Wspólnie przemierzali Europę. John hazardował się przy każdej okazji, Jim ofiarnie zarządzał finansami. Wyłącznie dzięki jego czujności i trosce John nie zszedł na psy, gdyż szczęście nie zawsze mu dopisywało. Bywało, że z niepokojącą konsekwencją przegrywał. Na szczęście Jim strzegł wygranych jak oka w głowie, dzięki czemu zawsze mogli się odbić od dna.

W końcu tęsknota za Anglią i rodakami stała się tak dojmująca, że John podjął decyzję o powrocie. Na miejscu odkrył, że w rodzinnym kraju traktuje się

go zupełnie inaczej niż zagranicą. Tutaj dotkliwie dano mu odczuć, że jest wyrzutkiem. Nie mógł zamieszkać w rodzinnym mieście pod przybranym nazwiskiem, gdyż zbyt wielu ludzi pamiętało Johna Carstaresa i z pewnością by go rozpoznało. Wiedział, że musiałby wieść żywot pustelnika lub... złoczyńcy. Wtedy przyszło mu do głowy, że zostanie rabusiem. Miał świadomość, że życie w odosobnieniu nie będzie odpowiadało człowiekowi o jego temperamencie. Przypadła mu do gustu perspektywa swobody i licznych przygód na drogach Anglii. Gdy wszedł w posiadanie klaczy - Jenny Trzeciej, jak ją żartobliwie nazywał - sprawa została przesądzona. I tak oto został donkiszotowskim rozbójnikiem, wędrującym po drogach ukochanego południa Anglii. Były to najszczęśliwsze chwile Johna od wyjazdu z kraju.

Stopniowo odzyskiwał pogodę ducha, choć nie udało mu się rozwiązać wszystkich problemów...

Klik-klak, klik-klak... Nagle otrząsnął się z tych myśli i powrócił do rzeczywistości. Momentalnie ściągnął wodze i zatrzymał konia, by lepiej słyszeć.

Z oddali dobiegł go charakterystyczny stukot końskich kopyt oraz skrzypienie kół, szybko obracających się na piachu.

Do tego czasu księżyc zdołał już całkiem wzejść, lecz postanowił zabawić się w chowanego z chmurami, przez co panował mrok. Mimo to John płynnym ruchem ręki zasłonił twarz maską, a następnie nasunął kapelusz na oczy. Docierające do niego odgłosy świadczyły o tym, że pojazd zmierza prosto ku niemu. Dobył więc pistoletu z olstra i znieruchomiał w oczekiwaniu, ze spojrzeniem wbitym w zakręt drogi.

Wreszcie konie wyłoniły się zza zakrętu. Carstares zobaczył, że tajemniczy pojazd to zwykły dylizans. Podniósł broń.

- Stój, bo strzelam! - zawołał dwukrotnie, aby podróżni go dobrze usłyszeli; jednocześnie wyjechał z cienia żywopłotu.

Zapręg wyhamował, a woźnica wychylił się mocno, by sprawdzić, kto śmie tak raptownie zatrzymać pojazd.

- Czego tam? Kto to? Coś się stało? - krzyknął niepewnie i nagle spostrzegł, że w jego twarz jest wycelowany długolufowy pistolet.

- Rzuć broń!

- Nie mam żadnej, niech cię diabli!

- Słowo honoru? - John zszedł z konia.

- Słowo! Szkoda, bo trafiłbyś prosto do piachu, nim bym ją rzucił!

W tej samej chwili drzwi dyliżansu się otworzyły i na drogę zeskoczył jakiś dżentelmen. Carstares zauważył, że był wysoki i zwinny, a nosił się ze swobodną gracją.

Lord machnął pistoletem.

- Stój! - warknął szorstko.

Księżyc wyjrzał nieśmiało spoza chmury i oświetlił uczestników awantury, jakby chciał sprawdzić, o co tyle zamieszania. Twarz wysokiego mężczyzny skrywał cień, lecz pistolet Johna był doskonale widoczny.

Dżentelmen wbił wzrok w lufę broni, jedną rękę trzymając w kieszeni grubej peleryny, a drugą ściskając niewielki pistolet.

- Mój drogi panie - przemówił z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Chyba nie jest pan świadom, że wycelowana we mnie broń nie została nabita. Spokojnie: jeden ruch i pan zginie.

Ręka Johna opadła, a trzymany przez niego pistolet szczęknął o ziemię. Przyczyną nagłego oszołomienia nie było jednak zaniedbanie Jima. Chodziło o coś znacznie poważniejszego: głos wysokiego dżentelmena należał do człowieka, który - obok Richarda - był najwierniejszym na świecie przyjacielem Johna.

Mężczyzna przesunął się nieco i światło księżyca padło na jego twarz, ukazując okazały nos, pogodne usta oraz senne, szare oczy. Miles! Miles O'Hara! W pierwszej chwili John nie dostrzegł nic śmiesznego w zaistniałej

sytuacji. Uznał, że to okropne, że spotyka przyjaciela w takim przebraniu, a co gorsza, nie może się ujawnić. Zapragnął zedrzeć maskę i uściskać dłoń Milesa. Z najwyższym trudem zapanował nad sobą i skupił uwagę na słowach niedoszłej ofiary.

- Jeśli zechce pan dać mi słowo honoru, że nie spróbuje uciec, będę wielce zobowiązany. Proszę jednak pamiętać, że jeśli pan się ruszy, natychmiast strzelam.

John bezradnie machnął ręką. Był zupełnie oszołomiony. Sytuacja wydawała się komiczna: Miles będzie potem pękał ze śmiechu. Nagle przeszył go dreszcz niepokoju. Nie ma mowy o żadnym „potem”. Miles nie pozna prawdy. Przekaze go władzom i nigdy się nie dowie, że przyłożył rękę do powieszenia Johna Carstaresa... Może wcale by tego nie żałował, przecież wiedział o hańbie dawnego przyjaciela. Trudno powiedzieć. Nawet gdyby John teraz postawił wszystko na jedną kartę i się ujawnił, Miles mógłby odwrócić się od niego z obrzydzeniem. Przecież nigdy nie dopuścił się żadnego niegodnego czynu. Carstares poczuł, że zniesie wszystko, ale nie pogardę na twarzy przyjaciela.

- Tylko niech mi pan nie wmawia, że jest pan głuchy, bo słyszałem pańskie krzyki. Czy da mi pan słowo honoru, czy też muszę pana związać?

John wziął się w garść i zacisnął zęby. Najwyraźniej przyszło mu stawić czoło temu, co nieuchronne. Ucieczka nie wchodziła w grę; było jasne, że Miles strzeli, a wówczas przebranie zda się na nic. Wyjdzie na jaw, że John Carstares jest pospolitym rzezimieszkiem. Cokolwiek się stanie, nie wolno do tego dopuścić dla dobra nazwiska i Richarda. W milczeniu wyciągnął przed siebie rękę.

- Tak, daję panu słowo, ale może mnie pan skrepować, jeśli taka pańska wola. - Przemawiał głosem rozbójnika: chrapliwym, donośnym i całkiem odmiennym od swojego zwykłego sposobu mówienia.

Spojrzenie oczu O'Hary utkwilo jednak w smuklych, bialych dloniach, ktore wyciagnal napastnik. Jak zwykle nieuważny John całkiem zapomniat przybrudzić ręce. Byly kształtne, białe, a do tego staranie wypielegnowane.

Miles wziat w wielką garść najpierw jeden nadgarstek Johna, potem drugi, i obrócił dłonie napastnika spodem do góry.

- Jak na człowieka pańskiej profesji, te ręce są nietypowo blade - zauważył i zacieśnił uścisk, gdy John usiłował wyrwać mu dłonie. - Wykluczone! - oznajmił. - A teraz będzie pan łaskaw wejść do środka, drogi panie.

John znieruchomiał.

- Moja klacz? - spytał, a O'Hara wyczuł niepokój w jego głosie.

- Nie ma powodów do obaw - zapewnił solennie. - George!

Służący podbiegł do pana.

- Tak, sir?

- Widzisz tamtą klacz? Pojedziesz na niej do domu. Dasz radę?

- Tak, sir.

- Śmiem wątpić - burknął John.

Jenny najwyraźniej podzielała opinię pana otwarcie odmówiła zgody na to, by dosiadł jej nieznajomy. Postanowiła stać tam, gdzie zostawił ją właściciel, i nie zamierzała się ruszać do czasu jego powrotu. Lokaj na próżno przekonywał ją i przymuszał, zwierzę konsekwentnie go przepędzało. Klacz zaczepnie położyła uszy i nerwowo gryzła wędzidło, gotowa przy pierwszej okazji z furią zaatakować natręta.

John z uśmiechem obserwował bezowocne zabiegi służącego.

- Jenny! - powiedział spokojnie, a O'Hara natychmiast skierował na niego wzrok i zmarszczył brwi. John nieświadomie przemówił normalnym głosem.

Jenny wyrwała wodze z rąk spoconego lokaja i powoli podeszła do Johna.

- Czy mogę prosić o uwolnienie ml ręki? - spytał. - Może ja się zajmę koniem.

Miles oswobodził go bez słowa. John chwycił wędzidło i mruknął coś niezrozumiałego do wyraźnie odprężonego zwierzęcia.

O'Hara patrzył, jak piękna dłoń rzezimieszka sunie po pysku wierzchowca. Ponownie zmarszczył brwi. Najwyraźniej miał do czynienia z niezwykle rozbójnikiem.

- Proszę spróbować teraz, dobrze? - zwrócił się John do lokaja, lecz na wszelki wypadek przytrzymał wodze. Gdy służący siedział już w siodle, John po raz ostatni poklepał konia i odwrócił się do Milesa. -Już będzie spokojna.

O'Hara skinął głową.

- Doskonale ją pan wyszkolił. Proszę do środka. John posłuchał. Po chwili O'Hara również wsiadł do dyliżansu i ruszyli w dalszą drogę.

Przez pewien czas obaj zachowywali milczenie. Carstares usiłował nad sobą zapanować, choć z trudem znosił świadomość, że po krótkiej przejażdżce już nigdy nie ujrzy przyjaciela, a tak gorąco pragnął odwrócić się ku niemu i uścisnąć jego mocną dłoń.

Tymczasem Miles usiłował dostrzec w mroku zamaskowaną twarz rozbójnika.

- Jest pan szlachetnie urodzony? - spytał wreszcie bez ogródek.

John miał przygotowaną odpowiedź.

- Ja? Na Boga, skąd!

- Nie wierzę. Proszę nie zapominać, że widziałem pańskie dłonie.

- Dłonie? - powtórzył z udawanym zdumieniem.

- Właśnie tak. Chyba nie sądzi pan, że uwierzę, że mam do czynienia z opryszkiem. To nie są dłonie rabusia.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Ejże. Jutro zrozumie mnie pan lepiej.

- Jutro?

- Tak jest. Równie dobrze może pan wyznać prawdę teraz i nie czekać do jutra. Nie jestem takim głupcem, na jakiego wyglądam. Rozpoznam dżentel-

mena nawet wtedy, gdy chrypi tak jak pan teraz. - O'Hara zachichotał. - Poza tym mam osobliwe wrażenie, że znam pański głos - ten, którym przemówił pan do klaczy. Nie zamierzam posyłać przyjaciela na szubienicę.

John doskonale pamiętał ten przekonujący ton. Zacisnął dłonie i zmusił się do odpowiedzi.

- Nie sądzę, bym kiedykolwiek pana widział.

- Może się nie spotkaliśmy. Sprawdźmy jutro.

- Jak to jutro? Co pan chce przez to powiedzieć?

- spytał Carstares niepewnie.

- To, że będzie pan miał zaszczyt stanąć przed moim obliczem, przyjacielu.

- Przed pańskim obliczem?

- A czemu nie? Tak się składa, że jestem sędzią pokoju.

Zapadła cisza. John wstrzymał oddech, lecz po chwili uświadomił sobie absurdalność sytuacji, w której się znalazł. Wstrząsnął nim tłumiony śmiech. Zaistniałe okoliczności były zbyt komiczne, aby zdołał zapanować nad sobą. On, hrabia Wyncham, będzie oficjalnie przesłuchiwany przez własnego przyjaciela, St. Milesa O'Hare, sędziego pokoju!

- A cóż to panu dolega? To takie zabawne?

- spytał Miles ze zdumieniem.

- Och, i to jak - wykrztusił John i wcisnął się w kąt powozu.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

### *Interwencja lady O'Hary*

Następnego ranka przy śniadaniu lady O'Hara odkryła, że jej wielki, leniwy mąż jest nietypowo milczący. Małżeństwo państwa O'Harów nie trwało na tyle długo, by pogodziła się z tym, że jest całkowicie ignorowana bez względu na porę dnia, ale doskonale wiedziała, że nim podejmie bezpośrednie działania, musi pozwolić mężowi zaspokoić głód. Dlatego uraczyła pana O'Hare



kawą i jajkami, a następnie z satysfakcją patrzyła, jak przypuszcza on atak na plaster wołowej polędwicy. Była ładną, podobną nieco do ptaka drobną damą o wielkich oczach i jasnobrązowych włosach, które wysuwały się spod skromnego, lecz starannie dobranego czepka. Mierzyła metr pięćdziesiąt dwa centymetry boso i z powodu jej niepokażnej postury mąż niekiedy nazywał ją karzełkiem. Nie trzeba dodawać, że to dosadne określenie nie należało do jej ulubionych.

Gdy spostrzegła, że Miles kończy posiłek, oparła pulchne łokcie na blacie stołu, położyła brodę na dłoniach i niczym zaciekawione kociątko wbiła w męża pytające spojrzenie.

- Milesie!

O'Hara rozparł się na krześle, a na widok jej twarzy natychmiast się rozpogodził i uśmiechnął.

- Tak, słonko?

Lady O'Hara uniosła palec i uroczo wydeła czerwone usta.

- Milesie, przyznaj, że dzisiejszego ranka byłeś wyjątkowo niemiły. Dwukrotnie do ciebie przemówiłam, a ty nie raczyłeś mi odpowiedzieć. Czekać, to jeszcze nie koniec. Poza tym raz burknąłeś na mnie niczym wściekły niedźwiedź. Tak, mój drogi, właśnie tak.

- Naprawdę, Molly? 2 pewnością masz mnie za paskudnego gbura. Szczerze mówiąc, jestem w kropce, moja droga.

Lady O'Hara wstała i podeszła do męża.

- Czyżby, Milesie?

Otoczył ją ramieniem i posadził na kolanie.

- Właśnie tak, Molly.

- Wobec tego, Milesie, lepiej od razu mi powiedz, co cię trapi. - Położyła rękę na ramieniu męża.

Uśmiechnął się do niej.

- Ależ z ciebie wścibski kotek! Ponownie wydeła wargi.

- I nie powinnaś wydymać swoich słodkich usteczek, jeśli nie chcesz, żebym je całował. - Czego nie omieszkał natychmiast uczynić.

- Ależ oczywiście, że tego chcę! - zawołała Molly i ochoczo odwzajemniła pocałunek. - A teraz, Milesie, mów całą prawdę.

- Widzę, że chcesz wyciągnąć ze mnie wszystkie szczegóły, więc...

- Masz całkowitą rację - przytaknęła. Ostrzegawczym ruchem przyłożył palec do jej ust i surowo zmarszczył brwi.

- Czy zamierzasz mi przerywać, moja pani? Zupełnie niespeszona, przygryzła palec, odsunęła

go od ust i potulnie wzniosła oczy ku niebu.

- Tak więc, moje dziecko, musisz wiedzieć, że wczoraj wieczorem zajrzałem do Kilroya w interesach - co mi przypomina, Molly, że rozegraliśmy partyjkę lub dwie faraona i jeszcze czegoś, lecz nie dopisywało mi szczęście...

Molly nagle przestała udawać skromniację.

- Mówisz poważnie, Milesie? Jestem pewna, że graliście o duże pieniądze. Chcę wiedzieć, ile przegrałeś.

- Cicho, słonko, zapewniam cię, że chodzi o marne pensy... Wracając do tematu, kiedy jechałem do domu, nagle zostaliśmy zatrzymani przez rozbójnika...

Lady O'Hara zrobiła wielkie oczy, a jej drobne palce zacisnęły się na ubraniu męża.

- Och, Milesie!

Przytulił ją mocniej do siebie.

- Jak widzisz, jeszcze żyję, bo opowiadam ci tę historię, chociaż trudno mi dotrzeć do końca, kiedy co chwila przerywasz.

- Ach, Milesie, to straszne! Mogłeś zginąć! I nie powiedziałeś mi ani słowa! To bardzo brzydko z twojej strony, mój drogi.

- Na litość boską, Molly, jakże mogłem cokolwiek ci opowiedzieć, skoro spałaś jak zabita? Czy teraz pozwolisz mi dokończyć?

Posłusznie skinęła głową i ucichła.

- No więc na drodze stanął mężczyzna i wycelował we mnie pistolet. Uwierzysz mi jednak, kiedy powiem, że jego broń nie była nabita? Moja zresztą też. - Nagle wstrząsnął nim śmiech. - Powiadam ci, Molly, to najbardziej komiczna część historii. Trzymam w dłoni pistolet, wiem, że nie ma w nim kuli, i zastanawiam się, co do diabła, wybaczone słowo, zdarzy się dalej. Wtedy przyszło mi głowy, że zablefuję. Krzyknąłem zatem, że jego pistolet nie jest nabity, czym kompletnie zbiłem go z tropu. Nawet nie zdążył zadać sobie pytania, skąd to wiem. Rzucił broń na ziemię, a potem...

- Milesie, opowiadasz okropne rzeczy!

- Słuchaj dalej. Potem wszystko poszło jak po maśle. Napastnik się poddał i wyciągnął ręce, żebym mógł go skrepować... A teraz uważaj, docieramy do najbardziej zagadkowej części. Jego dłonie były zbyt blade i delikatne jak na zwykłego rzezimieszka. Powiedziałem mu to...

- Spotkałeś dżentelmena w przebraniu. To cudowne, Milesie!

- Czy możesz wreszcie powściągnąć język, słonko? Nie psuj mi opowieści.

- Och, przepraszam, bardzo przepraszam. Już będę grzeczna.

- I on się wyraźnie zaniepokoił. Co więcej, moja droga, słyszałem, jak przemawia do swojej klaczy głosem dżentelmena. Molly, nigdy nie widziałas podobnego zwierzęcia. To najpiękniejsza klacz...

- Mniejsza o klacz, skarbie. Nie mogę się doczekać dalszego ciągu historii o rozbójniku z wyższych sfer.

- To dobrze, kochana, chociaż powiadam ci, że to była najwspanialsza klacz pod słońcem. Gdy usłyszałem głos rabusia, natychmiast pojąłem, że go znam... Nie, ani słowa! - Na wszelki wypadek zasłonił żonie usta dłonią. Szeroko otwarte oczy Molly wprost tańczyły z ciekawości. - Za skarby świata

nie potrafiłem jednak przypomnieć sobie, gdzie słyszałem ten głos. Dotarło do mnie ledwie jedno słowo rozbójnika, rozumiesz, ale gdy trzymałem go za nadgarstki, uświadomiłem sobie, że nie jest to obcy człowiek. Mimo to nie przypominałem sobie, z kim mam do czynienia. Gdy wprowadziłem go do dyliżansu...

- Cóż za nieostrożność. Mógł cię...

- Sza! Gdy wprowadziłem go do dyliżansu, usiłowałem go skłonić, by zdradził swą tożsamość, lecz na próżno. A kiedy oświadczyłem, że dzisiaj stanie przed moim obliczem, dostał ataku śmiechu. Zacząłem się zastanawiać, o co mu właściwie chodzi. I potem nie potrafiłem wyciągnąć z niego ani słowa poza „Tak, sir” oraz „Nie, sir”. Mimo to i tak czułem, że to dżentelmen, więc...

Pani O'Hara nieoczekiwanie rzuciła mu się na szyję.

- Mój najdroższy Milesie! - wykrzyknęła. - Pozwoliłeś mu zbiec?

- Dziecko kochane, jakże mógłbym postąpić w taki sposób? Pomijając wszystko inne, jestem sędzią pokoju. Powiedziałem, żeby go nie skuwano, DO jest szlachetnie urodzony.

- Zatem żałuję, że nie pozwoliłeś mu uciec. Jeśli się okaże, że to naprawdę dżentelmen, czy dasz mu zbiec?

- Nie, moja droga, nie dam. Skieruję go na sesję sądową, będzie musiał na nią zaczekać.

- Zatem okrutny z ciebie człowiek.

- Ależ, kochanie...

- I chcę opuścić twoje kolano. Przyciągnął ją bliżej.

- Sprawdzę, co się da zrobić, Molly. Nie zapominaj jednak, że usiłował pozbawić życia twego małżonka. - Z żartobliwym błyskiem w oku zerknął na nią, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Lady O'Hara nie dała się zbić z tropu.

- Nienabitym pistoletem? Wstyd, Milesie! Czy mogę się ukryć za zasłonką, kiedy będziesz go przesłuchiwał?

- Nie możesz.

- Ale chcę go zobaczyć.- Pan O'Hara stanowczo pokręcił głową, kończąc tym samym dyskusję. Jego żona doskonale wiedziała, co to oznacza. Bez względu na to, jak pogodny i życzliwy był jej mąż, zdarzały się chwile, kiedy pozostawał nieugięty wobec wszelkich perswazji. Zapowiedziała więc z irytacją, że i tak wszystkiego się dowie, a następnie opuściła pomieszczenie i poszła odwiedzić synka w pokoju dziecięcym.

Uwięziony Carstares przez pewien czas wyteżał umysł, usiłując obmyślić plan ucieczki, lecz choć f bardzo się starał, nic nie przychodziło mu do głowy. Gdyby tylko przesłuchiwał go ktoś inny, nie Miles. John wiedział, że zapewne nie dane mu będzie pozostawać w masce na czas rozmowy, a przecież tylko to gwarantowało mu zachowanie incognito. Modlił się, by szczęśliwym zbiegiem okoliczności O'Hara go nie rozpoznał lub żeby przynajmniej udawał, że go nie zna. Uznawszy, że w tej sprawie nic już nie wymyśli, John położył się na twardym legowisku i zasnął jak gdyby nigdy nic.

Następnego ranka, po długiej i ostrej wymianie zdań ze strażnikiem na temat maski, został triumfalnie zaprowadzony do domu sędziego.

Niezbyt liczny pochód zbliżał się do schodów przed drzwiami wejściowymi, gdy stanęła w nich pogodnie uśmiechnięta lady O'Hara. Trzymała w rękach koszyk oraz nożyczki i śpiewała piosenkę. Na widok rozbójnika zamilkła w pół słowa, a jej czerwone wargi rozchyliły się szeroko.

- Och! - Westchnęła i znieruchomiała na górnym stopniu, spoglądając w dół na nieznanego. Dwóch strażników odsunęło się, by ją przepuścić, a wtedy jeden z chartów sędziego błyskawicznie wbiegł po schodach i rzucił się na panią w przyływie gwałtownej radości. Molly natychmiast straciła równowagę i zachwiała się niepewnie; koszyk wypadł jej z ręki, stopa nie trafiła w następny stopień i lady O'Hara runęła w dół. W ułamku sekundy Carstares skoczył, chwycił ją w ramiona i postawił na ziemi.

- Ufam, że nic się pani nie stało? - spytał, podniósł koszyk i zwrócił go właścicielce.

Molly z uśmiechem przyjęła koszyk.

- Dziękuję panu, jestem cała i zdrowa. Obawiam się jednak, że gdyby nie pański refleks, mogłabym poważnie ucierpieć. Zachował się pan wyjątkowo rycersko! - Wyciągnęła drobną dłoń i popatrzyła na niego przychylnie.

Lord przez moment się wahał, lecz w końcu zdjął kapelusz i złożył głęboki ukłon.

- To drobiazg, zapewniam panią - oznajmił nie nadając głosowi obcego brzmienia. - Nalegam, by pani o nim zapomniała.

Wyprostował się, gdy podeszli do niego strażnicy, i z powrotem zasłonił twarz kapeluszem.

Lady O'Hara odsunęła się nieco i patrzyła, jak zatrzymany znika w domu. Miała zaróżowione policzki, jej oczy podejrzanie błyszczały. Nagle pokiwała głową, jakby coś postanowiła, odrzuciła koszyk, któremu tego dnia najwyraźniej nie dopisywało szczęście, pędem przemierzyła trawnik i wdrapała się do domu przez wysokie okno.

Johna zaprowadzono do biblioteki, gdzie czekał już na niego O'Hara. Zatrzymany podszedł do sędziego, trzymając ręce w kieszeniach i nie zdejmując kapelusza.

Najważniejszy strażnik patrzył ponuro na więźnia i zrobił zboląłą minę, gdy ten z wystudiowaną niedbałością oparł się o misternie rzeźbiony stół.

- Zgodnie z pańskim poleceniem, nie skuliśmy więźnia - oznajmił tonem, który wskazywał, że w razie kłopotów to sędzia poniesie całkowitą odpowiedzialność.

Miles skinął głową.

- Zgadza się - potwierdził spokojnie i wbił podejrzliwy wzrok w nieznanego, który najwyraźniej nie zamierzał zdjąć maski ani peleryny.

- Z żalem donoszę o nadzwyczajnym uporze zatrzymanego - dodał strażnik surowo.

- Czyżby? - mruknął zasepiony Miles. - W czym rzecz?

John z najwyższym trudem próbował opanować chichot i wysłuchać skargi strażnika.

- Czy widzi pan maskę na twarzy więźnia? Zanim tutaj przyszliśmy, kazałem mu ją zdjąć. A on odmówił. Nie wydał pan specjalnych poleceń, nie zmusiłem go więc do posłuszeństwa.

- Aha... Pańska godność?

- John Smith - odparł Carstares chrapliwym głosem.

O'Hara zapisał nazwisko, lecz na jego ustach pojawił się sceptyczny uśmiezek, który zupełnie nie przypadł Johnowi do gustu.

- Może zechce pan zdjąć maskę? Zapadła cisza.

- Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że będę mógł w niej pozostać.

- Doprawdy? Nie zamierzam pozwalać na coś podobnego.

- Ależ, proszę pana...

- Wykluczone. Proszę zdjąć maskę.

- Proszę pana...

- Jeśli pan tego nie zrobi, poproszę strażników o pomoc - ostrzegł Miles.

- Czy mogę porozmawiać z panem na osobności? - spytał zdesperowany John.

O'Hara był coraz bardziej zaintrygowany.

- Nie. Niech pan zdejmie maskę! - Pochylił się nad stołem, nie spuszczać wzroku z twarzy Johna.

Sędzia zmarszczył brwi, gdy doprowadzony zaśmiał się cicho, wzruszył ramionami i wykonał polecenie.

Maska i kapelusz pofrunęły na stół, a Miles spojrzał w niebieskie oczy, które patrzyły na niego wyzywająco i z ciekawością. Sędzia odetchnął głęboko, a wtedy cienka linijka z kości słoniowej, którą trzymał, nagle trzasnęła mu w

palcach jak zapalka. W tej kluczowej chwili drzwi za jego plecami otworzyły się na całą szerokość i do pokoju wkroczyła lady O'Hara.

Dwaj strażnicy i sędzia odwrócili głowy, aby sprawdzić, kto przyszedł. John natychmiast rozpoznał damę, ale nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi, zajął się więc odkurzaniem butów chustką.

O'Hara wstał i zrobił surową minę.

- Co... - zaczął i znieruchomiał, bo kobieta popędziła biegiem do więźnia, krzycząc:

- Harry! Och, Harry! - John uznał, że najwyraźniej chodzi o niego, natychmiast więc złożył jej niski ukłon.

W następnej chwili stała przed nim i zaglądała mu w oczy.

- Harry, ty łobuziaku! - wykrzyknęła i dodała szeptem: - Mam na imię Molly!

Twarz Johna ozdobił szeroki uśmiech. W następnej chwili pocałował Molly prosto w usta i usłyszała, jak mówi:

- Wstydź się, Molly, wszystko popsulaś. Właśnie zabawiałem się kosztem Milesa. Idę o zakład, że wcale się tego po mnie nie spodziewał.

Zarumieniona lady O'Hara wyzwoliła się z uścisku.

- Och, Milesie, z pewnością znasz Harry'ego? Mojego kuzyna?

O'Hara z trudem pozbiierał myśli i z godnością wstał z krzesła.

- Oczywiście, moja droga, chociaż z początku byłem tak oszołomiony, że niemal zapomniałem języka w gębie. Jesteś szalonym, nieprzewidywalnym człowiekiem, Harry, jeśli postanowiłeś spłatać nam takiego psikusa. Niech cię diabli porwą! - Położył dłonie na ramionach Johna. - Mów zaraz, co ci strzeliło do głowy? Dlaczego to zrobiłeś?

Umysł Johna intensywnie pracował.

- Milesie, nie mów mi tylko, że zapomniałeś

o naszym zakładzie. Pamiętasz, przysiągłem, że wystrychnę cię na dudka, aby wyrównać rachunki za to, co zrobiłeś tamtego wieczoru u Jaspera. Nie



przewidziałem tylko, że spostrzeżesz, że mój pistolet nie jest nabity.

Przechytrzyłeś mnie. Przegrałem zakład. Mimo to warto było spędzić noc pod kluczem, żeby ujrzeć twoją minę, gdy ściągnąłem maskę.

O'Hara roześmiał się i odwrócił do dwóch oszołomionych strażników. Dowódca straży chłodno i surowo popatrzył mu w oczy, a następnie groźnie sapnął.

- Moi dobrzy ludzie! - zawołał Miles. - Jest mi niewymownie przykro, że kuzyn mojej żony narobił wam kłopotów. Najwyraźniej nabrał nas wszystkich. Nic da się nic z tym fantem zrobić, chociaż zamierzam wyjaśnić Harry'emu, że następnym razem taki postępek nie ujdzie mu na sucho.

Wcisnął po gwinei do ochoczo wyciągniętych dłoni i pożegnał dowódcę życzliwym ukłonem. Wszyscy w milczeniu patrzyli, jak uzbrojeni mężczyźni opuszczają pokój i kręcą głowami nad niezrozumiałymi wybrykami osób z wyższych sfer. Na koniec O'Hara skierował wzrok na Carstaresa.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

### *Lady O'Hara udaje się na spoczynek*

Milczenie się przeciągało. Trójka aktorów z tej małej komedii wsłuchiwała się w łomot ciężkich kroków, cichnących w głębi korytarza. Carstares z napiętym wyrazem twarzy nadal obejmował w pasie Molly, która instynktownie wyczuła, że dzieje się coś, czego nie pojmuje. Niepewnie zerknęła na pobladłą twarz rzekomego rzezimieszka. Spojrzenie błękitnych oczu utkwiał w obliczu sędziego; zaniepokojona kobieta natychmiast spojrzała na męża. Okazało się, że Miles patrzy na mężczyznę tak, jakby ujrzał ducha. Molly zamierzała coś powiedzieć, aby rozładować napięcie, ale słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Mogła tylko w milczeniu obserwować obu mężczyzn. Wreszcie O'Hara drgnął i powoli podszedł do Johna, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Stopniowo otrząsnął się ze zdumienia. Jakby wyczuwając niepewność Johna, nieoczekiwanie się rozpromienił i położył dłonie na jego zeszywniałych ramionach.

- John, ty łotrze, co ty sobie myślisz? Jak śmiesz tak bezczelnie ścisnąć i całować moją żonę?

Molly w końcu przypomniała sobie, gdzie spoczywa ręka „kuzyna Harry'ego”. Westchnęła nerwowo i momentalnie wyśliznęła się z jego objęć.

Carstares podniósł ręce i wyciągnął je przed siebie, aby odsunąć przyjaciela.

- Milesie, nie zapominaj - nie zapominaj - kim jestem.

- Też coś, człowieku! Nie mnie sądzić, kim jesteś. Och, Johnie, Johnie, tak bardzo się cieszę, że cię widzę... Ledwie do mnie dociera, że stoisz przede mną. Kiedy wróciłeś do Anglii i co, u licha, wyprawiasz w tym przebraniu? - Ruchem głowy wskazał maskę przyjaciela, jednocześnie ściskając jego dłoń tak, jakby nigdy nie zamierzał przestać.

- Jestem tu już od roku. Co do maski... - John wzruszył ramionami i zaśmiał się szczerze.

Lady O'Hara postanowiła zabrać głos.

- Wybaczcie, panowie, ale nic nie rozumiem - oznajmiła z lekkim rozdrażnieniem.

Carstares pochylił się nad jej dłonią.

- Czy mogę podziękować pani za interwencję? Ponadto pragnę pogratulować Milesowi doskonałego wyboru małżonki.

Molly uśmiechnęła się skromnie i dygnęła. Mąż objął ją w talii.

- Tak, tak, to przebiegła psotnica. Kuzyn Harry!

A niech mnie! Gdyby rzecz dotyczyła kogoś innego, z pewnością bym się pogniewał, figlarko. Nieźle sobie obmyśliłaś tę sztuczkę.

Poklepała go po dłoni i uśmiechnęła się szeroko do Johna.

- Rzecz jasna, nigdy nie zdobyłabym się na podobne zachowanie, gdybym nie miała pewności, że chodzi o dżentelmena. Który na dodatek ocalił mnie od pewnej śmierci - dodała po namyśle.

Miles spojrzał na nią uważnie, a potem przeniósł wzrok na Carstaresa.

- A cóż to ma znaczyć? - spytał z zainteresowaniem.

- Pani raczy przesadzać - odparł z uśmiechem John. - Najzwyczajniej miałem zaszczyt schwycić ją, gdy dzisiejszego ranka spadała ze schodów.

O'Hara sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Nic ci nie jest, moje dziecko?

- Nic, chwała Bogu. Musiałam jednak zrobić coś, aby okazać wdzięczność. Byłam pewna, że moje oszustwo nigdy nie wyjdzie na jaw... Ale...

- Nagle oświeciła ją pewna myśl. - Przecież ty najwyraźniej znasz tego rozbójnika.

- I to dobrze. To John Carstares we własnej osobie, o którym tak często wspominałem w naszych rozmowach.

Molly z osłupieniem popatrzyła na lorda.

- Czy to możliwe... - wydukała. - Czy to naprawdę najlepszy przyjaciel mojego męża? Czy to... lord John?

John się uklonił.

- Byłem nim... swego czasu, milady - wyjaśnił sztywno.

- Swego czasu! - powtórzyła z przyganą. - Och, gdyby tylko słyszał pan, jak mój mąż o panu mówił. Najlepiej będzie, jeśli pozwolę wam porozmawiać z sobą. Z pewnością nie możecie się już doczekać. Wiem, że macie sobie mnóstwo do powiedzenia, pozwólcie więc, że się oddalę i zostawię was samych.

- Uśmiechnęła się życzliwie, posłała całusa mężowi i szybko wyszła z pokoju.

Carstares zamknął za nią drzwi i powrócił do Milesa, który ponownie usiadł na krześle i udając beztroskę, usiłował stłumić silne emocje.

- Usiądź, Johnie. Chcę poznać całą twoją historię.

Carstares odpiął długą pelerynę. Z kieszeni eleganckiego surduta wyciągnął tabakierę, którą niespiesznie otworzył. Z oczami utkwionymi w twarzy przyjaciela zażył szczyptę tabaki i podszedł bliżej.

Miles się roześmiał.

- A cóż to ma być?

- To, drogi druhu, jest sir Anthony Ferndale, baronet. - Ukłonił się z namaszczeniem.

- Wyglądasz jak na arystokratę przystało. Baro-necie Anthony Ferndale'u, proszę bliżej. Opowiadaj, zamieniam się w słuch.

John przysiadł na skraju biurka.

- Cóż, właściwie nie ma o czym mówić. Prawie wszystko już wiesz, Milesie. Znasz szczegóły karcianego wieczoru u Dare'a, prawda?

- Właśnie o tym zdarzeniu nie wiem nic - zaprotestował O'Hara.

- Zaskakujesz mnie. Sądziłem, że ta historia jest tajemnicą poliszynela.

- Johnie, czy mógłbyś przestać trzymać mnie w niepewności? Nie zapominaj, że jestem twoim przyjacielem...

- Czy aby na pewno? Nazywałbyś mnie przyjacielem, gdybyś poznał całą prawdę na mój temat?

- Nigdy się nie zdarzyło, bym nie był dumny, mogąc nazywać cię przyjacielem. Nie miałbyś co do tego wątpliwości, gdybyś nie był młodym narwańcem. Słyszałem jakąś dziwną opowieść na temat tamtego wieczoru karcianego, ale czy sądzisz, że dałem jej wiarę?

- Z pewnością ludzie nie podważali jej prawdziwości.

- Może, ale zbyt dobrze cię znam, aby wierzyć w każdą nedorzeczną historię. Nawet gdybym dowiódł własnej głupoty i wziął sobie do serca te absurdy, sądzisz, że zmieniłbym zdanie na twój temat? Zaiste, marny byłby ze mnie przyjaciel.

John w milczeniu wbił wzrok w czubek buta.

- Wiem, że tamtego wieczoru zdarzyło się coś więcej, niż się powszechnie uważa. Mam swoje podejrzenia, ale to twoja sprawa i cokolwiek zrobiłeś, miałeś ku temu powody. Tylko wyjaśnij mi, Johnie, czemu, do licha ciężkiego, uciekłeś diabli wiedzą dokąd, i to bez pożegnania?

Carstares nie odrywał spojrzenia od buta. Wreszcie z wyraźnym trudem przemówił.

- Milesie... Na moim miejscu... Czy nie uczyniłbyś tego samego?

- Cóż...

- Wiem, że tak. Czy powinienem był narzucać ci się w takim momencie?

Co byś o mnie pomyślał, gdybym tak postąpił?

O'Hara oparł dłoń na kolanie przyjaciela.

- Pomyślałbym, że nie jesteś zapalczywym, młodym durniem.

Pojechałbym z tobą i nic by mnie nie powstrzymało.

John popatrzył mu w oczy.

- Wiem - przyznał. - Tyle że na samą myśl o tym... Zresztą, nie miałem pewności. Skąd mogłem wiedzieć, że zechcesz mnie przyjąć? Wczoraj wieczorem... potwornie się bałem...

O'Hara zacisnął palce na kolanie druha.

- Ty niemądry biedaku! Ty niemądry biedaku!

Epizod po epizodzie wyciągnął z Carstaresa historię ostatnich sześciu lat, i choć była to wyraźnie zmodyfikowana wersja, Miles znał przyjaciela na tyle dobrze, by czytać między wierszami.

- A teraz opowiedz mi o sobie - oświadczył w końcu John. - Kiedy poślubiłeś tę uroczą damę, którą przed chwilą całowałem?

- Ty łotrze! Wzięliśmy ślub trzy lata temu. To prawdziwy skarb, przyznasz chyba. A na piętrze mieszka pewien młodzieniec, twój imiennik.

- Szczęściarzu! Mój imiennik, powiadasz? Nie mogłeś znaleźć kogoś lepszego na duchowego przewodnika dla swej pociechy? Chciałbym go zobaczyć.

- Zaraz ujrzysz. Widziałeś się z Richardem?

- Rok temu napadłem na jego powóz. W ciemnościach i ledwie go rozpoznałem, ale przyszło mi do głowy, że się postarzał.

- Łagodnie powiedziane. Jest nie do poznania. Przysięgam, że trudno się temu dziwić, skoro musi mieszkać z taką sekutnicą pod jednym dachem.

Johnie, dobrze się stało, że uwolniłeś się od związku z tą kobietą.

Carstares w zamyśleniu podrapał się po nodze.

- Chodzi o Lavinie? Co jej doskwiera?

- Nic takiego, poza tym, że ma koszmarne usposobienie. Biedny Dick wie dzie przez nią pieskie życie.

- Chcesz powiedzieć, że go nie kocha?

- Tego nie wiem... Czasami jest dla niego czuła i miła, ale kiedy indziej napada na niego z dziką wściekłością. A ile wydaje! Rzecz jasna, poślubiła go, bo był człowiekiem majątnym. Nic innego się dla niej nie liczyło.

John siedział nieruchomy jak głaz.

- Każdy wiedział, co się święci, z twoim wyjątkiem, bo byłeś młodym głupcem.

- Zapewne. -W smutnych oczach Johna zamigotało rozbawienie. - Każdy, na przykład ty?

O'Hara zachichotał.

- Och, tak, wiedziałem. Od samego początku tylko pieniądze jej były w głowie. Teraz nie ma ich zbyt dużo do dyspozycji, bo Dick najwyraźniej nie zamierza ruszyć ani grosza z tego, co należy się tobie.

- Uhm. Warburton mi o tym wspomniał. To niedorzeczne.

Jedyną odpowiedzią było wymowne chrząknięcie.

John wyjrzał przez okno i zmrużył oczy.

- A więc Lavinii chodziło tylko o pieniądze? Boże, to straszne. Co z Dickiem?

- Obawiam się, że nadal mu na niej zależy.

- Biedny Dick! Niech diabli wezmą tę kobietę!

Czy ona się nad nim znęca? Znam go i wiem, że zawsze jest gotów ustępować.

- Tego nie jestem pewien. Mogę jednak przysiąc, że gdyby nie John, życie Dicka byłoby prawdziwym koszmarem. On za tobą tęskni, mój drogi.

- Kim jest John?

- Warburton ci nie powiedział? John to nadzieja rodu. Ma cztery i pół roku i jest rozpuszczonym pędrakiem.

- Syn Dicka? Chryste Panie!

- A jakże, jego syn, a twój bratanek. - Miles uważnie popatrzył w twarz rozmówcy. - Czy nie można wyjaśnić tej tajemnicy? Nie możesz wrócić?

John cofnął dłoń, którą Miles przytrzymał, a jego spojrzenie stało się znudzone i nieco chłodne.

- Nie znam żadnej tajemnicy - oświadczył.

- Staruszkule, nie darzysz mnie już zaufaniem? Na ustach Johna zagościł pełen gorzki uśmiech.

- Milesie, porozmawiajmy o pogodzie albo o mojej klaczy. Wszystko jest lepsze od tego bolesnego tematu.

O'Hara niecierpliwym ruchem odsunął krzesło i podszedł do okna. Stał plecami do Johna, który wbił w niego uważne spojrzenie.

- Skoro mi nie ufasz, nie mam ci już nic do powiedzenia! - wybuchnął sędzia. - Widzę, że niezbyt wysoko cenisz przyjaciół.

John nie powiedział ani słowa, lecz jego dłoń na biurku nagle zwinęła się w pięść. O'Hara odwrócił się i ponownie podszedł do drucha.

- Nie chciałem tego powiedzieć. Wybacz mi zdenerwowanie.

Carstares oderwał się od biurka i wyprostował.

- Cicho, Milesie, że pozwolę sobie ciebie zacytować. - John się roześmiał.  
- Dobrze o tym wiem. Nie w tym rzecz, że ci nie ufam, po prostu...

- Rozumiem. Już więcej cię o to nie spytam. Wytłumacz mi tylko jedno: co cię skłoniło do napadania z nienabitym pistoletem na ludzi?

Rozbawienie znikło z twarzy Carstaresa.

- Och, zwykła beztroska - wyjaśnił zwięźle i zacisnął usta na myśl o nieuważnym Jimie.

- W moim wypadku było tak samo.

- Milesie, tylko mi nie mów, że ty też nie miałeś nabitego pistoletu.

- Taka jest prawda. To najzabawniejszy dowcip, jaki słyszałem od roku. -  
Obaj wybuchnęli śmiechem. - Wiedz, że blefowałem, mówiąc ci o twojej  
nienabitej broni. A moja pani była zdecydowana cię oswobodzić od chwili,  
kiedy opowiedziałem jej

o tobie. Mieliśmy pewność, że nie jesteś rozbójnikiem, chociaż okazałem  
się głupcem, nie rozpoznając cię od razu. Skoro jednak już cię znalazłem,  
rozumiem, że z nami zostaniesz, kuzynie Harty?

- Milesie, brak mi słów, by wyrazić wdzięczność, niemniej muszę z żalem  
odmówić. Pora, bym wracał do Jima.

- Kim, u licha, jest Jim?

- Moim służącym. Będzie się o mnie zamartwiał. Nie, nie nalegaj, nie  
mogę zostać. Zrozum: John Carstares nie istnieje, jest tylko Anthony Ferndale.

- John, drogi przyjacielu, czy nie mógłbym...

- Nie, Milesie, nic nie możesz uczynić, chociaż doceniam twoją pomoc i  
dziękuję ci za nią. Niemniej... och, mniejsza z tym. Co z moją klaczą?

- Niech mnie diabli, zapomniałem! Mój durny służący nadwerżył jej  
pęcinę. Ogromnie mi przykro.

- Biedna Jenny. Idę o zakład, że miał z nią niezłe przejścia.

- Chciałbym ją od ciebie odkupić, Johnie. To prawdziwa piękność.

- Nie jest na sprzedaż, chociaż zamierzałem poprosić cię, byś ją  
zatrzymał, gdybym...

Umilkł, czując na ręce uścisk dłoni przyjaciela.

- Dość! Zresztą i tak jestem dla niej zbyt ciężki.

- Podobnie jak ten klockowaty stajenny, którego na niej posadziłeś.

- Tak, głupiec ze mnie.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Dajże spokój, Johnie. Skoro z nami nie zostajesz, weź jedną z moich  
szkap, a twoja klacz niech wydobrzeje. Jak myślisz, możesz powierzyć mi ją na  
tydzień?



- Sam nie wiem. Chyba muszę. Już dobrze, wycofuję się. Jesteś za duży, dzień jest zbyt upalny, mój fular jest zbyt starannie zawiązany - ech, Milesie! Chciałbym, żebyśmy ponownie byli dziećmi... Tak. Kiedy mogę spotkać się z twoim synem i dziedzicem?

- Choćby zaraz. Tylko poszukajmy Molly. Nie może się doczekać rozmowy z tobą. Proszę przodem, baronecie Anthony Ferndale'u!

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

*Lord spieszy na ratunek i niemal traci życie*

Późnym popołudniem John Carstares opuścił Thurze House na grzbiecie jednego z koni przyjaciela. Na pożegnanie z żalem pomachał ręką państwu O'Hara, obiecując, że powiadomi ich o miejscu swojego pobytu i wkrótce ponownie u nich zagości. Miles zmusił Johna do złożenia uroczystej obietnicy, że jeśli kiedykolwiek wpadnie w tarapaty, niezwłocznie da mu znać.

- Nie dopuszczę do tego, byś ponownie znikł bez śladu z mojego życia, i nie zmienię zdania - oznajmił stanowczo sędzia pokoju.

John wyraził zgodę - cieszył się z odzyskania przyjaciela - i podał Milesowi nazwę gospody, w której należało go szukać. O'Hara uparł się, że samodzielnie odprowadzi klacz. Carstares pojechał do Trencham i do Jima, mając w pamięci serdeczne pożegnanie z druhem. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie słów przyjaciela, które ten wypowiedział, kiedy John wahał się ze złożeniem oczekiwanej obietnicy. „Ty uparty, młody diable, rób, co mówię, i nic nie kombinuj, bo nie opuścisz tego domu!”

Od sześciu lat nikt nie zmuszał go do posłuszeństwa; to on rozkazywał innym. Teraz spełnianie poleceń Milesa sprawiło mu osobliwą przyjemność.

Skreślił w boczną drogę, zastanawiając się nad tym, co sobie pomyślał Jim. Z pewnością czekał w „Green Man”, taki otrzymał rozkaz. Lord był zirytowany incydentem z pistoletami, gdyż obejrzał je uważnie i odkrył, że faktycznie nie zostały nabite. Gdyby zetknął się z kim innym, nie z O'Hara, takie zaniedbanie mogłoby się okazać tragiczne w skutkach. Ponadto ewidentne

lekceważenie obowiązków przez służącego budziło zasadny gniew. Salter mógł się spodziewać nieprzyjemności.

Przez ponad godzinę Carstares jechał do domu, nie napotykając po drodze żadnych przeszkód, gdy nagle, za zakrętem nieużywanej drogi, ujrzał niecodzienny widok. Na trakcie stał powóz, a przy nim kręcił się niechlujnie odziany osiłek, który z dwóch pistoletów mierzył do mężczyzn na koźle. Jego dwaj kompani szamotali się z kimś przy drzwiach pojazdu.

John ściągnął wodze i stanął w strzemionach, by lepiej widzieć. Wtedy jego oczy rozbłysły i cicho gwizdnął pod nosem. Przyczyną zamieszania była smukła, delikatna panna, dziewiętnasto-, może dwudziestoletnia. Z całych sił opierała się napastnikom, usiłującym zaciągnąć ją do drugiego powozu. John widział z daleka, że dama ma ciemne włosy i prześliczną twarz.

Druga niewiasta, znacznie starsza, równie energicznie przeciwstawiała się napastnikom. Drapała i biła jednego z mężczyzn po ręce, a zarazem pomstowała i prosiła go o litość, wszystko jednym tchem. John skierował wzrok na nieruchomą, milczącą postać na poboczu, w cieniu żywopłotu. Najwyraźniej był to organizator napadu.

- Zdaje się, że pora interweniować - mruknął do siebie Carstares i się roześmiał.

Następnie nasunął maskę na twarz i zeskoczył z konia. Przywiązał wierzchowca do młodego drzewka, dobył broni z olstra, a potem cicho i szybko pobiegł wzdłuż linii krzewów na miejsce zdarzenia. Dotarł tam w chwili, gdy mężczyzna trzymający na muszce nerwowych i hałaśliwych jegomościów na koźle, był już gotowy oddać strzał.

Kula Johna przeszła mu szyję i nieszczęśnik w całkowitym milczeniu osunął się na ziemię. Jeden z jego pistoletów upadł i wypalił, na szczęście nikogo nie raniąc.

Milczący obserwator zaklął i odwrócił się. Przed sobą ujrzał lśniące ostrze broni lorda.

Carstares gwałtownie odetchnął, zaskoczony widokiem pobladłego oblicza Andovera.

- Niech cię diabli porwą! - oświadczył Tracy spokojnie i odskoczył, dobywając szabli.

- To się okaże— odparł uprzejmie John. - Broń się, książę!

Tracy wykrzywił wargi i zmrużył oczy.

- Pilnujcie dziewczyny- rzucił przez ramię. -Ja się zajmę tym zuchwalcem. Nim przebrzmiały jego słowa, szczęknęły ostrza.

Oczy Johna błyszczały z czystej radości walki, a jego broń śmigła przed twarzą przeciwnika. Znał Tracy'ego i wiedział, że ma do czynienia z wytrawnym fechtmistrem, dlatego zaczął ostrożnie.

Napastnicy mocno przytrzymały ofiarę za obie ręce, lecz wszystkie ich myśli skupiły się na pojedynku. Mężczyźni na koźle sięgnęli po muszkiety, gotowi wypalić, gdy zajdzie potrzeba, a dziewczyna z zapartym tchem spoglądała na wybawcę. Rozchyliła czerwone wargi, z jej oczu wyzierały strach i złość. Jeśli chodzi o starszą panią, entuzjastycznie podskakiwała, piskliwymi okrzykami zagrzewając Carstaresa do walki.

Stal szczekała o stal, książę zadawał straszliwe ciosy, lecz każdy z nich był umiejętnie parowany. Tracy zachowywał spokój, a z jego oblicza nie zniknęła pogarda. Nie miał pojęcia, z kim toczy walkę, lecz nie wątpił, że oponent go rozpoznał, i dlatego należy go zlikwidować. Z tego względu książę walczył uparcie i z ponurą konsekwencją. Z kolei Carstares ani myślał pozbawiać przeciwnika życia. Nigdy za nim nie przepadał, lecz to nie powód, aby brać pod uwagę rozlew krwi. Tak bardzo przyzwyczał się do występków Tracy'ego, że wcale się nie zdziwił, rozpoznawszy go w milczącej postaci na poboczu drogi. Nie miał ochoty wchodzić w konflikt z Belmanoirem, lecz nie mógł również się przyglądać, jak ktoś krzywdzi bezbronną dziewczynę. Z tego względu postanowił rozbroić księcia, zdobyć nad nim przewagę i zmusić go do zejścia ze sceny. W pewnej chwili zadał tak umiejętne pchnięcie, że po dłoni Belmanoira

spłynął strumyk krwi. Książę nie zwrócił uwagi na skaleczenie, chociaż jego powieki drgnęły i od tej pory zachowywał większą ostrożność.

Gdy Tracy zadał cios po tercji, ręka Johna nagle zadrżała, a na jego rękawie wykwitła purpurowa plama. Dotąd pozostawał w defensywie i czekał, aż książę osłabnie. Jego taktyka przyniosła spodziewane rezultaty. Wkrótce oddech księcia stał się nierówny i przyspieszony, a na jego czole pojawiły się krople potu. Mimo to ani na moment nie przestał pogardliwie wykrzywiać ust i nie stracił opanowania. Miał dobrze wytrenowaną rękę i choć poszarzał na twarzy, cały czas fechtował tak jak na początku pojedynku.

Potem Carstares zmienił taktykę i po kolei użył wszystkich szermierskich sztuczek i podstępów, które poznał za granicą. Sprawiał wrażenie niezwyciężonego, wykazał się zwinnością i wytrzymałością. Raz za razem odskakiwał na bok i umykał podstępny ciosom, a do tego niezmiennie zmuszał księcia do ustępowania pola. Nie dyszał; przeciwnie, od czasu do czasu śmiał się cicho i pogodnie. Krew z rany na ramieniu kapała na ziemię, ale Tracy odniósł wrażenie, że jego przeciwnik nic sobie z tego nie robi. John wiedział jednak, że szybko traci siły i musi kończyć walkę.

Nagle zadał cios i odskoczył. Tracy dostrzegł okazję i rzucił się przed siebie, usiłując przeszyć i oponenta.

W następnej chwili Carstares wybił mu broń z ręki i przewrócił go na ziemię. Książę nie był ranny, ale bezbronny. W milczeniu patrzył na zamaskowanego wroga i jego szpadę. Nie rozumiał, jak stracił broń, lecz był absolutnie pewien, że ma do czynienia z mistrzem fechtunku.

John zachichotał cicho i owinał chustką ranne ramię.

- Mam świadomość, *monsieur*, że to zachowanie niedopuszczalne podczas pojedynków. Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że okoliczności są przy tym wyjątkowo niezwykle, a stawka niesłychanie wysoka. - Skierował wzrok na mężczyzn, z których jeden uwolnił rękę dziewczyny i ruszył przed siebie.

- O, nie! - zawołał John i pokręcił głową. - Jeszcze krok i przekłuję twojego pana na wylot, przyszpilając go do ziemi.

- Stój! - rozkazał księżę.

- *Bien*. Rzućcie broń tutaj, u mych stóp, i uwolnijcie *mademoiselle*.

Nawet nie drgnęli. Carstares wzruszył ramionami i końcem szabli dotknął gardła Tracy'ego.

- *Eh hien*.

Opryszki nadal się wahały, posyłając swojemu panu niepewne spojrzenia.

- Wykonać! - zakomenderował księżę. Mężczyźni upuścili pistolety i patrzyli na Johna

spode łbów. Tymczasem dziewczyna pobiegła do ciotki, która natychmiast ją przytuliła i czule pogłaskała.

John stłumił ziewnięcie.

- Nie mam zamiaru pozostawać tutaj przez całą noc. Ani ze mnie dziecko, ani głupiec! *Depe chez!*

Belmanoir zauważył, że woźnica trzyma muszkiet gotowy do strzału i świerzbiał go ręce, by zrobić z niego użytek, słusznie więc uznał, iż zabawa dobiegła końca. Odwrócił głowę ku zniechęconym łotrzykom, którzy najwyraźniej oczekiwali dalszych rozkazów.

- Rzućcie na ziemię całą broń - poradził.

Na ziemi wylądowały jeszcze dwa pistolety i dwa sztylety.

- Tysiącrotne dzięki - John złożył ukłon. Nie spuszczał z oka rozbrojonych rzezimieszków. - Księżę, proszę leżeć nieruchomo. Ty, z wielkim nochalem... Tak, *mon ami*, ty... Zechciej podnieść pistolet upuszczony przez naszego martwego przyjaciela.

Opryszek pochylił się nad trupem i kolejny pistolet pofrunął na stertę.

Lord niecierpliwie pokręcił głową.

- *Mais non*. Nie wspomniałem, że nie jestem głupcem? Nabity pistolet, jeśli łaska. Połóż go tutaj, *doucement*. Doskonale.

Skierował wzrok na mężczyznę na koźle. Woźnica dotknął kapelusza i zawołał:

- Jestem gotów, sir!

- Świetnie. Bądź tak dobry i potrzyмай tych jegomościów na muszce, lecz nie strzelaj, póki nie wydam rozkazu. A teraz, książę, czy da pan słowo, że natychmiast wróci tam, skąd przybył, i zostawi tę damę w spokoju, jeśli pozwolę panu wstać?

Tracy niecierpliwie skinął głową.

- Nie mam wyboru.

- *Monsieur*, to nie jest właściwa odpowiedź. Czy mam pańskie słowo?

- Tak, i idź do czorta!

- Z ochotą - odrzekł John uprzejmie. - Proszę wstać.

Oparł koniec szpady o ziemię i patrzył, jak Tracy niezdarnie dźwiga się na nogi.

Skrzywiony książę przez chwilę stał i spoglądał na Johna.

- Jestem niemal pewien, że pana znam - oznajmił cicho.

Francuski akcent Johna stał się odrobinę wyrazistszy.

- To możliwe. Jeśli o mnie chodzi, mam wątpliwą przyjemność znać pana, *monsieur*, z widzenia.

Tracy puścił zniewagę mimo uszu i ciągnął aksamitnym głosem:

- Jedno jest pewne: poznam pana, jeśli się znowu spotkamy.

Nim skończył mówić, John dostrzegł pistolet w jego dłoni i momentalnie uskoczył na bok, w samą porę, by uniknąć kuli, która przeszłaby mu głowę. Śmiercionośny ołów utknął mu jednak w lewym ramieniu.

- Nie strzelać! - przenikliwie krzyknął do woźnicy i ukłonił się księciu. - Jako rzekłem, *monsieur*, proszę nie zmuszać mnie, bym pana zatrzymał.

Z oczu księcia przez dłuższą chwilę wyczierała nienawiść. Potem ciężkie powieki przysłoniły jego spojrzenie. Odkłonił się przesadnie głęboko.

- *Au revoir, monsieur*, - Z uśmiechem schylił się po szpadę.

- To... nie będzie konieczne, *monsieur*... broń... proszę zostawić -  
zaprotestował John. - Mam zamiar... zachować ją... na pamiątkę. Tak.

- Wedle życzenia, *monsieur* - burknął Tracy i odszedł do powozu. Jego  
ludzie podążyli za nim.

John stał, całym ciężarem ciała oparty o szpadę, i patrzył, jak odjeżdżają.  
Dopiero gdy pojazd znikł za zakrętem, poddał się słabości, która go ogarnęła.  
Zachwiał się i zapewne by upadł, gdyby nie podtrzymały go dwie dłonie.

Dobiegł go drżący, szorstki głos:

- Jest pan ranny! Jezus, Maria, pan jest ranny!

John z najwyższym trudem zapanował nad słabością i choć był bliski  
omdlenia, niepewnie podniósł do ust dłoń dziewczyny.

- To prawdziwa... przyjemność... *mademoiselle*

- wykrztusił. - Myślę, że teraz... może pani... bezpiecznie... kontynuować  
podróż.

Diana wzięła go pod rękę i niespokojnie spojrzała na służącego, który ku  
nim zmierzał.

- Szybko! - krzyknęła. - Sir, pan słabnie w oczach! Mój służący  
zaprowadzi pana do powozu.

John uśmiechnął się z trudem.

- To... drobiazg... zapewniam... Niech pani nie...

- Nie zdążył dokończyć, gdyż zemdlał i osunął się w opiekuńcze ramiona  
tęgiego sługi.

- Thomas, zanieś go do powozu - zarządziła dziewczyna. — Uważaj na  
jego rękę i... Och, biedne ramię! Ciociu, czy masz coś, czym można by ob-  
wiązać mu rany?

Nadbiegła panna Betty.

- Drogie dziecko, co za historia! Jaki wspaniałomyślny i dzielny  
dżentelmen. Ostrożnie, Thomas! Tak, połóż go na kanapce.

John spoczął na poduszkach, a panna Betty kręciła się przy nim niczym zaniepokojona kwoka. Potem Diana kazała Thomasowi zaopiekować się koniem rannego, spokojnie skubiącym trawę przy drodze, a sama podniosła szpadę księcia, ozdobioną dziwacznie wygiętą rękojeścią, i wskoczyła do powozu, żeby pomóc ciotce opatrywać rany Johna.

Cięcie na ramieniu nie było poważne, lecz rana postrzałowa wyglądała paskudnie. Panna Betty poluzowała fular nieszczęśnika i zdjęła mu maskę.

- Di, spójrz, jaki przystojny chłopiec. Biedny, odważny dżentelmen. Miał sporo szczęścia. Żeby tylko powstrzymać krwawienie! - Z tymi słowami rzuciła się na poszukiwanie soli trzeźwiących.

Tymczasem Diana spojrzała na rannego, na jego pobladłe oblicze, na głowę spoczywającą na ciemnych poduszkach. Zwróciła uwagę na mocne, pięknie wyrzeźbione usta, arystokratyczny nos i delikatnie zarysowane brwi. Musiała przyznać, że uroda tego mężczyzny wywołała u niej dreszcz emocji. Pojedynek sprawił, że była cała rozdygotana. Teraz przepełniał ją podziw dla wybawcy, a widok jego wrażliwej, przystojnej twarzy jeszcze podsycił to uczucie.

Ciotka w końcu odnalazła sole i wręczyła specyfik Dianie, która podsunęła go rannemu. Nie oprzytomniał jednak, musiała więc zadowolić się wsunięciem poduszek pod jego zranione ramię oraz pilnowaniem, by podskoki powozu na nierównościach nie wyrządziły mu dalszej krzywdy.

Panna Betty robiła, co mogła, by powstrzymać krwotok. Usiadła na kanapce naprzeciwko opatrzonego lorda i pokiwała głową.

- Nic więcej nie zrobimy, moja droga... Możemy co najwyżej przemyć mu czoło wodą lawendową. Och, co za historia! Przyznam, że nigdy nie spodziewałam się czegoś podobnego po panu Everardzie. Można by pomyśleć, że żyjemy w epoce jaskiniowej. A to łotr!

Diana zadrzała.



- Nie wątpiłam, że jest przerażający, ale żeby do tego stopnia! Jak się dowiedział, kiedy wyjeżdżamy z Bath, i dlaczego zaczął się na nas tak blisko domu? Och, już nigdy nie poczuję się bezpieczna.

- Absurd, moja droga! Widziałaś, jak łatwo go można pokonać. Miejmy tego świadomość. Z całą pewnością uprzytomni sobie, jak poważny błąd popełnił. Nie musimy się nim przejmować.

Uspokoiwszy Dianę, panna Betty ponownie skinęła głową i poprawiła się na poduszkach, okiem specjalistki obserwując zabiegi dziewczyny, które nieco ją bawiły.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

*Lord dyktuje list i przyjmuje gościa*

W pewnej chwili John westchnął i odzyskał świadomość. Powoli otworzył oczy i odwrócił głowę. Ze zdumieniem odkrył, że leży w pokoju, w którym nigdy dotąd nie gościł, przy oknie zaś, zajęta robótkami, siedzi drobna, starsza niewiasta.

- Kim... pani... jest? - spytał, zirytowany słabością własnego głosu.

Dama drgnęła i pospiesznie przydreptała do chorego.

- Chwała Bogu! - zawołała radośnie. - Niech żyje nasz chłopiec!

Gorączka minęła. - Przyłożyła mu dłoń do czoła i uśmiechnęła się na widok jego pytającego spojrzenia.

- Chłodne, drogi chłopcze. Jakie to szczęście! Sporo czasu minęło, odkąd ktoś nazwał Johna

chłopcem, w dodatku drogim. Niepewnie odwzajemnił uśmiech i zamknął oczy.

- Nic... nie... pojmuję... - wymamrotał sennie.

- Na razie nie zaprzataj sobie tym głowy, tylko śpij. Przez chwilę poważnie się zastanawiał nad tą

sugestią. Sprawiała wrażenie sensownej, a w dodatku doskwierało mu przemożne zmęczenie. Cicho westchnął i zamknął oczy.

Gdy przebudził się następnego ranka, promienie słoneczne zalewały pokój, a były tak jaskrawe, że John kilka razy zamrugał oczami.

Ktoś podszedł do niego - dostrzegł, że to kobieta, która wcześniej nazwała go droгим chłopcem i kazała mu zasnąć.

Uśmiechnął się i wysunął dłoń spod kołdry.

- Kim pani jest? - spytał z ciekawością. Panna Betty delikatnie poklepała go po ręce.

- Biedaku, nadal się nad tym zastanawiasz? Jestem ciotką Di, mam na imię Betty. Ach, nie wiesz przecież, kim jest Di!

Lord powoli odtwarzał w pamięci wszystkie zdarzenia.

- Już wiem. Pani jest tą nieznaną z powozu. Tracy... Pamiętam.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, kim jest Tracy, ale rzeczywiście, to ja jestem nieznaną z powozu.

- A młoda kobieta...

- Mówisz o Dianie Beauleigh, mojej bratanicy. To cudowna istota.

Spotkasz się z nią, gdy wydobrzejesz.

- Ale... gdzie ja jestem, milady?

- Tylko się nie ekscytuj, drogi chłopcze.

- Mam trzydzieści lat - zaprotestował John, a jego oczy łobuzersko zabłyśły.

- Może nie powinnam tego mówić, ale trzydziestolatek to dla mnie chłopiec - wyjaśniła panna Betty ku rozbawieniu Johna. - Znajdujesz się w domu pana Beauleigha, ojca Di, mojego brata. Pozostaniesz tu, aż wyzdrowiejesz.

John uniósł się na łokciu i skrzywił z bólu.

- Jak długo tu jestem? - spytał zaniepokojony. Starsza pani bardzo stanowczo pchnęła go z powrotem na poduszki.

- Leż spokojnie. Tylko tego brakowało, żeby rana

się odnowiła. Jutro minie tydzień, odkąd cię tutaj przywiozłyśmy. Dobry Boże, co cię zabolalo, chłopcze? - zawołała, gdyż na twarzy Johna pojawiło się niedowierzanie i przerażenie. - Tydzień? To niewiarygodne!

- Ale prawdziwe. Napędziłeś nam stracha. Byłeś trzy ćwierci od śmierci i mamrotałeś coś o jakimś Dicku i Jimie. John nadstawił ucha.

- Och! Mówiłem coś?

- Mówiłeś? W pewnym sensie, jeśli można nazwać mówieniem ten zlepek cudzoziemskich słów. Teraz nie ruszaj się i czekaj na przybycie doktora. Carstares przez chwilę odpoczywał w milczeniu. Uśmiechnął się na wspomnienie Jima.

- Choćbym się starał, nie wymyśliłbym dla niego lepszej kary - rzekł do siebie i zmarszczył brwi. - Biedaczysko! Pewnie szaleje z niepokoju. Panno... eee... Betty?

- Już nie śpimy?

- Śpimy? Wykluczone! - odrzekł wyniośle. - Muszę napisać list.

- Niedobry pomysł.

- Muszę! To sprawa najwyższej wagi, milady. Stanowczo pokręciła głową.

- Najpierw pan Jameson musi wyrazić zgodę - oznajmiła zdecydowanym tonem.

John uniósł się z trudem.

- Wobec tego wstaję! - zagroził.

Panna Betty w jednej chwili znalazła się przy nim.

- Nie, nie! Chłopcze, masz leżeć i być grzeczny.

- Nie będę leżał i nie będę grzeczny!

- Zatem przez najbliższe tygodnie nawet nie zobaczysz pióra ani papieru.

John surowo popatrzył na rozmówczynię.

- Nalegam, by umożliwiono mi napisanie listu!

- Nalegam, byś leżał!

Z trudem nad sobą zapanował.

- Dojdzie do nieszczęścia, jeśli nie przyniesie mi pani pióra i papieru.

- Drogi chłopcze, pomyśl. Przecież i tak nie możesz używać tej ręki.

- A właśnie, że mogę! - upierał się John, lecz w tej samej chwili osunął się na poduszki i zamknął oczy. Między jego prostymi brwiami pojawiła się bolesna zmarszczka.

- A nie mówiłam! - zawołała panna Betty z wyrzutem i nie bez nuty triumfu w głosie. Natychmiast poprawiła pogniecioną narzutę.

John otworzył oczy i zrobił błagalną minę.

- Milady, to niesłuchanie ważna sprawa. Panna Betty nie potrafiła wytrzymać spojrzenia

chorego i postanowiła złagodzić swoje stanowisko.

- Niech pomyślę... Z pewnością nie pozwolę ci, chłopcze, wziąć pióra do ręki, ale możesz przecież podyktować mi list.

John się rozpogodził i przycisnął do ust dłoń starszej pani.

- Anioł z pani - oświadczył.

- Ach, tam, dajże spokój, chłopcze. - Pospieszyła po papier i atrament.

Gdy wróciła, zachmurzony John niecierpliwie skubał kołdrę.

- Jestem gotowa - powiedziała.

- Dziękuję. To naprawdę niezwykle życzliwe z pani strony.

- Nonsens. Zaśmiał cię cicho.

- Chciałbym, żeby napisała pani do mojego służącego i nakazała mu przewieźć bagaże do najbliższej gospody.

- Wykluczone! Napiszę, by sprowadził je tutaj.

- Jakże mógłbym zakłócać spokój...

- A to dopiero! Zakłócać spokój, ale wymyśliłeś, chłopcze...

- Widzę, że czekają mnie tu nieliczne udręki. - John westchnął i obserwował, jak na twarzy starszej pani wykwita pogodny uśmiech.

- Chłopcze, zacznij wreszcie dyktować.

- W tej chwili. Nie, zmieniłem zdanie. Zacznę od listu do przyjaciela: „Drogi Milesie... Zgodnie z obietnicą... piszę do Ciebie... Gdybyś się niepokoił... moim zniknięciem... wiedz, że... przebywam u...” Za pozwoleniem, gdzie jestem?

- W Horton House, w Littledean - odparła i natychmiast zapisała adres.

- Dziękuję. „Miałem nieszczęście zranić ramię podczas...”

- I rękę - dodała starsza pani.

- „I rękę podczas walki... i pewna bardzo... uprzejma dama...”

- Ani myślę wypisywać takie głupstwa. „I jedna z pań, które uratowałem...”

- Dobry Boże, chyba pani tego nie napisała!

- wykrzyknął John zbulwersowany.

- Nie. - Uśmiechnęła się krzepiąco. - Napisałam: „Te słowa pisze za mnie pielęgniarzka”.

- Jest pani w nastroju na przekomarzania. Tak... „Kiedy dostarczysz Jenny... do Trencham... proszę, powiedz Jimowi... by niezwłocznie... przywiózł moje bagaże... tutaj...”. Czy zdążyła pani zapisać?

- Owszem.

- „Pozdrów ode mnie... lady Molly... bardzo proszę... i przyjmij przeprosiny... a także podziękowania”. - Umilkł. - Zechce pani podpisać inicjałami J.C., jeśli łaska, i zaadresować do pana Milesa O'Hary w Thurze House, w Maltby?

- Pan Miles O'Hara! Czy to twój przyjaciel, drogi... Wybacz, nie znam twojej godności.

- Carr... - zaczął John i urwał, przygryzając wargę.

- Carr— dokończył. -John Carr. Czy zna pani Milesa O'Hare?

- Ja? Ależ skąd! Jak myślisz, Johnie, czy przyjedzie cię odwiedzić?

- Jeśli pani wyrazi zgodę.

- Żartowniś. Proszę, proszę. Powiem Thomasowi, żeby natychmiast pojechał z listem.

- Jest pani niewiarygodnie dobra. Nie znajduję słów, żeby wyrazić wdzięczność...

- Kochany chłopcze! A co z tobą, pytam? Drzę na samą myśl o tym, co mogłoby spotkać Di, gdybyś nie przybył z odsieczą. Zaslugujesz na naszą dozgonną wdzięczność.

Zakłopotany John zarumienił się jak sztubak.

- Naprawdę, pani przesadza...

- Ciii! Teraz zaśnij i nie przejmuj się niczym do mojego powrotu. Nie będziesz usiłował wstawać, prawda?

Zatrząsł się ze śmiechu.

- Przysięgam, że nie. Jeśli pani nie wróci, będę tu leżał i marniał... - Mówił jednak w przestrzeń, gdyż zachwycona starsza pani już wyszła z pokoju, nie kryjąc rozbawienia.

O'Hara przybył dopiero późnym popołudniem. Po krótkiej rozmowie z Dianą i jej ojcem został wprowadzony do pokoju Johna, gdzie panna Betty powitała go promiennym uśmiechem i nerwowym dygnięciem.

- Nie będziesz się unosił emocjami, chłopcze? - spytała, lecz przerwał jej głos Johna, przytłumiony i pełen radości.

- Wejdz, Milesie, i w żadnym wypadku nie słuchaj panny Betty. Tyranizuje mnie, na nic mi nie pozwala.

O'Hara zaśmiał się, widząc zdezorientowane spojrzenie panny Betty, i podszedł prosto do łóżka. Chwył dłoń Johna i zmarszczył brwi w udawanym gniewie.

- Ty młody raptusie! Nie mogłeś wymyślić nic innego, tylko wdałeś się w awanturę, dostałeś po nosie i niemal doprowadziłeś swojego służącego do szaleństwa?

- Och, litości. Powiedz lepiej, czy znalazłeś Jima? O'Hara rozejrzał się i przekonał, że panna Betty dyskretnie znikła. Usiadł na skraju łóżka.

- A jakże. Odprowadziłem klacz natychmiast po otrzymaniu listu od ciebie. Najadłem się przez ciebie strachu, trzeba przyznać. Tak czy owak klacz rozpoznała Jima i miałem okazję zamienić z nim parę słów.

- Jestem pewien, że nie okazał się interesującym rozmówcą. Czy zrobił na tobie wrażenie bardzo nierozgarniętego?

- Prawdę mówiąc, uznałem, że człowiek ten jest półgłówkiem, i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie doszło do pomyłki. Ostatecznie jednak przekonałem go, że mówię prawdę, i wziął klacz. Dziś wieczorem sprowadzi bagaż. Tak na marginesie, Johnie, napomknąłem mu o naszym spotkaniu i o tym, że twoje pistolety nie były nabite. Odparł, że *to* jego wina. Jestem pewien, że nigdy nie widziałeś u niego takiej miny. Był wstrząśnięty: tak, to dobre określenie.

- Całkiem prawdopodobne. Wiesz co, Milesie, to piekielnie osobliwa historia.

- Co dokładnie ci się przytrafiło?

- Właśnie zamierzam ci opowiedzieć. Kiedy się rozstaliśmy, przez mniej więcej godzinę jechałem spokojnie, a potem zobaczyłem powóz panny Beauligh. Zatrzymało go trzech oprychów, którzy usiłowali zaciągnąć nieszczęśnicę do drugiego powozu, własności dżentelmena kierującego porwaniem. Rzecz jasna, zeskoczyłem z konia i poszedłem sprawdzić, co można zrobić.

- Innymi słowy, postanowiłeś wetknąć nos w nie swoje sprawy. Czterech mężczyzn, a ty miałeś czelność porwać się na wszystkich. To kompletne szaleństwo!

- Oczywiście gdybyś był na moim miejscu, bez namysłu ruszyłbyś w przeciwną stronę albo wręcz dopomógł łajdakom - padła natychmiastowa odpowiedź.

O'Hara zachichotał.

- Mów dalej, Johnie. Nie twierdzą przecież, że nie chciałbym tam z tobą być.

- Byłoby rewelacyjnie. Mniemam, że panna Beauligh opowiedziała ci większość historii, lecz pewnej kwestii z pewnością nie mogła ci zrelacjonować, bo nic o niej nie wiedziała: mężczyzna, z którym stoczyłem pojedynek, to Belmanoir.

- Tam do czarta! Książę?

- We własnej osobie. Tracy.

- Bogowie! Rozpoznał cię?

- Nie mam pewności. Rzecz jasna, byłem zamaskowany, lecz on oznajmił, że jest niemal pewien, że mnie zna. W tej samej chwili wypalił do mnie z pistoletu.

- Parszywy łotr!

- Uhm... Tak... Dlatego myślę, że mnie nie rozpoznał. Psiakrew, Milesie, nawet Tracy nie chciałby mnie zabić.

- Czy na pewno? Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, to Tracy jest zdolny do wszystkiego.

- Drogi przyjacielu, to nazbyt czarna wizja. Książę nie potrafiłby z zimną krwią zabić człowieka, z którym polował, z którym ćwiczył szermierkę... i... Nikt nie byłby do tego zdolny.

O'Hara zrobił sceptyczną minę.

- Ty byś tego nie zrobił, co nie oznacza, że żalosny drań pokroju Belmanoira nie zachowałby się w sposób tak odrażający.

- Nie wierzę, by to było możliwe. Zawsze odnosiliśmy się do siebie przyjacielsko. I nie mów nic tym ludziom, bo oni nie znają Diabła. Ze słów panny Betty wnioskuję, że Tracy przedstawia się jako Everard. Tę młodą damę, Dianę, poznał w Bath; sam wiesz, jaki jest. Tymczasem ona miała go za nic, stąd porwanie.

- Dobry Boże, ten człowiek ma ohydny charakter.



- W sprawach związanych z kobietami postępuje paskudnie. Poza tym nie jest taki zły, Milesie.

- Takie lotry to zakała społeczeństwa.

- Och, sam nie wiem. Powiedziałbym, że mało kto na tym świecie zasługuje na miano świętego. - Nieoczekiwanie John zmienił temat. - Jak tam Jenny?

- Raczej nie w sosie. Tęskni za tobą, jak sędzę. Zostawiłem ją pod opieką twojego służącego, pewnie wkrótce tu dotrze. Nie podejrzewam, by zasypiał gruszki w popiele.

- Ja też w to wątpię. Biedak, pewnie zamartwiał się o swojego niewdzięcznego pana.

- Gdy mu powiedziałem o twojej ranie, zbladł i wyglądał jak ty w tej chwili.

Carstares natychmiast odwrócił głowę.

- Coś się stało z moją twarzą? Bądź łaskaw podać mi tamto zwierciadło, Milesie.

O'Hara zaśmiał się i spełnił prośbę druha. John uważnie i z pewnym zaskoczeniem obejrzał swoje oblicze.

- Ciekawa bladość, drogi przyjacielu, niesłychanie interesująca. Mimo to cieszę się, że Jim jest już w drodze. - Napotkał wzrok O'Hary i poczuł, że jego usta mimowolnie zadrżały. - Powiedz szczerze, czy uważasz mnie za człowieka próżnego?

- Czy to jakaś poza, Johnie? Czyżby przemawiał przez ciebie baronet Anthony Ferndale?

- Nie, to chyba moja prawdziwa natura dała o sobie znać. Widzisz, kiedy żyje się jedynie z sobą i myśli tylko za siebie, wówczas wszyscy inni przestają się liczyć. Stąd moja próżność. Zabierz zwierciadło, proszę, widok mojej twarzy jest odpychający.

- Cokolwiek sobie zażyczysz, przyjacielu - odparł O'Hara i odłożył lustro na stół. - A właściwie jak się obecnie nazywasz?

- John Carr. Niewiele brakowało, a zdradziłbym swoje nazwisko, na szczęście w porę ugryzłem się w język. Oho, słyszę, że nadchodzi moja opiekunka. Milesie...

- Słucham?

- Przyjedź tu jeszcze!

- Mój drogi chłopcze, wkrótce będzie ci niedobrze na mój widok.

Zamierzam odwiedzać cię codziennie.

- Dziękuję. Myślę, że nie tak łatwo wywołać u mnie mdłości.

Do pokoju weszła panna Betty.

- Panie Milesie, obawiam się, że należy opuścić teraz mojego pacjenta - oznajmiła. - Miał dość wrażeń jak na jeden dzień i powinien udać się na spoczynek. - Z ciekawością spojrzała na rannego. - Pewnie jest zmęczony?

John odwrócił się i uśmiechnął do starszej pani.

- Nie, nie jestem. Sądzę jednak, że nie da mi pani wiary.

- Drogi chłopcze, czy wiesz, że masz sińce pod oczami?

- Znowu rozmawiamy o mojej twarzy. - John westchnął i spojrzał na przyjaciela.

- Droga panno Beauleigh, ma pani absolutną rację. - Miles podniósł się z miejsca. - Pora na mnie. Czy mogę przyjechać jutro?

- Zapraszamy - odparła rozpromieniona panna Betty. - Z przyjemnością pana powitamy.

O'Hara pochylił się nad łóżkiem.

- Zatem *au revoir*. Moja pani przesyła pozdrowienia dla „kuzyna Harry'ego”, mała spryciara.

- Naprawdę? To ogromnie miło z jej strony. Przekaż żonie gorące pozdrowienia i ucałuj jej...

- Tak? - spytał O'Hara z krzywym uśmiechem. - Co mam jej ucałować?

- ... dłoń w moim imieniu - dokończył Carstares, z trudem powstrzymując chichot. - Bywaj i dziękuję...

- Wystarczy- uciał Miles. Skłonił się pannie Betty i wyszedł z pokoju.

Dama przybrała rzeczowy wyraz twarzy i energicznie podeszła do łóżka, by poprawić poduszki.

- I jak, jesteś usatysfakcjonowany, chłopcze?

- Rzekłbym: wyjątkowo. Dziękuję. Wkrótce zamierzam wstać.

- Hm! - chrząknęła groźnie i wyszła. Korzystając z samotności, John pograżył się w rozmyślaniach.

Zgodnie z przewidywaniami panny Betty wkrótce zapadł w płytki sen. Rwący ból w ramieniu nie pozwolił mu solidnie wypocząć. Leżał w półśnie, z zamkniętymi oczami, a między brwiami miał głęboką zmarszczkę, świadczącą o cierpieniu.

Trzask zamykanych drzwi sprawił, że uniósł powieki. Lekko odwrócił głowę i ujrzał Jima Saltera, który stał pośrodku pokoju i z niepokojem obserwował swego pana.

John wbił surowe spojrzenie w służącego. Jim zamarł w oczekiwaniu na nieuchronną burę. Serce Carstaresa zmiękło, a na jego obliczu pojawił się uśmiech.

- Nawet nie podejrzewasz, jak ogromnie się cieszę z twojego przybycia, Jimie - oświadczył.

- Ależ... ależ to nie może być, sir. Przecież z mojej winy pańskie pistolety nie były nabite.

- Mam tego świadomość. Popełniłeś fatalny błąd, niemniej ostatecznie sam powinienem dbać o własną broń.

Jim podeszedł do łóżka.

- Czy to oznacza, że pan mi wybaczy?

- Oczywiście. W żadnym razie nie odprawiłbym najlepszego przyjaciela.

- To bardzo wielkodusznie, ale wina nadal leży po mojej stronie.

- Prawda. Przyznam, że w pierwszej chwili byłem dość zirytowany... Och, na litość boską, nie patrz na mnie takim wzrokiem! Jeszcze nie umarłem.

- Gdyby... gdyby pan zginął, byłaby to moja wina.

- Bzdura! Miałem jeszcze szpadę. Do licha, przestań się martwić tym drobiazgiem. Mów lepiej, czy przywiozłeś bagaże.

- Tak, sir. To się nie powtórzy.

- Nie wątpię. Jenny miewa się dobrze?

- Wyśmienicie. Czy jeszcze powierzy mi pan swoje pistolety?

Carstares jęknął.

- Nigdy nie przestaniez? To był wypadek, puściłem go w niepamięć.

Uściśnijmy dłonie na zgodę. - Chwycił rękę Jima i potrząsnął nią energicznie, chcąc w ten sposób zakończyć temat.

- Czy już się pozbyłeś tego okropnego fraka, w który jakiś czas temu usiłowałeś mnie ubrać?

- Oddałem go gospodarzowi.

- Powinienem był go spalić. Czy przynajmniej mu się spodobał?

- Owszem, sir. Nie zechce pan teraz się przespać?

- Gdyby twoje ramię płonęło z bólu jak moje, nie zadawałbyś tak nedorzecznych pytań - burknął John.

- Najmocniej przepraszam. Czym jeszcze mogę służyć?

- Zmień bandażę, jeśli chcesz. Te są zbyt grube i niewygodne.

Salter bez słowa przystąpił do odwijania opatrunku, a czynił to wyjątkowo delikatnie i ostrożnie, aby nie podrażnić paskudnej rany. Sprawiał wrażenie tak przejętego, że John powstrzymał się od przeklinania, gdy jego pielęgniarz przypadkiem dotknął szczególnie wrażliwego miejsca. Na koniec nagroził służącego uśmiechem.

- Znacznie lepiej - pochwalił. - Masz delikatną rękę.

Jim poczerwieniał z zadowolenia, lecz bez słowa podszedł do okna, by zaciągnąć zasłony.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *Debiut lorda*

Po przyjeździe Jima John Carstares szybko doszedł do siebie. Zdrowiał z dnia na dzień ku nieskrywanej satysfakcji lekarza, który bezustannie powtarzał panu Beauleighowi oraz pannie Betty, że pacjent odzyskuje siły wyłącznie dzięki jego staraniom. Ponieważ jego koncepcja kuracji polegała na jak najczęstszym upuszczaniu choremu krwi, panna Betty szybko interweniowała i zabroniła mu kontynuowania tego procederu. Oboje mieli liczne argumenty na poparcie swych tez, przy czym starsza pani utrzymywała, że pan Carr wraca do zdrowia dzięki jej zabiegom pielęgniarstwu, a także własnej wewnętrznej sile, i zapewne miała rację. Tak czy owak, nie minęły dwa tygodnie od pierwszej wizyty O'Hary, a John już stał przed lustrem i przyglądał się swemu odbiciu. Pochylił głowę, w jego oczach pojawiło się zatroskanie. Salter obserwował go z niepokojem, świadomy, że nadszedł czas próby. Lord John był dla niego nieodgadniona tajemnicą: to, co najważniejsze w życiu, najwyraźniej go nie obchodziło, lecz potrafił się poważnie przejąć kwestią wyboru jednego z dwóch fularów lub czymś równie błahym.

Przez kilka chwil kontemlował swój wygląd, aż wreszcie zmarszczył czoło i spojrzał przez ramię,

- Jimie, zmieniłem zdanie. Ostatecznie włożę niebieski.

Salter westchnął.

- Doskonale pan wygląda w tym, który wybrał pan poprzednio - zapewnił.

John usiadł, przekonany o słuszności swej decyzji.

- Poczulem wyraźną niechęć, wręcz szczerą nienawiść do fioletowo-brązowego zestawienia. Wybieram kolor niebieski.

- Sir, teraz trzeba będzie wymienić całą pańską odzież. Nim zdąży pan wyjść z pokoju, ogarnie pana zmęczenie. Musimy pamiętać o zaleceniach lekarza.

John dosadnymi słowami skierował lekarza i jego zalecenia tam, gdzie nikt nie chciałby się znaleźć.

- Ależ, sir...

- Lekarz to godny szacunku człowiek, Jimie, niemniej ma jeszcze mniejsze pojęcie o sztuce ubierania się niż ty. Nie rozumie rozdartego serca mężczyzny, który musi po raz pierwszy wystąpić z fioletowo--brązowymi akcentami.

- Niemniej...

- Błękitny frak ze złotą koronką. -Sir...

- To rozkaz! Błękitny frak albo żegnam!

- Doskonale, sir. - Zrezygnowany Jim podszedł do szafy.

Gdy po dłuższym czasie lord został ubrany w sposób całkowicie go satysfakcjonujący, nastąpiło upalne, czerwcowe popołudnie, a do drzwi stuknęła panna Betty z zapytaniem, czy pan Carr zejdzie, czy też pozostanie w pokoju.

Carstares poprawił temblak i chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia.

Salter nacisnął klamkę i posłał pannie Betty triumfalne spojrzenie, jakby to dzięki niemu lord John prezentował się tak wspaniale. Następnie podsunął ramię chlebodawcy.

- Czy mogę panu pomóc? - spytał uprzejmie. Panna Betty nisko dygnęła.

- Och, mój drogi! - zawołała. John uklonił się równie nisko.

- Miło panią widzieć - oznajmił. - Właśnie schodzę. Dziękuję, Jimie. - Mocno chwycił ofiarowane mu ramię.

Panna Betty obeszła go z podziwem.

- Dalibóg, wygląda pan nader elegancko, przysięgam. Protestuję jednak i jestem onieśmielona.

- Dobry Boże, a to dlaczego?

- Nie jest pan tak młody, jak dotąd sądziłam - wyjaśniła otwarcie.

- Proszę pamiętać, że nigdy nie wprowadziłem pani w błąd. Jestem wiekowym człowiekiem.

- Trzydziestolatek! - prychnęła i poszła za ciosem: - Chodź wreszcie, dziecko, i uważaj na pierwszy stopień.

Na dole schodów czekał pan Beauleigh, mężczyzna średniego wzrostu, o wąskich ustach i szarych oczach. Na widok gościa ruszył przed siebie z wyciągniętą ręką.

- Jestem zachwycony, widząc pana w o wiele lepszej kondycji - powiedział. - Tuszę, że ramię już panu nie dokucza?

Carstares łagodnie odsunął Jima na bok i podał dłoń panu Beauleighowi.

- Dziękuję, już jest prawie zdrowe. Gdyby nie pana siostra, która, jak się obawiam, ma zadatki na prawdziwego tyrana, z pewnością nie korzystałbym z tego odrażającego temblaka.

Pan Beauleigh uśmiechnął się krzywo.

- Ach, tak, Betty trzyma nas wszystkich mocną ręką. Może jednak wyjdziemy na krótki spacer po ogrodzie? Na trawniku czekają krzesła... A oto moja córka.

Machnął dłonią w kierunku drzwi. Carstares odwrócił się i ujrzał Dianę.

Stała na progu, ubrana w bursztynowej barwy jedwabną suknię z koronką u mankietów i przy dekolcie. Miała ciemne włosy, a nad szerokim, białym czołem wiły się drobne loczki. Jedno pasmo opadało na ramię, reszta włosów była zebrana pod małym, koronkowym czepkiem,

John spojrział na nią raz, potem drugi. Diana obserwowała go dużymi, brązowymi oczami, niewinnymi jak u dziecka. Potem zatrzepotała powiekami, długie rzęsy przysłoniły głębie źrenic, a na policzkach wykwitł rumieniec.

Po chwili John przywołał się do porządku, odzyskał dobre maniery i gdy usłyszał, że pan Beauleigh przedstawia go córce, uklonił się najuprzejmiej, jak umiał.

- Kochanie, to pan Carr... Diana grzecznie dygnęła.

- ... panie Carr, to moja córka, Diana.

- Jestem zaszczycony, mogąc poznać pannę Beauleigh - wyznał John.  
Delikatnie chwycił dłoń dziewczyny i uniósł ją do ust.

Szczupłe, zadbane palce odrobinę zadygotały w uścisku, a drżące usta rozchyliły się w najskromniejszym i najurodziwszym uśmiechu, jaki kiedykolwiek John widział.

- Ależ my już się znamy. Nie mogłabym zapomnieć mojego wybawcy.

- Z radością myślę, że mogłem pani służyć, *mademoiselle*. Proszę mi wierzyć, walka w pani obronie to zaszczyt. - John nie potrafił oderwać oczu od fascynującego dołeczka w jej policzku.

- Te słowa są niesłychanie uprzejme, sir, niemniej obawiam się, że naraziłyśmy pana na ogromne kłopoty... i w dodatku... - Ruchem ręki wskazała temblak.

- To tyle co nic, *mademoiselle*. Cała przyjemność po mojej stronie.

Panna Betty postanowiła interweniować.

- Dość tego! - zawołała. - Nigdy nie słyszałam takiej nawały absurdalnych komplementów. Drogi chłopcze, sprawiasz wrażenie zmęczonego, przejdź lepiej do ogrodu i tam odpocznij.

Salter zrobił krok naprzód, lecz Diana zatrzymała go, unosząc palec.

- Czy pan Carr zechce przyjąć moje ramię? - zaryzykowała.

John poczerwieniał.

- To niekonieczne, panno Beauleigh... Mogę...

- Och, ciii! - krzyknęła panna Betty. - Dość tych ceregieli! Di, wyprowadź go na dwór.

Pan Beauleigh już znikł. Jego świat ograniczał się do biblioteki i nie zdarzało się, by ojciec Diany przebywał zbyt daleko od ksiąg. Tym razem skorzystał z okazji i wymknął się chyłkiem, gdy jego siostra nie patrzyła. Odwróciwszy głowę, dostrzegła tylko zamykające się cicho drzwi do biblioteki.

- Twój tata znowu sobie poszedł - zwróciła się do bratanicy. - Co za irytujący człowiek!



Ruszyła za obojgiem do ogrodu i pomogła Cars-taresowi usadowić się na krześle pod wielkim wiązem. Za plecami i pod rannym ramieniem chorego umieszczono poduszki.

- Czy na pewno ci wygodnie? - dopytywała się panna Betty, z niepokojem pochylając się nad podopiecznym.

John zaśmiał się szczerze.

- Bezwzględnie, dziękuję pani. Tylko gdzie pani usiądzie?

- To krzesło załatwi sprawę, a Di spocznie na poduszce - rzuciła jedną z poduszek na trawę - u moich stóp.

- *Mademoiselle*, widzę, że w tej rodzinie wszyscy są rządzeni *żelazną* ręką - zauważył.

- W rzeczy samej, sir. To niesłychanie przygnębiające.

Panna Betty zachichotała i rozwinęła paczkę jedwabnych nici, które rzuciła na kolana bratanicy.

- Kochanie, zlituj się nade mną i spróbuj to rozsypać - poprosiła, wyjmując haft.

- Proszę pozwolić mi sobie pomóc - powiedział John.

Diana wstała i położyła poduszkę przy jego krześle. Następnie uklękła i rozwinęła na kolanach Johna wielobarwne nici.

- Doskonale. Musi pan zachować ostrożność przy rozdzielaniu odcieni różu. Jak pan widzi, tutaj jest różany, tu łososiowy, ciemnoróżowy tu, bladoróżowy tutaj, czerwony zaś... brakuje miejsca... czerwony odłożymy do tego papieru.

- Zrozumiałem - potwierdził Carstares. - Czy pozostałe barwy powinniśmy zostawić w spokoju do czasu uporządkowania różowych nici?

Diana skinęła głową i skoncentrowała się na pracy.

- Drogi chłopcze, czy pan Miles przyjedzie dzisiejszego popołudnia? - zainteresowała się panna Betty.

- Chyba tak. Dobrze, że pani o tym wspomniała, bo zapomniałem, że faktycznie zapowiadał odwiedziny. Panno Beauleigh, protestuję: ta nić w żadnym wypadku nie powinna była trafić na różowy stosik. Jej odcień jest zbyt ciemny.

- Jestem pewna, że nie. Z którą nitką można ją porównać?

Carstares wyciągnął długą nić i przyłożył ją do nitki, którą trzymała w palcach Diana. Oboje niemal zetknęli się głowami. Diana westchnęła.

- Ma pan rację. Teraz dostrzegam różnicę, niemniej jest ona wręcz minimalna.

Panna Betty zwróciła na nich spojrzenie.

- Ależ masz wzrok, chłopcze. Nie dostrzegam najmniejszej różnicy. - Popatrzyła na jedwabne nitki, przewieszane przez nogę Johna.

- Sir - powiedziała nagle Diana. - Chciałabym pana o coś spytać. Chodzi o pewną sprawę, która nie daje mi spokoju.

- Cóż to takiego, panno Beauleigh?

- Proszę powiedzieć, dlaczego nazwał pan Everar-da księciem?

Zapadło krótkotrwałe milczenie. John spojrzał w złościście połyskujące oczy Diany i lekko ściągnął brwi.

- Tak go nazwałem?

- Tak, pamiętam to doskonale. Czy to była tylko... taka figura retoryczna?

- Figura retoryczna... Można tak to ująć, *mademoiselle*. Nie sądzi pani, że ten człowiek prezentuje się imponująco?

- Staram się w ogóle nie przywoływać wspomnień z nim związanych.

Nienawidzę go!

- Kto wie, może niedługo zacznę żałować tego pana Everarda - wyznał John.

Dołeczek znikł.

- Byłoby to odczucie niegodne dżentelmena - zauważyła z przyganą Diana. - Czy pan Everard jest panu znany?

- Z całą pewnością miałem okazję widzieć go wcześniej.

Diana uklękła i ze zdumieniem obserwowała rozmówcę.

- Nie jest pan skłonny odpowiedzieć na moje

pytanie - odrzekła, cedząc słowa. - Proszę o wyjaśnienie: czy Everard to prawdziwe nazwisko tego człowieka?

John z zakłopotaniem obrócił pierścień na palcu. Nie uważał za stosowne ujawniać tożsamości Belmanoira, zwłaszcza że gdyby tak postąpił, pan Beauligh zapewne odszukałby Tracy'ego. Wówczas John również mógłby zostać zdekonspirowany.

- Proszę o wybaczenie, *mademoiselle*, ale skąd ten krzyżowy ogień pytań?

Diana pokiwała głową.

- Podejrzewałam, że pan odmówi odpowiedzi, lecz odkryłam coś, co wprawi pana w zakłopotanie. - Wstała. - Pójdę po to. - Z wdziękiem ruszyła do domu; lord odprowadził ją wzrokiem.

- A teraz ja zadam pytanie. - Głos panny Betty przerwał mu kontemplację młodej damy.

- Bardzo proszę o uwzględnienie mojej słabej kondycji. - John uniósł dłoń. - Czy sądzi pani, że wytrzymam tak silne napięcie?

- Tak właśnie sędzę. Czy dżentelmeni mają zwyczaj podróżować zamaskowani, jak to się panu przytrafiło?

John się roześmiał.

- Nie, milady. Maski na twarzy to konieczność dla dżentelmena zarabiającego na drogach.

Znieruchomiała z igłą uniesioną w powietrzu.

- Cóż mają oznaczać te słowa?

- Jestem pospolitym rozbójnikiem.

Patrzyła na niego przez chwilę, a następnie powróciła do robótki.

- Wyglądasz na takiego, drogi chłopcze.

- Doprawdy, milady? - rzekł zdezorientowany. - Dotąd pochlebiałem sobie, że pod żadnym względem nie nasuwam skojarzeń z bandytami.

- Tylko się z Ciebie śmiałam. Chyba nie sądzisz, że uwierzę w te farmazony?

- Niestety, właśnie tak sędzę. - Westchnął. - Co robić, to szczerą prawdą.

- Och, w rzeczy samej? A na dodatek jesteś przyjacielem pana Milesa O'Hary, sędziego pokoju, oraz pana Everarda?

- Znajomość z tym ostatnim nie daje powodów do dumy - zauważył.

- Może i nie. Moja Di utrzymuje, że to arystokrata ze znamienitego rodu.

- Jak widać, panna Diana to osoba z natury podejrzliwa. Skąd jej to przyszło do głowy?

- Zaraz wszystko się wyjaśni. Di, kochanie, oto pan Carr usiłuje mnie przekonać, że jest rozbójnikiem.

Uśmiechnięta Diana podeszła do nich.

- Podejrzewam, ciociu, że się z tobą drażni. Czy przypomina pan sobie ten przedmiot? - Wręczyła Johnowi szpadę Andovera.

Zaskoczony Carstares wziął broń i spojrzał na rękojeść. Nagle się wyprostował.

- Przecież to jego broń. Byłem pewien, że ta szpada została przy drodze. Czy to możliwe? *Mademoiselle*, czy to pani ją zabrała?

Dygnęła uprzejmie i wybuchnęła śmiechem.

- Zaskoczyłam pana? Zażądał pan broni, od razu więc pomyślałam, że chodzi o ten egzemplarz. Dlatego przywiozłam szpadę do domu.

- To niezwykle zapobiegliwie z pani strony. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś o niej pamiętał. Jestem ogromnie wdzięczny...

- Okaż więc swoją wdzięczność, siadając na miejscu, drogi chłopcze - poradziła mu starsza pani Beauleigh. - Pamiętaj, że dopiero dziś opuściłeś łóżko i uważaj na siebie.

John posłusznie zajął krzesło i obrócił szpadę w dłoniach. Diana oskarżycielsko wskazała palcem połączoną rękojeść.

- A to, sir, bez wątpienia korona.

Lord powiódł wzrokiem za różowym opuszkiem jej palca opartym na herbie Andoverów.

- W rzeczy samej, tak to wygląda - przyznał ostrożnie.

- Poza tym te błyskotki to nie szklane paciorki, tylko prawdziwe brylanty, a tutaj mamy rubin.

- Nie będę polemizował - odparł potulnie.

- Moim zdaniem ten ogromny kamień to szmaragd.

- Zdecydowanie potwierdzam, że to prawda.

- Kosztowna zabawka - oświadczyła i wbiła w Johna surowy wzrok.

- Rzecz ozdobna, zgoda, niemniej to zwykły kawałek stali, jakich widziałem już mnóstwo - odparł lord głucho.

- Bardzo kosztowna zabawka! - powtórzyła Diana stanowczo.

John westchnął.

- Co prawda to prawda, milady. - Po chwil dodał pogodniej: - Może pan Everard ma wyrafinowane upodobania?

- Niewykluczone. Myślę, że pan Everard musi być kimś więcej niż tylko skromnym ziemianinem, skoro gustuje w takich przedmiotach.

Carstares przygryzł wargę, aby zamaskować uśmiech na myśl o skromnym ziemianinie Tracym. Ze smutkiem pokręcił głową.

- Czy zgadza się pani ze mną, że wszedł w posiadanie tej szpady w nieuczciwy sposób?

Dołeczek w jej policzku znikł.

- Sir, odnoszę wrażenie, że drażni się pan ze mną - oznajmiła z godnością.

- Zawstydzona mnie pani.

- Cieszę się, słysząc to. Wnioskuje, że pan Everard jest kimś znaczniejszym niż osoba, za którą się podawał.

- W rzeczy samej, to żalosny łotr, gotowy oszukać damę.

- Chcę wiedzieć, czy mam rację. Zapewne jest on ważnym i bardzo wysoko urodzonym dżentelmenem.

- Zapewniam panią, że pan Everard nie ma w sobie nic z dżentelmena. Panna Betty zachichotała.

- Wystarczy, moja droga. Ta rozmowa prowadzi donikąd, a dręczenie pana Carra świadczy o nieuprzejmości.

Diana się skrzywiła.

- Moim zdaniem wszystko to szyta grubymi nićmi prowokacja. - Oskarżycielsko popatrzyła na rozmówcę.

- Jestem załamany - poskarżył się John, lecz w jego oczach błyszczały wesołe ogniki.

- A teraz pan się śmieje.

- Ależ, *mademoiselle*, pani również. Pokręciła przecząco głową.

- Zatem jestem niepokieszony.

Brazowe oczy zaśniły, a usta Diany rozchyliły się wbrew jej staraniom, by zachować surową minę.

- Och, pan jest komiczny! - zawołała i podniosła się energicznie. - A oto i pan Miles.

O'Hara szedł po trawniku prosto ku nim. Ukłonił się damom i z ciekawością popatrzył na obecnych.

- Czyżbym się spóźnił na dowcip? - spytał.

- Bynajmniej, sir - odparła Diana. - Po prostu pan Carr zachowuje się prowokacyjnie.

- Prowokacyjnie? A co robi?

- Wyjawię całą prawdę, Milesie - wtrącił John.

- Rzecz w tym, że panna Diana jest niebywale wścibska.

- Och! - Diana poczerwieniała ze złości. - Protestuję przeciwko pańskiej nieuprzejmości! A on nie jest żadnym dżentelmenem!

- Właśnie tematu dżentelmenów dotyczyła nasza...

- Klótnia - podsunęła ciotka.

- Wymiana poglądów - poprawił John.

- Wymiana poglądów. - Diana skinęła głową.

- Spytałam, czy pan Everard nie jest przypadkiem znamienitym dżentelmenem, a pan Carr unikał odpowiedzi.

- To potwarz, zaręczam! - krzyknął John. - Powiedziałem tylko, że Everard nie jest dżentelmenem.

- Otóż to. Panie Milesie, przecież to najzwyklejsze unikanie odpowiedzi, prawda?

- Czyżby? Szczerze mówiąc, jestem skłonny zgodzić się z panem Carrem.

- Uważam, że obaj uwzięliście się na mnie! - wykrzyknęła Diana, nawet nie podejrzewając, jak trafne są jej podejrzenia. - Proszę powiedzieć, czy nie jest on przypadkiem arystokratą?

- A skąd John miałby to wiedzieć?

- Jestem pewna, że go zna, a przynajmniej słyszał o nim.

- Proszę posłuchać, panno Di - wtrącił John, posyłając O'Harze ostrzegawcze spojrzenie. - Powiem wszystko na temat pana Everarda i mam nadzieję, że moje słowa panią usatysfakcjonują. - Umilkł, pogrążony w myślach.

- Po pierwsze jest, rzecz jasna, utytułowany... Niech pomyślę... Tak, to książę. Och, z całą pewnością książę... Choć nie jestem pewien, czy z rodziny królewskiej... On...

- Żarty! - krzyknęła panna Betty.

- Pan się z nami droczy - dodała Diana. - Najpierw udaje pan, że nic nie wie o panu Everardzie, a potem opowiada niedorzeczne historyjki na jego temat. Książę, też coś! Chyba naprawdę nic pan o nim nie wie.

Zgodnie z przewidywaniami Carstaresa, nie dała wiary prawdzie.

- On z panią igra - zauważył O'Hara, który z osłupieniem słuchał opowieści Johna. - Ręczę, że nic nie wie o Everardzie. Przyznaj się, John.

- Cóż, to prawda. -John roześmiał się swobodnie.

- Ale... Ale... Powiedział pan...

- Mniejsza z tym, co powiedziałem, panno Di. To podły człowiek.

Popatrzyła na niego z powagą.

- Prawdę mówiąc, jestem dokładnie tego samego zdania.

I w tej samej chwili ponownie ujrzeni dołeczek w jej policzku. Niestety, po chwili znikł, a Diana z ponurą miną popatrzyła na ciotkę i wydeła czerwone usta.

- Pan Bettison - mruknęła przygnębiona.

Na te tajemnicze słowa panna Betty się zachmurzyła i John usłyszał jej zniecierpliwione słowa:

- Niech go diabli!

Spojrzał ku domowi i dostrzegł niskiego, korpulentnego młodego człowieka, który osobliwym krokiem zmierzał w ich kierunku. Carstares pomyślał, że młodzieniec jest dość przystojny, lecz ma zbyt blisko osadzone oczy. Poza tym nie podobały mu się manieri nieznanego. Nie, z całą pewnością takie manieri były nie do zaakceptowania, podobnie jak sposób, w jaki ucałował dłoń Diany.

- Jak to miło ponownie pana widzieć, panie Bettison - oświadczyła panna Betty radośnie. -Minęły wieki od naszego ostatniego spotkania.

- Och, nie, ciociu. - sprzeciwiła się słodko Diana. - Pan Bettison gościł tu całkiem niedawno, jestem pewna. - Cofnęła rękę, którą młodzieniec zbyt długo przytrzymał, i odwróciła się do Johna.

- Panowie się chyba nie znają? - spytała. - Panie Bettison, to pan Carr. Pana Milesa pan zna?

Młody człowiek ukłonił się sztywno i z wyraźną wrogością. Carstares odwzajemnił ukłon.

- Zechce pan wybaczyć, że nie wstaję - oświadczył z uśmiechem. -Jak pan widzi, miałem wypadek.



Bettison nagle wszystko zrozumiał. To ten człowiek uratował Dianę.

Niech go diabli!

- Ach, tak, sir. Chodzi o pańskie ramię, prawda? Na Boga, byłbym dumny z takiej rany.

- W rzeczy samej, dostąpiłem wielkiego zaszczytu. Panno Di, skończyłem rozdzielanie zielonych nici.

Diana ponownie osunęła się na poduszkę i położyła na jego kolanie nową porcję nici.

- Jaki pan szybki. Teraz pora na niebieskie. Bettison patrzył na nich ponuro. Uznał, że jego

nowy znajomy jest najwyraźniej bardzo zżyty z Dianą. Usiadł przy panie Betty i z wyższością zwrócił się do lorda:

- Niech pomyślę, panie... Carr. Zastanawiam się, czy spotkałem pana w mieście? A może u Toma?

Ten wiejski prostaczek pasowałby do Toma, pomyślał John ze złością. Głośno oznajmił:

- To wielce nieprawdopodobne, sir. Kilka lat spędziłem za granicą.

- Och, doprawdy? *Grand tour* po europejskich stolicach, jak mniemam?

Ton pana Bettisona wskazywał na to, że gość nie mówi poważnie.

John się uśmiechnął.

- Nie tym razem - wyjaśnił. - Na wielką wyprawę wyruszyłem siedem lat temu.

Pan Bettison słyszał plotki, że jego rozmówca to zwykły opryszek.

- Doprawdy? Może po Cambridge?

- Po Oksfordzie - poprawił Carstares łagodnie. Przeklęty zuchwalec! - pomyślał pan Bettison.

- Siedem lat temu... W tamtym czasie George musiał być na *grand tour*... Mam na myśli Selwyna, panno Beaulleigh.

Pan Bettison wygłosił następnie garść anegdot z własnej podróży. Widząc, że przyjaciel jest całkowicie zajęty panną Dianą i jej niemi, O'Hara postanowił wziąć na siebie nieprzyjacielski ogień. Uznał, że się pożegna i zabierze ze sobą uciążliwego gościa. Za ten pomysł otrzymał nagrodę w postaci pełnego wdzięczności uśmiechu od Johna oraz przesłany koniuszkami palców pocałunek od panny Di, z którą Miles pozostawał w doskonałych stosunkach.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

### *Panna Diana zachowuje się w sposób nieprzystający damie*

Idylliczne letnie dni szybko mijały. Za każdym razem, gdy John wspominał o wyjeździe, napotykał tak pełen oburzenia i zdecydowany sprzeciw, że pospiesznie się wycofywał i postanawiał zostać jeszcze kilka dni. Rana ramienia cały czas dawała o sobie znać. Wysilek fizyczny natychmiast owocował przenikliwym bólem. Przez większość czasu John przebywał z panną Di na dworze, pomagając jej w pracach ogrodniczych i przy pielęgnacji kurcząt, gdyż Diana była zapalonym hodowcą drobiu na małą skalę. Dodatkowo dbał o rozmaite inne zwierzęta. Jeśli psu Fido doskwierała drzazga w łapie, prowadzono go do pana Carra. Jeśli spanielka Nellie złapała królika, pan Carr doskonale wiedział, co z nim uczynić, podobnie jak ze wszystkimi innymi stworzeniami. Młodzi coraz bardziej zżywali się ze sobą, czemu z pewnego dystansu przypatrywała się dumna z podopiecznej i usatysfakcjonowana panna Betty, a wraz z nią wyrozumiały O'Hara. Ten ostatni wiedział, że jego przyjaciel zaczyna kochać Dianę, choć nie zdaje sobie z tego sprawy, i lękał się chwili, w której John to zrozumie. Ze swoich obaw zwierzył się żonie w bardzo długim i bardzo irlandzkim w duchu liście; nie mógł tego uczynić osobiście, bowiem wraz z małym synkiem przebywała w domu matki w Kensington. Wkrótce otrzymał od żony odpowiedź z sugestią, że powinien nakłonić przyjaciela do odwiedzin, gdyż atrakcje wizyty momentalnie przyćmią wszystko, co ma do zaproponowania panna Diana. Z drugiej strony, lady O'Hara nie rozumiała, dlaczego Miles nie chce, aby jego przyjaciel się zakochał, gdyż, jak doskonale

wie, uczucie to jest niebywale przyjemne. Jeśli tego nie wie, to rzeczywiście należy szczerze ubolewać. Czy kiedykolwiek słyszał o czymś równie cudownym? Synek narysował konia. Tak, naprawdę, konia jak się patrzy! Czyż to nie inteligentne dziecko? Poza tym, czy najdroższy Miles mógłby przyjechać i zabrać ją do domu? Mama jest niesłychanie troskliwa i pragnie gościć ją jeszcze przez kilka tygodni, lecz ona nie może żyć bez męża choćby sekundę dłużej niż to konieczne.

Kiedy O'Hara dotarł do końca listu, odsunął na drugi plan sprawę Carstaresa i jego miłości, aby natychmiast wyruszyć do Londynu zgodnie z mile widzianym wezwaniem.

John stopniowo odkrywał, że jest po uszy zakochany w Dianie. Przypomnił sobie, że nie może poprosić jej o rękę, gdyż jest okryty hańbą, i postanowił natychmiast stawić czoło zaistniałej sytuacji. Musiał niezwłocznie wyjechać. Bez zbędnej zwłoki ruszył do pana Beauleigha, aby powiadomić go o swej decyzji. Na pytanie, dlaczego pragnie tak nagle opuścić Horton, wyjaśnił, że kocha Dianę, a honor nie pozwala mu tego wyjawić. Pan Beauleigh odetchnął głęboko i zażądał wyjaśnienia przyczyn. Carstares wytłumaczył, że zawodowo para się rozbójnictwem. Gospodarz, dotychczas miły i cały w uśmiechach, nagle stał się lodowato uprzejmy. Doskonale rozumiał stanowisko pana Carra i... cóż... tak, aprobował ten tok rozumowania.

Carstares nakazał Jimowi natychmiast spakować bagaże i poinformował go o prawdopodobnym wyjeździe nazajutrz. Ponadto niechętnie powiadomił pannę Betty o swej decyzji. Nie kryła zaskoczenia; była wyraźnie zdezorientowana. Wyobrażała sobie, że pan Carr spędzi z nimi cały czerwiec, tymczasem on ubolewał, że okoliczności zmuszają go do wyjazdu. Dodał jeszcze, że na zawsze zapamiętał jej ogromną dobroć, i miał nadzieję, że mu wybaczy pośpiech.

Kiedy poinformował Dianę o wyjeździe, zrobiła wielkie oczy i się roześmiała, celując w niego palcem.

- Drażni się pan ze mną, panie Carr! - zawołała i pobiegła do domu.

Tamtego wieczoru panna Betty potwierdziła prawdziwość słów Johna. Na widok bólu w spojrzeniu bratanicy rozsądnie zachowała milczenie.

Następnego dnia Diana napotkała Johna w ogrodowej samotni i podeszła do niego zasepiona.

- Naprawdę opuszcza nas pan dzisiaj? - spytała.

- Obawiam się, panno Di, że zachodzi taka konieczność.

- Tak nagle? Zatem wczoraj nie drażnił się pan ze mną?

- Nie, *mademoiselle*. Myślę, że zwlekałem nazbyt długo, nadużywając zarówno pani uprzejmości, jak i przychylności.

- Och, bynajmniej - zapewniła go. - Wręcz przeciwnie. Czy naprawdę musi pan wyjechać?

John zajrzał w jej ogromne oczy, dostrzegł w nich miłość i pobladł. Przekonał się, że nie jest jej obojętny i jego samopoczucie dodatkowo się pogorszyło. Z tego powodu rozstanie stało się bolesne.

- *Mademoiselle*, przy pani trudno mi zapanować nad uczuciami... Na mnie pora.

- Och, tak bardzo żałuję... Pańska obecność sprawiała nam nieopisaną przyjemność. Właściwie... - Diana urwała i zapatrzyła się w kwiaty.

- Właściwie? - ponaglił ją John, nim zdołał się ugryźć w język.

Zaśmiała się cicho i ponownie skierowała na niego spojrzenie.

- Właściwie jest mi przykro, że musi pan wyjechać, rzecz jasna.

Usiadła pod różanym treliazem i zachęcająco poklepała miejsce obok siebie, z sympatią, jaką zawsze okazywała Johnowi. Nie poruszył się; jedną rękę oparł o pień drzewa, drugą bawił się monoklem.

- Panno Di... Wydaje mi się słuszne, że powinienem powiedzieć pani to, co wyznałem pani ojcu, a wcześniej pani ciotce, ale nie uwierzyła. Właściwie nie jestem osobą, za którą mnie tutaj się uważa.

Diana splatała i rozplatała palce, aż wreszcie uznała, że rozumie.

- Och, nie, panie Carr!

- Tak, *mademoiselle*, obawiam się, że właśnie tak. Jestem... zwykłym niegodziwcem. Rozbójnikiem! - podkreślił, nie patrząc na dziewczynę.

- Miałam tego świadomość - powiedziała cicho.

- Wiedziała pani?

- Oczywiście! Pamiętałam, co pan powiedział ciotce Betty.

- Uwierzyła mi pani?

- Zastanawiałam się, czemu był pan w masce - przyznała przeproszającym tonem.

- Niemniej pozwoliła mi pani zostać...

- Jaki pan niemądry! To oczywiste, że nie dbam o to, kim pan jest. Tak dużo panu zawdzięczam.

John odwrócił się twarzą do Diany.

- *Mademoiselle*, zniosę wszystko, ale nie pani wdzięczność. Czy tylko dlatego tolerowała mnie pani przez tak długo?

Zacisnęła palce.

- Dlaczego pan... Czemu...

Ogień w jego źrenicach przygasł. John się wyprostował i przemówił z szorstkością, która ją zaskoczyła.

- Proszę o wybaczenie. Zasłużyłem na baty. Nie powinienem był zadawać tak impertynenckiego pytania. Błagam, niech pani o nim zapomni.

Diana popatrzyła na jego surową minę, na poły zadziwiona i urażona.

- Chyba nie w pełni pana rozumiem.

- Nie ma tu wiele do rozumienia, *mademoiselle*. Po prostu miałem czelność żywić nadzieję, że lubi mnie pani choć trochę także jako człowieka...

Ponownie zerknęła na jego odwróconą głowę i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Och... - Westchnęła. - Och... To okropne być rozbójnikiem - dodała.

- Tak, *mademoiselle*.

- Niemniej z pewnością mógłby się pan nawrócić i rozpocząć uczciwie życie? - spytała prowokacyjnie.

Zbyt mało wierzył sobie, by odpowiedzieć.

- Wiem, że to możliwe. Niech pan tak uczyni!

- To nie wszystko - wykrztusił z trudem. - Jest coś gorszego.

- Doprawdy? - spytała z szeroko otwartymi oczami. - Co jeszcze pan zrobił?

- Kiedyś... - Jak trudno to przechodzi przez gardło! - Kiedyś... oszukiwałem... w karty.

Zamknął oczy, oczekując jej pogardliwej reakcji.

- Tylko raz? - Usłyszał przyciszony głos, pełen podziwu i zachwytu.

Jego powieki gwałtownie się uniosły, odwrócił głowę.

- *Mademoiselle...*

- Szczerze mówiąc, sama oszukuję - wyznała. - Nie miałam pojęcia, że postępuję niegodziwie, choć ciotunia się złości i przysięga, że więcej ze mną nie zagra.

Nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Pani postępowanie nie było ani trochę niegodziwe, drogie dziecko. Nie grywa pani na pieniądze.

- Och, a pan... tak?

- Owszem, droga pani.

- Zatem uczynił pan coś okropnego - przyznała. John stłumił chęć wyznania prawdy.

- Ale... ale... proszę, niech pan nie robi takiej poważnej miny - ciągnęła błagalnym głosem. - Nie wątpię, że miał pan ku temu ważne powody.

- Żadnych.

- A teraz pozwala pan, by ta sprawa niszczyła pańskie życie? - spytała z przyganą.

- Nie mam na to wpływu - oświadczył z goryczą.

- Ach, to szkoda! Jedno potknięcie zmienia wszystko. Niedorzeczność. Pan już doświadczył... brakuje mi słowa... ekspiacji. Tak, o to chodzi. Pan odkupił winy.

- Przeszłości nie da się zmienić.

- To, w rzeczy samej, słuszna uwaga. - Diana pokiwała głową. - Można o niej zapomnieć.

John znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Nie mógł wyznać prawdy i żądać od dziewczyny, by dzieliła z nim hańbę. Musiał samotnie stawić czoło rzeczywistości, a nade wszystko nie wolno mu było uważać się nad sobą. Zdecydował się wziąć na siebie winę Richarda i teraz musiał ponieść konsekwencje tej decyzji. Nie dźwigał na barkach ciężaru, który można zrzucić, gdy stanie się zbyt uciążliwy. Musiał do niego przywyknąć już na zawsze. Wiedział, że przez całe życie będzie samotny. Nigdy nie zmaże hańby. W żadnym wypadku nie miał prawa prosić o rękę tej uroczej dziewczyny, która siedziała przed nim z twarzą naznaczoną smutkiem. Spojrzał na nią z powagą, wmawiając sobie, że nic go to nie obchodzi, bo to tylko wytwory jego wyobraźni. Teraz coś mówiła; skoncentrował się na brzmieniu łagodnego głosu. Usłyszał:

- Czy to zdarzenie można puścić w niepamięć?

- Nie, *mademoiselle*. Nic już nie da się zrobić.

- Naprawdę żadną miarą nie można tego odmienić? - upierała się.

- - Już na zawsze to będzie stało mi na drodze. Ledwie poznawał własny głos. W jego mózgu tłukła się uporczywa myśl: to dla dobra Dicka... dla dobra Dicka. Dla dobra Dicka musisz zachować milczenie. Stanowczo wziął się w garść.

- Na drodze... ku czemu?

- Nigdy nie będę mógł poprosić kobiety o rękę - odparł.

Diana bezwiednie oskubywała kwiat róży z płatków, które jeden po drugim powoli sfruwały na ziemię.

- Nie widzę przeciwwskazań, sir.

- Nie ma powodu, by kobieta dzieliła ze mną hańbę.

- Nie?

- Nie.

- Mówi pan z ogromnym przekonaniem. Czyżby prosił pan o rękę jakąś damę?

- Nie, *mademoiselle*. - Carstares był blady, a Diana czerwona jak piwonია.

- Zatem... - podjęła cichym, nieco chrapliwym głosem. - Zatem... może warto spróbować?

Diana zauważyła, że John nagle zacisnął szczupłą dłoń opartą o pień drzewa, a jego niebieskie oczy pociemniały.

- Albowiem postąpiłem niczym...

- Niczym kto, panie Carr?

- Łotr! Szumowina! Oprych! Druga róża podzieliła los pierwszej.

- Słyszałam, że niejedna kobieta gustuje w... łotrach i... szumowinach, a nawet w oprychach - zauważyła prowokująco. Spod zmrużonych powiek widziała, jak bieleją kostki zaciśniętej mocno dłoni Johna.

- To nie dotyczy damy, którą kocham.

- Och? Czy aby na pewno?

- Bezwzględnie. Musi poślubić mężczyznę o nieposzlakowanej opinii, a nie... bezimiennego wyrzutka, żyjącego z gry w kości i z rabunków.

Wiedział, że jej brązowe oczy lśnią od łez, lecz umyślnie nie spoglądał w tamtym kierunku. Już nie wątpił, że Diana jest mu przychylna. Nie mógł dać do zrozumienia, że lekceważy jej miłość, ani ranić Diany. Musiał zasugerować, że nie może wyznać jej uczuć. Jakże to było trudne, kiedy czuł na sobie jej smutne spojrzenie, a w uszach dźwięczał mu błagalny, drżący głos:

- Czy na pewno musi?

- Tak, *mademoiselle*.



- *Zalóżmy* jednak... Założmy, że jakaś dama o *to* nie dba? Że kocha pana i jest gotowa dzielić z panem hańbę?

Ziemia u jej stóp była usłana purpurowymi płatkami, a róże wokoło kiwały łebkami i tańczyły na lekkim wietrze, który poruszał lokami Diany oraz falbanką jej sukienki. John odwrócił wzrok, bo pokusa chwycenia dziewczyny w ramiona była nie do odparcia. Diana była gotowa oddać mu się, stawić czoło wszystkiemu, co z tym związane, byle tylko z nim być. Innymi słowy, chciała mu ofiarować siebie, a on musiał ją odrzucić.

- To niepojęte, by kobieta poświęcała się w taki sposób - ocenił.

- Poświęcała! - Wstrzymała oddech. - Tak pan to odbiera?

- Jak inaczej?

- Moim... moim zdaniem to nie jest rozsądne, panie Carr. Ponadto... pańskie rozumienie kobiecej psychiki... nie jest w pełni trafne. Kobieta nie musiałaby uważać tego za poświęcenie.

- Dobór słów nie ma znaczenia. Zmarnowałyby sobie życie, a to jest niedopuszczalne.

Róża dołączyła do upadłych sióstr, rozdarta na strzępy drżącymi palcami.

- A gdy kobieta... pokocha pana... czy uczciwe będzie... odrzucenie jej?

Zapadło długotrwałe milczenie, przerwane przez kłamstwo Johna:

- Mam nadzieję, że... z czasem... zapomni o mnie - wyjąkał.

Diana siedziała nieruchomo. Pozostałe róże ocalały; wiatr łagodnie przesuwał płatki u jej stóp, tak lekko, jakby się nimi bawił. Gdzieś w żywopłocie gardłowo i smutno śpiewał ptak, a z zewsząd dochodziły bezustanne tryle i świergotanie. Słońce rozświetlało ogród, lecz dla dwojga ludzi w zielonym azylu światło znikło, a świat pogrążył się w mroku.

- Rozumiem - szepnęła wreszcie Diana. - Biedna kobieta...

- Myślę, że przeklęty byłby dzień, w którym pojawiłbym się w jej życiu.

- Pewnie tak - odpowiedziała z bólem serca. Skłonił głowę.

- Mógłbym tylko żywić nadzieję, że nie miałaby o mnie najgorszego zdania - dodał cicho. - I że znajdzie siłę, by pożałować... także mnie...

Wstała i podeszła do niego, spódnicą łagodnie muskając trawę. Błagalnie wyciągnęła rękę.

- Sir...

John nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć w jej migoczące złotymi połyskami oczy... Musiał pamiętać o Dicku - o swoim bracie Dicku.

Delikatnie chwycił końce palców Diany i złożył na nich pocałunek. Następnie obrócił się na pięcie i pospiesznie odszedł między żywopłoty, ku cichym lasom, z sercem rozognionym namiętnością, buntem i bezsilną furią. Zamierzał iść przed siebie, zupełnie sam, i walczyć z diabłem, który nakłaniał go do wykrzyczenia prawdy i zrzucenia z siebie brzemienia, zapomnienia o obowiązku w imię miłości.

Diana pozostała wśród rozsypanych kwiatów, nieruchoma, ze wzrokiem odartym z nadziei i pełnym bólu.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

### *O'Hara podejmuje decyzję*

Jim Salter złożył jedną z kamizelek pana i umieścił ją w otwartym kufrze. Następnie sięgnął po płaszcz i rozpostarł go na łóżku; zamierzał ułożyć delikatny i gładki materiał tak, aby nie powstała na nim nawet jedna niepotrzebna zmarszczka. Wszędzie wokoło służącego widać było elementy garderoby: koronkowe mankiety i fulary z Mechelen na jednym krześle, jedwabne rajtuzy na drugim, piękne peleryny wisiały na oparciach, w rzędzie, w oczekiwaniu na swoją kolej, stało obuwie wszelkiego typu, na czerwonych obcasach oraz białe buty jeździeckie i kapcie. Peruki przycupnęły kokieteryjnie na poręcznych stojakach, a sterty białych, bawełnianych koszul wystawały z niemal spakowanego sakwojażu.

Jim ostrożnie ułożył płaszcz w kufrze, zastanawiając się, gdzie jest lord John. Cały ranek spędził poza domem, a po powrocie wyglądał tak źle, że Jim

natychmiast się przejął i pożałował, że tak rychło opuszczają Horton House. Niedawno lord przebywał na osobności z gospodarzem; Jim podejrzewał, że obaj panowie nadal są razem. Wyciągnął rękę po kamizelkę, lecz zanim jego palce jej dotknęły, znieruchomiał i podniósł głowę, nasłuchując. Na schodach rozległ się głośny stukot pospiesznych kroków, który po chwili dobiegł z korytarza. Drzwi otworzyły się raptownie, a na progu stanął lord John. Jim z niepokojem spojrzał na zmęczoną twarz pana i z bólem serca zauważył, że jego niebieskie oczy dziwnie błyszczą, a delikatne usta są mocno zaciśnięte. Smukła dłoń drżała na klamce; Jim świetnie wiedział, o czym to świadczy. Najwyraźniej lord był rozdrażniony.

- Skończyłeś?! - warknął.

- Jeszcze nie, sir.

- Wołałbym wyjechać jeszcze w tym roku, nie w przyszłym, miej to więc na względzie, jeśli łaska!

- Tak jest, sir. Nie wiedziałem, że czas tak nagli. Lord nie odpowiedział.

Wszedł do pokoju i powiódł wzrokiem po rozłożonych ubraniach.

- Gdzie mój strój jeździecki? Jim zadrżał.

- Eee... spakowany, sir. Czy życzy pan sobie, abym go wyciągnął?

- Oczywiście, że tak! Twoim zdaniem powinienem jechać w tym, co mam na sobie?

- Sądziłem, że raczej nie pojedzie pan konno.

- A jednak. Szkarłatny strój, natychmiast, proszę. John rzucił się na krzesło przed toaletką i sięgnął po pilnik do paznokci.

Salter z dezaprobatą patrzył na jego odbicie w lustrze i nawet nie drgnął. Po chwili lord się odwrócił.

- I co? Czemu tak stoisz? Nie usłyszałeś, co mówię?

- Tak, sir, słyszałem, niemniej - za pozwoleniem - nie sądzi pan, że to niemądre: jechać dzisiaj konno po raz pierwszy po tak długiej przerwie?

John z całych sił trzasnął pilnikiem w stół.

- Dzisiejszego popołudnia jadę do Horley! - zapowiedział groźnie.  
- To będzie jakieś dwadzieścia pięć kilometrów, sir. Nie lepiej, by pan...  
- Niech cię diabli, Jim, ucisz się! Salter dał za wygraną.  
- Doskonale - mruknął i wyjął żądany strój. - Dopilnuję, by bagaże pojechały powozem, a także osiodłam klacz oraz Petera.

- Żadnego Petera. Jedziesz powozem.

- Nie, sir.

- Co?!

Carstares wbił w Jima przenikliwy wzrok. Widać było, że nie zamierza dłużej certować się ze służącym.

- Zapominasz się, Salter - wycedził lodowato.

- Proszę o wybaczenie.

- Jak zwykle pojedziesz z moimi bagażami. Jim zacisnął usta i zapakował jeden z butów do sakwojażu.

- Rozumiesz?

- Rozumiem doskonale, sir.

- Zatem to już ustaliliśmy.

- Nie.

Monokl Johna wypadł mu z oczodołu.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Proszę o wybaczenie, ale nie pozwolę, by pan jechał samotnie, gdyż pańska rana ledwie się zagoiła. - Jim mówił cicho i bez cienia impertynencji, za to z ogromną determinacją.

- Nie pozwolisz, co? Wydaje ci się, że jestem dzieckiem?

- Nie, sir.

- A może nie umiem zadbać o siebie?

- Myślę, że jest pan słabszy, niż się panu wydaje.

- Ach, tak uważasz? Jim podszedł bliżej.

- Pozwoli mi pan jechać ze sobą, prawda? Nie będę panu wchodził w drogę, mogę trzymać się z tyłu, ale nie pozwolę, by wyruszył pan samodzielnie. Mógłby pan zemdleć...

- Zapewniam cię, że nie będę miłym towarzyszem podróży - oznajmił Carstares i zaśmiał się ponuro.

- Jak rozumiem, jest coś, co pana kłopotczy. Czy pozwoli mi pan jechać? Lord gniewnie ściągnął brwi, ale nagle ustąpił.

- Jak chcesz.

- Dziękuję, sir. - Salter powrócił do pakowania. Zapiął jeden z sakwojaży i postawił go przy drzwiach, a następnie pospiesznie spakował następny. Sterty ubrań stopniowo się kurczyły, aż wreszcie znikły. Wtedy służący podszedł do szafy, z której wyciągnął okazałe naręczne żakietów oraz spodni.

John przez dłuższą chwilę patrzył przed siebie, zupełnie obojętny na otoczenie. Potem wstał, podszedł do okna i znieruchomiał, odwrócony plecami do pokoju. Przez pewien czas spoglądał w dal, aż wreszcie powrócił na krzesło. Jim obserwował go dyskretnie i zauważył, że spojrzenie lorda złagodniało. Teraz jego pan sprawiał wrażenie tak wyczerpanego, jak nigdy dotąd.

Carstares przez chwilę w milczeniu oglądał paznokcie i w końcu powiedział:

-Jim?

- Słucham?

- Zamierzam... wkrótce wyjechać za granicę. Gdyby Carstares oznajmił, że jest ładny dzień, jego

uwaga zrobiłaby na służącym podobne wrażenie.

- Kiedy wyjeżdżamy?

John popatrzył na służącego i uśmiechnął się krzywo.

- Też się wybierasz, Jim?

- Z panem pojedę wszędzie.

- A co z tą panną w Fittering?

Salter oblał się rumieńcem i wymamrotał coś bez ładu i składu.

- Drogi przyjacielu, od kiedy jestem ślepy? -John się zaśmiał. - Sądziłeś, że nic nie wiem?

- Ale... sir... ja... tak... sir.

- To jasne, że wiedziałem! Czy możesz ją opuścić, żeby ze mną pojechać?

- Nie mógłbym opuścić pana, żeby z nią zostać.

- Na pewno? Nie chcę, byś postępował wbrew sobie.

- Kobiety to nie wszystko, sir.

- Tak sądzisz? Może nie wszystko, ale z pewnością... bardzo dużo - oświadczył ze smutkiem arystokrata.

- Ogromnie lubię Mary, ale ona wie, że muszę panu towarzyszyć.

- Naprawdę? Pytanie, czy postąpisz wobec niej uczciwie. Szczerze mówiąc, nie jestem skłonny ponownie wlec cię przez cały kontynent.

- Chyba mnie pan nie zostawi? Nie mógłby pan tego uczynić. Przecież nie myślał pan poważnie o wyjeździe beze mnie? Ja... do tego nie dopuszczę!

- Obawiam się, że mimo wszystko zabiorę cię z sobą. Gdybyś jednak zmienił zdanie i postanowił zostać, daj mi znać.

- Tak jest, sir. Gdybym zmienił zdanie. - Salter uśmiechnął się ironicznie.

- Jestem dość samolubny, by wierzyć, że nie zmienisz zdania. Chyba nikt inny nie zniósłby mojego fatalnego usposobienia. Pomóż mi się przebrać, dobrze?

- Nigdy nie zmienię, sir. Co do usposobienia... Zupełnie, jakbym się nim przejmował.

- Jesteś wspaniałym człowiekiem. Moje spodnie. Dziękuję.

Ściągnął jedwabne spodnie i wsunął nogi w białe, skórzane bryczesy.

- Jim, nie te buty. Daj drugą parę. -John oparł się o stół, palcami stukając w oparcie krzesła.

Ktoś zapukał do drzwi. John zmarszczył brwi i dał znak Jimowi, który podszedł do wejścia i ostrożnie nacisnął klamkę.

- Jest twój pan? - dobiegł dobrze znany głos, na którego dźwięk twarz Carstaresa się rozpoznała. Salter zszedł gościowi z drogi.

- Wejź, Milesie!

Postawny Irlandczyk nie dał się długo prosić. Na progu rozejrzał się po zabałaganionym pokoju. Uniósł brwi na widok butów jeździeckich i pytająco popatrzył na przyjaciela.

John pchnął stopą krzesło.

- Siadaj, druhu. Sądziłem, że jesteś w Londynie.

- Byłem. Wczoraj przywiozłem Molly do domu i dowiedziałem się, że dzisiejszego popołudnia opuszczasz Horton.

- Tak?

- Nie zamierzam dać ci uciec tak, jak to zrobiłeś poprzednio, przybyłem więc, żeby się przekonać, jak stoją sprawy. John, jesteś stanowczo za sprytny.

- Bez względu na to, co się stanie, zamierzałem cię odwiedzić.

- To jasne. Właśnie teraz to zrobisz i u mnie zostaniesz.

- O, nie!

O'Hara położył na stole kapelusz i szpicrutę, a następnie westchnął i wyprostował nogi.

- Ależ zeszywniałem. Jim, na dole czeka bryczka, możesz więc znieść bagaż, kiedy tylko będziesz gotowy.

- Jim, zostaw go tam, gdzie jest. Milesie, to niesłychanie życzliwie z twojej strony, niemniej...

- Daruj sobie te przemowy, Johnie. Już podjąłem ostateczną decyzję.

- Ja również. Naprawdę nie mogę...

- Mój chłopcze, zostaniesz z nami, aż całkiem wydobrzejesz, nawet jeśli będę musiał palnąć cię w łeb i nieprzytomnego zawieźć do domu.

W oczach Johna pojawił się wesoły błysk.

- Straszliwa groźba. Nie roztkliwiajmy się jednak nad byle draśnięciem. Już jestem zdrów jak ryba.

- Nadal wyglądasz nie najlepiej. Nie, Johnie, przestań się chmurzyć. To na nic, jestem zdecydowany postawić na swoim.

Jim cicho zamknął za sobą drzwi, a Carstares pokręcił głową.

- Milesie, naprawdę nie mogę. Przecież doskonale wiesz, że to niemożliwe.

- E tam! Nikt, kto bywa w Thurze House, cię nie zna ani nic o tobie nie wie. Nie musisz się z nikim spotykać, ale musisz przyjechać.

- Ależ, Milesie...

- Nie bądź głupi! Chcę cię ugościć, podobnie jak Molly. To nie jest pułapka, nie rób więc wystraszonej miny.

- Nie robię. Szczerze mówiąc, jestem ci ogromnie wdzięczny, niemniej nie mogę. Niemal natychmiast wyjeżdżam za granicę.

- Co?

- Tak. Mówię poważnie. O'Hara się wyprostował.

- A więc nadeszła ta chwila. Wiedziałem, że to się stanie.

- Co masz na myśli?

- Odkryłeś, że kochasz pannę Di.

- Absurd!

- A ona ciebie.

John uważnie popatrzył na przyjaciela.

- Ejże, wiem, że jestem pozbawionym taktu grubianinem, a moje maniery są koszarne, bo usiłuję skruszyć mur, który wokół siebie wzniosłeś. Powiadam ci jednak, druhu, przykro mi, kiedy trzymasz mnie na dystans. Nie chcę na siłę starać się o twoje zaufanie, ale, na litość boską, nie traktuj mnie tak, jakbym był kompletnie obcym człowiekiem!

- Wybacz, Milesie. Trudno jest zaufać komuś po tylu latach samotności. - Nie przerywając rozmowy, John zawiązał fular. - Skoro chcesz znać prawdę, jadę z powodu Diany.

- To jasne. Kochasz ją?



- Wszystko na to wskazuje, prawda?  
- Czemu, u licha, nie poprosisz jej o rękę?  
- Dlaczego? Bo nie ofiaruję jej okrytego hańbą nazwiska. Bo kocham ją tak, że... - John wybuchnął nerwowym śmiechem. - Jak możesz zadawać mi takie pytanie? Jestem godną uwagi *parti, bein? Nom d'un nom!* Za kogo mnie uważasz?

O'Hara spokojnie obserwował zagniewane oblicze przyjaciela.

- Honorowy młody osioł - zadrwił.

John ponownie zaśmiał się krótko i z irytacją.

- Zatem powinienem ją poprosić o rękę, tak? „*Mademoiselle*, ma pani przed sobą rozrzutnego osła: zacząłem życie od oszukiwania w karty, a od tego czasu...” Och, wkrótce sam w to uwierzę! Powiedziałem to tyłu ludziom... Poza tym narażam się na impertynencje... - Ugryzł się w język, pomyślawszy o rozmowie przeprowadzonej z panem Beauleighem.

- Nonsens - zaprotestował Miles.

- Bynajmniej. Mam tylko jedną zaletę. Jedyną.

- Rany, aż jedną? Jaką? John zaśmiał się z goryczą.

- Dość dobrze się ubieram.

- I nieźle fechtujesz, o ile mnie pamięć nie myli.

- To jeszcze jeden powód, by machnąć na mnie ręką. Jaka kobieta poślubiłaby fechtmistrza? Och, dobry Boże! Sprawilem, że moje życie jest tak pogmatwane... - Usiłował się roześmiać, lecz dał za wygraną.

- Podejrzewam, że panna Di byłaby skłonna.

- Z tego względu nie poproszę jej, by się poniżała.

- Drogi Johnie, zdaje się, że zapominasz, że jesteś hrabią Wyncham.

- Ładny hrabia! Nie, dziękuję, Milesie. Syn Richarda będzie hrabią, nie mój.

O'Hara walnął pięścią w stół.

- Niech czarci porwą Richarda i jego syna! Lord sięgnął po wysadzaną drogimi kamieniami

szpilę i wbił ją w fular. Przyjaciel powiódł za nim rozzłoszczonym wzrokiem.

- Ponownie ukryłeś się w swojej skorupie? - burknął.

Carstares lekko przechylił głowę, zastanawiając się, jak prezentuje się szpila. Potem podszedł do O'Hary.

- Drogi Milesie, rzecz w tym, że nie sposób mnie zadowolić. Sam muszę wypić piwo, które nawarzyłem.

- A może jednak zdradzisz mi, kto pomógł ci w warzeniu?

Carstares usiadł i przystąpił do wciągania buta.

- Przewiduję, że nie minie dużo czasu, a skoczmy sobie do gardeł - zapowiedział pogodnie. - Powinienem nadmienić, że dzisiaj poinformowałem pana Bealeigha o mojej... profesji.

Zaskoczony Miles zapomniał, że jest zirytowany.

- Chyba nie zdradziłeś mi, że jesteś rozbójnikiem?! - wykrzyknął.

- Owszem, zdradziłem. Czemu nie?

- Czemu nie? Czemu nie? Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Czyś ty oszalał, człowieku? Zamierzasz każdą napotkaną osobę informować o tym, kim jesteś? Tyś kompletnie postradał rozum!

Carstares westchnął.

- Obawiałem się, że nie zrozumiesz.

- Zrozumienie ciebie wymagałoby umiejętności czarnoksiężnika. Jeszcze jeden rycerski impuls, nie wątpię?

- Rycer... Nie. Po prostu nie mogłem znieść, że uważał mnie za szlachetnego dżentelmena. Spokojnie przyjął moje wyznanie, a teraz okazuje mi lodowatą uprzejmość.

- Uprzejmość! Mam nadzieję. Stary strach na wróble - i to po tym, jak uratowałaś jego córkę. Czy dlatego tak się zdenerwowałaś?

Carstares nie krył rozbawienia.

- Byliśmy sami - wyjaśnił. - Widzisz... on pouczył mnie... och, w sposób całkiem uprzejmy... o niestosowności mojego postępowania i... to było bolesne.

- Dobrze, że teraz zatrzymasz się u mnie, skoro twoja obecna sytuacja jest taka a nie inna.

Lord otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz surowe spojrzenie przyjaciela skłoniło go do ich zamknięcia.

- Chciałbyś coś dodać? - zainteresował się O'Hara, a w jego spojrzeniu było widać ukrytą groźbę.

- Nie, druhu - odparł John potulnie.

- Przyjedziesz?

- Zgoda.

O'Hara aż podskoczył z radości.

- To rozumiem. Mądry chłopak. A tak się bałem, że odmówisz. Włóż drugi but, a ja tymczasem znajdę twego sługę. - Pospiesznie opuścił pokój i udał się na poszukiwania Jima, który przewidział wynik batalii i już ładował sakwojaże na bryczkę.

Pół godziny później, pożegnawszy się z gospodarzami, Carstares i O'Hara wyruszyli do Thurze House; Jim z bagażami podążył za nimi bryczką.

Przez pewien czas panowie podróżowali w milczeniu, jeśli nie liczyć zdawkowych uwag na temat pięknego dnia i wypoczętej klaczy. Umysł Carstaresa, o czym doskonale wiedział jego przyjaciel, skupił się na tym, co pozostawili za sobą. Rozstanie z Dianą przebiegło w sposób całkiem zwyczajny; dziewczyna w żaden sposób nie okazała, że John jest dla niej kimś więcej niż tylko przygodnym znajomym. Carstares odniósł wrażenie, że jest traktowany wyniośle, "wręcz oziębłe. Dłoń Diany, gdy ją całował, była pozbawiona życia i chłodna, uśmiech nieobecny i odległy. Przytrzymał jej rękę odrobinę dłużej, niż nakazywały reguły dobrego wychowania. Obawiał się, że zbyt mocno przycisnął dłoń ukochanej do ust, i zastanawiał się, czy to zauważyła. Nie mógł wiedzieć,

że jeszcze długo po tym, jak znikł z pola widzenia, Diana nadal czuła na skórze jego pocałunek. Również nie mógł widzieć, że dziewczyna namiętnie całuje każdy palec z osobna, by mieć pewność, że jej usta dotkną miejsca, którego on dotykał. Gdyby miał o tym wszystkim pojęcie, być może odjeżdżałby z lżejszym sercem.

Prawdą jest, że Diana zamknęła się w sobie, nieco urażona męskim ślepym uporem, jak to nazywała w myślach. Otworzyła przed Johnem serce, by czytał w nim niczym w księdze; ofiarowała mu się tak jednoznacznie, jakby mówiła słowami mniej ogólnikowymi niż te, których użyła w ogrodzie; stoczyła desperacki bój o własne szczęście, odrzucając wszystkie wątpliwości, związane z panięską skromnością, a kiedy później dotarło do niej, co zrobiła, i usiłowała sobie wyobrazić, co John musiał o niej pomyśleć, momentalnie poczerwieniała i w myślach zgaśniła się za brak należytej dumy i manier. Przerazona, że ukochany uzna ją za nieskromną, przytłoczona nagłym wstydem, zachowywała się wobec Johna chłodniej, niż zamierzała. Mimo oziębłości miała ogromną nadzieję, że on wyczuje jej miłość, a także wszystko to, co chciałyby mu przekazać. Kręte są ścieżki, którymi podążają kobiece myśli.

Jakże John mógł zrozumieć rozdarcie ukochanej, nie będąc istotą obdarzoną kobiecą percepcją ani intuicją? Wiedział tylko, że sprawił jej ból i że zamknęła się w sobie do tego stopnia, że może już nigdy się przed nim nie otworzy. Nie potrafił jej zrozumieć, skoro ona sama nie w pełni pojmowała, co się z nią dzieje.

Rozmyślając o tym, jak szybko dosięgła ich miłość, John doszedł do wniosku, że może ona równie prędko zniknąć, przynajmniej z serca Diany. Był dość uczciwy, aby nie kryć przed sobą, iż to ostatnie, czego pragnie. Sama myśl o obojętności Diany lub - co gorsza - jej wizja u boku innego mężczyzny sprawiły, że mocniej zacisnął dłonie na wodzach.

O'Hara obrzucił przyjaciela dyskretnym spojrzeniami. Zastanawiał się, czy wytrzyma trudy podróży. Na tyle dobrze znał niezłomność Carstaresa, by

wierzyć, że tak się stanie, lecz obawiał się, że przy jego osłabieniu wysiłek może być zbyt intensywny.

Niezwykle rozsądnie zrezygnował z prób wyrwania Carstaresa z rozmyślań. W ciszy mijali łąki porośnięte wysoką do kolan trawą, wkrótce gotową do ścięcia, z widocznym szybko wschodzącym szczawiem i makami; długie alejki rozdzielały rzędy żywopłotów, ciągnących się na wzgórzach i w dolinach. Przez cały czas dwaj przyjaciele zachowywali milczenie.

Wreszcie O'Hara postanowił trzymać się nieco z tyłu, by obserwować Johna, ale nie sprawiać wrażenia natręta. Przeszło mu przez myśl, że jeszcze nigdy nie widział u niego tak ponurej miny. Wąskie brwi Johna niemal stykały się nad nosem, przedzielone tylko dwiema cienkimi bruzdami. Usta były zaciśnięte, broda lekko wysunięta do przodu, oczy zaś, wpatrzone w przestrzeń, najwyraźniej wszystko widziały, lecz nic nie dostrzegały. Jedna dłoń spoczywała na biodrze, zaciśnięta na szpicrucie, druga machinalnie kierowała klaczą.

O'Hara zorientował się, że podziwia grację przyjaciela, jego wyprostowaną sylwetkę i doskonałe ułożenie.

Nagle, jakby wyczuwając na sobie spojrzenie, John odwrócił głowę i popatrzył Milesowi w oczy. Nieznacznie wzruszył ramionami i można było odnieść wrażenie, że ten gest podziałał na niego mobilizująco. Zmarszczone czoło się wygładziło, usta ozdobił uśmiech.

- Wybacz, Milesie. Nieuprzejmy ze mnie kompan.

- Może doskwiera ci ramię - zasugerował O'Hara taktownie.

- Nie... Ledwie pamiętam o ranie. Nic mnie nie usprawiedliwia. To moje złe maniery oraz kiepskie usposobienie.

Od tej chwili John postanowił dbać o rozrywkę przyjaciela i choć jego śmiech był wymuszony, intelekt Johna wystarczał, by O'Hara przez parę kilometrów dobrze się bawił.

Gdy dotarli do Thurze House, Carstares był niebezpiecznie blady, a między jego brwiami pojawiła się nowa bruzda - tym razem świadcząca o bólu.

Mimo to powitał lady O'Hare z należytą elegancją i wygłosił pod jej adresem co najmniej trzy zręczne i zabawne komplementy, nim przyjaciel wziął go stanowczo pod rękę i zaprowadził do pokoju, gdzie John mógł spokojnie odpocząć i nabrać sił przed obiadem.

Wkrótce dołączył do nich Jim, ogromnie zadowolony z nowego otoczenia i zachwycony stajnią Jenny. Bez zastrzeżeń zaakceptował O'Hare i mimo początkowej zazdrości o Johna, uznał go za przyjaciela. Poza tym nie krył zadowolenia, że jego pan przebywa w gościnnym domu, a nie błąka się po drogach.

O piątej, gdy rozległ się gong, Carstares zszedł po schodach, dostojny i elegancki w srebrzysto-złotym fraku, zdecydowany okazywać stosowną do okazji pogodę ducha, zupełnie jakby nie istniała Diana, która wywróciła jego życie do góry nogami.

Nie na darmo przez długie lata toczył zmagania ze światem. Przez ten czas nauczył się ukrywać uczucia pod maską nonszalancji, ani przez moment nie zdradzać cierpienia i sprawiać wrażenie beztroskiego. Szkoła życia okazała się tak dobra, że nawet O'Hara się zastanawiał, skąd znakomity humor u jego przyjaciela po tym, czego doświadczył. Pani domu nie kryła zachwyty gościem, podziwiała jego prezencję, subtelne, dworskie maniery, słowem od razu padła ofiarą uroku Johna.

Obserwujący ich O'Hara skonstatował z satysfakcją, że jego wybredna żona jest szczerze zainteresowana gościem. Było to nie lada wyróżnienie, trudno bowiem ją było zadowolić. Wielu znajomych męża traktowała obojętnie, a niekiedy wręcz z ostentacyjnym chłodem.

Na koniec posiłku Molly oznajmiła, że udaje się na spoczynek, zastrzegając, iż obaj panowie nie mogą siedzieć zbyt długo nad winem, a Miles powinien zadbać o wygodę przyjaciela.

O'Hara podsunął druhowi karafkę.

- Mam wiadomości, które, śmiem twierdzić, bardzo cię zainteresują -  
rzekł.

Carstares skierował na niego pytające spojrzenie.

- Tak, tak. Wiedz, że ksiązę Andover udał się do Paryża.

- Mniemam, że wolał pozostać w cieniu po naszej awanturze.

- Nie jestem przekonany, czy ten człowiek w ogóle dopuszcza możliwość  
pozostawania w cieniu.

- Pewnie znasz go lepiej niż ja. Sam oceń.

- Zatem jestem pewien, że nie zamierza wycofać się z życia publicznego.  
Zawsze musi być na widoku. Wielki pan. Niech go diabli wezmą! John nie krył  
zaskoczenia.

- Skąd te emocje? Czyżby kiedyś wszedł ci w drogę?

- Wszedł w drogę mojemu przyjacielowi, to wystarczy.

- Czuję, że chodzi o coś jeszcze.

- Prawdę mówiąc, wiem, że ten człowiek wszedł w paradę także Dickowi.

Carstares odsunął kieliszek i nadstawił ucha.

- Dickowi? Jak to?

O'Hara sprawiał wrażenie, jakby żałował, że w ogóle podjął ten temat.

- Och... nie darzę go współczuciem.

- Co Tracy zrobił Dickowi?

- Nic nadzwyczajnego. Tylko tyle, że on i jego brat ładaco usiłują go  
oskubać.

- Robert?

- Andrew. Niewiele wiem o Robercie.

- Andrew. Ależ on był dzieckiem...

- Teraz jest dorosły i rozrzutny jak mało kto. Zdaje się, że Dick spłaca ich  
długi.

- Niech to diabli! Czemu?

- Bóg jeden wie! Podejrzewam, że wskutek nacisków Lavinii. Wszyscy wiedzieliśmy, że właśnie z tego powodu Tracy skojarzył was z tą dziewczyną.

- Absurd! Sami się w to wpakowaliśmy. Ona ledwie przyjechała ze szkoły.

- W tym rzecz. A czyja to była robota, jeśli nie Tracy'ego?

Carstares oparł ręce na stole, zaciskając palce na nóżce kieliszka do wina.

- O jak poważne długi chodzi?

- Tego nie wiem. O całej sprawie dowiedziałem się przypadkowo.

Belmanoirowie nigdy nie potrafili zachować umiaru.

- Nikt z nas nie potrafił. Milesie, nie bądź dla nich zbyt surowy. Rzecz jasna, doskonale wiedziałem, że posiadłość Belmanoirów jest obciążona długiem hipotecznym, ale nie znam jego wysokości.

- Ja też jej nie znam, lecz pieniądze Dicka nie idą na spłacenie wierzycieli, tylko na hazard i kobiety.

- Taaak. -John zrobił posępną minę. - Pewnego dnia chyba będę musiał rozliczyć Tracy'ego.

Miles milczał.

- Ciekawi mnie, jak Dick daje sobie radę bez moich pieniędzy?

- Nie wiem. - Ton O'Hary sugerował, że ta kwestia go nie obchodzi.

- Mam nadzieję, że sam się nie zadłużył - rozmyślał głośno Carstares. -

Wystarczy, że tkwi po uszy w jednym bagnie. Chciałbym go przekonać do przyjęcia dochodu z posiadłości. - Zachmurzył się i postukał palcami o blat stołu.

- Pewnie, to w twoim stylu - ponownie zacząć robić to samo co kiedyś! - wybuchnął O'Hara. - Na litość boską, daj temu człowiekowi spokój i przestań się martwić o żalosego łotra, który skrzywdził cię bardziej niż...

- Milesie, nie zamierzam pozwalać ci mówić tak o Dicku! Nic nie rozumiesz.



- Rozumiem dostatecznie dużo. Postępujesz zbyt wyrozumiale.

Zakończmy wreszcie tę farsę. Wiem to równie dobrze, jak ty: oszukiwał Dick! To idiotyczne, że pragniesz ofiarować mu własne pieniądze po tym, jak on pozbawił cię honoru i wszystkiego innego!

Carstares spokojnie popijał wino w oczekiwaniu, aż gniew Milesa wygaśnie. Wkrótce O'Hara się uspokoił i patrzył ze smutkiem na przyjaciela. Po chwili John wybuchnął śmiechem.

- Och, Milesie, pozwól mi postępować wedle własnego uznania. Wiem, że masz ze mną krzyż pański. - Nagle spoważniał. - Nie chcę, żebyś tak surowo oceniał Dicka. Znasz mojego brata dość dobrze, by rozumieć, co go doprowadziło do obecnego stanu. Wiesz, że był rozrzutny i często tonął w długach. Czy nie możesz wybaczyć mu chwilowego szaleństwa?

- To jedno potrafiłbym mu puścić płazem, jednak nie przymknę oka na nieopisaną podłość, z jaką kazał ci wziąć na siebie winę.

- Kochał Lavinie...

- Ty też.

- Nie tak głęboko. W moim wypadku chodziło jedynie o chłopcę namiętność, dla niego sprawa była poważna.

O'Hara nie skomentował słów przyjaciela, tylko mocno zacisnął wargi.

- Postaw się na jego miejscu - zasugerował John.

- Gdybyś...

- Dziękuję. - O'Hara zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Nie, Johnie, w tej kwestii nie osiągniemy porozumienia, lepiej więc dajmy sobie spokój. Nie powinieneś się przejmować Dickiem. Moim zdaniem nie jest zadłużony.

- Czyżby uśmiechnęło się do niego szczęście na wyścigach i...

O'Hara uśmiechnął się ponuro.

- Dick to teraz zupełnie inny człowiek. Nie interesują go konie wyścigowe i nie gra w karty, chyba że musi ze względów towarzyskich.

- Dick nie gra! Co zatem robi?

- Zarządza twoimi posiadłościami i prowadzi żonę na bale. Gdy przebywa w mieście, mieszka w twoim domu - dodał z goryczą.

- Cóż, nikt inny nie może z niego korzystać. Trudno mi jednak wyobrazić sobie Dicka w roli przyzwoitego obywatela.

- Łatwo o przyzwoitość, kiedy zło już się dokonało, takie jest moje zdanie.

John puścił tę uwagę mimo uszu. Na jego ustach błąkał się uśmiech.

- Dalibóg, Milesie, to niesłychanie komiczne. Ja, swego czasu człowiek racjonalny, teraz jestem utracjuszem: grywam w kości, uprawiam hazard, a na domiar złego rabuję. Dick, na którego wszyscy machnęli ręką, został wzorowym obywatelem. Wiedzie pobożne i prawomyślne życie, a okradają go krewni żony. W ostatecznym rozrachunku chyba niespecjalnie mu zazdroścę.

- Przynajmniej bardziej korzystasz z życia niż on. - O'Hara uśmiechnął się szeroko. - Nie masz wyrzutów sumienia, które by cię dręczyły.

Twarz Carstaresa nie zdradzała, o czym myśli. Dotknął ust chustką i się uśmiechnął.

- Jak powiedziałeś, bardziej cieszę się życiem. Co do wyrzutów sumienia, jestem innego zdania.

O'Hara popatrzył na przyjaciela, który siedział na krześle odwrócony bokiem, z ręką przerzuconą przez oparcie mebla.

- Obrazisz się, jeśli zadam ci pytanie?

- Pewnie, że nie.

- Czy zamierzasz powrócić do rabowania?

- Nie.

- Zatem czym się zajmiesz?

- Prawdę mówiąc, Milesie, tej kwestii jeszcze nie ustaliłem. Los zadecyduje, nie ja.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Pan Bettison się oświadcza*

Pan Bettison zupełnie przestał rozumieć zachowanie Diany. Niegdyś urocza i pogodna, teraz stała się apatyczna, wręcz oziębła. Błądziła daleko myślami podczas jego najciekawszych opowieści i dwukrotnie zapomniała roześmiać się po jego wyjątkowo dowcipnych uwagach. Wyczuł, że patrzy na niego z niechęcią, jakby protestowała przeciwko jego obecności w Horton House i nie miała chęci na zaloty. Pan Bettison był jednak zbyt wielkim egoistą, by w to uwierzyć, natychmiast więc odrzucił tę niewiarygodną myśl. Uznał, że chłód Diany wynika z nieśmiałości. Nie zaprzestał wizyt, w końcu prawie każdego dnia hałaśliwie stukał do drzwi i dopytywał się o pannę Beauleigh. Pan Beauleigh, który w skrytości ducha widział pana Bettisona jako swego zięcia, nie pozwalał paniom wykręcać się od spotkań, a nawet poradził panie Betty, by po pewnym czasie wycofywała się dyskretnie i zostawiała młodych samych. W rezultacie Diana była zmuszona przyjmować natrętnego gościa i wysłuchiwać jego niekończących się monologów. Uparcie prawiała mu uszczypliwości, w nadziei na odsunięcie w czasie nieuchronnych oświadczeń; jednak albo jej ironia była nazbyt subtelna, albo Bettison miał zbyt grubą skórę, aby ją wyczuć. Po dwóch tygodniach od wyjazdu pana Carra poprosił wybrankę o rękę. Młoda dama odmówiła mu z całą stanowczością, lecz on wziął jej odmowę za kokieterię i nasilił zaloty z taką pewnością siebie, że panna Di uniosła się gniewem.

- Sir! - krzyknęła. - Najwyraźniej błędnie ocenił pan mój stosunek do pańskiej osoby!

Pan Bettison był oszołomiony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Diana mogłaby go odrzucić. Nie wierzył własnym uszom. Usiadł, ciężko oddychając.

- Zmuszona jestem nalegać, by zaprzestał pan przesadnie częstych wizyt w moim domu - ciągnęła Diana. - Proszę, niech pan nie posądza mnie o nieuprzejmość, lecz takie prześladowania mojej osoby

- jakże inaczej to nazwać - są wyczerpujące, oraz, przepraszam za słowo, niesmaczne.

- Niesmaczne! - zawołał pan Bettison, gdy odzyskał głos po dwóch lub trzech nieudanych próbach.

- Panno Diano, czy pani słowa są przemyślane? Nie wyjdzie pani za mnie?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Tak, panie Bettison, wszystko się zgadza.

- A moje starania są pani niemiłe! Proszę, proszę! Proszę, proszę!

Diana nieco złagodniała.

- Naprawdę mi przykro, że nabrał pan błędnego przekonania...

- Nie nabrałem- prychnął jej adorator. Błyskawicznie tracił panowanie nad sobą. - Jest pani gotowa potwierdzić, że nigdy nie zachęcała mnie do wizyt?

- Z całą stanowczością!

- Och, wiem, w czym rzecz. Nie zwiedzie mnie pani. Było całkiem inaczej przed przybyciem tego osobnika.

- Zupełnie nie rozumiem, do czego pan zmierza. Proszę wyjść, nim powie pan coś, czego potem pożałuje.

Bettison nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie.

- Jest pani zauroczona tym zniewieściałym bawi-damkiem, tym niezdolnym człowiekiem o nazwisku Carr. Słyszałem, że to typ o podejrzanym reputacji i...

Diana gwałtownie wstała i tak energicznie szarpnęła sznurem dzwonka, że w całym domu rozległ się donośny sygnał.

Stała nieruchomo, niczym uosobienie pogardy, wysoka, piękna i wzburzona, z zaciśniętymi ustami i wysoko uniesioną głową. Pan Bettison milczał i nerwowo ocierał czoło, spoglądając na Dianę.

W drzwiach pojawił się zdezorientowany Thomas.

- Czy pani dzwoniła? .

- Wskaż panu Bettisonowi drogę do wyjścia - przykazała służce wyniośle.

Gość podniósł się z zakłopotaniem.

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niezgodnego z prawdą -

wymamrotał. - Mam nadzieję, że nie zrozumiała pani moich słów opacznie...

- Spróbuję puścić w niepamięć pańskie zniewagi - oświadczyła Diana. -

Thomasie, wyprowadź pana.

Pan Bettison wyszedł, a stukot jego kroków wydawał się znacznie mniej buńczuczny niż wcześniej.

Drzwi frontowe się zamknęły, lecz Diana jeszcze przez jakiś czas stała nieruchomo. Nagle oblała się rumieńcem, odwróciła i wybiegła z pokoju. Popędziła po schodach do swojej sypialni, a tam wybuchnęła płaczem. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi oraz głos panny Betty, która koniecznie chciała wiedzieć, czy bratanica jest w środku.

Diana momentalnie wstała i pospiesznie poprawiła zmierzwione loki.

- Proszę wejść! - zawołała dziarsko w swoim mniemaniu. Zaczęła nucić pod nosem, aby dopełnić iluzji. Drzwi się otworzyły i na progu stanęła ciotka.

- Przyszłam sprawdzić, czy nie masz mojego haftu - wyjaśniła. - Nie mogę go znaleźć, a jestem pewna, że przyniosłaś go dzisiaj rano z ogrodu.

- Tak... tak, najmocniej przepraszam. Leży na krześle w kącie - wyjaśniła Diana, nie patrząc na ciotkę.

Panna Betty zerknęła uważnie na bratanicę i usiadła na kanapie z miną osoby, która zamierza zostać na dłużej.

- W czym rzecz, kochanie? - spytała. Diana udawała, że szuka czegoś w szafie.

- W niczym, ciociu. Czemu pytasz?

- Tego nie wiem i właśnie chcę się dowiedzieć - wyjaśniła panna Betty łagodnie.

- Zapewniam cię, że nie masz powodów do obaw.

- Na potwierdzenie swoich słów Diana roześmiała się z przymusem.

Nieudana próba zakończyła się jednak szlochem.

- Moje maleństwo, co się stało? Płaczesz?

- Neeee... wcale nieee... - chlipała Diana, nerwowo poszukując chusteczki.

- Po prostu od trzech dni cierpię na przeziębienie.

- Doprawdy, kochanie? Obawiam się, że dłużej.

- Tak... chyba tak... Więc... Co masz na myśli?

- Cokolwiek ci dolega, złapałaś to w dniu wyjazdu pana Carra.

Diana drgnęła.

- Ależ, ciociu, nie opowiadaj takich niedorzeczności.

- To nie są niedorzeczności, kochanie. Chodź, usiądź obok mnie i opowiedz wszystko po kolei

- zachęciła ją ciotka.

Diana się zawahała i pociągnęła nosem, po czym zajęła miejsce na kanapie. Panna Betty objęła bratanicę ramieniem.

- Już dobrze... Nie płaczemy, kochanie... Co się stało?

- Wszystko przez tego odrażającego pana Bet-tisona! - załkała Diana. - On... miał czelność poprosić mnie o rękę!

- Nieprawdopodobne, moja droga. Usłyszałam, że przyjechał. Zatem odesłałaś go z kwitkiem?

- Tak, lecz wcześniej zdążył mnie obrazić.

- Obrazić? Ciebie?

- Miał śmiałość., insynuować... Och, nie! Oskarżył mnie wprost o to, że jestem zauroczona panem Carrem. Zauroczona!

Panna Betty popatrzyła nad głową bratanicy w lustro, na odbicie własnej twarzy.

- Zwierzę! Ale, rzecz jasna, to prawda? Milczenie.

- Nieprawda? Diana załkała głośniej.

- Naturalnie... naturalnie, że to prawda, ale jak.. lak śmiał to powiedzieć?

- Di, kochanie, naprawdę kochasz tego chłopca?
- Oświadczyłam mu się, a on... on odmówił.
- Boże przenajświętszy! - Panna Betty była szczerze zbulwersowana. -

Moja kochana Diano.

- Nie... nie wprost, ale... ale zrozumiał... i on... on mnie kocha. Jutro oświadczyłabym mu się ponownie, gdybym mogła... wszystko jedno, czy to przyzwoite, czy nie... Teraz już wiesz.

- Tak, tak - uspokajała ją panna Betty. - Opowiedz mi resztę.
- Już wiesz wszystko. On mnie kocha... naprawie... naprawdę...
- Wyznał ci miłość?

- Nie... Ale się domyśliłam. Kocham go - załkała - i prędzej umrę, niż zgodzę się bez niego żyć. A on mi się nie oświadczy, bo jego przeszłość nie jest nieskazitelna, zachowałby się podle, same okropień-stwa, a mój mąż nie może być... wyrzutkiem i... i... i nic mnie to nie obchodzi.

Oszołomiona panna Betty usiłowała się domyślić, na czym polega problem.

- Zachowałby się podle, gdyby poprosił cię o rękę? - spytała ze ściągniętymi brwiami.

- Tak, bo jest rozbójnikiem.
- Rozbójnikiem! Więc to, co powiedział, było prawdą? Proszę, proszę...

Nigdy bym nie pomyślała. Taki miły chłopiec.

Diana odsunęła się i obrzuciła pannę Betty groźnym spojrzeniem.

- Ciotuniu, nie waż się powiedzieć o nim złego słowa!
- Nie, nie, skąd. Gdzież by tam. Tylko mnie to zdumiało. Cieszę się jednak, że nie poprosił cię o rękę.

- Cieszysz się? Jak możesz być tak okrutna?
- Kochanie, żadną miarą nie mogłabyś wyjść za... za...
- Pospolitego opryszka - chlipnęła Diana. - Mogłabym. Mogłabym.

- Bóg jeden wie, czego jeszcze się dopuścił. Dziecko drogie, on sam podkreślił, że jego przeszłość jest... skalana.

Słyszając to, Diana zachichotała przez łzy.

- A to dopiero. Co ci znowu doskwiera, Di?

- On... on nigdy nie użył słowa „skalana”. Panna Betty uśmiechnęła się niepewnie.

- Wobec tego: wątpliwa. Wątpliwa przeszłość.

- Nie wierzę! Ciotka ściągnęła usta.

- I nie uwierzę! Nie mógłby być niegodziwcem. Zapominasz, że mnie uratował - przypomniała Diana.

Panna Betty złagodniała.

- Nie, kochanie, wcale nie zapominam. Uważam go za wspaniałego chłopca, lecz sądzę też, że słusznie postąpił, odchodząc.

Diana z całych sił objęła ciotkę.

- Ciotuniu, wiesz, że go kochasz niemal równie mocno jak ja?

- Nie, nieprawda! - padła surowa odpowiedź. - W przeciwieństwie do ciebie, nie robiłam do niego słodkich oczu.

Diana ponownie zachichotała przez łzy i podeszła do toaletki, żeby poprawić fryzurę.

- Pewnie już nigdy go nie zobaczę. - Westchnęła przygnębiona. - Och, ciotuniu, gdybyś mogła widzieć jego cudowne oczy.

- Głupstwa pleciesz. Akurat! Nigdy go nie zobaczysz?! Spotka się z nami w mieście. Tak nakazuje zwykła uprzejmość.

- Zapominasz, że mówimy o rozbójniku. Raczej rze zbliży się już do nas.

- Moja kochana, jeśli jesteś bliska jego sercu, wówczas z pewnością znajdzie przyzwoite zajęcie. Może wstąpi do armii, czemu nie? Poczekajmy cierpliwie, to się przekonamy.

- Tak uważasz? - powątpiewała Diana.



- Oczywiście, kochanie. Jeżeli nie spróbuje wyjść na ludzi i już nigdy go nie ujrzysz, to trudno. Machniesz na niego ręką, słonko, bo dowiedzie, że nie jest wart twoich łez.

Diana westchnęła i naląła sobie wody, by przemyć Twarz.

- Czy to nie rozsądna propozycja? - dopytywała się ciotka.

Diana podniosła głowę i się skrzywiła.

- Moim zdaniem ta propozycja jest całkiem niedorzeczna - odparła i naraz opadły z niej resztki godności. - Och, czy wszyscy mężczyźni są tacy głupi?! - wykrzyknęła.

- Większość. - Panna Betty pokiwała głową.

- Ale czy on nie widzi, jak bardzo mnie unie-szczęśliwia? Nie wie, że jeśli za niego wyjdę, wcale nie zrujnuję sobie życia?

- Moja droga, kiedy mężczyzna wbije sobie coś do głowy, nawet sam diabeł mu tego z niej nie wybiję. Zwróć jednak uwagę, że moim zdaniem John postępuje słusznie. Twój tata i ja chcieliśmy dla ciebie czegoś więcej.

Ostatecznie, kim jest pan Carr?

- Jedynym mężczyzną, którego mogłabym poślubić. Z tego względu przestań pragnąć dla mnie czegoś więcej. Podejrzewam, że chciałabyś mnie widzieć u boku tego wielkiego prostaka, sir Denisa Fabiana, którego bezustannie zapraszasz. A może szarmanckiego pana Bettisona? Albo pana Everarda? Jak możesz być tak nieczuła?

- Nie jestem. Nie mogłabym jednak patrzeć spokojnie, jak marzysz o rozbójniku, kochanie.

Diana podbiegła do panny Betty i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Najdroższa ciotuniu, wybac mi nieuprzejmość. Wiem, że nie chciałaś być nieczuła. Nie rozumiesz jednak: ja go kocham.

- Zawsze powtarzałam, że źle to przyjmiesz. - Panna Betty ponuro pokiwała głową.

- Co przyjmę źle?

- Miłość. Żaden mężczyzna nie jest wart łez kobiety, słonko.

Ciotka z zaskoczeniem spojrzała na nieoczekiwanie odmienioną bratanicę, która śmiała się cicho, z czułością.

- Nie wiesz tego - powiedziała Diana. Jej oczy były łagodne i lśniące. - Po prostu tego nie wiesz.

Zanim panna Betty wymyśliła stosowną odpowiedź, rozległo się pukanie do drzwi. Diana otworzyła, na korytarzu stał Thomas.

- Na dole czeka lady O'Hara - oznajmił. Obie kobiety przez moment patrzyły na siebie.

- A niech mnie! - wymamrotała panna Betty. -I to wtedy, gdy w salonie taki bałagan.

Diana skinęła, głową do służącego.

- *Zejdziemy*, Thomasie. - Gdy się wycofał, natychmiast ponownie skierowała wzrok na ciotkę.

- Lady O'Hara tutaj! Tylko po co?

- Pewnie uznała, że musi się pokazać, gdyż do niedawna pan Miles często nas odwiedzał. Dlaczego jednak, na litość boską, musiała wybrać akurat dzień, kiedy w salonie zapanował nieporządek? Do czorta!

Diana przypudrowała noskę i niespokojnie sprawdziła, czy plamy po łzach już zniknęły.

- Wcale nie ma tam nieporządku, ciotuniu. Ach, taka jestem jej ciekawa. Musi być urocza, skoro pan Miles tak ciepło się o niej wyrażał. Pospieszmy się.

Ciotka Betty wsunęła szpilkę we włosy i wygładziła suknię.

- I w dodatku mam na sobie tę starą taftę.

- powiedziała.

Diana odwróciła się, a przy tym zaszeleściła jej brzoskwiniowa jedwabna suknia.

- Mniejsza z tym, ciotuniu, wyglądasz cudownie. Pospieszmy się - powtórzyła.

Panna Betty dała się zaprowadzić do drzwi.

- Łatwo ci mówić, kochanie, skoro włożyłaś zupełnie nową suknię.

Popatrz na mnie.

- Absurd, wyglądasz pięknie. Chodź!

Razem zeszły po schodach i wkroczyły do salonu.

Elegancka, drobna kobieta wstała z krzesła, by je powitać, i podeszła bliżej z szeroko rozpostartymi ramionami i tak uroczym uśmiechem, że zły humor starszej pani znikł bez śladu. Na głębokie dygnięcie gościa zareagowała jednym ze swoich najżyczliwszych ukłonów.

- Z niekłamanym zachwytem witam panią w naszych progach - uprzejmie powitała nowo przybyłą. - To miło, że zechciała pani pokonać taką drogę, aby nas odwiedzić.

Podsunęła gościowi krzesło i przedstawiła bratanicę. Lady O'Hara rzuciła Dianie krótkie, lecz badawcze spojrzenie i ponownie dygnęła.

- To prawdziwa przyjemność wreszcie panią poznać, panno Beauleigh. - Uśmiechnęła się. - Mój mąż tak wiele mi o pani mówił, że przyznaję, nie mogłam się doczekać tego spotkania.

Dianę natychmiast ujął wdzięk drobnej kobiety.

- W rzeczy samej, milady, także my sporo słyszałyśmy o pani od pana Milesa. Naprawdę zapragnęłyśmy poznać panią osobiście.

Lady O'Hara usiadła i skinęła głową.

- Podejrzewam, że opowiadał o mnie same okropieństwa - oznajmiła pogodnie. - Pragnę z całego serca przeprosić za to, że dotąd pań nie odwiedziłam, lecz zapewne wiadomo paniom, że wyjeżdżałam. Gdy wróciłam, wydało mi się, że w domu nic nie było na swoim miejscu. - Zaśmiała się, patrząc na pannę Betty. - Panno Beauleigh, zaklinam się, że miałam pełne ręce roboty z przywracaniem stosownego ładu.

Panna Betty przysunęła krzesło i już po chwili panie toczyły zajmującą pogawędkę. Wspominały o niesłychanej rozrzutności służby, bezradności

mężczyzn pozostawionych bez opieki, o Londynie, tamtejszych sklepach, parkach, o najnowszym spektaklu.

Lady O'Harze zaproponowano skosztowanie cennej herbaty bohea, własności panny Betty. Było to prawdziwe wyróżnienie. Kiedy pan Beauligh wszedł do pokoju, ujrzał siostrę i córkę oraz ładną, energiczną damę, której wcześniej nie widział. Po-grążone w ożywionej dyskusji panie raczyły się herbatą i bezami. Na ten widok pan Beauligh pospiesznie zrejterował i zaszył się w bibliotece.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

*Lady O'Hara stawia na swoim*

Lady O'Hara z nieskrywaną surowością popatrzyła na drzemiącego męża, który wyciągnął się w fotelu w cieniu wielkiego dębu, podczas gdy kilka kroków dalej ona zajmowała się robótkami. Oczy Milesa były zamknięte, usta otwarte. Molly zmarszczyła brwi i zakaszła. Bynajmniej nie starała się zachowywać cicho, co odniosło oczekiwany skutek - jej mąż zamknął usta i uniósł ciężką powiekę. Molly momentalnie zrobiła lekko zasmuconą minę, popatrzyła na męża z przyganą i przemówiła, zirytowanym tonem:

- Doprawdy, nie uważam, byś postępował uprzejmie. Drzemiesz, kiedy pragnę z tobą porozmawiać.

O'Hara pospiesznie otworzył drugie oko.

- Co mówisz, najdroższa, przecież nie spałem. Ja tylko... rozmyślałem.

- Tak twierdzisz? Czy zwykle rozmyślasz z rozchylonymi ustami, chrapiąc?

O'Hara podskoczył.

- Zaklinam się, że nie chrapałem! - krzyknął.

- Molly, drażnisz się ze mną w sposób niegodziwy.

- Milesie, jesteś dużym dzieckiem. - Nie pozostała mu dłużna. - Masz gaśienicę na peruce. Strasznie się przekrzywiła.

- Gaśienica? - spytał O'Hara, zdezorientowany.

- Nie, głuptasie, peruka. Lepiej sama ją poprawię.

- Wstała i nachyliła się nad mężem, ułożyła perukę jak należy, a następnie zdjęła gąsienicę za pomocą dwóch liści. Potem ucałowała męża w czoło i usiadła jego stóp. - Po pierwsze, nie spytałeś mnie, gdzie ryłam przez całe wczorajsze popołudnie.

O'Hara został starannie przeszkolony i doskonale wiedział, czego oczekuje od niego małżonka. Natychmiast zrobił niezwykle zainteresowaną minę.

- Dokąd to się wybrałaś, moja droga?

- Z wizytą do panny Beauleigh i jej bratanicy

- odparła i popatrzyła na niego triumfalnie i nieco wyyzywająco.

- Akurat!

- Ależ tak, drogi mężu. Wiedziałam, że coś wisi w powietrzu, i przypomniałam sobie, że w liście do mnie napisałeś, że John pokochał Dianę. Postanowiłam osobiście wybadać sytuację.

Miles posłał żonie spojrzenie pełne miłości i zara-zem irytacji.

- Doprawdy, kotku?

- A tak. Odkryłam, że ona go kocha tak samo jak on ją. To oczywiste.

- Oczywiście?

- Kto mógłby się oprzeć Johnowi? Jest tak niebywale uwodzicielski, że sama chętnie bym za niego wyszła.

Pochyliła głowę, żeby ukryć łobuzerski uśmiech, który pojawił się na jej ustach.

- Słucham? - spytał zaalarmowany O'Hara. Molly kreśliła palcem wzory na jego kolanie.

- Gdybym, rzecz jasna, nie była już twoją żoną, Milesie.

O'Hara dostrzegł jednak uśmiech. Westchnął ciężko i oświadczył grobowym głosem:

- Zawsze pozostaje rzeka, droga żono.

Palec Molly znieruchomiał, a dłoń odsunęła się gwałtownie od kolana O'Hary.

- Milesie, to nie był udany żart. Zachichotał i pociągnął lok Molly.

- Pewnie. Przyznaj jednak, że się o niego prosiłaś.

- W żadnym wypadku. Co do Johna, mój drogi...

- Sądziłem, że cały czas o niego chodzi.

- Milesie, czy wreszcie się uciszysz i skupisz?

- Tak, kochanie.

- Doskonale. Jak nadmieniłam, wczorajszego popołudnia pojechałam do Littledean i poznałam tam panny Beauleigh.

- Co o nich sądzisz?

- Diana jest przepiękna. Te oczy, Milesie! Te włosy! Panna Beauleigh to osoba przyjazna i taka zabawna. Poczęstowały mnie herbatą i poruszyłam temat Johna...

- Na litość boską, tylko nie mów, że wymieniłaś nazwisko Carstares?

- Skąd, przerośnięty głuptasku. Oczywiście, że nie. Panna Beauleigh przypadkowo pierwsza o nim wspomniała i nazwała go „panem Carrem”. Poszłam za jej przykładem. Zwróciłam uwagę, że Diana nie chce o nim rozmawiać, a jeśli już, to wyraża się o nim wyjątkowo chłodno. Oczywiście ten fakt utwierdził mnie w przekonaniu, że go kocha.

O'Hara był wyraźnie zdezorientowany.

- Kochanie, skąd mogłaś mieć pewność w tej materii, skoro Diana nie rozmawiała z tobą o Johnie?

- Mój drogi, tego nigdy nie zrozumiesz, gdyż jesteś mężczyzną. Nie ma to jednak znaczenia: wiem, co mówię. Polubiłam Dianę i postanowiłam porozmawiać z nią na osobności. Dlatego wyraziłam podziw dla róż, a ona zaproponowała, że oprowadzi mnie po ogrodzie. Właśnie tego pragnęłam. Wyszliśmy razem i myślę, że przypadłam Dianie do gustu, gdyż...

- Absurd!

- Bądźże cicho, Milesie! Gdyż znikł otaczający ją mur. Słowem, zaczęła mi okazywać sympatię. Przyznaję, dużo mówiłam.

Lady O'Hara wyczuła, że mąż poruszył się niespokojnie i usłyszała stłumiony kaszel. Pytająco uniosła brwi.

- Tak, słucham?

- Nic kochanie, zupełnie nic. Kontynuuj opowieść. Nadmieniałś, że...

- Że dużo mówiłam. - Zamilkła i popatrzyła wyzywająco na męża, a następnie uśmiechnęła się i pochyliła głowę. - Nie powiem ci wszystkiego, co mówiłam.

Przerwało jej głębokie westchnienie ulgi.

- Jeśli nadal będziesz się zachowywał w tak niedopuszczalny sposób, nie pisnę już ani słowa na żaden temat. - Upewniwszy się, że mąż nie zamierza z nią polemizować, ciągnęła: - Odbyłyśmy długą rozmowę i ze wszystkiego, co zostało powiedziane oraz przemilczane, wywnioskowałam, że z nedorzecznych względów John nie oświadczył się Dianie.

- Nedorzecznych względów, kochanie? - przerwał O'Hara.

- Och, wiem, że uważasz jego racje za absolutnie zasadne, niemniej powiadam ci, traktowanie biednej dziewczyny w taki sposób to zwykłe okrucieństwo. Zupełnie jakby miało dla niej znaczenie, że jest rozbójnikiem.

- W moim mniemaniu nie chodzi tylko o to. Przede wszystkim...

- Tak, ale mógłby ją zapewnić o swojej niewinności... Och, Milesie, nie patrz na mnie tak prowokująco. Mam rację i tyle. Ręczę, że gdybyś mnie potraktował w podobny sposób, nie dałabym ci spokoju tak długo, aż okazałbyś skruchę. Zamierzam porozmawiać z Johnem.

- To się zapowiada bardzo interesująco, moja droga, lecz pamiętaj, by go nie urazić.

- On po prostu nie rozumie pewnych spraw. Wiem, że Diana byłaby szczęśliwa jako jego żona...

- Uważasz, że w obecnej sytuacji John postąpiłby słusznie, prosząc ją o rękę?

- Ja... Och, sama nie wiem.

- Nie, kochanie. John ma rację: najpierw musi odzyskać dobre imię.

- Wobec tego, na litość boską, czemu tego nie robi! - wykrzyknęła Molly z irytacją.

- Widzisz, słonko, nie masz co liczyć na zrozumienie tej sprawy. Jesteś przecież tylko kobietą - odparł jej mąż złośliwie

Lady O'Hara zignorowała tę prowokację.

- Co więc należy uczynić?

- Nic. Sam będzie musiał o siebie zadbać. Jakiś czas temu zobowiązał mnie do dyskrecji; gdyby tego nie zrobił, z pewnością porozmawiałbym z Richardem.

- Nie cierpię Richarda! - zawołała Molly. - Z pewnością jest samolubnym i niedobrym człowiekiem. A teraz John zaklina się, że musi niemal natychmiast wyjeżdżać... Och, gdybyś widział rozpacz na twarzy Diany, kiedy wspomniałam, że jej ukochany ponownie udaje się za granicę. Milesie, powinniśmy zatrzymać go tutaj tak długo, jak się da. Och! Wszystko to ogromnie mnie martwi.

Przerwała, kiedy O'Hara ostrzegawczo uścisnął jej dłoń. John zmierzał ku nim przez trawnik.

- Przybywam okryty wstydem - oznajmił. - Zostałem w domu z waszym srogim dziećciem, Molly, i żeby je uciszyć, dałem mu paciorki, które zostawiłaś na stole.

- Moje cenne indyjskie paciorki z drewna!

- Tak, chyba tak. Niestety, farba się pokruszyła i odpadła, a gdy wróciła Jane, chłopiec wyglądał tak, jakby cierpiał na jakąś potworną chorobę. Jane nie kryła irytacji. - John usiadł na pustym krześle Molly i starannie wytarł z palca wskazującego zieloną plamkę.



Molly wybuchnęła śmiechem.

-Biedna Jane. Będzie miała sporo roboty z doprowadzeniem go do porządku. Przybywasz jednak

w niezwykle odpowiednim momencie. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

O'Hara odchrząknął i zmarszczył brwi.

— Doprawdy? - zainteresował się John. - Pochlebiacie mi. Mogę spytać, czego dotyczyła rozmowa?

— Otóż nie chcemy, żebyś wracał do Francji. O'Hara ponownie chrząknął.

— To bardzo miło z waszej strony. Sam żałuję, że wyjazd jest konieczny.

- Czy na pewno konieczny? Równie dobrze możesz zamieszkać w przyjemnym miejscu w okolicy. Jakaś gospodarna starsza pani prowadziaby ci dom, Jim pozostałby przy tobie i... mógłbyś liczyć na mnóstwo rozrywek. John pokręcił głową.

— Nie. dziękuję.

— Tak. taki A potem znalazłbyś sobie żonę - ciągnęła śmiało.

— Akurat. Nie miałbym żadnego wyboru; musiałbym poślubić gospodarną starszą panią. Zmusilibyście mnie do tego.

Molly się zaśmiała.

— A teraz poważnie, Johnie, nie mógłbyś osiąść w okolicy?

— Na pewno nie ze starszą panią, Molly.

- Mniejsza z nią. Nie rozważyłbyś tej możliwości?

Nikt nie musiałby o tym wiedzieć. Właściwie nie ma potrzeby, żebyś kogokolwiek widywał... Och, Johnie! Nie rób takiej miny. Milesie, czyż on nie jest komiczny?

- Ależ, kochanie, jego życie rysuje się w ciemnych barwach. - O'Hara zachichotał.

- Już rozumiem, Molly. Przejrzałem was. Chcecie zrobić ze mnie pustelnika i zmusić mnie do małżeństwa z gospodynią. Protestuję.

Molly spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Johnie, czy naprawdę protestowałbyś przeciwko takiemu życiu?

- Droga Molly - oznajmił uroczyście - pod koniec pierwszego tygodnia znalazłabyś w ogrodzie moje zwłoki.

- Oczywiście, tego bym nie chciała. - Westchnęła. - Nie wiem jednak, co jeszcze moglibyśmy dla ciebie uczynić. Och, a *propos*. Wczoraj pojechałam do Littledean... Milesie kochany, zechcesz przynieść mój kapelusz? Już dłużej nie wytrzymam, słońce...

- Przesuniemy się głębiej w cień - odparł mąż stanowczo.

- Ach, tak! To bez znaczenia, ale słyszałam, że Brown chciał z tobą rozmawiać o nowym koniu roboczym...

- Molly, to cudownie, że o tym pamiętasz, lecz niedawno spotkałem Browna.

Lady O'Hara dała za wygraną.

- Jak więc mówiłam, Johnie, udałam się z wizytą do Horton House. Diana jest tak piękną dziewczyną, że brak mi słów.

Carstares usiłował wymyślić składną odpowiedź, lecz nic mu nie przyszło do głowy, tylko więc wymamrotał coś nieobowiązująco.

- Tak. Obie panie przesyłają ci najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrażają nadzieję, że lepiej się miewasz. Ojej, ależ tu duchota! Czy mógłbyś służyć mi ramieniem podczas spaceru po ogrodzie? A może przyniesiesz mi kapelusz? Zostawiłam go w sieni, tak sędzę. Dziękuję ogromnie.

Zaczekała, aż John oddalił się na tyle, by mogła swobodnie rozmawiać z mężem, i oznajmiła:

- Milesie, posłuchaj. Musisz tutaj zostać. Nie zrobię nic pochopnego.

- Molly, nie pozwolę, byś go niepokoiła...

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Zamierzam skłonić go do pozostania tutaj i rezygnacji z wyjazdu za granicę. Jestem pewna, że coś się zdarzy, jeśli przekonamy go do zmiany planów.

- Co się zdarzy?

- Coś!

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Mam przeczucie.

- Niech będzie, słonko. Jeżeli zdołasz nakłonić Johna do rezygnacji z wyjazdu, masz moje błogosławieństwo.

- Nie wątpię, że szykuje się pierwszorzędną zabawę - oznajmiła i cofnęła się o krok. - Och, dziękuję, Johnie. - Założyła kapelusz i położyła dłoń na ramieniu Johna. - Leniwy Miles ponownie zamierza uciąć sobie drzemkę. Tak bardzo nie lubię, kiedy chrapie, że najlepiej oddalmy się jak najdalej, na przykład do ogrodu różanego.

- Nie wyprawiajcie się aż tam — mruknął Miles i zamknął oczy - bo się zmęczycie.

- Pozwalasz mu na tak drwiące uwagi? - spytał John, czekając, aż Molly wytrząśnie kamyk z buta.

- Zazwyczaj nie - odparła. - Korzysta z okazji, kiedy ty tutaj jesteś.

Miles oberwał kamykiem, a Molly odeszła z Johnem.

Gdy tylko zniknęli za zakrętem porośniętej po obu stronach krzewami ścieżki, lady O'Hara przystąpiła do ofensywy.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o Milesie - wyznała. - Cały czas chodzi przygnębiony.

- Doprawdy? Powiem szczerze, że nie zauważyłem.

Pomyślała, że ona również nie, lecz ciągnęła niezrażona:

- A jednak jest załamany.

- Z jakiego powodu?

- Z twojego - odparła i westchnęła z żalem. - Przytłacza go perspektywa twojego wyjazdu. Dobrze to wyczuwam.

- Ale czemu...

- Nie tracił nadziei, że pozostaniesz z nami na dłużej. Przyznam, że i ja na to liczyłam...

- Jesteście oboje bardzo mili, lecz...

- Nie mam pojęcia, jak sobie poradzę z Milesem po twoim wyjeździe. Tak bardzo się cieszył na twoją wizytę...

- Molly...

- W rzeczy samej niesłychanie rozczarowała nas informacja o twoich zamiarach. Może jeszcze prze-myślisz swoje postanowienie?

- Molly, nie wiem, co powiedzieć... Jakże to, miałbym zostać tutaj na stałe?

- Gdybyś tylko chciał. Nie masz pojęcia, ile radości byś nam sprawił. Gwarantuję ci, że Miles popadnie w chorobę, jeśli będziesz tak bezduszny.

- Och, Molly, ty łotrzyco...

Nie zdołała ukryć uśmiechu, lecz niemal natychmiast wzięła się w garść.

- Johnie, mówię poważnie.

- I co, niby że Miles zamartwia się o mnie i z tego powodu jest bliski choroby? Wstyd!

- Może nie jest tak tragicznie - przyznała. - Niemniej jest bardzo poruszony... i, och! Szkoda, że tak nas unieszczęśliwiasz. - Przytknęła do oczu chusteczkę, lecz jednocześnie przez cały czas zerknęła na Johna. - Nasz synek cię pokochał. I Miles tak bardzo cieszy się z ponownego spotkania... I ja cię lubię... To byłoby naprawdę nieuprzejme i niemile, gdybyś teraz wyjechał, nie mówiąc już o tym, że postąpiłbyś nierozsądnie.

- Mówisz poważnie, Molly? Naprawdę czuję się jak niewdzięczny gbur, odmawiając...

Momentalnie odsunęła chustkę od oczu.

- Zatem po prostu przestań odmawiać. Zostaniesz? Obiecuj.

- Nie znajduję słów, aby wyrazić wdzięczność...

- Och, kochany Johnie. Do jesieni. Obiecuj!

- Molly, naprawdę...

- Obiecay, bo się rozplaczę!

- Nie mogę. Jakże miałbym żerować na waszej gościnności przez tak...

- Bzdury, Johnie! Tak jakby Miles nie siedział miesiącami w Wyncham, kiedy byliście chłopcami...

- To co innego.

- ... kiedy byliście chłopcami, a teraz jesteś tak dumny, że nie chcesz pozostać z nami na trzy żalosne miesiące...

- Nie, nie, Molly! To nie tak!

- Przyznaj, gdyby Miles był kawalerem, to byś się nie wahał?

Milczał skonfundowany.

- Widzisz! Tylko dlatego, że ma żonę, jesteś pyszny i nie chcesz się zgodzić. Czujesz, że nie mógłbyś mieszkać ze mną pod jednym dachem...

- Przysięgam, że to nieprawda!

- Zatem czemu odmawiasz? - dociekała.

- Molly... naprawdę... Ja... - Urwał i wybuchnął śmiechem. - Ty mała spryciario, brak mi słów.

- Więc zostaniesz, jak proszę?

- Czy jesteś absolutnie pewna...

- Bezwzględnie.

- Dziękuję, zostanę. Nie wiem, jak mam wyrazić wdzięczność. Kiedy się mną zmęczycie, dajcie znać.

- Tak się stanie - obiecała. - Och, będziemy się świetnie bawić! Co za radość dla Milesa. A właśnie - ciągnęła pogodnie - na środę zaprosiłam panny Bealeigh, lecz, niestety, nie mogły nas zaszczyścić swoją obecnością. Może innego...

Zamilkła, nieco przestraszona, gdyż John położył jej ręce na ramionach, tak jak to czasem robią starsi bracia.

- Posłuchaj mnie, Molly. Wiem, że odkryłaś, iż kocham Dianę, i mam świadomość, że pragniesz dla nas tego, co najlepsze, i dlatego chcesz nas skojarzyć. Pamiętaj jednak, że twoje postępowanie nie będzie miało nic wspólnego z dobrocią, za to wiele z okrucieństwem wobec nas obojga. Jeśli będziesz nakłaniała Dianę do przyjazdu tutaj, zmusisz mnie do wyjazdu. Rozumiesz?

Molly popatrzyła mu w oczy. Jej usta zadrżały.

- Tak... tak mi przykro - wyjąkała. John ponownie wziął ją pod rękę.

- Nie ma powodu - zapewnił. - Naprawdę, jestem ci wdzięczny za to, że starasz się mnie uszczęśliwić, niemniej nie rób tego.

- Dobrze, obiecuję, że nie będę. Ale... ale czy na pewno jesteś całkiem uczciwy wobec...

- Molly, powiedz mi: czy dobra żona może okazywać mężowi nieposłuszeństwo?

Błękitne oczy błysnęły. Lady O'Hara uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Johnie?

- Czyżby Miles nie zabronił ci poruszania tego tematu w rozmowie ze mną?

Odsunęła rękę, a jej usta otworzyły się bezgłośnie.

- To... to... to... po prostu okropne! - krzyknęła i potrząsnęła w jego kierunku pięścią. - Idę!

Później odnalazła męża w bibliotece i natychmiast rzuciła mu się w ramiona.

- Możesz mnie mocno przytulić? - spytała. - Zostałam... zostałam zapędzona w kozi róg.

- Co? - O'Hara posadził ją sobie na kolanie.

- Tak... Nie dosłownie, rzecz jasna. Przez Johna. Myślę, że chyba jednak nie chciałabym za niego wychodzić.

- Co takiego zrobił?

- No...nic. Obawiam się... - Uparcie tarła palcem jeden z jego guzików. - Obawiam się, że to chyba moja wina.

- Och!

- Tak. Tylko napomknęłam o pannach Beau-leigh, a on nagle zmienił się w górę lodową i sprawił, że poczułam się jak niegrzeczna dziewczynka. Mimo wszystko jednak John zostaje, natychmiast więc mnie pocałuj.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

### *Przybywa kapitan Harold Lovelace*

Pod koniec sierpnia, po stosunkowo spokojnym lecie na wsi, lady Lavinia ponownie zapragnęła odwiedzić miasto. Ani myślała słuchać ostrzeżeń Richarda na temat fatalnego stanu dróg. Oświadczyła, że nic jej to nie obchodzi, bo musi ruszać do Londynu i kropka. Po tym proteście Richard ustąpił i obiecał, że zawiezie tam żonę w przyszłym tygodniu. W duchu uważał się za szczęściarza, gdyż udało mu się całkiem długo trzymać ją w Wyncham. Lavinia nie posiadała się z radości. Co rusz całowała męża, karciała samą siebie za nieodpowiednie zachowanie i niezwłocznie przystąpiła do przygotowań przed podróżą.

Drogi były w jeszcze gorszym stanie, niż uprzedzał Richard. Powóz dwukrotnie omal się nie wywrócił, do tego niemal bez przerwy grzązł w błocie, co przysparzało podróżnikom znacznych niewygód. Carstares jechał z boku ciężkiego pojazdu, w którym miejsce zajęła jego żona, jej maleńki pies oraz nieprzeliczone pudła i paczki. Pomimo niezadowolenia wynikającego z przymusowych przystanków Richard całkiem dobrze się bawił, gdyż Lavinia nie kryła szampańskiego humoru. Konsekwentnie ignorowała przeciwności losu, każdą kwitując łobuzerskim śmiechem oraz żartobliwą uwagą. Nawet kiedy w sypialni jednej z gospod, w której spędzali noc, kominek dymił wyjątkowo paskudnie, wbrew przewidywaniom męża Lavinia nie dostała ataku szału i nie odmówiła spędzenia tu choćby minuty dłużej. Tylko przez chwilę sprawiała wrażenie zasepionej, a potem się rozpogodziła i oświadczyła kochanemu

Dickowi, że przenocuje w jego pokoju, a on zajmie jej sypialnię. Rankiem zastała go milczącego i niemal uwędzonego. Bardzo zadowolona poszła z nim na obiad, nazwała kuropatwy wyśmienitymi, pasztety były dla niej „całkiem jak z Francji”, a wino absolutnie znośne jak na lokal położony na takim odludziu. Ponadto aż do wieczora zabawiała męża dowcipami.

Podróż była niesłychanie powolna nie tylko ze względu na stan dróg, lecz również dlatego, że za każdym razem, gdy dama ujrzała dzikie róże, musiała koniecznie się zatrzymać, by kilka zerwać. Następnie udała się na krótki spacer w towarzystwie Richarda; on prowadził wierzchowca, a powóz toczył się wolno. Wszystko to sprawiało niesłychanie idylliczne wrażenie, dzięki czemu zachwycony Richard czuł się jak w siódmym niebie.

Gdy po długim czasie dotarli do siedziby w londyńskiej dzielnicy Mayfair, przekonali się, że służący, wysyłani tu przed tygodniem, nie zasypiali gruszek w popiele. Lavinia oświadczyła, że jeszcze nigdy dotąd dom nie wyglądał tak zachęcająco, czysto i świeżo.

Jeden z czarnych służących ofiarował jej małą małą i wśród licznych ukłonów oraz szerokich uśmiechów wymamrotał, że to: „Prezent od Massy”.

Lady Lavinia rzuciła się na szyję Richardowi. Jak zgadł, że od dawna marzyła o małpce? Z pewnością wspomniała o tym raz czy dwa? Och, był najlepszym z mężów! Zachwycona, drogę do swych pokoi pokonała w płasach.

Śmietanka towarzyska powracała do miasta, a gdy kilka dni później Carstares zaprowadził żonę do Ranelagh, okazało się, że ogrody są pełne zabawionych ludzi. Z gałęzi drzew zwisały lampiony, chociaż wciąż było całkiem jasno. Skrzypkowie grali niemal bez przerwy, strzelały ognie sztuczne, letnie domki odmalowano, a pawilon był skąpany w świetle.

Świadomość własnej urody i elegancji sukni z żorżety, o spódnicy pokrytej złotą siatką, w znacznym stopniu przyczyniła się do podtrzymania dobrego samopoczucia Lavinii. Włosy miała przypudrowane i misternie skrócone w loki, falująca koronka częściowo skrywała fryzurę. To wszystko



przysłonięte było szarym kapturem. Pelerynkę, spiętą broszką wysadzaną licznymi rubinami, pokrywała złota koronka. Rubiny zdobiły także kolczyki Lavinii, tak piękne, że inne panie odwracały się i zazdrośnie wbijały w nie spojrzenia. Bransolety, które włożyła na długie rękawiczki, również połyskiwały od wielkich, czerwonych kamieni. Lavinie satysfakcjonował wygląd męża. Uznała, że kiedy Richard chce, potrafi ubrać się naprawdę modnie. Ciemnoczerwony aksamit, który miał na sobie, prezentował się nader wytwornie, a ozdobne strzałki z boku pończoch wyglądały olśniewająco.

Nie minęło dziesięć minut, odkąd znaleźli się w ogrodzie, a wokół nich zgromadził się tłumek mężczyzn zachwyconych powrotem pięknej lady Lavinii. Jeden z adoratorów podsunął jej krzesło, inny kieliszek wina, a pozostali kręcili się wokół niej ochoczo.

Zarumieniona z powodu zainteresowania jej osobą, Lavinia podała drobną dłoń panu Selwynowi, który niegdyś był jej niezwykle entuzjastycznym wielbicielem. Dodatkowo zaśmiała się z jego zręcznego komplementu i oznajmiła, że jest demonem pochlebstw, z pewnością więc nie będzie go słuchała.

Lavinia wkrótce odkryła, że sir Gregory Markham, który przyniósł jej wino, właśnie powrócił z Paryża. Gdy tylko się o tym dowiedziała, natychmiast przerwała pogawędkę z zauroczonym nią francuskim *chevalier* i odwróciła się do Markhama. Popatrzyła na niego i klasnęła w dłoń.

- Och, sir Gregory! Paryż? Proszę mi zatem powiedzieć, nalegam, czy podczas podróży spotkał pan mego kochanego Diabła?

- Ależ owszem, milady- potwierdził indagowany i wręczył jej kieliszek z trunkiem.

Wypiła odrobinę i oddała kieliszek Francuzowi.

- Zatem ogromnie mnie pan zafascynował! - wykrzyknęła. - Co on porabia i... och!... kiedy powróci do Anglii?

Sir Gregory się uśmiechnął.

- Skąd mógłbym to wiedzieć? - powiedział z wolna. - Obawiam się, że *monsieur* używa życia.

Lavinia natychmiast zaczęła się wachlować.

- Okropne stworzenie! - zawołała. - Jak pan może mówić takie rzeczy?

- Belmanoir? - spytał lord D'Egmont, kręcąc laską. - Rozkochany w markizie Pompadour, nieprawdaż? Za pozwoleniem, lady Lawy!

Lavinia opuściła wachlarz.

- Markiza Pompadour! Powinien uważać, co robi.

- Obawiam się, że już doszło do scysji między Jego Wysokością a piękną Jeanne. Odtąd markiza ma ignorować Tracy'ego.

- Słyszałem, że to on się znużył tą damą - powiedział Markham.

- Cóż, bez względu na to cieszę się, że sprawa jest zamknięta - oznajmiła Lavinia. - Igranie z ulubienicami Ludwika to zbyt niebezpieczna gra. Och, *mon cher!*- zwróciła się do Francuza. - Nie zapomniałam o pańskiej obecności. Jestem jednak pewna, że ma pan do powiedzenia same okropieństwa na temat naszego Jerzego, nieprawdaż? Och, i cały czas trzymał pan mój kieliszek. To niesłychanie uprzejmie z pańskiej strony. Chętnie się teraz napiję, a Julian zabierze kieliszek... *Voilà!* - Przekazała naczynie D'Egmontowi, pacnęła pana Selwyna wachlarzem w dłoń i zerknęła na niego z dołu, gdyż stał za jej krzesłem. - Niegrzeczny! Czy mógłby pan przestać szeptać mi do ucha? Przysięgam, że nie będę słuchała pańskich nieskromnych uwag. Nie, śmiać się z nich również nie zamierzam. Sir Gregory, nie usłyszałam odpowiedzi. Kiedy powróci Tracy? Na bał u Cavendisha w przyszłą środę? Ach, proszę powiedzieć: ..tak"!

- Oczywiście, że powiem „tak", piękna dręczycielko. Niemniej prawdę mówiąc, podczas naszej rozmowy Tracy ani słowem nie wspomniał o powrocie do Londynu.

Lavinia wydeła usta.

- Teraz pana nie cierpię, sir Gregory! Przecież nie ma go już od maja!  
Och, Julianie, wróciłeś? Zatem odprowadzisz mnie do ogni sztucznych. Och, mój wachlarz: Gdzie on jest? Wiem, że upuściłam go na ziemię... Selwyn, jeśli pan go zabrał... Och, Dick, ty go masz! Dziękuję! Posłuchaj, idę z Julianem, a ty możesz popatrzeć sobie na panią Give, którą widzę spacerującą, tam, niedaleko... Tak, naprawdę możesz, i nie będę zazdrosna. Doskonale, Julianie, już idę. *Monsieur* - spojrzała na Francuza - mam nadzieję spotkać pana na balu w przyszłą środę, lecz wcześniej musi pan mnie odwiedzić.

Wyróżniony promieniał.

- *Madame* jest zbyt łaskawa. Zatem mogę panią odwiedzić? *Vraiment*, do tego czasu będę ledwie wegetował! - Następnie donośnym szeptem wyznał Wildingowi: - *Miladi etait ravissante! Mais ravissance!*

Lavinia odeszła pod rękę z wybrankiem, po drodze przyjmując liczne hołdy i wyrazy podziwu. Mąż zignorował jej radę i zamiast wpatrywać się w piękną Kitty, powędrował do pawilonu w towarzystwie Toma Wildinga oraz Markhama.

D'Egmont prowadził Lavinie krętą alejką, a następnie przez rozległy trawnik, pełen ludzi rozmaitego statusu. W pewnym momencie podszedł do nich pułkownik lord Robert Belmanoir w niezwykle eleganckim stroju. Kiedy ujrzał siostrę, na jego rumianej twarzy pojawiło się zdumienie. Ukłonił się nisko.

- Na honor... Lavinia! - wymamrotał.

Dama nie przepadała za bratem i odpowiedziała na pozdrowienie szybkim skinieniem głowy.

- Miło cię widzieć, Robercie - odrzekła zwięźle.

- Słowo „miło” w żaden sposób nie przystaje do moich odczuć - odparł pułkownik niskim, dość nieprzyjemnym głosem. - Do usług, D'Egmont.  
Mniemałem, Lavy, że bawisz na wsi.

- W ostatni wtorek Richard przywiózł mnie z powrotem do miasta - odparła.

- Wyjątkowo nieroztropne posunięcie. Pewnie nie miał wyboru? - zadrwił pułkownik.

Ze złością potrząsnęła głową.

- Robercie, jeśli jesteś w kpiarskim nastroju, pozwól, że nie będę cię zatrzymywać! - wybuchnęła.

D'Egmont nie był zażenowany tą wymianą nie-uprzejmości. Zbyt dobrze znał rodzinę Belmanoirów, by przejmować się ich animozjami.

- Oddalimy się? - spytał Lavinie z uśmiechem.

- Tak. - Wydeła usta. - Jest zdecydowany prawić impertynencje.

- Moja droga siostro! Przeciwnie, jestem pewien, że mogę zapewnić ci godziwą rozrywkę. Lovelace przebywa w mieście.

- Kapitan Harold?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- We własnej osobie.

- Och, Bob! - Szybko wysunęła dłoń z uścisku Juliana i ujęła pułkownika pod ramię. - Muszę natychmiast się z nim spotkać! Pomyśleć, że powrócił po tylu latach. Prędko, Julianie, mój drogi, idź go szukać i powiedz mu, że ja, Lavinia, pragnę się z nim widzieć. Znasz go, prawda? Tak, tak myślałam, że go znasz. Natychmiast go do mnie przyślij! Natychmiast!

D'Egmont sprawiał wrażenie niewymownie rozczarowanego koniecznością przerwania spaceru w towarzystwie ulubienicy, lecz musiał posłusznie ucałować jej dłoń i wykonać polecenie.

- Przypuszczałem, że będziesz zadowolona - przyznał lord Robert i zachichotał. - Pozwól mi zauważyć, że tuż za tobą stoi krzesło... dwa krzesła, z szczerze mówiąc, cała masa krzesel.

Usiadła, nie przestając paplać z entuzjazmem.

- Och, minęło tyle lat od mojego ostatniego spotkania z Harrym! Czy bardzo się zmienił? Ach! Na pewno uzna mnie za staruchę. Ciekawe, czy długo zabawi w mieście... Rety, spójrz na dwie damy za tamtym krzesłem.

Nadzwyczajne fryzury, bez dwóch zdań... I wiśniowe wstążki. Powiedz mi, kochany, gdzie spotkałeś Harry'ego Lovelace'a?

Pułkownik nawet nie próbował śledzić słowotoku siostry i posyłał zalotne spojrzenia wyraźnie za-kłopotanej dziewczynie, tulącej się do ramienia ojca. Gdy przestał on gawędzić z otyłą matroną, Robert niechętnie skupił uwagę na siostrze.

- Co mówiłaś, Lawy?

- Jak możesz mnie nie słuchać! Spytałam, gdzie spotkałeś Harolda.

- Gdzie go spotkałem? Niech pomyślę... gdzie go spotkałem? Och, pamiętam. W klubie „Cocoa-Tree”, dwa tygodnie temu.

- Zmienił się?

- Ani trochę, droga siostrzo. To taki sam elegant jak zawsze. Kawaler.

- Och, to cudowne! Tak bardzo się cieszę, że znów go zobaczę!

- Musisz przedstawić go Richardowi - zauważył pułkownik. - Nie zapomnij dodać, że stara miłość nie rdzewieje.

- W rzeczy samej - przyznała, nie dostrzegając sarkazmu w uwadze brata.

- Och, widzę go! Patrz! Idzie po trawniku.

Wstała na powitanie wysokiego, młodego blondyna, gwardzisty, który zmierzał ku niej szybkim krokiem. Dygnęła przed nim, zarazem dostojnie i kokieteryjnie.

- Kapitan Lovelace! - Wyciągnęła ku niemu rękę.

Harold chwycił je i pochylił głowę, tak że miękkie, przypudrowane loki peruki opadły mu na twarz.

- Lady Lavinia. Czarująca jak zawsze. Brak mi słów. Zaniemówiłem.

- Ja również!

- W takim razie trudno was uznać za interesujące towarzystwo - mruknął pułkownik. - Wybaczcie, ale się oddalę. - Złożył im kpiący ukłon i odszedł ścieżką, a jego usta wykrzywiły się w wyjątkowo złośliwym uśmiešku.

Lavinia i Harold znaleźli dwa krzesła nieco oddalone od pozostałych i usiedli, trajkocząc z zapalem.

- Kapitanie Lovelace, czyżbyś mnie zapomniał?

- zapytała Lavinia.

- Skądże! Wykluczone! - odrzekł natychmiast.

- Nigdy bym cię nie zapomniał, chociaż omal nie złamałaś mi serca.

- Nie, nie! Wcale tego nie zrobiłam. Nigdy nie zamierzałam cię krzywdzić. -

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Odrzuciłaś mnie, by poślubić innego mężczyznę. Twierdzisz, że nie miałaś takiego zamiaru?

- Harry, ty nicponiu... Jeszcze się nie ożeniłeś?

- Ja? - Na jego twarzy pojawiło się autentyczne przerażenie. - Miałbym się ożenić? Nie! Zawsze byłem wierny swej pierwszej miłości.

Rozpostarła wachlarz i załopotowała nim z zachwytem.

- Och! Och! Zawsze, Haroldzie? Mów prawdę!

- Prawie zawsze - poprawił się.

- Niedobry chłopiec! Przyznajesz więc, że kochałeś inne?

- To tylko banalne, nic nieznaczące miłości, moja droga - wyjaśnił. -

Przysięgam, że pierwsze, co zrobiłem po przyjeździe do Londynu, to zawitałem do twego domu. Wyobraź sobie moje rozczarowanie, moje nieopisane przygnębienie - na domiar złego przegrałem jeszcze tysiąc w faraona - kiedy muszla okazała się pusta, a Wenus...

Lavinia uniosła wachlarz, gotowa wymierzyć karę rozmówcy.

- Ejże! Powiedziałeś, że pierwsze, co zrobiłeś, to zawitałeś do mego domu.

Uśmiechnął się i potrząsnął lokami.

- To była pierwsza istotna rzecz.

- Czyżby strata tysiąca gwinei *niewiele* dla ciebie znaczyła? - spytała.

- Cóż... niespecjalnie. Trzeba się cieszyć życiem, a czymże jest tysiąc gwinej? Z pewnością dostarczył mi godziwej rozrywki.

- Tak. - Westchnęła, a jej oczy rozbłysły. - Jestem tego samego zdania. Jaką można mieć przyjemność z życia, jeśli się nie uprawia hazardu i nie wydaje pieniędzy? Och, co robić... - Wzruszyła ramionami, kończąc temat. - Widziałeś ostatnio Tracy'ego?

- Był na wersalskim balu, na który mnie również zaproszono, lecz nie miałem okazji zamienić z nim ani słowa. Podobno jest bardzo popularny w Paryżu.

- Tak - potwierdziła z dumą. - Ma w sobie coś z Francuza... Tak bardzo pragnę ponownie go ujrzeć, lecz, niestety, najwyraźniej wcale nie myśli o powrocie. Wiem, że zaproszono go kilka miesięcy temu na bal u księżnej Devonshire - jeszcze nim ustalono konkretny termin, zatem księżna musi uwielbiać Tracy'ego - ale nie sądzę, by przybył. - Postukała o ziemię pantoflem z wysadzaną brylantami sprzączką. - Harry, zmarłam! Zaprowadź mnie do pawilonu. Wątpię, by tańce jeszcze trwały, no i Dick tam będzie.

- Dick? - powtórzył. - Dick! Lavinio, nie mów mi, że ktoś jeszcze stara się o twoje względy.

- Niegodziwy grubianinie! To mój mąż!

- Twój mąż. Niewiary...

Posłała mu z ukosa spojrzenie pełne kokieterii i przygany.

- Ufam, że już ochłonałeś?

- Oczywiście! Mąż. Uff, bagatela, nic ważnego.

- Mój mąż to nie bagatela. - Zaśmiała się. - Bardzo go lubię.

- Sytuacja staje się coraz poważniejsza. - Zmarszczył brwi. - To bardzo niemodne, przyznasz?

Popatrzyła mu w oczy i odwróciła wzrok.

- Kapitanie Lovelace, czy może mnie pan zabrać do pawilonu?

- Słodka okrutnico, tylko nie zwracaj się do mnie po nazwisku.

- Haroldzie, naprawdę mi zimno - poskarżyła się smutno. - Nie, nie!  
Ludzie będą patrzyli... Spójrz, wraca mój okropny brat. Oświadczam, że nie zostanę, żeby wysłuchiwać jego zionących nienawiścią, złośliwych uwag...  
Chodźmy.

Gdy szli przez trawnik, kapitan prawił Lavinii komplementy, pełne klasycznych odniesień, bez wyjątku mniej lub bardziej błędnych, Lavinia zaś chichotała i udawała, że strofuje adoratora. Wkrótce dotarli do pawilonu, gdzie muzycy grali na skrzypcach dla tych, którzy mieli ochotę tańczyć, i gdzie zebrała się większość towarzystwa, zniechęconego panującym na dworze chłodem. Pod jedną ze ścian sali ustawiono stoliki, goście obojga płci grali na pieniądze w kości i w karty, racząc się burgundem lub grzańcem. Panowie pili zdrowie pań, a bardzo często damy dziękowały za toasty niskimi ukłonami i wytwornymi dygnięciami.

Lavinia odrzuciła kaptur i dyskretnie wygładziła fałdy sukni. Ruszyła przed siebie, z rozpostartym wachlarzem, wysoko uniesioną głową, i dłonią na okrytym aksamitem ramieniu Lovelace'a. Richard, słysząc szmer, towarzyszący wkroczeniu Lavinii, uniósł wzrok. Nie rozpoznał kompana żony, lecz błysk w oczach Lawy i pogodny uśmiech upewniły go, że spotkała osobę miłą swemu sercu. Richard miał sposobność uważnie ocenić Lovelace'a, gdy elegancka para się ku niemu zbliżała. Nie mógł nie podziwiać przystojnej twarzy o szarych, wesołych oczach, pięknie wyrzeźbionych ust oraz mocnej brody, świadczącej o determinacji. Nie był to jeden z sepleniących, wymalowanych pacholców Lavinii, gdyż rzucało się w oczy, że mimo zniewieściałej fryzury mężczyźnie temu nie brak charakteru ani siły woli, a przede wszystkim doskonałych manier. W pewnej chwili Richard zauważył, że w odpowiedzi na uwagę kapitana Lavinia się zarumieniła i udała, że bije towarzysza po dłoni. Poczul ukłucie w sercu. Wstał i ruszył im na spotkanie.

Żona przywitała go słodkim uśmiechem i nieco wyniośle poklepała po ramieniu.



- Dick, kochany, spotkałam starego przyjaciela - bardzo starego! Czy to nie wspaniale? Kapitan Lovelace - lord Carstares.

Mężczyźni się uklonili: Richard niechętnie, kapitan życzliwie i swobodnie.

- Drogi panie, śmiem twierdzić, że jestem wyznawcą kościoła, którego pan, jak sądzę, jest arcykapłanem - oznajmił i ponownie się pokłonił, tym razem przed Lavinia.

- Jest pan jednym z wielu. - Richard się uśmiechnął.

Lady Devereux podeszła do nich lekkim krokiem i ucałowała Lavinie, ostentacyjnie okazując jej życzliwość.

- Moja najdroższa! Moja kochana Lavinia! Lavinia nadstawiła upudrowany policzek.

- Najdroższa Fanny, cudownie ponownie cię widzieć! - zagruchała. Spod rzes uważnie obejrzała imponującą fryzurę przyjaciółki: liczne, obficie przypudrowane loki oraz sztuczne kwiaty na szczycie konstrukcji.

- Ach, mój aniele! - wykrzyknęła Fanny i cofnęła się o krok, by lepiej widzieć. - 2 pewnością niedawno chorowałaś?

- Och, to osobliwe! - Lavinia promieniała. - Zamierzałam zadać ci to samo pytanie, moja droga. Lata lecą, to pewne. Czyżbyśmy obie wyglądały jak stare wiedźmy? - Zwróciła czarującą twarz ku mężczyznom i uśmiechnęła się zachęcająco.

Momentalnie obsypał ją grad komplementów. Pani Devereux, świadoma swej żółtawej cery, zauważalnej mimo grubej warstwy różu i pudru, pojęła, że przy mlecznej karnacji Lavinii musi wyglądać jeszcze bardziej niezdrowo. W takiej sytuacji poczerwieniała ze złości i odwróciła się, zachęcając najdroższą Lawy do rozegrania partii faraona. Lavinia jednak zamierzała popatrzeć na grę w kości przy stoliku Richarda. Zapewniła go, że przyniesie mu niewyobrażalne szczęście.

- Nie wątpię w to, kochanie - odparł jej mąż. - Rzecz w tym, że dzisiejszego wieczoru nie gram. Czy zechciałabyś obdarzyć szczęściem Boba? - Ruchem głowy wskazał pułkownika, który siedział odpreżony, z kośćmi w dłoni.

Lavinia wydeła usta. - Nie, chcę, żebyś ty zagrał!

- Na nic prośby ani groźby, lady Lavinio - odezwał się Gregory. - Richard jest dzisiejszego wieczoru niewiarygodnie uparty. Po prostu diabeł wcielony!

Selwyn zagrzechotał kośćmi, znieruchomiał i z zaskoczeniem popatrzył na Markhama. Potem powoli się odwrócił i z jeszcze większym zdumieniem skierował wzrok na poważną, niemal surową twarz Carstaresa. Ponownie zagrzechotał kośćmi i zacisnął usta.

- Czy to prawda? - spytał z wystudiowanym przygnębieniem.

Nawet Lavinia dołączyła do powszechnej wesołości, rozbawiona komiczną miną i ogromnym zaangażowaniem, z jakim Selwyn odegrał scenkę.

Ktoś zakrzyknął, że stawia na Lovelace'a, ktoś inny natychmiast przyjął zakład. Oczy Lavinii zabłyśły, kiedy odprowadzała kapitana do stołu.

Richard ruszył po przekąski dla żony, a gdy wrócił, ujrzał ją pochyloną nad krzesłem Lovelace'a, z dłonią na jego ramieniu. Rzuciła kości na stół, po czym nagle klasnęła.

- Mam szczęście! - krzyknęła. - Och, sprzyja *mi* szczęście! Rzucę jeszcze raz!

Rozejrzała się i dostrzegła męża, a wtedy nagle zrzędała jej mina.

- Czy mogę, Dick? - spytała błagalnie. Najchętniej zabroniłby żonie uczestnictwa w grze, ale nie chciał wyjść na burkliwego skąpca, więc tylko zaśmiał się, skinął głową i stanął u boku żony, by obserwować grę.

Gdy po dłuższym czasie odchodziła od stołu, szczęście już dawno ją opuściło i przegrała drogocenny rubin, który przeszedł na własność pana Selwyna. Ten pieczołowicie umieścił go w kieszonce kamizelki i zapowiedział, że zawsze będzie nosił klejnot na sercu. Dopiero wtedy Lavinia zgodziła się

zakończyć grę i wkroczyć na parkiet, dzięki czemu przez następną godzinę Richard miał okazję patrzeć, jak jego żona tańczy menueta z różnymi młodzieńcami - najczęściej ze spotkanym po latach Harrym Lovelace'em.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### *Powrót księcia Andovera*

Richard miał wrażenie, że przez następne dni kapitan Lovelace nie opuszcza jego domu. Gospodarz wchodził do buduaru Lavinii i zastawał tam Lovelace'a, pochylonego nad nią, kiedy grała na szpinecie lub przeglądała strony „Ramblera”. Jeśli Lavinia szła na bal lub maskaradę, zawsze wpuszczała kapitana do swego pokoju, razem z innymi ulubieńcami, by patrzyli, jak dama wkłada suknię i starannie przyklepia sztuczne pieprzyki. Kiedy rankiem Carstares prosił żonę, by dotrzymała mu towarzystwa, z ogromnym żalem musiała odmawiać: akurat Harry zapraszał ją do Vauxhall lub do Spring Gardens. Gdy Richard wchodził do domu, jego wzrok padał natychmiast na inkrustowaną bursztynem laskę kapitana i jego charakterystyczny kapelusz. Gdy wyglądał przez okno, najczęściej widział przy domu lektykę i wysiadającego z niej Lovelace'a. Przez tydzień Richard wytrzymywał jego obecność, lecz w końcu postanowił rozmówić się z żoną: oświadczył jej, że nie powinna zachęcać przyjaciela do spędzania całego czasu przy Grosvenor Square. Z początku patrzyła na małżonka z wyrzutem, a potem spytała o powody tej decyzji. Richard niechętnie wyjaśnił, że tak nie wypada. Wówczas Lavinia otworzyła szeroko oczy i spytała, cóż jest złego w wizytach starego przyjaciela. Z właściwym sobie poczuciem humoru Richard odparł, że nie chodzi mu o podeszły wiek kapitana Harolda, a wręcz przeciwnie, o jego młodość. Na to Lavinia oskarżyła męża o zazdrość. Zarzut był jak najbardziej słuszny, lecz oskarżony ze złością odrzucił tę sugestię. Doskonale, uznała Lavinia, zatem jest tylko głupi. Nie powinien się irytować; Harry to jej bardzo dobry przyjaciel i właściwie dlaczego Richard nie podziwia jej nowej ozdoby do włosów? Richard nie dał się zwieść. Czy rozumiała, że wizyty Lovelace'a muszą się skończyć?

Zrozumiała tylko jedno: Dick jest dzisiaj w fatalnym humorze i zachowuje się niedorzecznie. I nie może się z nią drażnić! Tak, ona będzie bardzo grzeczna, ale te same zasady także jego dotyczą. A teraz idzie na zakupy i potrzebuje co najmniej dwudziestu gwinei.

Wbrew obietnicy, że „będzie bardzo grzeczna”, w żaden sposób nie próbowała zniechęcić Lovelace'a. Nie skąpiła mu uśmiechów i chętnie go widziała w swoim towarzystwie.

Carstares ponownie poruszył ten temat rankiem, w dniu balu u księżnej Devonshire. Lavinia leżała w łóżku, z nieupudrowanymi włosami. Na stoliku obok stała filiżanka czekolady, a na łóżku leżały niezliczone *billets doux* od wielbicieli. W dłoni trzymała bukiet białych róż z bilecikami, na których widniały inicjały „H.L.”, napisane mocnymi, rozstrzelonymi literami. Być może właśnie ten widok wzburzył Richarda. Tak czy owak z zupełnie nietypową dla siebie agresją, która kompletnie nie pasowała do jego zwykłej łagodności, wyrwał kwiaty z ręki żony i cisnął je w kąt pokoju.

- Niech to szaleństwo wreszcie się skończy! —ryknął.

Zdumiona Lavinia uniosła się na łokciu.

- Jak śmiesz?! - syknęła.

- Do tego doszło? Jak ja, twój mąż, śmiem wpływać na twoje poczynania? Powiem ci coś, Lavinio. Mam dość tych absurdalnych wymysłów i nie będę dłużej ich tolerował!

- Ty... ty... Co, na litość boską, w ciebie wstąpiło, Richardzie?

- To, co widzisz! Nie zamierzam znosić obecności tego pacholka w moim domu! - Ręką wskazał przywiedły bukiet. - Nie pozwolę też, by przez niego cały Londyn wziął cię na języki!

- Mnie? Mnie? To mnie Londyn weźmie na języki? Jak śmiesz?

- Błagam, daruj sobie te nonsensy. To nie jest kwestia tego, co ja śmiem. Jak ty masz czelność okazywać mi nieposłuszeństwo? Przez ostatni tydzień nie robiłaś nic innego.

Odsunęła się od niego i skuliła.

- Dick!

- Latwo ci wołać „Dick” i się uśmiechać, ale to już było. Czasami wydajesz mi się kobietą całkowicie pozbawioną serca. Samolubną, próżną i rozrzutną istotą. Dziecinne usta drżały. Lavinia ukryła twarz w poduszkach i łkała. Twarz Carstaresa złagodniała.

- Wybacz, kochana. Może zachowałem się niesprawiedliwie.

- I okrutnie! I okrutnie!

- I okrutnie. Przebacz mi. Zarzuciła mu na szyję białe ramiona.

- Nie mówiłeś poważnie?

- Nie. Niemniej zamierzam zabronić Lovela-ce'owi kręcenia się przy tobie.

- Nie masz prawa tak mówić. - Odsunęła się gwałtownie. - Znałam Harry'ego na długo, nim ujrzałam ciebie.

Richard drgnął.

- Sugerujesz, że on znaczy dla ciebie więcej niż ja?

- Nie! Chociaż usilnie się starasz, żebym cię znienawidziła. Nie! Kocham cię najbardziej na świecie, ale nie odtrączę Harry'ego.

- Nawet jeśli ci rozkażę?

- Rozkażesz? Rozkażesz? Nie! Nie! Po tysiakkroć nie!

- Rozkazuję ci zerwać z nim kontakty!

- Odmawiam! Nie będę cię słuchała!

- Na Boga, kobieto, trzeba ci dać nauczkę! - zawołał wstrząśnięty. - Mogę jeszcze dzisiaj zabrać cię z powrotem do Wyncham. Zaręczam ci, że jeśli nie okażesz mi posłuszeństwa, z pewnością tam trafisz. - Wymaszerował z pokoju, głośno trzaskając drzwiami, a Lavinia opadła bezsilnie na poduszki, blada i rozdygotana.

Gdy tylko się ubrała, zeszła na parter, zdecydowana doprowadzić kłótnię do końca. Richard opuścił jednak dom, zapowiadając, że wróci późno. Lavinie

na moment ogarnęła wściekłość, lecz punktualne przybycie paczki od krawcowej sprawiło, że wszelkie problemy poszły w niepamięć, a na ustach lady Carstares zagościł uśmiech.

Richard wrócił na czas przygotowań do balu. Po wejściu do domu podążył prosto do swojego pokoju, gdzie oddał się w ręce służącego. Ten subtelnie podkolorował mu paznokcie, spryskał ubranie wodą różaną, a brwi pociągnął ołówkiem. Richard wybrał odzież o barwie brązowo-fioletowej ze złotą nicią, na palce wsunął pierścienie, na nogi naciągnął pończochy z fantazyjnymi wzorami po bokach, a nad dużą, czarną kokardą przy peruce umieścił spinkę z brylantami. Upudrowany, wymalowany i okraszony sztucznymi pieprzykami, powoli wyruszył do pokoju żony.

Lavinia, która zdążyła już całkiem zapomnieć o porannych *contretemps*, powitała go z uśmiechem. Siedziała przed lustrem, ubrana w bieliznę i luźny pudermantel. Włosy, obficie przypudrowane, były ułożone wysoko nad głową, na specjalnych poduszkach; nad uszami zostały skręcone w loki, również w lokach opadały na ramiona. Na czubku misternej konstrukcji widniały strusie pióra, szkarłatne i białe, szyję zaś otaczał imponujący naszyjnik z brylantami. W pokoju unosił się przyjemny zapach intensywnych perfum. Po podłodze walały się porzucone wstążki, koronki, pantofelki i rękawiczki. Na oparciu krzesła wisiało piękne, szkarłatne domino, a łóżko zajęła rozłożona suknia, istna góra atlasu i brokatu, z licznymi falbanami i masą koronki. Obok leżały rękawiczki z miękkiej koronki, wachlarz, maska oraz maleńka torebeczka.

Carstares ostrożnie usiadł na skraju krzesła i patrzył, jak służąca różuje idealne policzki jego żony.

- Dzisiejszego wieczoru złamię niejedno serce, nieprawdaż? - spytała Lavinia radośnie.

- Nie wątpię - odrzekł.

- A ty, Dick? - Odwróciła się ku niemu. - Brązo-wo-fioletowy... Nie jest to zestaw, który ja bym wybrała, ale trudno. Nowa peruka, jak mniemam?

- Owszem.

Popatrzyła pytająco, zdziwiona chłodem w jego głosie, i nagle przypomniała sobie poranną scysję. *Monsieur* cały w dąsach? Wybornie.

*Monsieur* dostanie za swoje!

Ktoś zapukał do drzwi; służąca poszła otworzyć.

- Sir Douglas Faversham, sir Gregory Markham, *chevalier Moosso* oraz kapitan Lovelace czekają na parterze, milady.

Lavinia posłuchała podszeptu tkwiącego w niej diabełka.

- O la, la! Aż tylu? Cóż, z wszystkimi nie mogę się spotkać, to pewne.

Wprowadź sir Gregory'ego i kapitana Lovelace'a.

Louisa powtórzyła polecenie lokajowi i zamknęła drzwi.

Richard ze złością przygryzł wargę.

- Czy na pewno nie jestem tutaj zbędny? - spytał z ironią.

Lavinia zsunęła z ramion pudermantel i wstała.

- Och, to bez znaczenia. Jestem gotowa, ubierz mnie, Louiso.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem Carstares wstał, by otworzyć.

Do środka wszedł Markham, w purpurze i złocie, a także Lovelace, jego przeciwieństwo, w bladym błękitcie oraz srebrze. Jak zwykle przywdział luźną perukę, w której migotały trzy szafirowe szpile. Od progu wdzięcznie uklonił się gospodyni.

- Twoja uroda mnie poraża, najpiękniejsza!

Sir Gregory uważnie przypatrywał się przez monokl białym pantofelkom Lavinii.

- Wysadzane klejnotami obcasy, na mą duszę!

- zawołał.

Lavinia wdzięcznie zawirowała w piruecie.

- Czyż to nie jest dobrze pomyślane? - spytała.

- Nie mogę jednak tracić czasu. Suknia! Markham... Harry... Teraz ujrzyście moją kreację.

Lovelace usiadł na krześle, rozsunął nogi i oparł brodę na dłoniach. Markham pochylił się nad suknią i patrzył przez monokl.

Gdy suknia została w końcu należycie ułożona i przedyskutowano kwestię poprawienia koronek oraz wstążek, a także przypięcia broszki, kiedy na rękach Lavinii pojawiły się bransolety, a ramiona damy okryło domino, czyli trzy kwadransy później, Carstares zaczął tracić cierpliwość. Nie leżało w jego naturze prawienie wyszukanych komplementów, jak to czynili dwaj pozostali mężczyźni, a ich obecność podczas toalety jego żony budziła w nim irytację. Zdecydowanie nie podobało mu się, że Lavinia ich przyjęła, lecz taka panowała moda i wiedział, że musi się pogodzić z tym faktem.

Przygotowania wreszcie dobiegły końca; poślaczona lektyka Lavinii czekała u drzwi wejściowych. Dama weszła do środka z najwyższym trudem, starając się nie pognieść jedwabiu i pióra na koafurze poprzez niezamierzony kontakt z dachem. Po pewnym czasie Lavinia zorientowała się, że zostawiła w pokoju wachlarz, i dlatego Lovelace oraz Markham zaczęli rywalizować o to, kto go przyniesie. Kiedy obaj prześcigali się w pomysłach na przekonanie Lavinii, który z nich jest bardziej godzien tego zaszczytu, Richard dyskretnie zniknął za drzwiami i po chwili wyłonił się z wachlarzykiem z malowanej skóry kurczaka. W końcu zamknięto drzwi lektyki i służący podnieśli drągi. Mała kawalkada wyruszyła przez podłużny plac. Lovelace szedł tuż obok lektyki z prawej strony, a Richard i Markham podążali z lewej. Szli wyboistymi ulicami, ostrożnie w ostatnich dzielnicach; mijali inne lektyki oraz przechodniów zdążających na South Audley Street. Uczestnicy wyprawy zachowywali się nadzwyczaj cicho: Markham z powodu zwykłego lenistwa, Lovelace dlatego, że wyczuwał niechęć Richarda, on zaś ze względu na ogromny niepokój. Żaden z nich nie wypowiedział ani słowa aż do chwili, gdy dotarli do Curzon Street. Dopiero wtedy Markham zerknął za siebie, na zasłonięte okiennicami okna



wielkiego budynku na rogu, i od niechcienia zauważył, że Chesterfield wciąż przebywa w Wells. Carstares machinalnie przytaknął i rozmowa dobiegła końca.

Na Clarges Street dołączył do nich sir John Fortescue, poważny arystokrata i bliski przyjaciel Richarda, starszy od niego o kilka lat. Fortescue ujął Richarda pod ramię i podążyli za lektyką.

- Nie widziałem cię dzisiaj przypadkiem u White'a, Johnie?

- Nie. Załatwiałem sprawy z prawnikiem. Chyba nie natrafiłeś na mojego biednego brata?

- Franka? Nie... ale dlaczego „biednego”? Fortescue nieznacznie wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem ten człowiek jest szalony - wyznał. — Wczoraj wieczorem miał uczestniczyć w uroczystej kolacji u Marcha, ale o czwartej otrzymał wiadomość - Bóg jeden wie, od kogo - która wzbudziła w nim poważny niepokój. W rezultacie wyszedł bez słowa wyjaśnienia. Od tego czasu go nie widziałem, lecz jego sługa utrzymuje, że Frank udał się na spotkanie z przyjacielem. Powiem tylko, że to niezwykle zachowanie.

- Osobliwe. Spodziewasz się spotkać go dzisiaj?

- Mam taką nadzieję. Drogi przyjacielu, kim jest ten mężczyzna przy lektyce twojej damy?

- Markham?

- Nie, ten drugi.

- Lovelace.

- Lovelace? Któż to taki, u licha?

- Nie potrafię powiedzieć nic poza tym, że jest kapitanem gwardii.

- To nowina. Którejś nocy widziałem go u Goose-treego i się zastanawiałem, kto zasz. Jakiś modniś z towarzystwa, jak mniemam.

- Tak sędzę. Nie przepadam za nim.

Mijali właśnie bramy Devonshire House i musieli się rozdzielić, gdyż panował tak ogromny ścisk, że poruszanie się w grupie było prawie niemożliwe.

Carstares został przy lektyce Lavinii, pozostali mężczyźni zniknęli w tłumie. Lektyki zderzały się ze sobą, powozy podjeżdżały, a wypuściwszy eleganckich podróżnych, toczyły się powoli wśród ciżby.

Nim lektyka Carstaresów w końcu dotarła przed dom, minął prawie kwadrans. Sala balowa była już przepelniona i lśniła feerią barw. Lavinia została niemal natychmiast porwana przez zaurozonego młodzieńca, do którego żywiła wyłącznie matczyne uczucia - gdyby nieszczęśnik miał o tym jakiegokolwiek pojęcie, z pewnością z rozpaczy natychmiast zdarłby z głowy elegancką perukę.

Richard dostrzegł lorda Andrew Belmanoira, jednego z grupy elegantów zgromadzonych wokół najmodniejszej piękności, panny Gunning, która, wraz z siostrą Elizabeth szturmem wzięła modny Londyn. Andrew nosił maskę, lecz łatwo go było poznać po imponującym wzroście oraz swobodnej elegancji.

Stojący na drugim końcu sali Wilding dał Richardowi znak. Gdy się spotkali, zaciągnął go do sali karcianej, by zagrać w lancknechta z Marchem, Selwynem i nim samym.

Carstares zastał hrabiego w szampańskim humorze. Jak zauważył Selwyn, arystokrata uznał pewnego śpiewaka operowego za jeszcze doskonalszego niż poprzedni. Od lancknechta wkrótce przeszli do kości i zakładów z innymi, którzy podchodzili do stołu. Następnie Carstares przeprosił towarzyszy i ruszył do sali balowej. Niemal natychmiast znalazł się u boku pani Isabelli Fanshawe, energicznej wdowy, wielce cenionej ze względu na dowcip i urodę.

Carstares spotkał ją dotąd tylko raz i był szczerze zdumiony, gdy zachęciła go, by do niej podszedł. Wskazała kanapę ciężką od pierścieni dłonią.

- Panie Carstares, zapraszam, zechce pan spocząć. Od dawna pragnęłam zamienić z panem słowo.

- Opuściła maskę i uważnie popatrzyła mu w twarz.

- To dla mnie zaszczyt, milady. - Richard złożył jej ukłon.

- Nie jestem w nastroju na komplementy - uprzedziła go natychmiast. - Nie zamierzam też wysłuchiwać ani wygłaszać dowcipnych uwag. Martwi mnie pan.

Richard usiadł zaintrygowany i zafascynowany tą bezpośrednią, drobną kobietą.

- Martwię panią?

- Tak jest. Dokładniej rzecz ujmując, martwi mnie pańskie oblicze. - Na widok jego zaskoczenia zaśmiała się i poruszyła wachlarzem. - Och, zapewniam pana, jest całkiem urodziwe. Chodzi o pana niezwykle podobieństwo do... mojego przyjaciela.

Richard uśmiechnął się uprzejmie i wziął do ręki wachlarz damy.

- Doprawdy, milady?

- Tak. Poznałam... tego dżentelmena w Wiedniu, trzy lata temu. Sądzę, że był młodszy od pana. Miał niebieskie oczy, niezwykle podobne do pańskich. Jego nos wyglądał niemal identycznie jak pański, za to usta... nie bardzo. Mimo to wyraz jego twarzy...

- Urwała, widząc, że jej rozmówca nagle poblądł. -Ależ panu słabo!

- Nie, nie! Jak się nazywa pani przyjaciel?

- Ferndale - odparła. - Anthony Ferndale.

Wachlarz na chwilę znieruchomiał.

- Ach! - Richard westchnął.

- Zna go pan? - spytała wielce zaciekawiona dama.

- Znałem, milady, wiele lat temu. Czy był w dobrym nastroju, kiedy go pani widziała?

Zamyślona, ściągnęła usta.

- Jeśli chodzi panu o jego humor i dowcip - tak. Czasami jednak... Drogi panie, kiedy milczał, w jego oczach dostrzegałam bezbrzeżny smutek.

Właściwie sama nie wiem, czemu to panu mówię.

- Może pani być spokojna: pani zaufanie nie zostanie nadużyte. Darzę tego dżentelmena... ogromną przychylnością. - Mówiąc te słowa, Richard rozchylił i zamknął wachlarz damy, bawiąc się jego delikatnymi listewkami. - Panią też zainteresował?

- Jestem pewna, że każdy, kto go zna, jest nim zainteresowany. Chodzi o coś szczególnego w jego manierach, w osobowości, co budzi szacunek otoczenia... Nie potrafię tego wyjaśnić... Pomógł mi, gdy byłam w opałach.

Richard pochylił głowę, pamiętając o plotkach, które do niego docierały w związku z przeszłością wdowy.

Przez chwilę milczała, aż uśmiechnęła się i odebrała swój wachlarz.

- Nie mogę znieść, kiedy pan się nim bawi - rzekła szczerze. - Widzę, że nadchodzi lord Fotheringham. Obiecałam mu taniec. - Wstała, lecz Richard ją powstrzymał.

- Droga pani, czy pozwoli pani, bym ją odwiedził? Chciałbym usłyszeć więcej o... pani przyjacielu. Być może uzna to pani za dziwne... niemniej...

- Nie - odparła. - Nie uznaję. Gorąco pana zapraszam. Mieszkam z siostrą przy Mount Street, pod numerem szesnastym.

- Jest pani zbyt życzliwa...

- Ponownie: nie. Powiedziałam panu, lubię, kiedy mężczyzna mówi jak mężczyzna, a nie jak afektowana kobieta. Z przyjemnością pana zobaczę.

Dygnęła z gracją i odeszła, wsparta na ramieniu wicehrabiego.

- Drogi Dicku, czyżbym cię widział u stóp tej wesołej wdówki? - usłyszał Richard w tej samej chwili.

Odwrócił się i ujrzał szwagra, pułkownika Bel-manoir.

- Ona ma cały Londyn u swych stóp. - Richard się uśmiechnął.

- O, nie! Nie, odkąd pojawiła się piękna Gunning. Przyznaję jednak, jest niezwykle atrakcyjna. A Lavinia? Ciekawe, czy będzie zazdrosna. - Zaśmiał się pod nosem, widząc błysk w oku Richarda.

- Ufam, że nie - odparł Carstares. - Czy wszyscy przybyliście tu dzisiaj?

- Obawiam się, że głowa rodu jest nieobecna. Andrew flirtuje z młodą Fletcherówną w Błękitnym Salonie, ja jestem tutaj, a Lavinia zabawia się z Lovelace'em. Tak. Richardzie, z Lovelace'em! Bądź ostrożny! - Ponownie roześmiał się szyderczo i odszedł, kłaniając się Elizabeth Gunning, która przeszła pod rękę z księciem Hamiltonem.

W tym samym momencie do sali wkroczyło dwóch spóźnialskich, którzy od razu ruszyli do gospodyni, najwyraźniej zachwyconej widokiem nowych gości. Jej szczególny entuzjazm wzbudził wyższy mężczyzna, którego rubasznie poklepała po dłoni. Niższy jegomość nie nosił maski, dzięki czemu pułkownik natychmiast rozpoznał Franka Fortescue. Jego wzrok powędrował ku drugiemu przybyszowi, który zawiązał maskę na oczach, choć inni tylko je przytrzymywali. Fioletowe domino, swobodnie rozpięte, odsłaniało czarny, atlasowy strój ze srebrnymi i brylantowymi dodatkami. Mężczyzna nie nosił peruki, jego włosy miały kruczoczną barwę; nozdrza były wąskie, a usta zaciśnięte.

- Diabeł! - wykrzyknął Robert i ruszył w jego kierunku.

Fortescue odszedł, gdy zobaczył, kto się zbliża, a księżę Andover powoli odwrócił się do Roberta.

- Sądziłem, że jesteś w Paryżu - oświadczył pułkownik.

- Zawsze jest mi przykro, kiedy pozbawiam cię złudzeń. - Księżę skłonił głowę.

- Bez powodu. Cieszę się, że cię widzę. Najwyraźniej Lavinia również.

Lady Lavinia, rozpoznawszy księcia, puściła dłoń partnera i popędziła ku bratu.

- Tracy, to ty! - Z zachwytem przywarła do jego ramienia.

- Bardzo to wzruszające - rzekł z przekąsem Robert. - Brakuje tylko Andrew, aby wszyscy w komplecie stawili się na to szczęśliwe spotkanie. Wybaczcie.

- Z przyjemnością - odparł książę i uklonił się sztywno. - Jest coraz bardziej spięty - zauważył, kiedy pułkownik znalazł się poza zasięgiem słuchu.

- Och, Bob! Nie biorę za niego odpowiedzialności. Tracy, powiedz mi, jak to się stało, że dzisiaj przyszedłeś? Sądziłam...

- Droga Lavinio, czyżbym był aż taki tajemniczy? Uważałem, że wiesz, że dzisiejszego wieczoru zapowiedziałem się u Dolly Cavendish.

- Tak, ale... Och, jakie to ma znaczenie? Kochany, tak bardzo się cieszę, że znów cię widzę.

- Pochlebiasz mi, Lavinio.

- Skoro tu jesteś, chcę usłyszeć, dlaczego wyjechałeś. Tracy, zaprowadź mnie do pomieszczenia z tyłu. Wiem, że jest puste.

- Doskonale, moja droga, jak sobie życzysz. - Przytrzymał dla niej zasłonę i również podążył do opuszczonego pokoju.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego wyjechałem? - Usadowił się u boku siostry. - Radzę ci, moja droga, byś się cofnęła myślami do wiosny w Bath.

- Twój romans. To jasne. Zatem dama okazała się nieżyczliwa?

- Nie, ale pokpiłem sprawę.

- Ty? Opowiedz mi zaraz! Natychmiast! Książę spod przymrużonych powiek oglądał uważnie sprzączkę przy bucie.

- Wszystko zaaranżowałem - rzekł. -I wszystko poszłoby zgodnie z planem, gdyby nie pewien irytujący młody pyszałek, który przypadkiem znalazł się w pobliżu i uznał, że powinien stanąć w obronie panny Diany. - Umilkł. - Pokonał mnie dzięki jakiejś sztuczce, a potem... *que veux--tu?*

- Kto to był?

- Skąd miałbym wiedzieć? Wydał mi się znajomy. Z całą pewnością mnie rozpoznał. Teraz pewnie już nie żyje. Mam taką nadzieję.

— Boże drogi! Zraniłeś go?

- Udało mi się wypalić do niego, ale był zbyt szybki i kula tylko przeszła mu ramię. Niewykluczone jednak, że zranienie okazało się śmiertelne.

- Tak więc pojechałeś do Paryża?
- Tak. Aby o niej zapomnieć.
- Udało ci się?
- Niestety. Ani na moment nie opuściła moich myśli. Mam nowy plan. Lavinia westchnęła.
- Jest piękniejsza od markizy Pompadour? - spytała znacząco.
- Tracy odwrócił głowę.
- Markizy Pompadour?
- Tak. Chodzą słuchy, że postanowiłeś zabawiać się w niezwykle śmiały sposób, Tracy.
- Czyżby? Nie miałem pojęcia, że ludzi tak bardzo interesują moje prywatne sprawy. „Zabawiać się” to stosowne określenie.
- Och? Zatem nie byłeś *e pris*?
- Ja? Z tą kokotą z nizin? Droga Lavinio! Roześmiała się, słysząc jego wyniosły ton.
- Tracy, nie zawsze byłeś taki. Ale co z twoją Dianą? Ożeń się, jeśli jesteś nią tak zauroczony.
- Szczerze mówiąc, dochodzę do tego samego wniosku.
- Tracy - zawołała Lavinia. - Chyba nie mówisz poważnie?! Na litość boską, wszystko, tylko nie małżeństwo.
- Czemu nie, droga siostrze?
- Och, szanowany małżonek, też coś! Ciekawe, kiedy minie ta namiętność?
- Chyba nie oczekujesz, że to przewidzę? Mam nadzieję, że nigdy.
- I dasz się zniewolić z powodu jednej damy?
- Potrafię sobie wyobrazić gorszy los dla mężczyzny.
- Czyżby? Mów dalej, nie znałam cię od tej strony. Zamierzasz ją adorować?

- Na tym etapie? Byłoby to cokolwiek niestosowne, moja droga. Muszę ją porwać, lecz przy zachowaniu większej ostrożności. Gdy będę miał ją w garści, spróbuję ugłaskać papę.

- Tracy, to szalony plan. Co ludzie powiedzą?

- Naprawdę uważasz, że mnie to obchodzi?

- Nie, chyba nie. Och, Bob się wścieknie!

- Choćby z tego powodu warto zaryzykować. Niech go krew zaleje. Aż przebiera nogami, żeby zająć moje miejsce, a wcale mi się to nie uśmiecha. - Oparł brodę na dłoni, po jego ustach błąkał się dziwny uśmiech. - Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak wchodzi w moje książęce buty?

- Bez trudu! - krzyknęła. - Och, tak, tak, Tracy! Weź tę dziewczynę.

- Jeśli ona tego zechce.

- Niewiara we własną zdolność perswazji nie pasuje do ciebie.

Wąski nos księcia zmarszczył się w nieładnym grymasie.

- Chyba nikt nie potrafi zmusić dziewczyny, by stanęła z nim przed ołtarzem.

- Ona cię zechce, chyba że jest idiotką.

- Jej ojciec będzie pod wrażeniem mojego tytułu; co do niej mam wątpliwości. Nie obeszloby jej to, nawet gdyby wiedziała.

- Zatem nie wie? - Ależ skąd. Dla niej jestem panem Everardem.

- Tracy, prawdziwy z ciebie spryciarz. Zatem nie masz się czego obawiać?

- Obawiać? - Strzelił palcami. -Ja?

Gruba zasłona odsunęła się bezgłośnie, a w powstałej szczelinie stanął Richard Carstares.

Tracy odwrócił głowę i zmierzył intruza wzrokiem. Następnie podniósł rękę i zdjął maskę.

- Czyżby mąż zwierzył intrygę?- spytał.-Dzisiejszego wieczoru najwyraźniej jestem skazany na rozczarowania.



Lavinia, wciąż zła z powodu porannej awantury, zaśmiała się.

- Bardziej prawdopodobne, że mnie z kimś pomylił! - prychnęła pogardliwie.

Richard się uklonił, przytrzymując ręką zasłonę. W żaden sposób nie dał im do zrozumienia, że dziwi go widok księcia.

- To o wiele bardziej prawdopodobne, moja droga. Wziąłem cię za lady Charlwood. Nie przeszkadzam. - Momentalnie zniknął.

Tracy zachichotał i ponownie włożył maskę.

- Zaczny Dick nie traci zimnej krwi, czyż nie? Wetknął ci szpilkę, przyznasz, Lavinio.

- Och, jak on śmie! - Zacisnęła drobną dłoń. - Ma czelność mnie obrażać!

- Droga siostrze, mimo wszystko należy mu oddać sprawiedliwość: przyznaj, że odwracasz kota ogonem.

- Och, wiem, wiem! Ale on mnie prowokuje! Jest zazdrosny!

- Zazdrosny? Z jakiego powodu?

Niecierpliwie szarpnęła spódnicą i odwróciła wzrok.

- Och, nie wiem! On też nie! Zabierz mnie z powrotem na salę balową.

- Naturalnie, moja droga. - Księżę wstał i wyprowadził siostrę. -

Chciałbym prosić cię jutro o spotkanie.

- Naprawdę? Cudownie! Przyjdź na obiad, Tracy. Fortescue zaprosił Richarda do siebie.

- W takim razie z ogromną przyjemnością przyjmuję zaproszenie... Na miłość boską, któż to taki?

Lovelace zmierzał prosto ku nim.

- Lavinio! Wszędzie cię szukałem! Ach, sługa uniżony... - Uklonił się przed księciem i chwycił dłoń Lavinii.

- Och... och, Haroldzie! Pamiętasz Tracy'ego? - spytała nerwowo.

- Tracy! Nie poznałem cię w tej masce. Ostatnio widziałem cię w Paryżu.

- Doprawdy? Żałuję, że nie miałem pojęcia o twojej obecności we Francji. Sporo lat minęło, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- Pięć - sprecyzował Lovelace i z uśmiechem posłał Lavinii rozkochane spojrzenie.

- W rzeczy samej. - Księżę pochylił głowę w ukłonie. - Jak widzę, odnowiłeś znajomość z moją siostrą.

Gdy oboje odeszli, zamyślony Tracy pogłaskał się po brodzie.

- Lovelace... Richarda zżera zazdrość bez racjonalnego powodu. Mam nadzieję, że Lavinia nie zrobi niczego niedyskretnego. Tak, przyjacielu, mówiłem do siebie. Wiem, to niedobry nawyk.

Fortescue stanął za jego plecami i położył mu dłoń na ramieniu.

- To oznaka szaleństwa, mój drogi, Jim Cavendish chce cię zobaczyć.

- Doprawdy? A to czemu?

- Jest w sali karcianej. Jak sądzę, doszło tam do pewnego zakładu.

- Zatem muszę iść. Najlepiej się stanie, jeśli będziesz mi towarzyszył.

- Doskonale. Widziałeś Lavinie? Księżę zmrużył oczy pod maską.

— Widziałem. Zobaczyłem też starego przyjaciela: zwie się Lovelace.

- To ten kapitan w peruce? Twój przyjaciel, powiadasz?

- Czy tak powiedziałem? Powinienem się poprawić: przyjaciel mojej siostry.

- Tak, chyba rzeczywiście widziałem go w jej towarzystwie.

Tracy uśmiechnął się enigmatycznie.

- Tak, właśnie.

- A co z tobą, Tracy?

- Tak? Co ze mną?

- Dzisiejszego ranka powiedziałeś mi, że w końcu się zakochałeś. Czy to prawda? Rzeczywiście jesteś zakochany?

- Rzeczywiście? Skąd mogę wiedzieć? Mam tylko świadomość, że przez ostatnie cztery miesiące trawi mnie namiętność, a teraz jest silniejsza niż kiedykolwiek. Wszystko wskazuje na to, że to miłość.

- Zatem jeśli w grę wchodzi dobra kobieta, mam nadzieję, że zaakceptuje cię z dobrodziejstwem inwentarza i ofiaruje ci to, co ma najlepszego.

- Dobrze powiedziane. To jasne, że mnie zaakceptuje. Powątpiewam co do reszty.

- Głowa do góry, Tracy! Jeśli jednak przemawiasz to niej takim tonem, z pewnością nie zdobędziesz jej serca.

- Dotąd zawsze się sprawdzał.

- Ze zwykłymi ladacznicami. Jeżeli jednak twoja wybranka jest prawdziwą damą, odeśle cię do diabła. Człowieku, zalecaj się do niej. Zapomnij o tym, jaki jesteś ważny, bo moim zdaniem powinienes się ukorzyć, jeśli wszystko to, co mi mówisz, jest prawdą. Zatrzymali się przed pokojem karcianym, oddzielonym zasłoną od sali balowej. Tracy ujął skraj materiału i butnie spojrział na przyjaciela.

- Mam się ukorzyć? Na litość boską, chyba rozum ci odjęło!

- Może i tak, lecz powiadam ci, Tracy: jeśli twoja namiętność jest miłością, to dziwną, skoro na pierwszym miejscu stawiasz siebie. Nie dałbym za taką miłość złamanego grosza. Pragniesz tej dziewczyny, nie jej szczęścia. Zależy ci na własnej przyjemności. Nie taka miłość ocali ciebie przed samym sobą; już ci to kiedyś mówiłem. Gdy pokochasz szczerze, będziesz miał siebie za nic. Uświadomisz sobie własną małość, a przede wszystkim będziesz gotów na każde poświęcenie dla ukochanej. Tak, do tego stopnia, że być może zrezygnujesz z niej dla jej dobra.

Książę wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

- Twoja elokwencja jest niezrównana - zauważył. - Nie bawiłem się tak wybornie od wyjazdu z Paryża.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

*Książę Andover bierze udział w grze*

Kiedy następnego dnia książę Andover jadł obiad przy Grosvenor Square, subtelnymi sposobami udało mu się pogorszyć samopoczucie siostry. Wygłaszał pozornie miłe, błahe uwagi na temat jej przyjaźni z kapitanem Lovelace'em, w których wyczuwała dezaprobatę i ukrytą groźbę. Bała się go tak, jak nigdy nie bała się męża i wiedziała, że gdyby domyślił się głębi jej uczucia do dawnego kochanka, podjąłby skuteczne kroki, mające na celu zakończenie ich związku. Innymi słowy, wyłącznie ze względu na Tracy'ego powiedziała Love-lace'owi, że nie wolno mu tak otwarcie darzyć jej uwielbieniem. Dodała, że jego wizyty również są niedopuszczalne. Był ranek, oboje przebywali wtedy w jej buduarze. Lavinia wyglądała wyjątkowo ślicznie i niebywale kusząco w pudermantlu, ze złocistymi, nieupudrowanymi lokami, ułożonymi w kunsztowną, acz pozornie niedbałą fryzurę. Tak czy owak Lovelace zrezygnował z elegancko kpiarskiej pozy i wziął Lavinie w ramiona, niemal dusząc ją w zaborczym, namiętym uścisku.

Lavinia bezskutecznie usiłowała się oswobodzić, a w pewnej chwili zaczęła płakać. Ponieważ jego pocałunki nasilały potoki łez damy, kapitan posadził ją ostrożnie na krześle. Następnie odkurzył podłogę chustką, ukląkł przy Lavinii i chwycił ją za rękę.

- Boginko! Uwielbiam cię!

Uznawszy po namyśle, że łzy fatalnie wpływają na jej cerę, Lavinia oswobodziła dłonie i otarła oczy.

- Och, Haroldzie!

- Obraziłem cię. Jestem podły...

- Och, nie, nie! - Lavinia znowu podała mu dłoń. - Ale postąpiłeś brzydko, Harry. Nigdy, przenigdy nie wolno ci tego robić ponownie.

Otoczył ją ramieniem w talii.

- Ale ja cię kocham, najdroższa.

- Och! Och! Pomyśl o Dicku! Puścił ją i zerwał się na równe nogi.

- Dlaczego miałbym o nim myśleć? Myślę o tobie i o sobie. Nie dalej jak tydzień temu zaręczałaś, że jest niedobry...

- Postępujesz niewyobrażalnie niegodziwie, przypominając mi o tym. Oboje byliśmy źli, a potem oboje żalowaliśmy. Bardzo lubię biednego Dicka.

- Lubię. Tak, to możliwe, ale go nie kochasz! Nie darzysz go taką miłością, jaką kobieta może darzyć mężczyznę, prawda?

- Haroldzie!

- Oczywiście, że tak. Kiedyś mnie kochałaś... Nie, nie kręć głową, to szczerą prawdą. Poślubiłabyś mnie, gdyby nie Tracy.

- Och, Harry! Jak możesz mówić takie rzeczy. Co on ma z tym wspólnego?

- A czyja to wina, że po wielokroć odmawiano mi prawa wstępu do Andover? Za czyją sprawą nakłoniono cię do małżeństwa z Carstaresem?

- Tracy nie miał z tym nic wspólnego. To było moje życzenie.

- Które sformułowałaś pod wpływem namów Carstaresa.

- Och, nie!

- Nigdy nie kochałaś Carstaresa.

- Nieprawda! Kochałam go! Nadal go Kocham!

- Może tak myślisz, ale ja wiem lepiej. On do ciebie nie pasuje. Jesteś stworzona do korzystania z życia, do uprawiania hazardu, zażywania przyjemności. Ze mną miałabyś to wszystko; z nim...

Lavinia wstała gwałtownie. Jej oczy błyszczały, lecz zasłoniła uszy dłońmi i zirytowana tupiała nogami.

- Nie będę słuchała! Nie będę, powtarzam! Och, zły z ciebie człowiek, skoro tak się nade mną pastwisz.

Lovelace ponownie wziął ją w ramiona i obsypał jej dłonie pocałunkami. Przeciwstawiała się, usiłowała go odepchnąć, lecz był silniejszy i pocałowałby ją ponownie, gdyby ktoś im nie przerwał.

Rozległo się pukanie do drzwi i lokaj obwieścił:

- Jego Wysokość księżę Andover. Przyłapana na gorącym uczynku para momentalnie się rozdzieliła. Lavinia była czerwona jak burak, kapitan blady jak kreda, lecz opanowany.

Na progu stanął księżę, z monoklem przy oku. Popatrzył uważnie na siostrę i jej gościa, a następnie złożył im elegancki ukłon.

- Moja droga Lavinio. Kapitanie Lovelace, do usług.

Lovelace ostentacyjnie odwzajemnił ukłon.

- Księżę...

- Tracy! - krzyknęła Lavinia i podeszła bliżej. - Co za nieoczekiwana wizyta.

- Ufam, że nie przybywam w niestosownym momencie, moja droga?

- Ależ skąd - zapewniła go pospiesznie. - Jestem zachwycona twoim widokiem. Pora jednak jest wczesna... Przyznaję, że to trochę zdumiewające. - Wskazała mu krzesło, trajkocząc jak dziecko. Tracy miał tak niewinną minę i tak pogodnie uśmiechał się do kapitana, że Lavinia uznała, iż brat niczego nie podejrzewa i nie zauważył jej rumieńców.

Dopiero po odejściu Lovelace'a została wyprowadzona z błędu. Gdy księżę przesiadł się na krzesło naprzeciwko niej, dostrzegła na jego twarzy grymas niezadowolenia.

- Coś cię irytuje, Tracy? - spytała nerwowo. Księżę mocniej zmarszczył brwi,

- N-nie. Nie jestem zirytowany. Oczekuję sensacji.

- Nie bardzo rozumiem. Co masz na myśli?

- Chwilowo nic.

- Tracy, przestań być taki tajemniczy. Czy wytrąciłam cię z równowagi?

- Ależ nie, Lavinio.

- Co cię denerwuje?

- Czy dobrze się wczoraj bawiłaś, droga siostrzo? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Wczoraj w nocy?

Poczerwieniała. Poprzedni wieczór spędziła u lady Davenant, która zorganizowała bal kostiumowy. Na maskaradę zabrał ją lord Robert, lecz tańczyła niemal wyłącznie z Lovelace'em. Oboje mieli jednak twarze zasłonięte maskami, więc pytanie ją zaskoczyło.

- Bawiłam się całkiem znośnie, dziękuję. Byłeś na balu?

- Nie, Lavinio. Nie byłem.

- Zatem skąd wie... - Urwała zmieszana i przygryzła wargę. Dostrzegła jego spojrzenie, przenikliwe i chłodne.

- Skąd wiem? - dokończył książę. - Słyszysz się to i owo. Na dodatek - powiódł spojrzeniem po pokoju - widzi się to i tamto.

- Nie... nie rozumiem, o co ci chodzi. - Lavinia zaczęła niespokojnie szarpać koronkę przy pudermantlu.

- Nie? Czy mam mówić dosadniej?

- Tak! Tak! Chętnie posłucham!

- Zatem chciałbym cię prosić, Lavinio, byś nie popełniła jakiegoś występku.

Jej policzki zalał krwisty rumieniec.

- Chodzi ci...

- Chodzi mi o to, byś nie zaprzyjaźniła się zbyt blisko z Haroldem Lovelace'em.

- Och! A co w tym złego?

Nieco zaskoczony książę przyłożył monokl do oka.

- Co w tym złego? Pomyśl przez chwilę.

- Nie wydaje mi się prawdopodobne, bym to właśnie ja kalęła nazwisko naszej rodziny, Tracy.

- Mam nadzieję. Daję słowo, że dołożyłbym wszelkich starań, aby zapobiec tak nieprzemyślanemu czynowi z twojej strony. Miej to na uwadze.

Lavinia siedziała w milczeniu.

- Drogie dziecko, niemądrze jest igrać z ogniem - dodał. - Prędzej czy później każdy się poparzy. Pamiętaj ponadto, że twój przystojny kapitan nie ma nawet połowy majątku Richarda.

Zerwała się na równe nogi, przydeptując spódnice, jak zawsze, kiedy ogarniała ją złość.

- Pieniądze! Pieniądze! Zawsze pieniądze! - wrzasnęła. - Nie dbam o nie ani odrobinę! A Richard wcale nie jest majątny!

- Richard jest spadkobiercą majątku - odparł księżę spokojnie. - Nawet jeśli cię nie pociąga, wiedz, że ja patrzę na niego z innej perspektywy. Richard jest mi niesłychanie przydatny, dlatego proszę cię, byś nie zostawiała go dla takiego lekkoducha i modnisiaka jak Lovelace, który będzie ci wierny może przez kwartał, lecz nie dłużej.

- Tracy, nie waż się tak do mnie mówić! Jak śmiesz mnie obrażać?! Nie dałam ci żadnego powodu. Nie wspomniałam, że zamierzam z nim uciec. Poza tym byłby mi wiemy. Dochował mi wierności przez te wszystkie lata.

Księżę uśmiechnął się prowokacyjnie.

- Moja droga!

- Och, mam świadomość pewnych błędów młodości... Czy sądzisz, że z tego względu uważam go za kogoś gorszego?

- Najwyraźniej nie.

- On już nigdy nie pokochał nikogo naprawdę. Nienawidzę cię!

- Dajesz się ponieść emocjom, moja droga. Zatem poważnie bierzesz pod uwagę możliwość ucieczki?

- Nie, nie, nie! W żadnym wypadku! Lubię Dicka, zapewniam cię.

- Gość podobnego!

- To jasne, że go nie opuszczę.

- Wobec tego jestem usatysfakcjonowany. - Wstał. - Spodziewam się, że kapitan Lovelace będzie rzadziej przebywał w twoim towarzystwie. - Podniósł kapelusz i laskę, a następnie stanął przed siostrą. Wyciągnął trupioblada dłoń



ozdobioną pierścieniem z rubinową pieczęcią i ujął Lavinie pod brodę. Zmierzył siostrę wzrokiem.

- Rozumiesz mnie? - spytał ostro.

Oczy Lavinii wypełniły się łzami, a jej broda zadrżała.

- Tak. - Zaszlochała cicho. - Och, tak, Tracy. Jego spojrzenie nieco złagodniało, a na ustach pojawił się uśmiech, tym razem bez cienia szyderstwa. Tracy puścił brodę siostry i czule poklepał ją po policzku.

- Pamiętaj, dziecko, jestem starszy od ciebie o piętnaście lat i mam więcej wiedzy o świecie w małym palcu niż ty w swojej główce. Nie chcę być świadkiem twojego upadku.

Książę podał jej koronkową chustkę, którą przyłożyła do oczu.

- Kochasz mnie, Tracy?

- Odnoszę wrażenie, że w zakamarku mojego umysłu żywię do ciebie przychylnie uczucia - odparł chłodno i odebrał jej chustkę. - Niegdyś traktowałem cię na równi z naszymi żalonymi braćmi, lecz być może się myliłem.

Roześmiała się histerycznie.

- Tracy, jak możesz być taki nieprzyjemny. Och! Żal mi Diany, jeśli za ciebie wyjdzie.

Zdumiała się, ujrawszy rumieniec na jego twarzy.

- Jeśli Diana mnie poślubi, będzie miała wszystko, czego zapragnie - odparł wyniośle i wyszedł.

Na zewnątrz rozejrzał się w poszukiwaniu lektyki. Nie widząc żadnej w pobliżu, poszedł pieszo do Audley Street. Maszerował prędko, lecz na przeszkodzie stanęły mu dwie panie, które podążały ulicą w lektykach. Przywołały go do siebie, a gdy się wreszcie od nich uwolnił, skręcił w Curzon Street, stamtąd w Half Moon Street, gdzie wpadł na Toma Wildinga, który miał sporo do powiedzenia na temat ostatniego zakładu Marcha i Edgumbe'a. Książę udał zainteresowanie, po czym uprzejmie zrezygnował z towarzystwa

Wildinga i pospieszył na Piccadilly. Zmierzał na wschód, ku St James's Square, gdzie znajdował się dom miejski Andoverów. Los chciał, że ponownie napotkał przeszkodę, gdyż na Arlington Street ujrzał pana Walpole'a, schodzącego ze schodów domu pod numerem piątym. On również miał sporo do powiedzenia księciu. Nie wiedział, że Belmanoir wrócił z Paryża. Przybył tydzień temu? Cóż, on, Walpole, przez cały tydzień przebywał poza miastem, w Twickenham. Miał nadzieję, że księżę zaszczyci go obecnością na małym przyjęciu karcianym, które wydawał w czwartek. George był zaproszony, a także Dick Edgecumbe. Zaprosił Marcha i Gilly'ego Williamsa, ale Bóg wie, czy będą chcieli przyjść. Czy księżę słyszał o absurdalnej zazdrości Gilly'ego? Wilding potwierdził swoje przybycie, podobnie Markham; kilku innych miało odpowiedzieć w najbliższym czasie.

Andover z wdzięcznością przyjął zaproszenie i rozstał się z panem Walpole'em. Resztę drogi pokonał bez przeszkód, a gdy dotarł do domu, poszedł wprost do biblioteki, gdzie zasiadał pełen godności, niewątpliwie szanowany jegomość, ubrany jak stajenny. Na widok księcia wstał i złożył mu ukłon.

Belmanoir lekko skinął głową i usiadł za biurkiem.

- Mam dla pana zajęcie, panie Harper.

- Tak, sir, to znaczy wasza książęca mość.

- Zna pan Sussex? . ,

- Cóż, wasza książęca mość, eee, tak, wasza książęca mość. Chciałem powiedzieć, niezbyt dobrze, wasza książęca mość.

- Słyszał pan o miejscu zwanym Littledean?

- Nie, sir... wasza książęca mość. -Midhurst?

- Och, tak, wasza książęca mość.

- To dobrze. Littledean leży w odległości jedenastu kilometrów na zachód od Midhurst. Znajdzie pan tę miejscowość, a w niej gospodę „The Pointing Finger”. Tam się pan zatrzyma.

- Tak, wasza książęca mość, oczywiście.

- Nieopodal gospody stoi dom - Horton House - gdzie mieszka niejaki pan Beauligh z siostrą i córką. Ma pan z najwyższą uwagą obserwować poczynania tych ludzi. Po pewnym czasie zostanie pan u nich stajennym.

- Ależ... wasza książęca mość! - zaprotestował Harper nieśmiało.

- Odnajdzie pan ich obecnego stajennego i zasugeruje, że ja, Andover, potrzebuję drugiego sługi na tym stanowisku. Powie mu pan, że hojnie go wynagrodzę - dam mu trzykroć tyle, ile pan Beauligh. Jeśli się znam na ludziach, natychmiast zapragnie się u mnie zatrudnić. Wtedy zajmie pan jego miejsce. Jeśli pan Beauligh zażąda rekomendacji, wskaże pan sir Hugh Grandisona z White's Chocolate House, przy St James's Street. Gdy będzie pan zatrudniony, prześlę panu dodatkowe instrukcje.

Mężczyzna z otwartymi ustami patrzył na swojego mocodawcę, potem zamknął usta i ponownie je rozchylił.

- Na pewno dobrze pan zrozumiał? - spytał Belmanoir spokojnie.

- Ech... tak, wasza książęca mość.

- Zatem niech pan powtórzy, co powiedziałem. Harper wymamrotał to, co przed chwilą usłyszał, i z zakłopotaniem otarł czoło.

- Bardzo dobrze. Dodatkowo zapłacę panu dwa-kroć tyle, ile dostanie pan od pana Beauligha, a na koniec, jeśli będzie mi pan dobrze służył, dam panu pięćdziesiąt gwinei. Czy to pana zadowala?

Harper wyraźnie się rozpromienił.

- Tak, wasza książęca mość! Dziękuję unieżenie!

Tracy wyłożył przed nim dwadzieścia gwinei.

- To na wydatki. Im szybciej się pan uwinie, tym pewniejsze będzie pięćdziesiąt gwinei. To wszystko. Ma pan pytania?

Oszołomiony Harper myślał gorączkowo, lecz nie doszedł do żadnych wniosków, pokręcił więc przecząco głową.

- Nie, wasza książęca mość.

- Zatem może pan odejść.

Mężczyzna uklonił się, ściskając pieniądze. Od niedawna pozostawał na służbie u księcia i jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić do jego niezrozumiałych decyzji. Nie był pewien, czy mu to odpowiada, lecz uznał, że pięćdziesiąt gwinei piechotą nie chodzi.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

*Pani Fanshawe wznieca ogień, O'Hara go podsyca*

Richard Carstares bardzo szybko postanowił skorzystać z zaproszenia pani Fanshawe i wkrótce stawił się pod numerem szesnastym na Mount Street. Okazało się, że dom urządzone z wielkim smakiem, a wdowa jest znakomitą gospodynią o pogodnym usposobieniu. Gdy przyszedł do nich po raz pierwszy, nie był jedynym gościem. W salonie zastał dwie damy, których nie znał, oraz młodego kuzyna pani domu. Później dołączył do nich także pan Standish, znany Richardowi z widzenia. Po zorientowaniu się, że nie będzie miał sposobności zamienić z wdową słowa na temat brata, Carstares bardzo szybko się pożegnał i obiecał, że wkrótce zawita ponownie. Gdy trzy dni później się zapowiedział, gospodyni przyjęła go zupełnie sama. Z radością usłyszał też, że wdowa zabrania służącemu wprowadzać innych gości.

Uklonił się jej i wyraził nadzieję, że dobrze się miewa. Pani Fanshawe wskazała mu miejsce obok siebie na kanapce.

- Miewam się doskonale, drogi panie. A pan?

- Również. - Uśmiechnął się, lecz jego wygląd przeczył słowom.

Poinformowała go o tym ze śmiechem, na co on wyjaśnił, że miał ciężki tydzień.

- Cóż, drogi panie, zakładam, że celem tej wizyty nie jest rozmowa na temat stanu pańskiego zdrowia. Mieliśmy podyskutować o moim przyjacielu, czyż nie?

- Zapewniam...

- Proszę pamiętać: bez komplementów! - przestrzegła.

- Zatem tak, milady. Chciałbym się dowiedzieć czegoś na temat

Ferndale'a. Rzecz w tym, że - podobnie jak pani - ogromnie się nim interesuję.

Obdarzyła go uważnym spojrzeniem i skinęła głową.

- Oczywiście. Powiem panu wszystko, co wiem, lecz, niestety, nie jest to zbyt wiele i być może poczuje się pan rozczarowany. Miałam okazję przez krótki czas kontaktować się z tym człowiekiem, kiedy oboje przebywaliśmy w Wiedniu, lecz nie był on szczególnie komunikatywny.

- Och! Czyżby nie obdarzył pani zaufaniem?

- Niestety. Kiedy próbowałam je zdobyć, natychmiast zmieniał się w górę lodową.

- Mimo to chętnie poznam wszystkie znane pani szczegóły.

- Obawiam się, że ich podsumowanie nie potrwa długo. Poznałam go w czterdziestym ósmym, w Wiedniu, na Praterze. Spacerowałam tam z mężem, który zawitał do Wiednia ze względów zdrowotnych. Przypadkiem upuściłam torebkę akurat w chwili, gdy mijał nas sir Anthony. Podniósł zgubę i przemówił najgorszym niemieckim, jaki sobie można wyobrazić. - Uśmiechnęła się z lekka na to wspomnienie. - Pan Fanshawe, który żywił głęboką niechęć do cudzoziemców, nie posiadał się z radości, słysząc angielski akcent. Zachęcił sir Anthony'ego do kontynuowania spaceru w naszym towarzystwie, a potem zaprosił go do naszej kwatery. Myślę, że on również był zadowolony ze spotkania z rodakami, gdyż często nas odwiedzał. Któregoś razu rozmawiałam z nim przez pewien czas i wtedy... jakby to ująć..., odsłonił się przede mną. Wyjawiał, że od czterech lat prawie nie miał okazji mówić we własnym języku. Później chyba pożałował, że zdradził ten szczegół, i zmienił temat. - Zamilkła i popatrzyła na słuchacza, by sprawdzić, czy nie jest znudzony.

- Tak, tak? - pospieszył ją Richard. - A potem?

- Nie pamiętam. Jak nadmieniałam, przychodził często i rozmawiał głównie z moim ciężko chorym mężem. Czasami jednak chciał widzieć się ze mną. Rzadko kiedy mówił o Anglii - pewnie sobie nie ufał. Nigdy nie wspominał krewnych ani przyjaciół w Anglii, a gdy ja nawiązywałam do kwestii dotyczących ojczyzny, mocno zaciskał usta i sprawiał wrażenie niesłuchanie przygnębionego. Czułam, że z nieznanym mi przyczyn temat ten budzi w nim bolesne wspomnienia, więc go unikałam. Sir Anthony był bardzo interesującym rozmówcą, drogi panie. Chętnie opowiadał mojemu mężowi historie, które wzbudzały jego wesołość, a przecież od wielu miesięcy nie widziałam, żeby się śmiał. Był bardzo energiczny, bardzo dowcipny, a przy tym niemal przesadnie starannie ubrany. Nie znałam jego zawodu. Oświadczył, że jest dżentelmenem i nie musi pracować, lecz wcale nie wyglądał na bogacza. Chadzał do kasyn i docierały do mnie opowieści o jego niespotykanym szczęściu, więc pewnego dnia spytałam go, czy to prawda. Roześmiał się i wyjaśnił, że żyje z hazardu - miał na myśli kości. Jego służący wyjawili im jednak, że z jego finansami jest bardzo, bardzo krucho.

- Chciałbym jeszcze wiedzieć, kiedy udzielił pani pomocy?

Pani Fanshawe się zarumieniła.

- Kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu. Byłam... nierozsądna, moje pożycie małżeńskie źle się układało, a ja... kochałam, a raczej wyobrażałam sobie, że kocham austriackiego arystokratę, który... który... powiedzmy, że pewnego wieczoru zgodziłam się zjeść z nim kolację. Okazało się, że nie jest *galant homme*, za jakiego go uważałam, tylko kimś kompletnie innym. Nie wiem, do czego by doszło, gdyby nie przybył sir Anthony.

- A więc przybył właśnie wtedy?

- Tak. Otóż on wiedział, że ten Austriak zaprosił mnie na kolację. Sama wyznałam to sir Anthony'emu, a on poradził mi, żebym odrzuciła zaproszenie. Jak już wspomniałam, byłam jednak bardzo nierozsądna- nie usłuchałam jego rad. Kiedy przybył z wizytą do naszego domu i powiedziano mu, że wyszłam,

natychmiast odgadł, dokąd się udałam. Ruszył do domu hrabiego, przedstawił się austriackim nazwiskiem i został zaanonsowany w chwili, gdy hrabia usiłował... usiłował... mnie pocałować. Chyba nigdy nie zapomnę ulgi, jaką wówczas poczułam. Sir Anthony był tak godny zaufania, taki angielski... Hrabiego ogarnęła wściekłość i z początku sądziłam, że każe lokajom wyrzucić sir Anthony'ego. Kiedy jednak wysłuchał tego, co miał do powiedzenia jego nieproszony gość, zrozumiał, że nie ma sensu mnie zatrzymywać. Dzięki temu wróciłam do domu. Anthony był wyrozumiały. Nie wypominał mi niczego, nie powiedział nic mojemu mężowi. Dwa dni później stoczył z hrabią pojedynek i ranił go w płuco. Na tym koniec. Czuję do niego zrozumiałą wdzięczność i zainteresowałam się jego sprawami. Wraz z panem Fanshawe'em opuściliśmy Wiedeń kilka tygodni później i od tego czasu nie widziałam mojego *preux chevalier*. - Westchnęła i popatrzyła na Carstaresa. - A pan... Pan tak bardzo go przypomina!

- Tak pani uważa? - wymamrotał Richard, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Tak, drogi panie. Chciałam pana o coś spytać i mam nadzieję, że nie uzna pan tego za impertynencję. Czy Anthony to pański brat?

Carstares nie był przygotowany na tak bezpośrednie pytanie. Zbladł jak papier.

- Milady!

- Niech pan się nie obawia. Należę do kobiet, które potrafią trzymać język za zębami. Tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy pana ujrzałam, od razu dostrzegłam podobieństwo i spytałam mojego towarzysza, pana Stapely'ego, kim pan jest. Przekazał mi tę informację, a także garść innych, których wówczas nie byłam ciekawa.

- I jak tu wierzyć Willowi Stapely'emu! - wykrzyknął Richard i w myślach przeklął życzliwego plotkarza.

- Dowiedziałam się między innymi o pańskim bracie, który... który... No cóż, prawdę mówiąc, pan Stapely powiedział mi wszystko. Rzecz jasna, momentalnie pomyślałam o moim biednym Anthonym, chociaż z wyglądu jest młodszy od pana. Czy mam rację?

Richard wstał i podszedł do okna, stając tyłem do gospodyni.

- Tak.

- Nie wątpiłam w to. - Skinęła głową. - Zatem dlatego nie chciał rozmawiać o Anglii? Biedaczysko!

Richard niemal zadrżał z bólu, słysząc jej współczujący ton.

- Na zawsze pozostanie wyrzutkiem - ciągnęła. - Samotny, nieszczęśliwy, bez przyjaciół...

- Nie! - krzyknął i się odwrócił. - Na Boga, nie!

- Czy zatem społeczeństwo - okrutne, zimne społeczeństwo - przyjmie go z powrotem? - spytała.

- Społeczeństwo... tak, pewnego dnia społeczeństwo go przyjmie, milady. Przekona się pani.

- Nie mogę się doczekać tego dnia. - Westchnęła. - Szkoda, że nie mam możliwości mu pomóc. Chciałabym spłacić dług, który u niego zaciągnęłam.

Podniósł głowę.

- Mój brat nie potraktowałby tego jako długu. To był dla niego zaszczyt - wyjaśnił z dumą.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Jest pan do niego podobny. Kiedy pan mówi, można nabrać wrażenia, że jest pan własnym bratem.

- On wart jest tysiąca takich jak ja, milady! - zawołał porywczo Richard i zamilkł, wpatrzony w blat stołu.

- Jak brzmi jego godność? - zapytała cicho.

- John Anthony St Ervine Delaney Carstares - wyrecytował. - Hrabia Wyncham.



- Zatem imię Anthony nie było zmyślone! Cieszy mnie to, bo już na zawsze pozostanie dla mnie Anthonyrn.

Zapadło długotrwałe milczenie, w końcu przerwane przez panią Fanshawe.

- Z przykrością dostrzegam, że pana zasmuciłam, drogi panie. Czy przed wyjściem wypije pan ze mną filiżankę herbaty bohea? Nie będziemy już wracali do tego tematu.

- Bardzo pani życzliwa. Proszę mi wierzyć, jestem zobowiązany za wszystko, co przed chwilą usłyszałem. Pragnę spytać, czy w niedługim czasie mógłbym jeszcze zawitać do pani?

- Będę zaszczycona. Dla moich przyjaciół niemal zawsze jestem w domu. Wkrótce potem do pokoju weszła siostra gospodyni i prywatna pogawędka dobiegła końca.

Tamtej nocy Carstares długo nie mógł zmrużyć oka. Słyszał, jak dzwon wybija kolejne godziny, a na placu pohukują sowy. Słowa wdowy zapadły mu głęboko w duszę i ciągle powracał myślami do Johna. „Samotny, nieszczęśliwy, bez przyjaciół...”. Raz za razem stawiał sobie w myślach pytanie: John czy

Lavinia? Potem zastanawiał się nad tym, gdzie teraz podziewa się jego brat: czy nadal wędruje po południowych szlakach jako rozbójnik? Nikt nawet nie podejrzewał, jak bardzo Richard obawiał się sprawdzić, kim są ostatnio schwytani przez wojsko złoczyńcy. Za każdym razem spodziewał się, że wśród więźniów ujrzy Johna, i odwiedzał więzienie Newgate tak często, że jego przyjaciele żartowali z niego, twierdząc, że przejął od Selwyna zamiłowanie do grozy.

Uważał, że wszystko zależy od Johna: gdyby zamierzał powrócić do społeczeństwa, uczyniłby to. W głębi duszy jednak wiedział, że taka decyzja byłaby niegodna nawet człowieka tak upodlonego jak on. Potem jego myśli skoncentrowały się na Lavinii, która go na przemian olśniewała i rozczarowywała. Zaledwie tydzień temu kompletnie go zlekceważyła w sprawie

przyjaźni z Lovelace'em, a potem pospieszyła do męża z przeprosinami i przez wzgląd na jego osobę zrezygnowała z towarzystwa kapitana. Była tak uroczo niegrzeczna, tak dziecinnie nierozsądna. Samolubna? Tak, owszem, niemniej ją kochał. Kochał ją tak ogromnie, że gotów był dla niej umrzeć. Mimo to John był jego bratem, uwielbianym starszym bratem, i okazując posłuszeństwo Lavinii, Richard go krzywdził. Gdyby tylko Lavinia zgodziła się przyjąć do wiadomości prawdę! Ta konkluzja sprawiła, że Richard ponownie znalazł się w punkcie wyjścia: gdyby tylko Lavinia przyjęła do wiadomości prawdę... Nie miał jednak wątpliwości, że się na to nie zgodzi. Powtarzała, że skoro ją poślubił, nie wyjawiając jej prawdy, teraz nie miał prawa jej hańbić. Tak było w istocie, ale żałował, że Lavinia choć raz nie przestała myśleć przede wszystkim o sobie.

I tak deliberował przez całą noc, rzucając się na wszystkie strony w wielkim łóżu. Bezskutecznie usiłował uwolnić się od bolesnych rozterek.

Świtało, gdy zasnął, a ocknął się dopiero wtedy, kiedy podano mu poranną czekoladę. Z goryczą skonstatował, że John przynajmniej nie ma problemów z sumieniem; nie zasypia z głową pełną sprzecznych myśli i nie budzi się coraz mniej pewny ostatecznej decyzji. Tego dnia ból głowy stał się nieznośny, więc przez pewien czas Richard pozostawał w łóżku, zapatrzony w szary poranek za oknem. Nad placem zaległa mgła, z której smutno sterczały jesienne drzewa z przywiędłymi liśćmi. W tym widoku było coś bezbrzeżnie przygnębiającego. W końcu jednak Carstares wstał i czekał, aż służący go ubierze. Już dłużej nie mógł znieść bezczynności. Ból głowy zelżał, gdy poszedł odwiedzić żonę w jej pokoju i wysłuchać entuzjastycznych wrażeń Lavinii z wczorajszego balu. Następnie wyszedł na dwór, przywołał lektykę i kazał się nieść do White'a, gdzie zamierzał napisać dwa listy. Dom był zbyt przepełniony wspomnieniami o Johnie, z przyjemnością więc go opuścił.

Pomimo wczesnej pory u White'a było tłoczno. Hałas boleśnie zaatakował jego głowę. Ze wszystkich stron pozdrawiali go znajomi, proponując zakłady; ktoś usiłował opowiedzieć mu o jakimś skandalu. Ludzie nie zamierzali dać mu

spokoju. Wreszcie poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma, więc poszedł do innego klubu, Cocoa-Tree, w nadziei, że tam będzie ciszej. Co prawda, zastał więcej ludzi, niż się spodziewał, ale — podobnie jak on - wielu z nich przyszło pisać listy i szukać ciszy. Na razie tylko nieliczni zajmowali się hazardem.

Richard pisał przez mniej więcej godzinę, potem zapieczętował ostatni list i zbierał się do wyjścia. Gdy opatrzył pismo pieczęcią, nagle usłyszał za plecami odgłosy zamieszania oraz okrzyki:

- Skąd się tutaj wzięłeś, u licha?
- Dobry Boże, nie widziałem cię od stu lat!
- Rety, toż to O'Hara!

Ktoś przemówił cicho, z irlandzkim akcentem, a wtedy Richard odwrócił się, nie wstając z krzesła, żeby spojrzeć na przybysza i jego rozmówców. Pośrodku małej grupki zaciekawionych członków klubu stał Miles O'Hara.

- Przyjechałem do miasta w interesach i pomyślałem, że muszę wpaść do klubu, aby rzucić na was okiem, nim odjadę - wyjaśniał zgromadzonym nowo przybyły. - Nieczęsto mam okazję...

Richard wstał, zebrał listy i wbił wzrok w mężczyznę, który niegdyś był najlepszym przyjacielem Johna. Zrobił krok w jego kierunku, a wtedy O'Hara odwrócił głowę i ich spojrzenia się skrzyżowały. Richard chciał pozdrowić przybysza, lecz nagle dostrzegł zmianę w jego wyglądzie. Pogoda ducha znikła z oczu Irlandczyka, nieoczekiwanie stały się zimne i pełne pogardy. Carstares znieruchomiał z ręką zaciśniętą na oparciu krzesła i ze wzrokiem wbitym w twarz O'Hary. Doskonale wyczuwał jego żal i złość. O'Hara skrzywił się z odrazą i odwrócił, by kontynuować rozmowę ze znajomymi.

Richardowi zakręciło się w głowie. O'Hara go ignorował, nie chciał z nim zamienić ani słowa... Musiał znać prawdę! Jak pijany ruszył do drzwi i sięgnął do klamki... O'Hara wiedział! Richard szedł korytarzem, po frontowych schodach, potem ulicą. Cały drżał. O'Hara wiedział i patrzył na niego tak, jakby... jakby... ponownie zadrżał, a widząc pustą lektykę, przywołał ją, każąc

się nieść na Grosvenor Square... O'Hara nim gardził. Uważał go za człowieka bez honoru. Czyżby zatem John wpadł w tarapaty? Czy Irlandczyk widział się z nim i poznał prawdę? Boże, kręciło mu się w głowie...

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

### *Co dalej?*

Po spotkaniu z O'Hara Richard był kompletnie wytracony z równowagi. Nie potrafił się uspokoić. Całymi dniami, a czasami także nocami jego umysł roztrząsał dylemat: John czy Lavinia? Zdecydował, że musi wybierać między bratem a żoną; nawet nie brał pod uwagę możliwości, że mógłby zachować żonę i zarazem wyznać prawdę. Lavinia tak często zapewniała go, że nie ma prawa oczekiwać od niej gotowości dzielenia się hańbą, że w to uwierzył. Podejrzewał, że jego żona zamierza odejść z Lovelace'em; skołowany umysł Richarda podpowiadał mu, że Lavinia kocha dawnego ulubieńca. Z tego względu każda próba przeciwdziałania rozwojowi wypadków byłaby, zdaniem Richarda, niesłychanie egoistyczna. Rzecz jasna, nie był sobą, a jego umysł nie funkcjonował normalnie ani racjonalnie. Nie wiedział, że cierpi na chorobę umysłową, a gdyby Lavinii przyszło do głowy uważniej przyjrzeć się mężowi, dostrzegłaby na jego policzkach gorączkowe wypieki, do tego miał nienaturalnie płonące, podkrążone oczy. Richard sprawiał wrażenie zarazem nieznośnie pobudzonego, skrajnie wyczerpanego i zdenerwowanego.

Gdy tłumaczył się przed panią Fanshawe ze zmęczenia, oznajmił, że nie potrafi odpocząć, pozostaje w bezustannym ruchu, cały czas intensywnie rozmyśla. Wdowa dostrzegła, że jej rozmówca nie jest sobą, i doradziła mu wizytę u lekarza. Irytacja Richarda i stanowcze odrzucenie myśli o chorobie nie zaskoczyły jej, lecz gdy poprosiła go, by o siebie zadbał, ze zdumieniem usłyszała stanowczą deklarację: „Byłbym zadowolony, gdybym umarł!”. Dziwiło ją, czemu jego żona nie dostrzega, w jakim stanie jest Richard, i z całego serca pragnęła pomóc. Nie знаła jednak Lavinii i czuła, że rozmowa o Richardzie byłaby nie na miejscu. Doszła do wniosku, że gdyby jego

dolegliwość miała charakter fizyczny, można by zaryzykować, lecz choroba Richarda najwyraźniej miała podłoże emocjonalne. Pani Fanshawe żywiła tylko nadzieję, że po pewnym czasie nastąpi samoistne ozdrowienie, a fatalna kondycja chorego się poprawi.

Tymczasem Lavinia nadal wiodła beztroskie życie, koncentrując się wyłącznie na zaspokajaniu własnych przyjemności. Było jej z tym dobrze, choć nieco żałowała, że Dick nie jest odrobinę pogodniejszy i nie uczestniczy w jej rozrywkach. Od pewnego czasu sytuacja się pogorszyła i chociaż Richard bez słowa skargi spełniał wszystkie jej zachcianki, chyba wolałaby spotykać się z jego odmową, pod warunkiem, że okazywałby więcej chęci do życia i nie poddawał się tak koszarnej apatii.

Lovelace na tydzień opuścił miasto i Lavinia zdumiała się, jak mało tęskni za jego towarzystwem. Igranie z ogniem zdecydowanie miało swój urok, lecz kiedy adorator znajdował się poza jej zasięgiem, wcale nie czuła jego braku. Wołałaby nadal wysłuchiwać komplementów Harry'ego i być obiektem jego westchnień, gdyż należała do kobiet, które bezustannie potrzebują podziwu i podniet, lecz nieobecność Lovelace'a jej nie unieszczęśliwiła. Nadal uczęszczała na bale i rauty z jednym lub drugim bratem, a kiedy Lovelace powrócił, zdumiało go jej nieco obojętne powitanie. Niewątpliwie jednak ucieszyła się na jego widok; wkrótce ponownie znalazła się pod urokiem kapitana i pozwalała mu przebywać w swoim towarzystwie, kiedy Tracy'ego nie było w pobliżu, a także chętnie słuchała zachwytów i uprzejmości.

Kapitanowi Haroldowi należało oddać sprawiedliwość - kochał Lavinie i był gotów zrezygnować z oficerskiej kariery, gdyby tylko zdecydowała się z nim uciec. Był samodzielny finansowo i zapowiedział, że spełni każdą zachciankę Lavinii; ta zbeształa go jednak i pokręciła przecząco głową. Jakkolwiek patrzeć, Richard był jej mężem; on także ją kochał, a ona go ogromnie lubiła, chociaż czasem bezlitośnie go traktowała.

Lovelace zapewnił ją, że mąż nie kocha jej nawet w części tak gorąco jak on, a gdy uśmiechnęła się z niedowierzaniem, stracił cierpliwość i wrzasnął, że całe miasto wie, iż Garstares leży u stóp pani Fanshawe! Lavinia zeszywniała.

- Haroldzie!

- Jestem zaskoczony, że tego nie dostrzegałaś - ciągnął. - Jak sądzisz, dokąd chodzi każdego dnia i czemu tak dużo czasu spędza poza domem? Myślisz, że jest wtedy u White'a? Nie. Jest na Mount Street pod numerem szesnastym! Stapely spotkał go tam; innego dnia lady Davenant widziała go z panią Fanshawe. Także Wilding natknął się na niego u niej w domu. Niemal każde popołudnie tam spędza.

Lavinia pochodziła z rodziny Belmanoirów i była dumna jako oni wszyscy. Zerwała się na równe nogi i niczym królowa okryła się peleryną.

- Zapominasz się, Haroldzie - oznajmiła wyniośle. - Nie waż się mówić takim tonem o moim mężu! Natychmiast odprowadź mnie do mego brata.

Lovelace momentalnie pożałował swych słów. Pospiesznie i zręcznie przeproszał Lavinie, naprawiał popsute stosunki, wycofywał się z tego, co powiedział, lecz jednocześnie cieszył się, że wbił strzałę tam, gdzie pragnął. Wybaczyła mu, ale nie wolno mu było już nigdy jej obrazić.

Chociaż z oburzeniem odmówiła dawania wiary pogłoskom o skandalu, poczuła irytację i zaczęła obserwować męża zazdrosnym wzrokiem. Zauważyła jego zaskakującą obojętność, a także częstą nieobecność w domu. Wreszcie nadszedł dzień, w którym kazała przenieść swoją lektykę po Mount Street akurat w chwili, gdy Richard wychodził spod numeru szesnastego.

Lavinia miała już tego dosyć. A zatem mąż rzeczywiście się nią znużył. Kochał inną kobietę. Jakaś żalonna wdowa. Po raz pierwszy się przejęła. Tego wieczoru została w domu i robiła wszystko, by zwrócić na siebie uwagę Richarda. Niestety, gdziekolwiek spojrzał, widział nieszczęśliwego, pełnego wyrzutów Johna. Richard miał gorączkę, tętniło mu w głowie od sprzecznych myśli, przez co prawie nie dostrzegał żony. Gdy tylko nadeszła pora, w której

wymogi uprzejmości pozwalały mu się oddalić, poszedł do biblioteki, gdzie maszerował z kąta w kąt, rozważając, co począć.

Lavinia była wstrząśnięta. Swoimi kapryсами obrzydziła mężowi życie, tak, jak to przewidział Tracy. Już o nią nie dbał. Dlatego nie towarzyszył jej, kiedy wychodziła. Po raz pierwszy w życiu rozważyła fakty i doszła do niepokojących wniosków. Jeśli nie było za późno, musiała odzyskać jego miłość. Aby to uczynić, powinna przestać nagabywać go o pieniądze, a także warczeć na niego, kiedy była w złym humorze. Musiała ponownie go zauroczyć. Aż do tej pory nie miała pojęcia, jak bardzo jej na nim zależy. Wszystko się zmieniło, gdy uznała, że już się nią nie interesuje. Przeżywała koszmar: przecież postępowanie Dicka nigdy nie budziło jej zastrzeżeń. Cokolwiek zrobiła, jakkolwiek irytująco się zachowywała, on zawsze ją uwielbiał.

Tymczasem Richard był jak najdalszy od adorowania pani Fanshawe. Chodził do niej po to, by słuchać opowieści o bracie, o tym, jak wyglądał, co powiedział. Pochłaniał wszystkie informacje, z napięciem wyczekiwał każdej nowej plotki w nadziei, że usłyszy cokolwiek na temat Johna. Jego umysł był skupiony wyłącznie na tym jednym temacie; dlatego nie dostrzegał, kiedy Lavinia się do niego uśmiechała ani też nie słyszał jej przytulnych słówek. Kiedy w pewnej chwili skomentowała jego bladość, niemal warknął na żonę i wyszedł z pokoju. Któregoś razu zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. Łagodnie ją odsunął, zbyt udęczony, aby reagować na pieszczoty, lecz - czego nie wiedziała - za nie wdzięczny.

Gdy książe Andover spotkał siostrę w Ranelagh Gardens, pomyślał, że wygląda na zboląłą i nieszczęśliwą. Spytał o powód, lecz Lavinia nie chciała zwierzać się nawet jemu i wykręciła się bólem głowy. Andover, znając ją dobrze, uznał, że odmówiono jej jakiegś zachcianki, i przestał zaprzętać sobie głowę tą sprawą.

On sam nie narzekał na brak zajęcia. Za ledwie dwa dni wcześniej na St James's Square stawiał się stajenny z pismem od Harpera, bardzo nieczytelnym i z fatalną ortografią, ale napisanym do rzeczy.

„Wasza Książęca Mość!

Powziółem postanowienie, by zatrudnić tego człowieka, Douglasa, w Wsz. Książęcej Mości Imieniu. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł wykonać pozostałe polecenia Wsz. Książęcej Mości i ufam, że moje postępowanie spotka się z Wsz. Książęcej Mości aprobatom.

Z wyrazami uniżenia M. Harper"

Tracy zamienił parę słów ze stajennym i potwierdził, że go zatrudnia, a następnie od razu skierował go do Andover Court, gdzie główny stajenny szybko znalazł pracę dla nowego sługi. Książę rozbawiła łatwość, z jaką udało mu się schwytać stajennego w pułapkę, i cynicznie pomedytował nad ułomnością ludzkiej natury, która zawsze czciła wielkiego boga Mammona.

Niecałe trzy dni później doręczono Tracy'emu następny list, tym razem od pana Beauleigha, skierowany do sir Hugh Grandisona, na adres White'a. Pismo okazało się prośbą o referencje dla Harpera.

Książę Andover odpowiedział w bibliotece własnego domu. Z sarkastycznym uśmiechem pisał o Harperze jako o „wyjątkowo uczciwym i godnym zaufania człowieku, czego niejednokrotnie dawał dowody”.

Zdążył napisać połowę odpowiedzi, kiedy Andrew bezceremonialnie otworzył drzwi i wszedł do środka.

Książę podniósł głowę znad listu i zmarszczył brwi. Zupełnie niezrażony chłodnym przyjęciem brata Andrew zamknął drzwi kopniakiem i opadł na krzesło.

- Czy mogę spytać, czemu zawdzięczam ten honor?

- Chodzi o Richarda - padła pogodna odpowiedź. - O Richarda.

- Nie interesuje mnie ani on, ani jego sprawy...



- Jesteś dzisiaj niezwykle przychylnie usposobiony - zauważył złośliwie Andrew. - Myślę jednak, że bardziej zainteresuje cię coś, co wydaje się niesłychanie tajemnicze.

- Doprawdy? Cóż takiego się stało?

- Właśnie to, co chciałem wiedzieć! Tracy westchnął ciężko.

- Andrew, przejdź wreszcie do sedna sprawy, o ile ma ona jakieś sedno.

Szkoda mi czasu.

- Dobry Boże! Jesteś zajęty? Pracujesz? Panie, zmiłuj się nad nami! - Elegancki młodzieniec wyciągnął nogi i uważnie im się przyjrzał. Potem wyprostował się, wpatrzony w kostkę obleczonej białą pończochą.

- Psiakrew! Skąd to się wzięło? - spytał zrezygnowany.

- Skąd co się wzięło?

- Ta ogromna plama błota na mojej nodze. Całkiem nowa, ledwie wystawiłem nos z domu. Do czarta, powiadam! Całkiem nowa...

- Noga?

- Ej? O co ci chodzi?

- O nic. Kiedy skończysz swoją elegię, może łaskawie wyjawisz mi cel wizyty?

- Och! Aj! Dwadzieścia szylingów za parę! Tylko pomyśl... Ale przejdźmy do sedna - w rzeczy samej, takowe istnieje. Otóż Richard wyraża pragnienie, byś zaszczycił go swoją obecnością w Wyn-cham w następny piątek, punktualnie o trzeciej po południu. W tym celu przesyła ci to. - Rzucił list na stół. - Dostąpisz tej łaski i mnie również tam ujrzysz.

Tracy rozdarł papier i rozpostarł pismo na stole. Przeczytał je bardzo uważnie, odwrócił jakby w poszukiwaniu dalszego ciągu, ponownie przebiegł wzrokiem, złożył i wrzucił do kosza na śmieci.

Następnie podniósł pióro i ponownie zanurzył w kałamarzu.

- Co myślisz? - spytał Andrew niecierpliwie. Książę w milczeniu dokończył pisanie zdania.

- Co myślę o czym?

- O liście, rzecz jasna! O co chodzi temu człowiekowi? Najwyraźniej chce się z nami podzielić wyjątkowo ważną nowiną.

- Zauważyłem bardzo niestaranny dobór słów - odparł Tracy. - Nie mam pojęcia, w czym rzecz.

- A co podejrzewasz? Tracy, nie bądź taki obojętny. Dick wydaje całkiem zacne przyjęcie.

- Drogi Andrew, najwyraźniej pozostajesz w jego łaskach. Pozwól, że ci pogratuluję. Bez wątpienia dowiemy się więcej w następny piątek o trzeciej.

- Przyjdiesz zatem?

- Całkiem możliwe. - Książę spokojnie powrócił do pisania.

- I nie masz pojęcia, czego dotyczy spotkanie? Dick jest bardzo dziwny. Ledwie słucha tego, co inni mają do powiedzenia, i nie może się uspokoić...

Boże!

- Ach!

- Klnę się na mą duszę, że wygląda na chorego, podobnie jak Lawy.

Sądzisz, że czegoś im brakuje?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Nie będę cię zatrzymywał.

Andrew dźwignął się z krzesła.

- Och, nie zamierzam zostać, bez obaw. Podejrzewam, że nie możesz mnie wesprzeć sumą... dajmy na to... pięćdziesięciu gwinei?

- Nie zakwestionuję twoich podejrzeń - odparł książę z fałszywą słodyczą.

- Nie? Cóż, właściwie nawet nie brałem tego pod uwagę. Szkoda, że jednak nie uda ci się zdobyć tych pieniędzy, Tracy. Ostatnio wyjątkowo nie dopisywało mi szczęście, a Bóg mi świadkiem, że niewiele od ciebie dostaję. Nie chcę ponownie prosić Dicka.

- Z całą pewnością nie mogę dopuścić, by przedstawienie stało się monotonne - przyznał Tracy. - Pięćdziesiąt, powiadasz?

- Czterdzieści pięć załatwi sprawę.

- Och, możesz tyle dostać. - Książę wzruszył ramionami. - Od ręki?

- Niech mnie licho, to naprawdę piekielnie uprzejme z twojej strony, Tracy. Przyznam, że przyjęcie tej sumy zaraz najzupełniej by mi odpowiadało.

Książę wyciągnął kluczyk z kieszonki kamizelki i wsunął go do zamka w szufladzie biurka. Stamtąd wyjął niewielką szkatułkę, odliczył pięćdziesiąt gwinei i dorzucił do stosu pieniędzy jeszcze jedną. Andrew popatrzył pytająco.

- A to z jakiej racji? - zdziwił się.

- Na pończochy - wyjaśnił Tracy z nieznacznym uśmiechem.

Andrew wybuchnął śmiechem.

- A to dobre! Żartowniś z ciebie, a niech mnie! Wylewnie podziękował księciu, zgarnął pieniądze

i wyszedł. Przed drzwiami gwizdnął cicho ze zdumienia.

- Kto by pomyślał. Musi być z czegoś niezmiernie zadowolony - wymamrotał do siebie. - "Wkrótce się zbudzę ze snu, to pewne.

Zachichotał, schodząc po schodach, lecz jego twarz wyrażała całkowite oszołomienie.

Lovelace niemal każdego dnia przychodził do Wyncham House, lecz niezmiennie odmawiano mu prawa wstępu, gdyż Lavinia konsekwentnie nie chciała go widzieć. Nadszedł jednak dzień, w którym natręta nie wyproszone, tylko wprowadzono do salonu. Pożądliwie ucałował jej dłonie i przez długą chwilę nie wypuszczał ich z rąk.

- Lavinio! Piękna i okrutna! Niezadowolona, cofnęła ręce.

- Haroldzie, to niemądre. Nie możesz codziennie przychodzić i drażnić się ze mną.

Pozwoliła mu usiąść obok siebie, na sofie przy oknie, a wtedy ponownie ujął jej dłonie. Spytał, czy go kocha. Miała nadzieję, że nie będzie wygadywał głupstw. Oczywiście, że go nie kocha. Nie uwierzył jej i ruszył do ataku, namawiając, by z nim wyjechała. Lavinia na próżno błagała, by zamilkł. Wzniciła płomień i teraz groził jej pożar. Lovelace był uparty, a ona lada

moment oczekiwała Richarda i bała się komplikacji, więc obiecała udzielić odpowiedzi następnego wieczoru, w teatrze. W ten sposób udało się tej wyprosić gościa. Odetchnęła z ulgą, gdy szedł przez plac. Bardzo lubiła drogiego Harry'ego, ale doprawdy, niekiedy bywał niesłychanie męczący.

Wyciągnęła lusterko z kieszeni i uważnie popatrzyła na swoje odbicie. Jeden lok zakręciła, drugi wygładziła i zaczesła do tyłu. Niepokoila się, że tego wieczoru wygląda niezbyt młodo i miała nadzieję, iż Richard nie będzie tak uważał. Podniosła wzrok na zegar, zastanawiając się, co zatrzymało jej męża. Następnie poprawiła krzesło tak, aby wyglądało bardziej zachęcająco, przysunęła do niego stół i usiadła naprzeciwko. Westchnęła i pomyślała-, że to dla niej całkiem nowe doświadczenie: musiała starać się zadowolić i zauroczyć męża. Przyszło jej do głowy, że dawniej to on wielokrotnie czekał tak jak ona teraz i żywił nadzieję na jej rychły powrót. Lavinia wreszcie zaczynała rozumieć, że życie Dicka z nią nie było usłane różami.

W pewnej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wmaszerował Richard. Między brwiami miał głębokie bruzdy, usta zaciśnięte. Popatrzył na żonę i pomyślał, że jest piękną kobietą.

Lavinia się uśmiechnęła i ruchem głowy wskazała przygotowane krzesło.

- Usiądź, Dicky! Tak bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Nudziłam się i potwornie doskwierała mi samotność, zapewniam cię,

- Naprawdę? - spytał, bawiąc się jej nożyczkami. - Nie, nie usiądę. Chcę ci coś powiedzieć, Lavinio. Muszę coś wyznać.

- Och, tak?! - wykrzyknęła. - Coś miłego, Dick?

- Obawiam się, że wcale nie uznasz tego za miłe. Zamierzam położyć czemuś kres.

- Och... och, czy tak? Kres czemu?

- Temu... temu życiu w kłamstwie. Zamierzam... wyznać całą prawdę.

- Richardzie!

Upuścił nożyczki i nerwowo przemierzał pokój W tę i z powrotem.

- Wiedz, Lavinio, że dłużej tego nie zniosę! Nie dam rady! Myśl o tym, przez co przechodzi John. doprowadza mnie do szaleństwa. Muszę wreszcie wyznać prawdę.

- Nie... nie możesz! - wydyszała. - Po siedmiu latach. Dicky, na miłość boską! - Na jej policzki powrócił rumieniec.

- Nie potrafię dłużej żyć w kłamstwie. Czuję to coraz wyraźniej od chwili, gdy... odkąd spotkałem Johna, wtedy, na drodze. Teraz już nie wytrzymuję. Dokądkolwiek pójdę, mam wrażenie, że go widzę... wpatzonego we mnie... nie rozumiesz...

Lavinia odłożyła robótkę.

- Nie! Nie rozumiem! Na honor, powinienesz być pomyśleć o tym wcześniej, Dick.

- Wiem. Mojego tchórzostwa... słabości... nie da się usprawiedliwić. Mam tego świadomość, ale nawet teraz nie jest za późno, by naprawić krzywdy. Za dzień wszyscy poznają prawdę.

- Co... co ty mówisz?

- Zainteresowanych zaprosiłem do Wyncham. Zjawią się w piątek.

- Wielkie nieba! Dick, Dick, myśl!

- Już pomyślałem. Boże! Ile godzin spędziłem na rozmyślaniach!

- To nieuczciwe względem mnie. Och, miej na względzie swój honor!

Honor rodziny!

- Mój honor nie jest nic wart. Mam na względzie dobre imię brata.

Podsłoczyła, chwyciła go za ramię i mocno nim potrząsnęła.

- Richardzie, oszalałeś! Nie wolno ci tak postąpić! Powiadam, nie wolno!

- Nalegam, Lavinio, być nie zmuszała mnie do zmiany decyzji. To bez sensu. Twoje słowa nie mają znaczenia.

Ogarnięta szaleńczo odskoczyła od niego, zapominając o wszystkich postanowieniach.

- Nie masz prawa okrywać mnie hańbą! Jeśli to uczynisz, nigdy ci nie wybaczę! Nie zostanę z tobą... Ja...

Przerwał jej, bo tego się spodziewał. Nie mógł uważać się nad sobą - taką musiał ponieść karę.

- Wiem. Jestem na to przygotowany.

Na chwilę wstrzymała oddech. Wiedział. Przygotował się. Traktował ją poważnie i spodziewał się, że go opuści. Och, naprawdę musiał być nią znużony i pragnął, by zniknęła z jego życia. Co on mówił?

- Wiem, kochasz Lovelace'a. Od... od pewnego czasu mam tego świadomość.

Lavinia opadła na najbliższe krzesło. Jak głęboko jest dno, ku któremu wciągał ją wir własnego szaleństwa?

- Rzecz jasna, nie będę ci stawał na drodze...

Koszmar! Lavinia ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Zatem to prawda: nie kochał jej. Miała zniknąć z jego życia, gdyż oddał serce pani Fanshawe. Załkała, przerażona grozą sytuacji.

Pokusa wzięcia żony w ramiona była ogromna. Richardowi z najwyższym trudem udało się ją stłumić. Gdyby dał sobie przyzwolenie na pocałowanie pięknej Lawy, próbowałyby skłonić go do zmiany decyzji - być może skutecznie. Odwrócił wzrok, udęczony jej szlochem.

Lavinia płakała. Tęskniła za dotykiem jego ramion, gotowa była wyrazić zgodę na wszystko, byle tylko okazał jej miłość. Nie ruszył jednak ku niej, zwyciężyła więc duma. Lavinia wstała i przycisnęła chustkę do oczu.

- Jesteś okrutny! Okrutny! Jeżeli tak postąpisz, odchodzę!

Teraz musiał coś powiedzieć, przeciwstawić się żonie. Z najwyższym trudem zapanował nad sobą.

- Tak... mi... przykro, Lavinio - odparł słabym, łamiącym się głosem.

Zatem nic już nie mogła poradzić. Zdusiła jego miłość i teraz pragnął się jej pozbyć. Podeszła do drzwi i się odwróciła.

- Widzę, że mnie nie kochasz - oświadczyła ze śmiertelnym spokojem. -  
Rozumiem to doskonale.

- Gdy nacisnęła klamkę, zawołała: - Nienawidzę cię!

- Odeszła korytarzem, gniewnie szeleszcząc jedwabną suknią. W oddali rozległ się łomot zatrzaskiwanych drzwi i zapadła cisza.

Carstares stał nieruchomo, wpatrzony w porzucony haft. Po chwili schylił się i podniósł robótkę; do tego nozdrzy dotarła woń fiołków, którymi pachniała Lavinia. Namiętnie przycisnął materiał do ust.

Gdyby Lavinia mogła go zobaczyć, sytuacja całkowicie by się zmieniła. Niestety, zamknęła się na klucz we własnym pokoju i płakała w samotności. Kiedy zabrakło jej łez, usiadła, usiłując przekonać samą siebie, że pragnie odejść. Harold byłby dla niej bardzo dobry, w to nie wątpiła. Z pewnością wiodłaby przy nim fascynujące życie, lecz im dłużej o tym myślała, tym mniej pragnęła z nim uciekać. Potem wspomniała Dicka. Dlaczego nigdy nie uświadomiła sobie, jak bardzo jej na nim zależy? Pokochał jakąś wstrętą wdowę i nie chciał, by Lavinia przy nim została. Nie mogła się z tym pogodzić, nie dla niej była rola niechcianej żony. Musiała odejść, ale nie z Loveiace'em. Richard nie zmusi jej do odejścia z innym. Pójdzie sama, gdziekolwiek. Tylko... zapomniała, że nie ma z czego żyć. Pieniądze, które wniosła w posagu, już dawno zostały wydane. Była całkowicie zależna od męża. To przesądziło sprawę: musiała odejść z Harrym.

- Och, chyba nikt nigdy nie doświadczył tego co ja! - załkała, gdy ogarnął ją bezbrzeżny smutek. - Dlaczego mam uciekać, skoro tego nie chcę?

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

### *Lavinia idzie do teatru*

Przez cały następny dzień Richard przebywał poza domem, a jego żona miała mnóstwo czasu na roztrząsanie swego obecnego położenia. Doszła do wniosku, że musi odejść do Lovelace'a, i tylko czekała do wieczora, by go o tym poinformować. Nigdy, przenigdy nie poniżyłaby się do proszenia Richarda,

żeby pozwolił jej przy sobie zostać, skoro wiadomo było, że kocha inną. Sytuacja była wyjątkowo skomplikowana. Carstaresowie wybierali się tego wieczoru do Drury Lane, by obejrzeć Garricka w jednej z jego najpopularniejszych komedii: „Beaux Stratagem”. Towarzystwo, które spieszyło obejrzeć niedoścignionego Archera, było znamienite, a w jednej z ról obsadzono panią Clive, co stanowiło szczególną atrakcję. W innych okolicznościach Lavinia ogromnie cieszyłaby się perspektywą obejrzenia spektaklu. Dzisiaj czuła, że najchętniej ukryłaby się pod kołdrą i rozplakała. Lovelace'owi należało jednak odpowiedzieć, a poza tym zaprosiła kuzynostwo ze Szkocji. Nie mogła sprawić zawodu krewnym.

Tak więc wieczorem zasiadła w swej łoży, jak zwykle pięknie ubrana, i przyglądała się widzom. Za nią stanął mąż — gdy pomyślała, że po raz ostatni wyszła z nim do teatru, omal nie wybuchnęła płaczem na oczach wszystkich - a na krześle u jej boku zajęła miejsce kuzynka, pani Fleming. Pan Fleming stał z rękami za plecami i co jakiś czas wydawał z siebie pełne zadowolenia okrzyki, kiedy jego krewniak, młody Charles Holt, wskazywał co bardziej znaczących widzów, którzy zjawiali się na sali. Pan Fleming był niskim, tłuścawym człowieczkiem, ubranym w nieciekawą brązową, o bardzo schludnych mankietach i kołnierzyku. Zdaniem Lavinii z wyglądu pasował raczej do wsi niż do miasta. Jego ciemny strój kontrastował z pstrokatą odzieżą pana Holta o barwie jabłkowej zieleni i różu, z żółtą kamizelką. Z kolei Richard miał na sobie bardziej stonowany i o wiele bardziej elegancki ubiór w kolorze morelowym ze srebrem. Także peruka pana Fleminga nie miała wiele wspólnego z obecną modą: wyglądała na rzecz pośledniego gatunku, preferowanego przez dżentelmenów z prowincji. Jego żona stanowiła przeciwieństwo dobrego smaku, a do tego bardzo donośnie podziwiała jedwabie i koronki zamożniejszej kuzynki.

Pani Fleming wyszła za mąż za mężczyznę z niższych sfer. Belmanoirowie nigdy nie wybaczyli jej skandalicznego mezaliansu. William



Fleming był prostym Szkotem, a jego ojciec - rodzina do tej pory drżała na samą myśl - rolnikiem!

Lavinia nie odczuwała przesadnego zachwytu faktem, że ludzie ci postanowili zajechać do Londynu, a jeszcze mniej odpowiadało jej, że tak ogromnym przywiązaniem darzą czci i szacunku Richarda i jego żonę.

- No, no, powiedzmy sobie jasno, Lawy, przyjemnie tu siedzieć i podziwiać wszystkich tych ludzi! - zawołała pani Fleming bodaj po raz dwudziesty.

- Oświadczam, że przez tak długi pobyt na wsi stałam się zdecydowanie staromodna. Tak, kochana, zdecydowanie staromodna. Przyznam, zdumiewają mnie szerokie suknie, obecnie tak popularne. Dam głowę, że moja nie jest nawet w połowie tak obszerna jak twoja, nie mówiąc już o sukni pani w tamtej łoży.

Lavinia popatrzyła na rzeczoną łożę. W innych okolicznościach byłaby zirytowana widokiem lady Carlyle, swej rywalki w kwestiach związanych z modą. Teraz czuła, że wszystko straciło znaczenie, i tylko napomknęła, że te absurdalne girlandy z róż na sukni damy uważa za zupełnie groteskowe.

Tymczasem Holt zwrócił uwagę pana Fleminga na łożę z tyłu widowni.

- Na mą duszę, Williamie! Toż to księżna Queens-bury i jej syn, March. Zapewniam cię, że w całym Londynie nie ma sympatyczniejszej damy. Kiedy ostatnio składałem jej wizytę...

- Charles zna tutaj niemal wszystkich - zauważyła pani Fleming naiwnie i zdumiało ją, że kuzynka się śmieje.

Kiedy podniesiono kurtynę przed pierwszym aktem, Lovelace'a nie było na sali, Lavinia spróbowała więc zainteresować się sztuką. Trudno jednak skupić się na czymkolwiek, kiedy umysł zajęty jest znacznie bardziej absorbującą sprawą. Nie była jedyną osobą ze swojej grupy, której Garrick nie rozbawił. Richard siedział smutny i myślał o tym, że już niedługo nie będzie mógł zabierać żony do teatru i nigdy nie zasiądzie u jej boku i nie zerknie od czasu do czasu na jej pełną emocji twarz.

Lovelace nie dotarł podczas pierwszego antraktu, lecz przybyło liczne grono innych znajomych, którzy chętnie odwiedzili łożę Carstaresów. Markham, Wilding, Devereux, sir John Fortescue - wszyscy oni po kolei przychodzili pozdrowić Lavinie, byli przedstawiani pani Fleming, śmiali się, dowcipkowali z mężczyznami i odchodzili.

Lavinia zastanawiała się, czy to możliwe, że nigdy wcześniej nie dotarło do niej, jak bardzo cieszy się życiem. Podczas drugiego aktu doskonała gra Garricka przykuła jej uwagę. Na chwilę lady Carstares odsunęła od siebie zmartwienia. Klaskała tak entuzjastycznie jak wszyscy i śmiała się tak samo pogodnie. Wkrótce jednak przypomniała sobie smutną rzeczywistość i ponownie popadła w przygnębienie.

Richard słyszał jednak jej radosny śmiech i ogarnął go jeszcze większy smutek. Nic na to nie mógł poradzić: Lavinia była zachwycona myślą o tym, że go zostawia.

Gdy zapadła kurtyna, pani Fleming nagle spytała, czy w łoży po przeciwnej stronie nie znajduje się Tracy. Lavinia skierowała wzrok we wskazane miejsce. W łoży rzeczywiście siedział jej brat, zupełnie sam, pozornie nieświadomy jej obecności.

- Czy to nie Tracy? - Pani Fleming nie dawała za wygraną. - Doskonale pamiętam jego twarz.

- Tak. - Lavinia skinęła głową i pomachała bratu. Andover wstał, uklonił się i opuścił łożę. Po chwili był już przy paniach i całował ich dłonie.

Lavinia w końcu dostrzegła Lovelace'a. Stał na parterze i spoglądał na nią z dołu. Wkrótce i on znikł jej z oczu - domyśliła się, że idzie z nią porozmawiać. Najwyraźniej nie zauważył księcia, który stał z tyłu, w cieniu:

Richard i pan Fleming opuścili łożę; pozostał w niej tylko Charles Holt, który bez reszty przykuł uwagę pani Fleming. Gdyby tylko Tracy sobie poszedł, pomyślała Lavinia. Jak miała udzielić Lovelace'owi odpowiedzi, skoro księżę zamierzał jej pilnować?

Kapitan Lovelace zapukał do drzwi. Pozornie obojętnie kazała mu wejść i udała zaskoczenie na jego widok. Książę popatrzył na nią spod zmrużonych powiek i posłał krótkie spojrzenie Lovelace'owi, wyraźnie zakłopotanemu spotkaniem z Tracym. Na kamiennym obliczu księcia nie widać było cienia emocji, lecz Lavinia wyczuwała, że jej brat ma jak najgorsze zamiary, zupełnie jakby domyślił się, co siostra zamierza zrobić, i chciał to udaremnić. Uśmiechnął się do Lovelace'a i zaprosił do zajęcia miejsca. Czy to przez przypadek, czy też celowo - co do tego nie miała pewności - ustawił krzesła tak, aby znaleźć się między nią a kapitanem. Zręcznie wciągnął panią Fleming do rozmowy i, niczym reżyser, przebudował swoją scenę.

W rezultacie Lavinia musiała słuchać przyjacielskiego pana Holta, a kątem oka dostrzegła, że Lovelace padł ofiarą jej kuzynki. Nie miała możliwości z nim porozmawiać i nie śmiała dać mu żadnego znaku, tak zmyślnie książę reżyserował przebieg spotkania. Lavinia nabrała pewności, że jej brat kieruje poczynaniami wszystkich osób w loży. Najwyraźniej odgadł, że Lavinia zaplanowała rozmowę z Lovelace'em, i był zdecydowany pokrzyżować jej szyki. Nie miała pojęcia, skąd Tracy uzyskał informację o jej zamiarach, ale dobrze go znała i nie była zaskoczona. Wiedziała, że książę nie dopuści do tego, by okryła się hańbą. Bez względu na to, jakie życie wiódł on sam, jego siostra musiała zachowywać się nienagannie. Postanowił znaleźć sposób na odsunięcie jej od Lovelace'a do czasu zniknięcia tego ostatniego ze sceny. Lavinia nie zastanawiała się, jak Tracy osiągnie swój cel, ale nigdy nie wątpiła, że to potrafi i nie omieszka tego uczynić. Potem będzie musiała zostać z Richardem — człowiekiem, który jej nie chciał. Gdyby tylko Tracy wreszcie się oddalił. Och! Wstał z krzesła!

Książę Andover zaprosił kapitana Lovelace'a do swojej loży. Nie przyjął do wiadomości odmowy i triumfalnie odprowadził ofiarę.

Chwilę później do loży powrócił pan Fleming. Trzeci akt właśnie się rozpoczął, kiedy przybył Richard i cicho usiadł na swoim miejscu. Wznowiono

spektakl. Podczas następnego antraktu ani Tracy, ani Lovelace nie przyszedli do łoża, a ze swojego punktu obserwacyjnego Lavinia widziała, że Andrew został przedstawiony kapitanowi. Było jasne, że księżę w wyjątkowo sprytny sposób zatrzymuje przy sobie Lovelace'a...

Lord Avon, który ledwie tydzień wcześniej wrócił z Bath, przyszedł złożyć wyrazy szacunku Lavinii. Miał jej wiele do przekazania, między innymi opowiedział, jak to Cholmondely oraz Falmouth ośmielili się stoczyć pojedynek w Crescent Fields, za co obydwu aresztowano. Beau był wściekły, ale wiek dawał mu się we znaki i coraz głośniejszemu powiadano, że opada z *sił*. W innych okolicznościach te nowiny niesłychanie zajęłyby Lavinie, lecz tym razem ją nudziły, a nawet irytowały.

Rozpoczęto następny akt. Scrub i Boniface wzbudzali entuzjazm widowni. Wszyscy byli pod wrażeniem, z wyjątkiem Richarda i jego żony. Niezrównana Kitty nie przykuła uwagi Lavinii. Myślała tylko o tym, czy Lovelace'owi uda się porozmawiać z nią podczas ostatniej przerwy. Pełne troski pytanie pani Fleming sprawiło, że Lavinia się ocknęła i zmusiła do uśmiechu. Przyznała się do lekkiego bólu głowy i zarazem potwierdziła, że spektakl jest zajmujący. Kolejny antrakt; czy przyjdzie? Uświadomiła sobie, że na jej ramieniu spoczywa czyjaś dłoń. Usłyszała głos Richarda, poważny i uprzejmy.

- Jesteś rozgorączkowana, moja droga. Wyjdziemy na chwilę na dwór?

Ogarnęła ją przemożna chęć przytulenia się do jego ręki. Stłumiła ją z najwyższym trudem. Wstała niepewnie. Pani Fleming przesądziła sprawę.

- Otóż to - podkreśliła. - Dobrze, że przejmuje się pan zdrowiem żony, panie Carstares. Chętnie pospaceruję wśród ludzi. Och, Charles również się z nami wybiera. Co ty na to, Lawy?

- Ja... chętnie zrobię to, co tobie najbardziej odpowiada, droga kuzynko - odparła.

- Zatem chodźmy, kochana. Charles z pewnością zaopiekuje się nami, zatem możemy zostawić mężów, by sobie pogawędzili.

Wyszli na szeroki korytarz i skierowali się do foyer. Tam lord March natychmiast zauważył Lavinie, którą zawsze darzył szczególnymi względami, i zaproponował jej ramię. Lavinia wzięła go pod rękę, zadowolona z możliwości ucieczki od pana Holta i jałowej konwersacji. March zaprowadził ją do miejsca, w którym siedziała jego matka z panem Selwynem. Ktoś podał Lavinii kieliszek ratafii; po chwili zjawił się Montagu, żeby przyłączyć się do pogawędki.

Richard opuścił łożę i trafił prosto w ramiona Tracy'ego Belmanoir.

- Ach, Dick!

Richard popatrzył chłodno na księcia.

- Życzysz sobie czegoś? - zapytał

Tracy dostrzegł nadchodzącego pana Fleminga.

- Chcę tylko spytać, czy mógłbym powrócić z tobą na Grosvenor Square.

Mam ci coś istotnego do powiedzenia.

- Oczywiście. - Richard uklonił się i odwrócił. Lovelace, któremu udało się wyrwać ze szponów

księcia, pospieszył na poszukiwania Lavinii. Nie zastawszy jej w łoży, uznał, że dama z pewnością przebywa w foyer, i tam niezwłocznie skierował swe kroki. Na jego widok Lavinia natychmiast odstawiła kieliszek i zerwała się z krzesła.

- Och, kapitanie! Czy przyszedł pan odprowadzić mnie do mojej łoży? Dzisiejszego wieczoru ledwie mieliśmy okazję się przywitać. Nie, drogi panie, nie może pan iść. Nie, ani pan, lordzie! Księżno... -Nisko dygnęła przed damą i odeszła z Haroldem pod rękę.

Kiedy znaleźli się w pustym korytarzu za łożami, kapitan wbił w nią pożądlivy wzrok.

- I co, najdroższa? I co? Lavinia wykrzywiła smutno usta.

- Tak - westchnęła. - Muszę z tobą odejść. Ton jej głosu był przygnębiony, lecz Lovelace tego najwyraźniej nie dostrzegął.

- Lavinio! Mówisz poważnie?

- Tak - potwierdziła, jeszcze bardziej zrezygnowana.

- Moja najpiękniejsza! Moja miłości! Czy to się dzieje naprawdę? Kiedy wyjeżdżamy? Natychmiast?

- Natych... Och, nie! Nie!

- Kochanie, im szybciej, tym lepiej. Rozumiem, że nie powinienem namawiać cię do pośpiechu, ale zapewniam cię: to najrozsądniejsze rozwiązanie. Czy przyjdiesz jutro?

Jej wielkie oczy stały się okrągłe.

- Nie! Nie! Och, nie mogę zostawić Dicka tak nagle. - Załkała.

- Ależ, Lavinio, moja ukochana! Chyba nie wolałabyś z nim zostać?! - wykrzyknął.

- Tak, wolałabym - wyznała. - Nie chcę go opuszczać, nigdy, przenigdy.

Te słowa całkiem zbiły go z tropu.

- Przecież... Na Boga... Co ty wygadujesz? Kochasz mnie, nie jego.

- Wcale nie! - zaprotestowała. - Zawsze po... powtarzałam, że... że nie.

Kocham męża.

- To szaleństwo! - krzyknął. - Skoro kochasz jego, czemu zgadzasz się uciec ze mną?

Popatrzyła na niego z poczuciem winy.

- Nie ma nikogo innego - oświadczyła ponuro.

- Dobry Boże... Co...

- Muszę z kimś uciec, bo... bo Dick... już mnie nie kocha... Taka jest prawda. Odejdę do ciebie i spróbuję być grzeczna.

Pospiesznie ucałował jej dłoń.

- Ukochana! Nadal uważam, że nie jesteś sobą. Jutro będziesz myślała inaczej... Przecież tak naprawdę nie kochasz Carstaresa. Mam rację?

Mocno zacisnęła usta i przecząco pokręciła głową. Obserwował ją niespokojnie.

- Skoro w głębi duszy kochasz męża, niedorzecznością jest odchodzenie do mnie - zauważył.

Zacisnęła palce na jego nadgarstku.

- Ale ja muszę! Nic nie rozumiesz, Harry! Musisz mnie przyjąć! Nie chcesz mnie?

- Oczywiście, że chcę, ale pod warunkiem, że nie będziesz ciągle marzyła o innym mężczyźnie. Ta cała sprawa jest jednym wielkim absurdem.

- To koszmar! Koszmar! Nigdy w życiu nie byłam tak nieszczęśliwa. Och, żałuję, że postępowałam tak bezmyślnie i samolubnie.

Lovelace chwilę bił się z myślami. Przez cały czas stali przy wejściu do łoży. Ponieważ ludzie zaczęli wracać na swoje miejsca, otworzył drzwi i wprowadził Lavinie do środka.

- Posłuchaj. Nigdy nie uczestniczyłem w równie szalonym przedsięwzięciu. Skoro jednak jesteś zdecydowana, doprowadzimy je do końca. Jutro wieczorem przyjdź do mojego mieszkania. Przynieś możliwie mało bagażu. Będę już gotowy do drogi i niezwłocznie wyruszymy do Dover. Wierzę, że z czasem zapomnisz o Richardzie i w twoim sercu pojawią się cieplejsze uczucia do mnie.

- Harry, jesteś taki dobry! Tak bardzo dobry. Tak, zrobię tak, jak mówisz... I przepraszam, że cię irytuję. Jestem istnym potworem. Chciałabym umrzeć. Nie kochasz mnie i będę dla ciebie ciężarem.

- Kocham cię z całego serca - pospieszył z zapewnieniem. W głębi duszy mimowolnie żałował, że darzy ją aż taką namiętnością. -Muszę odejść, najdroższa, bo lada moment powróci twój mąż. - Musnął ustami jej dłonie. - *A demain, najpiękniejsza!*

Lavinia nie miała pojęcia, jak udało się jej wytrzymać przez cały ostatni akt. Pragnęła znaleźć się w domu, z którego wkrótce zamierzała odejść, marzyła o spokoju. Bolała ją głowa, tak samo jak Richarda bolała już od tygodni. Ponad wszystko pragnęła oprzeć ją o ramię męża i poczuć jego uścisk. Dick jednak

kochał Isabelle Fanshawe, a ona musiała siedzieć sztywno na krześle i uśmiechać się w odpowiednich momentach.

Spektakl wreszcie się zakończył. Kurtyna opadła na zgiętego w ukłonie Archera, publiczność gorącymi oklaskami wyrażała aprobatę. Ponownie podniesiono kurtynę - czy to jeszcze nie był koniec? Ach, wszystko w porządku, to tylko Garrick prowadził panią Clive do ukłonu przed widownią. Czy oni nigdy nie skończą?

Pani Fleming stała; Lavinia doszła do wniosku, że wszyscy wychodzą, i zerwała się z miejsca. Ktoś zarzucił jej pelerynę na ramiona - Richard, po raz ostatni. Pan Holt odprowadził ją do powozu i pomógł wsiąść do środka jej i kuzynce. On i pan Fleming mieli lektyki, więc tylko Richard i Tracy pojechali z damami. Flemingowie zatrzymali się u przyjaciół przy Brook Street, tuż przy Grosvenor Square, a kiedy odwieźli Harriet Fleming, pozostało im do pokonania zaledwie kilka metrów.

Lavinia zastanawiała się, czemu Tracy postanowił zabrać się z nimi. Czego chciał? Czyżby zamierzał uprzedzić Dicka o jej planowanej ucieczce? Niewiele wiedział na temat faktycznego stanu rzeczy.

U stóp schodów odwróciła się, by życzyć panom dobrej nocy.

Z Tracym pożegnała się tylko skinieniem głowy, Dickowi podała rękę. Chwycił jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Poczowała lodowaty chłód jego palców i gorączkowy żar ust. Puścił ją, a wtedy powoli weszła po schodach i skierowała się do swojego pokoju.

Księżę obserwował ją przez monokl. Kiedy zniknęła z pola widzenia, odwrócił się i wbił surowe spojrzenie w Richarda.

- Jeśli masz zwyczaj w taki sposób całować kobiety, Lavinia zasługuje na współczucie - zauważył.

Richard zacisnął usta, sięgnął po świecznik z zapalonymi świecami i wprowadził księcia do salonu.

- Zakładam, że nie przybyłeś po to, by mi to oznajmić? - spytał.



- Twoje założenie jest słuszne, Richardzie. Przybyłem otworzyć ci oczy.
- Zbytek łaski.

Księżę odłożył kapelusz na stół i przysiadł na poręczu krzesła.

- Niewykluczone. Może zainteresuje cię fakt, że Lavinia zamierza uciec z naszym wymuskanym przyjacielem, panem kapitanem.

Richard opuścił głowę.

- Wiedziałeś?
- Oczywiście.

Andover nie spuszczał z niego wzroku.

- Mogę spytać, jakie środki zaradcze przedsięwziąłeś?
- Żadnych.

Księżę osłupiał. Na chwilę zabrakło mu słów, lecz wkrótce przemówił z dosadnym sarkazmem:

- Zatem pamiętaj, by służyć jej pomocą, kiedy będzie szła do lektyki. Na mą duszę, niedobrze mi się robi.

- To straszne. Istnieje jednak remedium- zasugerował Carstares znacząco.

- Mniemam, że jej utrata nic dla ciebie nie znaczy? Nie. Nieistotny jest fakt, że pohańbi swe nazwisko? Och, skąd!

- Moje nazwisko, skoro o tym mowa.

- Nasze nazwisko! Twojego bardziej pohańbić się nie da.

Richard zbladł, a jego dłoń instynktownie spoczęła na rękojeści.

Tracy patrzył na niego uważnie.

- Sądysz, że splamiłbym się twoją krwią? - spytał bardzo cicho.

Dłoń Richarda opadła bezsilnie. Odszukał spojrzeniem twarz księcia.

- Zatem wiesz? - spytał w końcu, całkiem spokojnie.

- Głupcze - powiedział Tracy cicho. - Głupcze, sądzisz, że się nie domyśliłem od razu?

Richard oparł się o półkę nad kominkiem.

- Nigdy nie sądziłeś, że jestem niewinny? Wiedziałaś już tamtego wieczoru? Zgadłeś?

Książę prychnął pogardliwie.

- Znałem was obu, jakże więc miałbym podejrzewać jego, a nie ciebie? - spytał obraźliwie.

- Dobry Boże! - krzyknął Carstares. - Czemu nie powiedziałeś wcześniej?

Książę szeroko otworzył oczy.

- Ta sprawa nie dawała ci spokoju, co? Tak przypuszczałem.

Obserwowałem cię. - Zachichotał. - Ci idioci nigdy nie dostrzegli, jak było naprawdę. Jak jeden mąż uwierzyli, że to John oszukiwał. John! Przełknęli to gładko i nie odgadli prawdy.

- Przynajmniej ty nie uwierzyłeś.

- Ja? Wykluczone. Wiedząc, że z ciebie słaby głupiec, a z niego idealistyczny dureń, od razu wyciągnąłem właściwe wnioski.

- Niemniej dolewałaś oliwy do ognia. Wiele bym dał, gdybyś mnie wtedy wydał.

- Też tak sędzę. Wyznam, że nie pojmuję tak heroicznego podejścia. Czemu miałbym wtrącać się w sprawy, które mnie nie obchodzą? Nie miałem dowodów.

- Dlaczego nie protestowałaś? Co tobą powodowało?

- Sędzę, że to dość oczywiste.

Richard obserwował go, zdezorientowany.

- Na Boga, Richardzie, jesteś wyjątkowo tępy. Wyraźnie podkreśliłem, że John to idealistyczny dureń, ale nigdy nie twierdziłem, że jest człowiekiem słabym.

- Chodzi o to... chodzi o to, że wołałaś, by Lavinia wyszła za mnie, bo twoim zdaniem mnie łatwiej oskubać z pieniędzy - wykrztusił Carstares.

Książę zmarszczył wąski nos.

- Taki jesteś bezpośredni - odparł z westchnieniem.

- Odpowiadało ci, że John straci dobre imię? Uznałeś, że powinienem przejąć jego pieniądze. Ty... ty...

- Łotrze? Przyznasz jednak, że przynajmniej jestem uczciwym łotrem. Ciebie nazwałbym... nieuczciwym świętym. Wolę być tym, kim jestem.

- Wiem, że po ziemi nie chodzi nikt gorszy ode mnie! - odparł Carstares gwałtownie.

Książę się zachnął.

- Dobrze powiedziane, Richardzie, ale trochę za późno, jak sędzę. - Umilkł i nagle coś sobie uświadomił. - Pewnie właśnie dlatego pozwalasz Lavinii odejść? W piątek zamierzasz wyznać prawdę? Tak?

Richard zwiesił głowę.

- Nie mam prawa jej zatrzymywać. Ona... sama jest kowalem swojego losu.

- Lavinia wie? - spytał Tracy ostro.

- Zawsze wiedziała.

- Diablica! Nie przyszło mi to do głowy. - Odetchnął głęboko. - Tak, rozumiem twoje heroiczne wysiłki. Przykro mi, że nie mogę ich wziąć pod rozwagę. Mimo wszystko nie zamierzam dopuścić do tego, by moja siostra okryła się hańbą.

- Ze mną była tyle samo warta.

-E tam! Po siedmiu latach kto będzie zwracał uwagę na to, który z was oszukiwał? Choć raz zachowaj się jak mężczyzna i ją powstrzymaj.

- Ona kocha Lovelace'a, zaręczam ci.

- I co z tego? Przejdzie jej.

- Nie... Nie mogę od niej żądać, by ze mną została. To byłby skrajny egoizm.

Książę wyglądał na zirytowanego.

- Na Boga, głupiś! Zażądaj od niej pozostania. Zmusz ją do uległości. Wyrzuć Lovelace'a z domu i zrezygnuj z tej heroicznej pozy. Zaklinam cię!

- Uważasz, że chcę ją stracić?! - ryknął Carstares. - Nie stanę jej na drodze ku szczęściu właśnie dlatego, że ją kocham całym sercem!

Książę się odwrócił i chwycił kapelusz.

- Ubolewam, lecz nie mogę słuchać tych melodramatycznych bzdur. Zdaje się, że jak zwykle muszę wziąć sprawy we własne ręce. Mój poczciwy Dicku, naprawdę powinieneś już wiedzieć, jak ją zmusić do posłuszeństwa. Wodziła cię za nos, odkąd zostaliście małżeństwem, a jest jedną z tych, które marzą o tym, by się podporządkować. - Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. - Przyjdę jutro i mam nadzieję, że zastanę cię w lepszej kondycji. Wiem, że planują ucieczkę na wieczór, bo o trzeciej Lovelace jest spodziewany u Mallaby'ego. Masz jeszcze sporo czasu na podjęcie odpowiednich działań.

- Nie będę się wtrącał - powiedział Richard uparcie.

Książę prychnął.

- To już wiem - odrzekł. - Dlatego sam się wszystkim zajmę. Życzę dobrej nocy.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

### *Richard stawia czoło sytuacji*

Samopoczucie Lavinii, kiedy zbudziła się następnego ranka, zupełnie nie pasowało do osoby, która planuje ucieczkę z mężczyzną. Czuła w piersi nieznośny ciężar, w po głowie krążyły jej smutne i przygnębiające myśli. Nie potrafiła się zmusić do wypicia porannej czekolady, ale wychodząc z założenia, że beczynność jest najgorszym rozwiązaniem, wygramoliła się z łóżka i czekała, aż służąca ją ubierze. Następnie, powłócząc nogami, udała się do buduaru, cały czas zastanawiając się, gdzie jest Richard i co porabia. Na koniec usadowiła się przy oknie i patrzyła na plac, przygryzając róg chustki, by powstrzymać łzy.

Richard był nie mniej przygnębiony od żony. Także on nawet nie tknął czekolady i od razu zszedł do stołu śniadaniowego. Gdy jednak rzucił okiem na

porcję krwistej polędwicy wołowej, zrobiło mu się niedobrze. Z trudem wypił filiżankę kawy i poszedł do buduaru żony. Wmawiał sobie, że czuje się nietęgo i powinien jej unikać, lecz ostatecznie postanowił ją zobaczyć. Po chwili zastukał w białe drzwi. Serce Lavinii mocniej zabiło. Doskonale знаła ten rodzaj pukania.

- Proszę! - zawołała, usiłując wziąć się w garść. Richard wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Och... Och, dzień dobry! - Uśmiechnęła się. - Chciałaś... mówić ze mną, Dick?

- Ja... tak... chodzi o to, że... Czy dostałaś zaproszenie od Carlyle'ow?

Pretekst okazał się dość niefortunnie dobrany. Lavinia odwróciła głowę.

- Chyba... jest w moim sekretarzyku - wykrztusiła, przełykając łzy. -

Zaraz... zaraz poszukam.

Wstała i przekręciła kluczyk w szufladzie. Była odwrócona tyłem do męża.

- To bez znaczenia - wymamrotał Carstares. —Ja tylko... Chodzi o to, że nie mogłem go znaleźć. Nie kłopotz się.

- Och... to drobiazg - zapewniła i rozsypała przed sobą garść listów. -

Tak... jest. Oto ono. -Podeszła do męża i wręczyła mu list.

Carstares popatrzył na złociste włosy i drobną twarz, a także na smutne usta... Na Boga, nie wiedział, jak uda mu się żyć bez niej. Machinalnie przyjął przesyłkę.

Lavinia się odwróciła, a gdy odchodziła, coś przyszło Richardowi do głowy. Pechowe zaproszenie pofrunęło na podłogę.

- Nie, na Boga, nie zrobisz tego! - wrzasnął nieoczekiwanie.

Lavinia stanęła jak wryta, przeszył ją dreszcz.

- Och... och, co masz na myśli? - spytała drżącym głosem.

Mgła spowijająca jego myśli nagle opadła, wszystko stało się jasne. Lavinia nie powinna odchodzić z Lovelace'em! Dwoma susami znalazł się przy niej, chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie opuścisz mnie! Zrozumiałaś? Nie mogę bez ciebie żyć!

Lavinia krzyknęła z ulgą, radością i zdumieniem, a następnie przywarła do męża.

- Och, błagam, błagam, wybacz mi i pozwól mi zostać! - wołała, czepiając się jego ubrania.

Carstares wziął ją na ręce i mocno przytulił. Nie protestowała, chociaż uścisk gniótł jej suknię. Strój nie był już dla niej najważniejszy. Gorliwie odwzajemniała pocałunki męża i co chwila pochlipywała z radości.

Kiedy Carstares potrafił już powiedzieć coś poza tym, jak bardzo ją kocha, spytał, czy ona odwzajemnia jego uczucie.

- Oczywiście, że tak - zagruchała. - Zawsze, zawsze cię kochałam, tylko że byłam samolubna i bezmyślna.

Zaniósł żonę na kanapę i posadził sobie na kolanach. Usiłował zajrzeć jej w twarz, Lavinii udało się jednak ukryć ją na jego ramieniu.

- Zatem nigdy nie kochałaś tamtego bawidamka? - spytał zdumiony.

Jej dłoń powędrowała do jego drugiego ramienia.

- Och, Dick, skąd! A ty... ty... nie kochasz tej okropnej pani Fanshawe, prawda?

Zdumienie Richarda nie miało granic.

- Pani Fanshawe? Wielkie nieba, gdzie tam! Chyba nie przyszła ci do głowy tak niedorzeczna myśl?

- Przyszła! Przyszła! Stałe przesiadywałeś u niej w domu i byłeś taki oziębły wobec mnie... Co innego miałam pomyśleć?

- Oziębły? Wobec ciebie? Najdroższa, chyba nie mówisz poważnie?

- To najszczerza prawda! A mnie było tak smutno... Sądziłam, że postępowałam do tego stopnia nierozważnie i paskudnie, że przestałeś mnie ko...

kochać. Nie miałam pojęcia, co robić. Potem... potem oświadczyłeś, że zamierzasz wyznać prawdę... Straciłam cierpliwość i Zapowiedziałam, że z tobą nie... nie zostanę. Nigdy jednak tak nie myślałam... Gdy mi się zdawało, że pragniesz mojego odejścia... znowu nie miałam pojęcia, jak postąpić.

- Najukochańsza, nie płacz. - Pogłaskał ją po ramieniu. - Nie zdawałem sobie sprawy z tego wszystkiego. Gorzej, byłem pewien, że kochasz Lovelace'a. Nie wątpiłem w to ani przez moment. Czemu, u licha, nie wyznałaś mi prawdy?

- Jak miałabym to zrobić? - Wyprostowała się i popatrzyła na męża. - Nie wątpiłam, że kochasz Isabellę Fanshawe. Czulałam, że muszę odejść, ale nie potrafiłam tego zrobić samodzielnie, więc... więc... To jasne, że musiałam uciec z kimś. Wczoraj wieczorem powiedziałam Haroldowi, że odejdziemy razem. Obawiam się, że miał ochotę mnie porzucić, gdy się dowiedział, że cię Kocham. Och, Kochany Dicku, powiesz mu, że cię nie zostawię i z nim nie odejdę, prawda?

Z trudem powstrzymał śmiech.

- Dobrze, powiem mu. Na mą godność, najdroższa, wyczuwam w duszy litość dla tego człowieka.

- Och, jego ból nie będzie długotrwały - oceniła z namysłem. - Widzisz, on potrafi z dnia na dzień zmienić obiekt westchnień. Ale ty, Kochany, dlaczego tak często, tak bardzo często chodziłeś do pani Fanshawe?

Richard spoważniał.

- Poznała Johna w Wiedniu. Chciałem... musiałem dowiedzieć się wszystkiego, co o nim wie. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

- Och, Dick! Byłam głupia i niegodziwa! Dlatego sprawiałeś wrażenie oziębłego... A ja sądziłam... Och, Boże!

Ponownie przyciągnął jej głowę do swojego ramienia.

- Biedactwo! To najbardziej uprzejma dama pod słońcem, ale kochać ją? - Czule pocałował dłoń żony. - Kocham... i zawsze kochałem... zupełnie inną istotę: niegrzeczną, pewną siebie, fascynującą, która...

Lavinia zarzuciła mu ręce na szyję.

- Twoje słowa sprawiają, że czuję się koszmar. Naprawdę byłam niegrzeczna...

- I jeszcze wielokrotnie będziesz - podkreślił ze śmiechem.

— Nie, nie! Spróbuję być grzeczna.

- Nie chcę, żebyś była grzeczna - pospieszył z zapewnieniem. - Powinnaś być sobą, bo taka mi jesteś najdroższa.

Lavinia oderwała się od męża, cicho westchnęła i wstała.

- Cudownie znów być szczęśliwą - zauważyła.

- A ledwie pół godziny temu pragnęłam umrzeć.

- Podeszła do lustra i zajęła się rozczesywaniem włosów.

Richard spoglądał na nią niespokojnie.

- Lavinio. Chyba rozumiesz, że w następny piątek wszyscy poznają prawdę o mnie? - spytał.

- Ach, tak, oczywiście. Bardzo to niefortunne, ale podejrzewam, że nie ustąpisz. Mam tylko nadzieję, że ludzie nie zaczną na nasz widok przechodzić na drugą stronę ulicy.

- Na twój widok z pewnością nikt nie przejdzie na drugą stronę ulicy, ukochana.

- Naprawdę tak uważasz? - Lavinia się rozpromieniła. - Cóż, może ostatecznie nie będzie tak tragicznie. Na pewno ucieszy cię ponowne spotkanie z Johnem, prawda? Tak podejrzewałam. Och, nie wątpię, że po pewnym czasie wszystko się ułoży.

Tego dnia książe Andover wcześnie wstał i wyszedł z domu. Przywołał lektykę i kazał się nieść pod wskazany adres przy Strandzie, gdzie mieszkał niejaki pułkownik Shepherd. Po półgodzinnej rozmowie, gdy w końcu Tracy opuścił budynek, na jego ustach błąkał się uśmiech satysfakcji. Tym razem nie zawołał lektyki, tylko ruszył ku St James's i wszedł do parku w towarzystwie pułkownika Dare'a, który siedem lat temu wydał pamiętne karciane przyjęcie.



Dare był żywo zaintrygowany najnowszym dziwactwem Richarda.

- Masz pojęcie, o co chodzi? - spytał. - Czy również otrzymałeś pisemne zaproszenie?

- O ile pamiętam, Carstares przesłał mi jakiś list. Tak, z pewnością Andrew mi go doręczył.

- I cóż to oznacza? Zaproszony jest Fortescue, podobnie jak Davenant. To ogromnie ciekawe.

- Mój drogi, nie jestem zaufanym druhem Richarda. W swoim czasie z pewnością poznamy odpowiedzi na dręczące nas pytania. Tajemnice mnie nie obchodzą. Chodzi raczej o to, że zapowiada się przyjemne spotkanie po latach... Powiadasz: Fortescue i Davenant? Osobliwe. Słyszałem, że także Evans i Milward otrzymali wez... zaproszenia. Zapowiada się arcyciekawe wydarzenie.

- A jakże! Arcyciekawe wydarzenie - powtórzył Dare. - Nikt nawet sobie nie wyobraża, czego ono będzie dotyczyło.

- Och? - Wąskie usta księcia drgnęły.

W połowie popołudnia zawitał do Wyncham House i został wprowadzony do biblioteki.

Richard siedział za biurkiem i pisał, lecz na widok szwagra wstał. Książę zdumiał się, że gospodarz wygląda bardzo pogodnie.

- Richardzie, wydajesz się kwitnąć.

- Bo też i kwitnę.

- Słyszę to z niekłamaną ulgą. Widziałem się z Shepherdem.

- Shepherdem? - powtórzył Carstares.

- Pułkownikiem Lovelace'a, drogi Richardzie. W ciągu, powiedzmy, czterdziestu ośmiu godzin nastąpi pilny wyjazd kapitana Harolda, wyekspedowanego z ważną misją.

- Możesz liczyć na znacznie rychlejszy wyjazd kapitana Harolda, Tracy - oświadczył Carstares z błyskiem w oku.

Książę drgnął i przysunął się ku rozmówcy.

- Odeszła? - syknął.

- Odeszła? Skąd! Jest z nim w salonie.

- Z Lovelace'em! Pozwalasz na to? Stoisz bezczynnie i patrzysz, jak inny mężczyzna...

- Żegna się z moją żoną. Jak widzisz, wcale na to nie patrzę.

- Żegna się? - Gniew momentalnie znikł ze spojrzenia księcia. - Zatem w końcu poszedłeś po rozum do głowy?

- Okazało się, że oboje żyliśmy w iluzji - wyjaśnił Carstares uprzejmie.

- Z radością słucham twoich słów. Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz starannie kontrolował poczynania Lavinii.

- Naprawdę?

- Bezwzględnie. Nie sądzę, by udało się odwołać to, co już załatwiłem.

Dobrze będzie, jeśli Lovelace na pewien czas zniknie.

- Przeciwno temu nie zaprotestuję. - Richard się uklonił.

Księżę skinął głową i podniósł kapelusz.

- Zatem w tej sprawie nie mam już nic więcej do zrobienia, - Popatrzył przenikliwie na Carstaresa. - Nie kochała go?

Richard westchnął, wyraźnie szczęśliwy.

- Kocha mnie - odrzekł.

Księżę patrzył na rozmówcę spod na wpół przymkniętych powiek.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem zadowolony. Jeśli naprawdę darzy cię miłością, to jest bezpieczna. Bałem się, że brak w niej tego uczucia. Przekaż jej moje wyrazy uszanowania. - Położył dłoń na klamce i coś sobie przypomniał.

-Jak rozumiem, moja obecność w piątek, w Wyncham nie jest obowiązkowa? - spytał z ironią.

Richard się zaczerwienił.

- Nie, nie jest.

- Zatem z pewnością mi wybaczysz, jeśli się nie zjawię. Mam inne, ważniejsze sprawy na głowie... Żałuję tylko, że nie posłucham już twoich

melodramatycznych recytacji - dodał ze smutkiem i zachichotał. - *Au revoir*, mój poczciwy Richardzie.

Carstares uklonił się z wdzięcznością.

Wkrótce usłyszał, że drzwi wejściowe się otwierają i zamykają. Wyjrzał przez okno i dostrzegł odchodzącego kapitana Harolda Lovelace'a.

Teraz oczekiwał pana Warburtona, którego kilka dni temu wysłał na poszukiwania Johna. Prawnik powinien już wrócić, lecz najprawdopodobniej coś go zatrzymało. Richard nie mógł się doczekać wieści o bracie i pragnął ponownie go ujrzeć. Jednocześnie odczuwał lęk przed tym spotkaniem. Serce mu się ścisnęło na myśl o tym, że będzie musiał spojrzeć Johnowi w oczy. Bał się jego zimnego, pogardliwego wzroku. Był pewien, że brat żywi do niego ogromny żal i niechęć...

- Pan Warburton do pana.

Carstares odwrócił się i ruszył na powitanie wyczekiwanego gościa.

- I co? - spytał pospiesznie. - I co? Pan Warburton rozłożył bezradnie ręce.

- Niestety. Nic się nie dało zrobić. Richard chwycił go za rękę.

- Jakże to? Gdzie przebywa?

- Tego nie wiem, sir.

- Nie mógł go pan znaleźć? Szybciej, niechże pan mówi!

- Niestety, nie mogłem.

- Ale w Chequers z pewnością coś wiedzieli?

- Zupełnie nic, sir. - Pan Warburton dobył taba-kiery i z namaszczeniem zażył szczyptę. - Gospodarz, pan Chadber, człowiek uczciwy, choć bez krztyny poczucia humoru, od niemal roku nie widział milorda. Panicz John wyjechał, kiedy poinformowałem go o śmierci hrabiego.

- Przecież nie może być daleko! Chyba nic mu się nie stało? Żyje, prawda?

- Z pewnością, sir - uspokoił go prawnik. - Gdyby zginął, niewątpliwie usłyszelibyśmy o tym. Obawiam się, że ponownie udał się za granicę. Podobno często wspominał o następnej wyprawie.

- Za granicę? Boże, bylebym tylko nie utracił go ponownie! - Richard opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

- Drogi panie, tylko spokojnie. Niech pan nie traci nadziei. Nie mamy dowodu na to, że opuścił kraj. Śmiem twierdzić, że wkrótce go odnajdziemy. Chadber uważa, że zapewne w niedługim czasie ponownie zawita w gospodzie. Niech pan zachowa spokój, paniczu Dicku. - Prawnik podszedł bliżej i położył dłoń na drżącym ramieniu chlebodawcy. - Znajdziemy go, bez obaw. Niech pan będzie spokojny. Gdyby ujrzał pana w takim stanie, ogromnie by się zasmucił, paniczu Dicku... Błagam o spokój.

- Gdybym tylko mógł naprawić błędy - jęknął Richard.

- Przecież właśnie zamierza pan to uczynić. On nie chciałby widzieć pana tak wzburzonym. Tak bardzo pana lubił. Proszę wziąć się w garść...

Carstares wstał niepewnie i podszedł do okna,

- Błagam o wybaczenie. Musi mnie pan zrozumieć. Przez ostatni tydzień... żyłem jak w piekle...

Warburton stanął u jego boku.

- Paniczu Dicku... Wie pan, że nigdy nie troszczyłem się o pana tak jak o....

- Jak pan się troszczył o niego.

- Tak właśnie, sir, właśnie. Ostatnimi laty byłem może zbyt... szorstki. Chciałbym przeprosić za wszelkie niesprawiedliwe... myśli, które miałem w związku z pańską osobą. Ja... zapewne nigdy nie zrozumiałem tej sprawy. To wszystko.

Głośno wydmuchał nos i chwycił Richarda za dłoń.

Przez resztę tygodnia Richard Carstares miał mnóstwo zajęć. Należało wszystko przygotować, znaleźć nowy dom, a Wyncham House starannie

wysprzątać i doprowadzić do porządku przed przybyciem prawowitego właściciela. Gdy Lavinia pogodziła się z tym, co nieuchronne, uczestniczenie w pracach stało się dla niej przyjemnością. Nowy dom przy Great Jermyn Street nazwała uroczym i natychmiast zaczęła kupować bardzo drogie meble do jego urządzenia, a także nadzorować wszelkie zmiany. Jako skruszona grzesznica postanowiła w poniedziałek towarzyszyć mężowi w drodze do Wyncham, by stać u jego boku podczas zapowiedzianego na piątek decydującego spotkania. Mąż jednak nie zgodził się na to i nalegał, by pozostała w mieście do jego powrotu. Z zadowoleniem przeniosła się z Grosvenor Square na Jermyn Street, bardzo zajęta i ogromnie szczęśliwa.

Carstares zamierzał pojechać do Wyncham w poniedziałek, by dotrzeć na miejsce następnego wieczoru, w towarzystwie Andrew, którego zabierał aż do Andover. Niestroniący od kieliszka lord uwikłał się niedawno w awanturę o damę i ze względu na wynikły z tego pojedynek w Barn Elms oraz olbrzymie długi uznał za rozsądne spędzić nieco czasu w odosobnieniu. W połowie tygodnia Tracy znikł z Londynu i nikt nie wiedział, dokąd się udał. Powszechnie uważano, że pojechał z wizytą do Szkocji.

W końcu nadszedł poniedziałek, jasny i pogodny. Richard pożegnał się z żoną wyjątkowo czule, chusteczką delikatnie osuszył jej wilgotne rzęsy i wczesnym popołudniem wyruszył w podróż wraz ze szwagrem. Andrew czuł się już znacznie lepiej, toteż z jednej kieszeni wyciągnął zestaw do gry w kości, a z drugiej talię kart, aby umilić sobie i towarzyszowi trudy wyprawy.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

### *Lord Andover porywa damę*

Diana stała na starym, dębowym ganku, w dłoni ścisnęła szpicrutę, a przez rękę miała przerzucone fałdy obszernej sukni. Panna Betty dyskretnie, z dumą obserwowała bratanicę.

Uznała, że oczy Diany sprawiają wrażenie wyjątkowo mrocznych, a twarz jest jeszcze bardziej posępna niż zwykle. Dziewczyna trafnie oceniła własny

stan i oświadczyła, że „bez opamiętania wzdycha za panem Carrem”. Panna Betty usiłowała przegnać smutek z twarzy bratanicy, lecz bezskutecznie. Zresztą, jeśli nawet czasami Dianie dopisywał dobry humor, jej śmiech prędko cichł i zapadała cisza. Panna Betty nieraz wygrażała pięścią nieobecnemu Johnowi.

W pewnej chwili Diana westchnęła cicho i z uśmiechem zerknęła na ciotkę.

- Aż dziw bierze, jak doskonale Harper zajmuje się końmi - oznajmiła. - Jest po prostu nieoceniony i o wiele miłszy od tego głupiego Williama.

- W rzeczy samej - przyznała panna Betty. - Tylko pomyśl, moja droga, był stajennym u sir Hugh Grandisona. Widziałam list polecający, który przysłał twojemu ojcu. Zapewniam cię, kochana, to niesłychanie eleganckie pismo.

Diana skinęła głową i skierowała wzrok na nadjeżdżającego stajennego, który prowadził jej wierzchowca. Sługa zeskoczył na ziemię, dotknął kapelusza i stanął z boku.

Dziewczyna podeszła do konia i poklepała go po lśniącej szyi.

- Dzisiaj jedziemy w kierunku Ashley, ciociu - zakomunikowała. - Zamierzam nazbierać jeżyn, a Harper powiada, że w tamtej okolicy rośnie ich zatręśienie.

- Moja droga, tylko nie przemęczaj się zbyt dalekimi wyprawami. Moim zdaniem wkrótce się rozpada, a wtedy możesz się przeziębnić i umrzeć.

Diana wybuchnęła śmiechem.

- Och, nie, ciociu. Spójrz, na niebie prawie nie ma chmur. Zresztą obiecuję, że niedługo wrócimy. Pojedziemy tylko do Crossdown Woods i z powrotem.

Stajenny podsadził ją na konia i w tej samej chwili z domu wyłonił się pan Bealeigh, by pożegnać córkę.

- Kochanie, naprawdę muszę jutro wybrać się z tobą - zapowiedział. - Od wieków nie jeździliśmy wspólnie.

- Tato, może zechcesz nam towarzyszyć dzisiejszego popołudnia? - zapytała Diana i dodała: - Byłoby mi bardzo miło.

Ciotka Betty ze zdumieniem zauważyła, że Harper z niepokojem wyczekuje odpowiedzi pana Beauleigha. Zdezorientowana, przyglądała się stajennemu. Gdy jednak pan Beauleigh odmówił, mina sługi nic a nic się nie zmieniła, panna Betty uznała więc, że z pewnością się jej przywidziało.

Diana pomachała ręką na pożegnanie i odjechała, stajenny zaś ruszył za nią, zachowując pełen szacunku dystans. Panna Betty nie mogła jednak się uspokoić. Wyczuła, że dzieje się coś złego. Kiedy jeźdźcy zniknęli za zakrętem, nasza ją przemożna chęć przywołania bratanicy. Otrząsnęła się jednak, przekonana, że jest tylko niemądrą, starą kobietą, do tego nadopiekuńcza.

Mimo to, kiedy brat zamierzał wejść do domu, powstrzymała go.

- Horace, zaczekaj! - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Powiedz... powiedz, że będziesz częściej jeździł z Di, dobrze?

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Jesteś zaniepokojona, Betty?

- Zaniepokojona? Tak, trochę. Nie lubię, kiedy wyjeżdża sama, tylko ze stajennym. Przecież nawet go nie znamy.

- Moja droga! Ma referencje od pana Hugh Grand-isona, który - w to nie wątpię - nigdy nie poleciliby osoby niewiarygodnej. Czytałaś list.

- Tak, tak. Bez wątpienia jestem bardzo głupia. Niemniej od jutra będziesz z nią jeździł, prawda?

- Z całą pewnością będę towarzyszył córce zawsze, gdy czas mi na to pozwoli - odparł z godnością i tym zapewnieniem musiała się zadowolić.

Diana jechała stępą w cieniu wielkich drzew i żywopłotów o jaskrawych barwach. Jesień pomalowała liście ciemnym złotem, jasnym brązem i intensywną czerwień, z miedzianymi refleksami tam, gdzie rosły buki. Przyroda przypominała zaczarowany obraz, zbyt piękny, żeby był rzeczywisty. Drzewa

stykały się koronami, lecz między liśćmi prześwitywało słońce, dzięki czemu pylista ścieżka wydawała się upstrzona złotem.

Przez szczeliny w zielonych żywopłotach widać było pola. Wkrótce dotarli do krzewów uginających się pod ciężarem jeżyn, porastających przeciwny brzeg wąskiego strumyka. Diana ściągnęła wodze i spojrzała na stajennego.

- Popatrz, Harper - zawołała - jeżyny! Nie musimy jechać gdzie indziej. - Przełożyła wodze do prawej dłoni i przygotowała się do zeskoku z konia.

- Polana, o której mówiłem, leży nieco dalej stąd, milady - oświadczył stajenny, nie ruszając się z miejsca.

Diana zamarła w pół ruchu.

- Dlaczego te nie są dość dobre?

- Mogą być, jeśli pani sobie życzy. Tamte są jednak o wiele większe.

Szkoda byłoby ich nie zebrać.

Diana z powątpiewaniem popatrzyła na drogę.

- Niedaleko, powiadasz?

- Całkiem blisko, ledwie pół kilometra, a potem wzdłuż ścieżki pod lasem.

Nie przestawała się wahać.

- Nie chcę się spóźnić do domu.

- To wykluczone, milady. Uznałem tylko, że moglibyśmy powrócić przez Chorly Fields.

- Obok młyna? Hm...

- Właśnie tamtędy, milady. Dalej rozpościera się torfowa równina, niemal do samego domu.

Jej oczy pojaśniały.

- Galop? Doskonale! Tylko ruszajmy z kopyta. Pokłusowali, pozostawiając za plecami liściastą,



przydrożną gęstwinę, rozpościerającą się pod błękitnym niebem, i rozległe pastwiska. Po krótkiej chwili ich oczom ukazał się las i już jechali ścieżką, oddalając się od drogi. Harper podążał tuż za młodą damą, zbliżał się coraz bardziej. Na wpół świadomie dziewczyna przyspieszyła. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Zbliżali się do zakrętu, kiedy Harper zrównał się z Dianą.

Stłumiła nieuzasadniony strach i ściągnęła wodze.

- Nie dostrzegam jeżyn - zauważyła swobodnie.

- Nic dziwnego, milady - padła natychmiastowa odpowiedź. - Są nieco dalej, w głębi lasu. Jeśli zechce pani zsiąść z konia, mogę wskazać to miejsce.

Służący mówił uniżonym i pełnym szacunku głosem. Diana odsunęła od siebie wątpliwości i zeskoczyła na ziemię. Harper już czekał; z miejsca sięgnął po wodze i przywiązał oba konie do drzewa.

Diana przerzuciła fałdy sukni przez rękę i ruszyła ku wskazanemu miejscu. Stajenny rozsunał krzaki, żeby zrobić przejście dla damy, lecz gdy Diana przedarła się na drugą stronę, krzaki ponownie utworzyły szczelną, wysoką ścianę.

Serce Diany biło coraz mocniej i szybciej. Wątpliwości i podejrzenia wróciły. Mimo to nie okazała strachu, kiedy nakazała służącemu ponownie zrobić przejście do drogi.

- Jak pan widzi, jeżyn tu nie ma - oznajmiła.

Odwróciła się i spokojnie skierowała ku zaroślom.

Nie potrafiła precyzyjnie odtworzyć w pamięci późniejszych wydarzeń. Ktoś chwycił ją od tyłu i nim zdołała się ruszyć, przerzucił jej przez głowę długi jedwabny szal i mocno związał. Przez cały czas silna ręka przytrzymywała Dianę, która walczyła jak szalona. Udało się jej oswobodzić rękę, w której trzymała szpicrutę, i zaczęła bez opamiętania okładać nią napastnika. Rozgorzała krótkotrwała walka, lecz napastnik wyrwał broń ofierze i związał jej dłonie za plecami. Na nic zdały się wysiłki Diany.

Wiła się jak piskorz, lecz złoczyńca wziął ją na ręce i bez słowa ruszył przez las. Diana znieruchomiała, oszczędzając siły na później. Zorientowała się, że porywacz nie idzie w głąb lasu, lecz równolegle do jego skraju. Nie zdziwiło jej, kiedy wyszli na drogę tuż za zakretem.

Na widok powozu ogarnęła ją obezwładniająca groza. Od razu odgadła, co ją czeka. Jak przez mgłę dostrzegła stojącego przy drzwiczkach mężczyznę; następnie wepchnięto ją do wnętrza i posadzono na miękkiej kanapce. Całą energię skupiła na walce ze słabością, która groziła omdleniem. Z trudem doszła do siebie i nadstawiła ucha, by dowiedzieć się, o czym mówią porywacze.

Jedno ze zdań zostało wypowiedziane znajomym, niskim głosem.

- Przyrowadź je i przywiąż do łąku - padło polecenie. Potem zapadła cisza.

Po chwili usłyszała odgłos kroków; ktoś powracał. Harper wymamrotał coś niezrozumiale, drzwi się otworzyły i do środka wszedł książę Andover. Powóz się zakołysał i ruszył.

Tracy uśmiechnął się kącikami ust i spojrzał w oczy porwanej, która nie odrywała od niego wściekłego wzroku.

- Po tysiąckroć błagam o wybaczenie, panno Beauleigh. Pozwolę sobie zabrać ten szal.

Natychmiast rozwiązał jedwabny materiał, który osunął się z ramion Diany.

Przez moment milczała, usiłując dobrać słowa, które najlepiej oddałyby jej furię. Karminowe usta się rozchyliły, ukazując białe, mocno zaciśnięte zęby.

- Ty padalcu! - wykrzyknęła chrapliwie. - Padal-cu, tchórze! Rozwiąż mi ręce!

- Z przyjemnością. - Tracy pochylił się i przystąpił do rozsupływania ciasnego węzła. - Zechce pani przyjąć moje gorące przeprosiny za te poważne niewygody. Jestem pewien, że uzna pani zasadność takiego postępowania.

- Och, gdyby był tu prawdziwy mężczyzna, gotów pomścić moją krzywdę! - syknęła z wściekłością.

Książę szarpnął uparty węzeł.

- Na zewnątrz jest ich trzech - wyjaśnił łagodnie. - Nie sądzę jednak, by byli skłonni spełnić pani polecenia.

W końcu poluzował więzy i usiadł w kącie, rozkoszując się widokiem porwanej. Gdy jego wzrok padł na posiniaczone nadgarstki, natychmiast spochmurniał, zmarszczył czoło i pochylił się nad Dianą.

- Proszę mi wierzyć, nie chciałem tego - oświadczył i dotknął jej dłoni.

Odrzuciła go stanowczo.

- Ręce przy sobie!

- Ponownie proszę o wybaczenie, moja droga. - Nonszalancko rozparł się na kanapce.

- Dokąd mnie pan wiezie? - zapytała, usiłując ukryć strach.

- Do domu - wyjaśnił książę.

- Do domu. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem i nadzieją w oczach.

- Do domu - powtórzył. - Do naszego domu. Nadzieja zgasła.

- Jest pan komiczny.

- Ta umiejętność, droga pani, jest najtrudniejsza do opanowania.

- Sir... Bez względu na to, czy nosi pan nazwisko Everard, czy inne, jeśli tli się w panu choć iskierka szlachetności czy rycerskości albo jeżeli moje dobro nie jest panu całkowicie obojętne, proszę mnie w tej chwili wypuścić.

Jeszcze nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie. Jej oczy lśniły od niewyłanych łez, zdawały się promieniować światłem. Błagalnie składała usta nawet wtedy, gdy usiłowała się uśmiechnąć.

- Zdaje się, że żadnego z tych atrybutów nie można mi przypisać - odparł książę, ciekaw, czy będzie płakała. Nie przepadał za szlochającymi kobietami.

Diana była jednak dumna. Rozumiała, że łzy i prośby w żaden sposób jej nie pomogą. Była zdecydowana nie załamywać się, przynajmniej nie w

obecności porywacza. Tracy ze zdziwieniem patrzył, jak Diana poprawia suknię i z obojętną miną sadowi się na kanapce.

- Skoro tak daleko panu do rycerza, to chciałabym usłyszeć, co pan zamierza ze mną zrobić?- spytała lekkim tonem, wręcz żartobliwym, lecz dzięki swojej niezrównanej spostrzegawczości Tracy wyczuł, że jest przestraszona.

- Cóż, moja droga, zaplanowałem ślub z panią- wyjaśnił i pochylił głowę.

- A jeśli odmówię?

- Nie sądzę.

Dianę przeszył dreszcz.

- Odmawiam! - wykrzyknęła przenikliwie. Uśmiechnął się tak, że zrobiło się jej zimno.

- Tylko spokojnie. Myślę, że wyjdzie pani za mnie z prawdziwą przyjemnością. To tylko kwestia czasu -zapewnił ją.

- Pożałuje pan... tego, co pan zrobił... kiedy przybędzie mój ojciec. - Arogancki uśmieszek na twarzy arystokraty sprawił, że jej policzki poczerwieniały. - A przybędzie!

- Doprawdy? Rzecz w tym, że w to nie wątpię. Na pewno się zjawi, jeśli tylko będzie wiedział, dokąd jechać.

- Bez obaw, wkrótce pozna prawdę!

- Nie ma mowy o obawach. Będę zachwycony, mogąc go powitać - odparł książę. - Nie spodziewam się, by odmówił mi pani ręki.

- Nie? - Dianę również stać było na pogardę.

- Nie, droga pani. Wystarczy odrobina... perswazji.

- Kim pan jest? - krzyknęła.

- Jestem kilkoma osobami, dziecko.

- Sama na to wpadłam - odparła bez zmrużenia powiek. - Między innymi sir Hugh Grandisonem?

- Ach, domyśliła się pani?

- To oczywiste.-Niemal doskonale naśladowała jego sarkastyczny ton.

- Tak. Pochlebiam sobie, że wszystko starannie obmyśliłem.

- W rzeczy samej, niesłuchanie.

Rozmowa z nią sprawiała mu przyjemność, którą rzadko odczuwał w podobnych okolicznościach. Inne kobiety płakały i błagały, uskarżały się i złościły. Dotąd żadna nie wykorzystywała przeciwko niemu jego własnej broni: ciętego języka.

- Kim jeszcze ma pan honor być? - spytała.

- Jestem panem Everardem, dziecko, i księciem Andover.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego błyszczącymi oczami.

- Słyszałam o panu - przyznała obojętnie.

- Usłyszysz pani więcej, to pewne.

- Zobaczymy, książę.

Teraz rozumiała, skąd się wzięła zdobiona klejnotami rękojeść szpady. Zastanawiała się, czy John nadal jest w jej posiadaniu. Gdyby tylko szczęśliwe zrządzenie losu sprowadziło go teraz, gdy był tak bardzo potrzebny! Nie było nikogo, kto wymierzyłby cios w jej obronie. Bezlitosny łotr decydował o jej życiu i śmierci. Doskonale znała reputację tego człowieka, a jego obecność przepełniła ją zgrozą i niewypowiedzianą nienawiścią. Wątpiła, by jej ojcu udało się ją odnaleźć. Gdyby tylko John był w Anglii! Z pewnością natychmiast by pospieszył na pomoc.

Książę pochylił się i położył na jej kolanie wąską, bladą dłoń.

- Droga pani, niech pani będzie rozsądna. Nie jestem najgorszą partią.

Czułość w jego głosie wzbudziła w Dianie pogardę. Poczul, jak dziewczyna sztywnieje.

- Proszę zabrać rękę! - zażądała stanowczo. - Niech pan mnie nie dotyka!

- Zaśmiał się pod nosem. Słyszając to, powróciła do poprzedniego kpiarskiego tonu. - Co widzę? Ponownie z rycerskością na bakier, książę? Niech pan zachowa dystans!

Uwagę Diany przykuła zawieszona na ścianie kabura. Natychmiast odwróciła wzrok, w nadziei, że książe nie dostrzegł jej zainteresowania. Niestety, Tracy był wyjątkowo spostrzegawczy.

- Ze smutkiem spieszę panią rozczarować. Jest pusta.

Od niechcenia dotknęła kabury, żeby sprawdzić prawdziwość słów księcia.

- Chodzi o to? Och, domyśliłam się od razu.

Coraz bardziej podziwiał jej hart ducha. Ta dziewczyna była niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju!

- Mam na imię Tracy - powiedział.

Przechyliła głowę i przez chwilę milczała, po czym powiedziała:

- Pańskie imię nie przypadło mi do gustu.

- Gdy mnie chrzczono, nikomu nie przyszło do głowy wziąć pod uwagę pani gust - oświadczył spokojnie.

- Całkiem zrozumiałe - zauważyła. - Mógłby pan być moim ojcem.

Cios był celny. Książe zmarszczył czoło i wybuchnął śmiechem.

- *Merci du compliment, mademoiselle! Podziwiam pani dowcip.*

- Przyznaję, że jestem zakłopotana. Czy mogę spytać, kiedy dotrzemy do celu podróży?

- Powinniśmy dojechać do Andover Court tuż po ósmej, droga pani.

Zatem wywoził ją całkiem daleko.

- Mam nadzieję, że pomyślał pan o zaopatrzeniu się w prowiant na czas przejazdu. - Ziewnęła. - Chyba nie chce pan pokazywać mnie w zajeździe?

Ponownie zachwyciła go jej niezłomność.

- Z pewnością za godzinę zatrzymamy się w gospodzie. Mój służący przyniesie pani przekąskę.

- Jeszcze godzina? - Zachmurzyła się. - Zatem proszę mi wybaczyć, ale się zdrzemnę. Podróż jest dość męcząca, trzeba przyznać.

Wcisnęła się w kąt, oparła głowę o poduszki i zamknęła oczy.

W ten sposób przechytryła księcia. Nie można przecież doświadczać miłosnych uniesień z dziewczyną, która udaje senność, choć powinna wrywać się i usiłować zbiec. Tak więc Tracy, któremu można było zarzucić wiele, ale nie brak poczucia humoru, usadowił się w drugim kącie i poszedł za przykładem Diany.

Po dłuższym czasie dotarli do gospody. Powóz zajechał wolno przed drzwiami wejściowe. Diana otworzyła oczy, udając przemożną senność.

- Już? - spytała zdziwiona.

- Ufam, że dobrze pani spała - oznajmił księżę gładko.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła spokojnie.

- Z ulgą to słyszę, droga pani. Sądziłem, że niemożliwością jest, by tak uroczo trzymała pani zamknięte usta. Niewątpliwie wyćwiczyła pani szczękę, by nie opadała podczas snu. Żałuję, że ja nie opanowałem tej sztuki.

Nawet nie starał się zamaskować triumfu w głosie. Diana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wstał.

- Za pozwoleniem, pójdę po coś do jedzenia, droga pani. Proszę nie myśleć o mnie źle, lecz muszę powiedzieć, że z obu stron powozu stoją służący.

- Dziękuję za przypomnienie. - Uśmiechnęła się, choć poczuła rozczarowanie.

Znikł, a po kilku minutach powrócił z kieliszkiem wina i kilkoma ciastkami.

- Ubolewam nad skromnością pani posiłku, lecz nie chcę tracić czasu - oznajmił. - Ugoszczę panią stosowniej po przyjeździe do Andover.

Diana z wdzięcznością wypila wino. Wydawało się, że trunek tchnął w nią nowe życie. Na myśl o jedzeniu poczuła gulę w gardle, ale postanowiła nie dać tego po sobie poznać. Przełamała jedno z ciastek na pół i skubnęła je ostrożnie, aby zyskać na czasie. Miała nadzieję, że jej ojciec zorganizuje pościg, nim będzie za późno. Udała, że ciastko jej nie smakuje, i z irytacją zażądała pokojówki.

Oczy Tracy'ego pojaśniały.

- Obawiam się, że nie mogę sprostać pani życzeniu. Po ślubie pojedziemy do Richmond i tam zapewnię pani dowolną liczbę pokojówek.

Wyjął kieliszek z jej drżących dłoni.

Reszta podróży przypominała koszmar. Diana nie była już w stanie udawać senności. Bała się tego, co może uczynić książę, i dlatego trzymała go na dystans, posługując się słowem i kobiecą chytryością. Trzeba przyznać, że Andover starannie kontrolował swe poczynania i nie zamierzał dawać upustu namiętności. Czas jednak mijał, zapadał mrok i Diana powoli traciła panowanie nad sobą. W coraz mniejszym stopniu czuła się trzeźwo myślącą kobietą, coraz bardziej przypominała schwytną w pułapkę i przestraszone dziecko. Gdy wreszcie dotarli do Andover i książę pomógł jej wysiąść, nogi z trudem zaniósł ją po schodach ku wielkim drzwiom wejściowym z kutego żelaza. Zadrżała, gdy książę wziął ją za rękę.

Na progu stanął i skłonił się nisko.

- Witaj w swoim przyszłym domu, moja królowo

- szepnął i wprowadził ją do środka, obok lokajów o kamiennych twarzach, którzy patrzyli prosto przed siebie, jakby nie dostrzegając gościa. Książę wskazał Dianie drogę do komnaty, gdzie czekał już stół nakryty dla dwóch osób. Chciał ją wziąć w ramiona, lecz wymknęła mu się i zmęczona opadła na krzesło.

- Oświadczam, że jest mi słabo z głodu - powiedziała.

Andover popatrzył na jej blade usta i uwierzył. Zajął miejsce naprzeciwno.

Do pokoju weszło dwóch lokajów, aby ich obsługiwać. Chociaż w głębi duszy Diana czuła wstyd, że obcy ludzie widzą ją w takich okolicznościach, jednocześnie odetchnęła z ulgą, gdyż przy służbie była bezpieczniejsza.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

*Lord jedzie pokrzyżować plany księcia*



John ziewnął szeroko i odłożył „Speetatora”. Skierował wzrok na zegar i zniecierpliwiony zauważył, że wskazówki stoją na wpół do szóstej. "Westchnął i sięgnął po „Ramblera”.

O'Harowie pojechali z wizytą w miejsce odległe o ładne kilka kilometrów i nie zanosilo się, by wrócili wcześniej. Innymi słowy, John miał przed sobą długi i nudny wieczór, z czego bynajmniej się nie cieszył. Molly usiłowała namówić go do wyjazdu, zaklinając się, że nie spotka żadnego znajomego, lecz wykazał się rozsądkiem i odmówił. Lady O'Hara nie kryła niezadowolenia i oznajmiła, że John jest najbardziej upartym i trudnym do zrozumienia człowiekiem, jakiego zna, nie wyłączając jej męża, czasem niewątpliwie ogromnie irytującego. Po chwili jednak lady O'Hara złagodniała, oświadczyła, że doskonale rozumie tę decyzję, a nawet zaproponowała, że ucałuje gościa, żeby naprawić złe wrażenie, wywołane jej nieopisanie fatalnym humorem. John ochoczo przyjął propozycję, na pożegnanie pomachał Molly z ganku i powrócił do pustego salonu, by spędzić czas z dwoma numerami „Speetatora” oraz z własnymi myślami. Kolację zaplanowano nieco później niż zwykle, ze względu na wapory kucharki.

Jego przemyślenia były nazbyt nieprzyjemne, aby się nimi dłużej zajmować: dość powiedzieć, że wszystko na świecie zdawało się zmierzać w niewłaściwym kierunku. W takiej sytuacji zajął umysł lekturą wyjątkowo nieinteresującego - jak uznał - numeru „Speetatora”. Słońce niemal znikło za horyzontem i wkrótce zrobiło się zbyt ciemno na czytanie. Służba nie przyniosła jeszcze świec, więc John, nieromantycznie, uciął sobie drzemkę w fotelu. Pewnie w końcu zacząłby chrapać, ale kwadrans później przybył kamerdyner i zbudził go słowami:

- Kolację podano, sir.

John leniwie odwrócił głowę.

- Co takiego?

- Kolację podano, sir - powtórzył służący i otworzył szeroko drzwi.

- Dalibóg! Dobrze to słyszeć.

John wstał leniwe i starannie poprawił fular. Chociaż miał wieszczać w samotności, wygładził ubranie, a elegancką, koronkową chustką strzepnął drobinę kurzu z mankietu. Potem podążył wyłożonym starą boazerią korytarzem do jadalni i zasiadł przy stole.

Zasłony na oknach były już zaciągnięte, a na blacie stały świece w eleganckich, srebrnych świecznikach, rozjaśniając ciepłym blaskiem białe adamaszki i lśniące pokrywki na naczyniach. Lokaje zaproponowali rybę, a lord zgodził się, by nałożyli mu na talerz niewielką porcję. Kamerdyner chciał wiedzieć, czy pan Carr życzy sobie bordo, burgunda czy też piwo. John wybrał bordo. Następnie na stole zjawiała się polędwica wołowa, która również zyskała uznanie w oczach Johna. Potem przed panem Carrem ustawiono bogaty wybór dań - kuropatwy, obok nich pasztet, zupę kremową, dwa kurczaki, kaczkę, a także znacznej wielkości szynkę.

Kamerdyner zapytał, czy pan Carr ma ochotę na kieliszek burgunda i zaprezentował mu zakurzoną butelkę. John obejrzał ją przez monokl i zdecydował, że chętnie skosztuje trunku. Wypił nieco, zastanowił się i kazał wynieść szynkę.

Wtedy zjawily się przed nim tłuście gołębki.

Jeden z nich natychmiast trafił na talerz. Gdy John podniósł nóż i widelec, na korytarzu rozległy się krzyki, gniewne głosy wszczęły kłótnię, a w ogólnym harmidrze dało się słyszeć kogoś, kto uparcie wzywał pana Carra lub sir Milesa. John odłożył nóż i widelec, a następnie wstał.

- Najwyraźniej jestem potrzebny - zdecydował i ruszył do drzwi, które służba natychmiast przed nim otworzyła. Wszedł na korytarz, gdzie ujrzał pana Beauligha. Gość usiłował ominąć młodszego lokaja, który nie pozwalał mu przejść. Na widok Johna sługa cofnął się z szacunkiem. Pan Beauligh, najwyraźniej zdenerwowany i zadyszany, rzucił się ku lordowi.

- Dzięki Bogu, że pana zastałem! — krzyknął.

John ze zdumieniem wpatrywał się w nieoczekiwanego gościa. Kiedy się poprzednio widzieli, pan Beauleigh sprawiał wrażenie człowieka chłodnego i opanowanego.

- Cieszę się, że mogę panu służyć pomocą. - Ukłonił się. - Czy ma pan jakieś życzenie?

- Jesteśmy w straszliwym kłopotcie - oznajmił przybysz z rozpaczą. - Betty kazała mi znaleźć pana albo ewentualnie pana Milesa, gdyż nikt inny nam nie pomoże!

John uważnie obserwował gościa.

- Kłopot? Nie... Zapomniałem o dobrych manierach. Zapraszam, tutaj swobodniej porozmawiamy. - Wprowadził pana Beauleigha do salonu, gdzie gość wcisnął mu w dłoń kartkę papieru.

- Dzisiejszego popołudnia Diana wyjechała na konny spacer i tylko jej rumak powrócił... Z tym listem przymocowanym do lęku! Niech pan czyta! Proszę!

- Diana! - John podszedł do światła i pospiesznie przeczytał skreślony na jednej stronie list.

Jego treść była krótka, lecz zdecydowanie węzłowata.

„Być może pan Beauleigh raczy pamiętać pana Everarda z Bath, którego awanse do panny Beauleigh zostały okrutnie odrzucone. Pan Everard z żalem zawiadamia, że musiał wziąć sprawy we własne ręce i ufa, że znajomość z panem Beauleighem pogłębi w przyszłości, kiedy panna Beauleigh zostanie panią Everard”.

John z wściekłością zgniótł papier w dłoni i zmełł w ustach straszliwe przekleństwo.

- ... tego bezczelnego drania!

- Tak, tak, sir, tylko jaka z tego korzyść dla mojej córki? Przybyłem prosto do pana, gdyż moja siostra jest przekonana, że ten Everard jest panu znany i że może mi pan zdradzić, gdzie go szukać!

John położył mu dłoń na ramieniu.

- Bez obaw, drogi panie. Zareczam słowem, że jeszcze dzisiejszej nocy pańska córka zostanie odnaleziona.

- Wie pan, dokąd on ją zabrał? Czy tak? Czy jest pan pewien?

- Wywiózł ją do swej posiadłości, daję głowę. - Podeszedł do drzwi, otworzył je szeroko i krzyknął do lokaja: - Życzę sobie, by moja klacz była za dziesięć minut pod siodłem, a Błękitny Diabeł zaprzęgnięty do kariolki! Nie stój, szybciej! I niech który przyśle do mnie Saltera!

Służący rzucił się wypełniać polecenia, lecz nim odbiegł, przystanął na chwilę, by poinformować lorda o nieobecności Saltera.

John przypomniał sobie, że dał Jimowi wolne na odwiedzenie Mary w Fittering, i zmełł w ustach następne przekleństwo. Popędził po schodach, czując na plecach oddech pana Beauligha.

W swoim pokoju natychmiast wciągnął but na nogę i jednocześnie zadawał gościowi pytania. Pan Beauligh streścił całą historię, ze smutkiem podkreślając, jak doskonałe referencje uzyskał Harper od sir Hugh Grandisona.

John włożył drugi but.

- Tracy we własnej osobie, to jasne! - prychnął, gdy przypinał ostrogi.

- Drogi panie, kimże jest ten łotr? Czy to prawda, że pan go zna?

- Andover - odparł John, ukryty w głębi garderoby. - Niech go czarci, gdzie wepchnął moją pelerynę?

- Te ostatnie słowa wygłosił pod adresem nieobecnego Jima, a nie księcia.

- Andover! Nie... z pewnością nie chodzi o księcia! - krzyknął pan Beauligh.

- Innego nie znam. Wreszcie!

Wyłonił się z pomieszczenia i cisnął na łóżko ciężką, wielokrotnie noszoną pelerynę.

- A teraz proszę pana o uwagę - powiedział, nie patrząc na rozmówcę. - Tracy zawiezie Di... pannę Beauligh do Andover Court, odległego o jednaście

kilometrów na południowy zachód od Wyncham. Pański koń, jak mniemam, nie jest wypoczęty. - John znał konia pana Beauleigha. - Nakazałem, by przygotowano dla pana kariolkę. Sam wyruszę natychmiast i będę jechał na skrót, gdyż nie ma chwili do stracenia...

- Księżę Andover! - przerwał mu pan Beauleigh.

- Księżę Andover! Jak pan uważa, dlaczego on nosi się z zamiarem poślubienia mojej córki?

John zaśmiał się krótko, gniewnie.

- Akurat! Poślubi ją tak jak wszystkie inne! Pan Beauleigh zamrugał powiekami.

- Na Boga, dlaczego pan tak mówi?

- Widać, że nie zna pan księcia. A słyszał pan o Diabie Belmanoirze? Starszy pan pobladł.

- Dobry Boże, co pan opowiada? To nie może być on!

John sięgnął po kapelusz i szpicrutę.

- Tak, sir. W rzeczy samej, o nim mowa. Teraz może pojmie pan konieczność pośpiechu.

Pan Beauleigh wreszcie przejrzał na oczy.

- Na miłość boską, przyjacielu, ruszajmy za nimi!

- To właśnie zamierzam. Czy podąży pan za mną możliwie prędko?

- Tak, tak, ale niech pan nie zwleka! Czy dotrze pan do Andover Court... na czas?

- Będę tam jeszcze tej nocy - odparł zdecydowanie John. - A co z panem? Zna pan drogę?

- Dam sobie radę. W drogę, przyjacielu! Nie zwlekajmy, błagam!

John pospiesznie przywdział podróżny płaszcz, wcisnął kapelusz na głowę i ze szpadą księcia pod pachą zbiegł po schodach, pokonując trzy lub cztery stopnie naraz. Wypadł na podjazd, gdzie czekał już stajenny z cugłami Jenny w ręku. John pospiesznie sprawdził popręgi i wskoczył na siodło. Klacz

przesunęła się w bok i zaczęła drobić w miejscu, nie mogąc się doczekać, aż jeździec da znak, by ruszali. Ten jednak trzymał wodze, gdyż chciał jeszcze zamienić słowo ze stajennym.

- Pan Beauleigh ma jak najszybciej znaleźć się w Andover Court. To kwestia życia i śmierci. Znasz drogę?

Oszołomiony służący z trudem zebrał myśli.

- Z grubsza, proszę pana.

- Nie trzeba lepiej, pan Beauleigh sobie poradzi.

Pędźcie jak do pożaru - sir Miles nie będzie miał nic przeciwko temu. Czy wyrażam się dość jasno? W domu O'Hary słowo Johna było świętością.

- Tak jest, sir - padła odpowiedź i sługa dotknął kapelusza.

Jego słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy piękna klacz ruszyła. W następnej chwili rumak i jeździec zniknęli w mroku.

- A niech mnie... - mruknął stajenny i ruszył po kariolkę.

Na płaskich wrzosowiskach John cwałował. Jenny gnała z wiatrem na wyścigi, zupełnie jakby udzielił się jej pośpiech jeźdźca. Ten pochylił się nisko nad jej szyją, jedną ręką przytrzymał szpadę księcia, opartą na łąku, a drugą kierował wierzchowcem. W taki sposób pokonali pięć kilometrów. Potem John ściągnął wodze i od tej pory nieco zwolnili, aby koń przedwcześnie nie stracił sił. Cel podróży wciąż był daleko. Zwierzę było w fantastycznej formie i ochoczo galopowało po torfie. Chociaż nienaganne maniere klaczy nie pozwalały jej szarpać wodzy, John widział, jak Jenny strzyże uszami, pragnąc przyspieszyć kroku. Przemówił do klaczy łagodnie i pokierował ją ku drodze, którą po południu jechała Diana. Klacz wręcz muskała ziemię kopytami. Po chwili opuścili trakt i przez pole dotarli do innej drogi, wiodącej na zachód. Gdy nieoczekiwanie wyrósł przed nimi żywopłot, Jenny przefrunęła wysoko nad przeszkodą, z gracją szybującego ptaka, a po wylądowaniu wznowiła bieg.

Klacz strzygła uszami, gdy jeździec ją chwalił i nieznacznie ściągnął wodze.

- Spokojnie, Jenny, teraz spokojnie! - rozkazał John. Klacz drżała od emocji, lecz zastosowała się do polecenia i przez następne pół godziny lekko kłusowała.

John rytmicznie unosił się w siodle i opadał, uważając, by nie dotknąć lśniących boków klaczy ostrogami. Doszedł do wniosku, że zbliża się siódma. Z niepokojem zmarszczył czoło. Jenny miała mięśnie ze stali i pędziła jak błyskawica, ale czy na pewno sobie poradzi? Nigdy jeszcze nie sprawdzał jej możliwości tak, jak to czynił teraz. Nie śmiał jednak pozwolić jej odpocząć. Każda minuta była na wagę złota, musiał dotrzeć do Andover, nim będzie za późno.

Założywszy, że Tracy porwał Dianę o czwartej lub około czwartej, Carstares uznał, że ciężki powóz dotrze do Andover po co najmniej czterech godzinach. Jenny miała szansę pokonać ten sam dystans w dwie i pół godziny, gdyby pojechali na skróty. Innymi słowy, na miejscu powinni być wkrótce po ściganych.

Nie opuszczała go myśl o Dianie, zdanej na łaskę i niełaskę mężczyzny pokroju Tracy'ego; o Dianie przerażonej, zrozpaczonej. Nieświadomie przycisnął kolana do gładkich boków klaczy i Jenny ponownie pognąła. Biegła tak lekko, jakby szybowała nad ziemią. Ani razu nie zmyliła kroku, ani razu się nie potknęła. John uważał, by jej nie zdenerwować. Ograniczał się do trzymania wodzy i hamowania mknącego zwierzęcia, choć najczęściej pozwalał jej gnać tak, jak miała ochotę. Ścigali się z czasem, pokonując przysypane liśćmi trakty, łąki, polne drogi.

Nie na próżno John przez dwa lata wędrował po tych okolicach. Teraz znał niemal każdą ścieżkę, ani razu nie skręcił w złym kierunku, nie zawahał się, nie pobłądził. Konsekwentnie pokonywali kilometry, mijali senne wioski, samotne gospodarstwa, gnali skrajem lasu, wbiegali na wzgórza, podążali dolinami. John nie rozluźnił uchwytu. Sporadycznie zerkał w bok, wypatrując ukrytej ścieżki, równoległej do traktu. Po pierwszej godzinie tępy ból w

ramieniu przypomniał mu o starej ranie, która nadal się odzywała. Zaciśnął zęby i delikatnie pospieszył konia.

Wtedy klacz stąpnęła na luźny kamień i się potknęła. Dłoń Johna nie poluzowała mocnego uścisku, jego mięśnie stwardniały niczym stał. Głosem zachęcił wierzchowca do wznowienia biegu. Klaczy nie zirytował dotyk silnej dłoni. John poprawił szpadę przy łęku, a prawą dłonią przesunął po spoczonej szyi konia, przemawiając spokojnym szeptem.

Jenny odpowiedziała mu cichym rzeniem. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego właściciel każe jej nadal galopować i stawiać czoło nieznanym zagrożeniom, które czają się w mroku. Wiedziała tylko tyle, że takie jest jego życzenie. Zdawało się jej także, iż jest z niej zadowolony. Była gotowa pogalopować ponownie, lecz kazał jej iść stępa przez może pięć minut, aż dotarli na dobrze mu znane błonia. Zrobiło się późno. Pospieszył klacz kolanem, znów więc pogalopowała, z łbem wyciągniętym do przodu, by jeszcze sprawniej przesywać ciemności. Ujrzeli na drodze zarys krzaka jałowca, który Jenny wyminęła i przyspieszyła kroku.

John uspokoił ją dłonią oraz głosem i pędzili dalej.

Miał świadomość, że pozostałe kilometry muszą pokonać w godzinę. Niewykluczone, iż powóz już był na miejscu; nie śmiał myśleć, co mogło się zdarzyć.

Upłynęło jeszcze pół godziny. John wyczuwał, że oddech klaczy staje się coraz krótszy i szybszy, więc ściągnął wodze, tym razem do wolnego galopu. Minęli już łąki, podążali drogą, którą doskonale pamiętał. Wyncham leżało w odległości nie większej niż szesnaście kilometrów. Osiem kilometrów w linii prostej... Musiał pozwolić Jenny odpocząć. Zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię.

Nogi klaczy drżały, po atlasowej skórze spływał pot. Wcisnęła chrapy w dłoń pana, oddychając nierówno. W odpowiedzi pogłaskał ją po uszach i



poklepał. Z uwielbieniem trąciła łbem jego policzek, jej oddech wyraźnie się uspokoił.

John ponownie wskoczył jej na grzbiet i pognali dalej.

Musieli skręcić w lewo, by ominąć Wyncham. Dalej ruszyli na zachód i na północny zachód, ponownie drogą ku Andover. Pozostały im tylko trzy kilometry...

Jenny ponownie się potknęła i zwolniła do stępa. John poklepał ją po karku: to wystarczyło, by przyspieszyła.

Zwierzę było niemal skrajnie wyczerpane i John o tym wiedział, lecz musieli pędzić dalej. Jenny dzielnie zareagowała na jego dotyk, choć dyszała nierówno, a jej ogromne, łagodne oczy przysłoniła mgła.

Wreszcie dostrzegli przed sobą potężną, żelazną bramę. Mimo mroku Carstares widział, że jest solidnie zamknięta. Zatrzymał konia i dalej ruszył pieszo wzdłuż żywopłotu. Szukał prześwitu dostatecznie dużego, by zmieściła się w nim Jenny.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

### *Lord wchodzi przez okno*

Książę Andover dał sygnał lokajom i Diana z przygnębieniem patrzyła, jak służący wychodzą, dyskretnie zamykając za sobą drzwi. Udała, że chce zjeść brzoskwinie. Próbowwała obrać ją ze skórki, lecz jej palce były niczym z drewna. Tracy rozparł się na krześle i obserwował Dianę spod na wpół przymkniętych powiek. Patrzył, jak zjada brzoskwinie, wstaje i kładzie dłoń na oparciu wysokiego, rzeźbionego krzesła. Po chwili przemówiła do Tracy'ego, ukrywając zdenerwowanie.

- Cóż, sir, zjadłam kolację i przyznam, że jestem zmęczona. Prosiłabym więc o odprowadzenie mnie do ochmistrzyni.

- Droga pani, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, gdybym tylko miał ochmistrzynię - wycedził.

Wyniośle uniosła brwi.

- Spodziewam się, że ma pan przynajmniej pokojówkę - zasugerowała. -  
Jeśli mam zostać u pana, pragnę udać się na spoczynek.

- Wszystko w swoim czasie, moja droga. Niech pani jednak nie pozbawia mnie jeszcze swego uroczego towarzystwa. - Mówiąc to, wstał, wziął Dianę za rękę i zaprowadził ją do kanapy o niskim oparciu, stojącej po drugiej stronie komnaty.

- Jeśli ma pan mi coś do powiedzenia, książę, proszę o odłożenie tego do jutra. Dzisiaj wieczorem nie jestem w nastroju.

- Nadal tak oziębła? - Zaśmiał się.

- Nic nie wskazuje na to, bym miała się zmienić. Jego oczy zabłyśły.

- Tak pani uważa? Dowiodę, że pani przekonanie jest błędne. Może mnie pani nienawidzić, może mnie pani kochać, ale sądzę, że straci pani choć część tej lodowatej obojętności. Pozwolę sobie zauważyć, że za pani plecami stoi kanapa.

- Jestem tego świadoma.

- Zatem proszę spocząć.

- Nie warto. Nie zamierzam tu zostać.

Zrobił krok w jej kierunku, a jego mina skłoniła Dianę do natychmiastowego zajęcia miejsca na kanapie.

Z uśmiechem skinął głową.

- Postąpiłaś rozsądnie, Dianio.

- Skąd ta nagła familiarność? Jesteśmy po imieniu, sir? - spytała zimno.

Tracy usiadł obok niej, ręce przełożył za oparcie kanapy, a palcami muskał ramię Diany, która siłą woli powstrzymała krzyk. Czuła się bezbronna, a jej nerwy były napięte niczym struny.

- Nie, słonko! Koniec z tymi gierkami! Lepiej pomyśl, czy warto mnie złościć?

Siedziała sztywna i milcząca.

- Kocham cię... Ach, drżysz... Nadejdzie dzień, kiedy te dreszcze miną...

- Nazywa to pan miłością! - zawołała, zarazem ironicznie i rozpaczliwie.  
- Z pewnością chodzi o uczucie zbliżone do miłości - odrzekł spokojnie.  
- Zatem niech Bóg ma pana w opiece! —Zadrżała, przypominając sobie mężczyznę, który kochał ją w tak odmienny sposób.

- Może tak będzie - odparł. - Odeszliśmy jednak od tematu. Rzecz w tym: pójdziesz do swojej sypialni natychmiast z kluczem w dłoni, pod warunkiem, że przysięgniesz, iż jutro weźmiesz ze mną ślub.

Błada jak kreda, Diana poruszyła się, jakby chciała wstać. Smukłe palce księcia zacisnęły się na jej ramieniu, udaremniając próbę ucieczki.

- Nie, kochanie. Nigdzie się nie ruszysz. Traciła panowanie nad sobą; usiłowała wyrwać się z uścisku.

- Och, ty brutalu! Ty brutalu, puszczaj!

- Tylko wtedy, gdy złożysz przysięgę, skarbie,

- Nigdy! - wykrzyknęła. - Nigdy, przenigdy!

- Lepiej pomyśl...

- Już pomyślałam! Wolałabym umrzeć, niż wyjść za ciebie!

- To bardzo prawdopodobne. Śmierć nie stanie się jednak twoim udziałem, moja śliczna - szepnął jej wprost do ucha. - Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Lepiej będzie, gdy za mnie wyjdiesz i ocalisz honor, bo jeśli nie...

- Diable! - wydyszała i rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Wysokie okno było otwarte, wiedziała to na pewno, bo wiatr wydymał zasłonę. Między oknem a nią znajdował się jednak książę.

- Poszłaś po rozum do głowy, maleńka? Pamiętaj, jutro będzie za późno. Teraz decyzja należy do ciebie. Po prawdzie... - Zażył szczyptę tabaki. - Po prawdzie, dla mnie nie ma znaczenia, czy będziesz panną młodą, czy nie.

Diana nagle wyrwała się prześladowcy i podbiegła do okna. W ułamku sekundy książę był przy niej. Pochwycił ją w chwili, gdy dotarła do zasłony i jednym ruchem odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie tak szybko, kochanie. W ten sposób mi nie uciekniesz.

Objął ją w talii i powoli przyciągnął do siebie. Niemal nieprzytomna ze strachu, uderzyła go w twarz.

- Puść mnie! Jak śmiesz mnie obrażać? Och, na miłość boską, puszczaj!

Przyciskał ją do siebie, jedną ręką mocno trzymał jej nadgarstki za plecami, drugą otoczył jej ramiona.

- Zatrzymam cię dla siebie! - Uśmiechnął się i z lubością patrzył na jej piękną, wykrzywioną grymasem złości twarz, z cudownymi oczami o przenikliwym spojrzeniu, z drżącymi ustami. Na moment zamarł, a następnie błyskawicznie pochylił głowę i przywarł wargami do jej ust.

Nie mogła walczyć ani krzyczeć. Ogarnęła ją śmiertelna słabość, ledwie chwytając oddech.

- Na Boga, już za późno! - ogłosił. - Lepiej daj za wygraną, bo nic ci nie pomoże.

I wtedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Gdy w ostatniej próbie oswobodzenia się z uścisku Diana wyszeptała imię mężczyzny, który w jej mniemaniu znajdował się setki kilometrów od niej, na morzu, tuż za nią zabrzmiał mocny głos.

- Żyjesz złudzeniami, Belmanoir - powiedział ktoś ze spokojem.

Tracy zaklął, puścił Dianę i odwrócił się ku intruzowi.

Przed ciemnymi zasłonami, ze szpadą w dłoni i żądzą krwi w błękitnych oczach stał lord Carstares.

Grymas wściekłości powoli znikł z twarzy Tracy'ego, a jego miejsce zajął wyraz tępego zdumienia.

Diana ledwie wierzyła własnym oczom. Oszołomiona tempem wydarzeń, niepewnie ruszyła ku wybawicielowi.

- Dzięki Bogu! - krzyknęła. - Dzięki Bogu! Och, Johnie!

Chwycił ją w ramiona i delikatnie przysunął do kanapy.

- Najdroższa, chyba nie wątpiłaś, że przybędę?

- Sądziłam, że jesteś we Francji... - Zaszlochała i opadła między poduszki.

Carstares odwrócił się ku księciu. Tracy doszedł do siebie po pierwszym szoku i obserwował przeciwnika przez monokl.

- Co za nieoczekiwane spotkanie, milordzie - wycedził ironicznie.

Diana drgnęła, słysząc słowa niegodziwca i popatrzyła niespokojnie na Carstaresa.

- Książę, widzę pańską szpadę w kącie pokoju. Za pańskimi plecami - rzekł John, podbiegł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i wsunął go do kieszeni spodni.

Diana pomyślała, że John wydaje się zupełnie obcy w jego zwykle rozbawionych, błękitnych oczach nie było cienia wesołości, znikła uprzejmość, która zazwyczaj charakteryzowała jego sposób bycia. Zbladł, a usta zacisnął mocno, w cienką linię.

Książę lekceważąco wzruszył ramionami.

- Drogi panie, czemu miałbym z panem walczyć? - spytał, pozornie zupełnie nie przejęty wtargnięciem.

- Takiej odpowiedzi się spodziewałem, książę. Dlatego przyniosłem to! - Nim skończył mówić, cisnął na podłogę trzymaną przez siebie szpadę. Broń zadźwięczała.

Tracy nonszalancko podniósł szpadę i rzucił okiem na rękojęść. Konwulsyjnie zacisnął na niej palce i wbił w Johna przenikliwy wzrok.

- Jestem do dyspozycji, Carstares - oświadczył bez wahania i położył broń na stole.

Blask w oczach Johna nieco przygasł, a kąciki jego ust uniosły się w triumfalnym uśmiechu. Błyskawicznie odrzucił aksamitną pelerynę i ściągnął kamizelkę. Zdjął też ciężkie buty jeździeckie, całe pochłapane błotem. Na koniec podwinął koronkowe mankiety, aby nie przeszkadzały mu podczas pojedynku.

Diana myślała, że śni. Mężczyźni odsunęli stół, stanęli naprzeciwko siebie. Rozległ się szcęk stali.

John zaczął pojedynek po kilku chwilach ostrożnego osaczania przeciwnika. Zadał błyskawiczny cios i równie szybko się wycofał, przygotowany na kontrę księcia, który pospieszył z zabójczą ripostą *en en quinte*. Carstares elegancko odparował atak, stosując tercję, i cicho zachichotał.

Diana rozchyłała usta i otwierała szeroko oczy za każdym razem, gdy mężczyźni się ścierali. Wielokrotnie sadziła, że John musi ulec, lecz zawsze jakimś cudownym sposobem odzyskiwał przewagę, a ostrze księcia napotykało jego szpadę.

W pewnym momencie Tracy zadał cios na kwartę, lecz mierzył zbyt wysoko. Pokonał gardę przeciwnika i rozdarł mu rękaw białej koszuli. John cofnął nogę, odparował atak i ripostował prostym pchnięciem, z wysoko uniesionym nadgarstkiem, nim Tracy zdążył przyjąć pozycję obronną. Szczęknęła stal i John rzucił się prosto na pierś przeciwnika.

Diana zamknęła oczy, spodziewając się usłyszeć głuchy łomot padającego ciała Tracy'ego. Nic podobnego się jednak nie stało. Usłyszała jedynie tupot i zgrzyt głowni. Gdy uniosła powieki, książę przypuszczał atak, który został odparowany z niesłychaną łatwością i zwinnością dzięki elastycznej pracy nadgarstka Johna.

Caistares wiedział jednak, że traci siły. Jego ramię, osłabione po długiej podróży, było potwornie obolałe, a nadgarstek nie wydawał się tak giętki jak na początku potyczki. Do tego w uszach narastał mu szum, który na próżno próbował ignorować. Mimo to tego oczy jaśniały i migotały od woli walki i żądzy zabicia wroga.

Książę fechtował z niemal nadludzką zręcznością. Poruszał się ciężko, mocno i zdecydowanie. Sprawiał wrażenie niepokonanego. Carstares za to był zwinny i lekki jak pantera, a do tego śmiertelnie niebezpieczny przy każdym ruchu.

Nagle zamarkował atak od wewnętrznej strony, udając paradę w tercji. Książę cofnął się o krok. Parował w kwarcie, a wtedy John szybkim obrotem również przeszedł do kwarty i ostrza się zderzyły. Tracy ruszył do przodu z wyciągniętą ręką i plama czerwieni wykwitła na białej koszuli Johna tuż przy ramieniu.

Diana wydała stłumiony okrzyk, wiedząc, że to stara rana. Sztych szpady księcia dotknął podłogi.

- Usatysfakcjonowany? - spytał chłodno lekko zadyszany Tracy.

John zachwiał się nieco, lecz odzyskał równowagę i otarł oczy.

- Garda! - brzmiała jego odpowiedź. Nie zwrócił uwagi na okrzyk Diany.

Tracy wzruszył ramionami, stuknął głownią ostrze szabli Carstaresa i walka potoczyła się dalej.

Diana odnosiła wrażenie, że książę ma niemal zamknięte oczy. Poza tym groźnie wysunął brodę i przygryzał wąską dolną wargę.

Nagle ze zgrozą zauważyła, że John dyszy, a jego twarz jest popielata. Bezczynność była dla Diany męczarnią, lecz przygotowała się na to, by w każdej chwili móc pobiec na pomoc Johnowi. Nieoczekiwanie lord zamarkował obustronny atak i rozdarł rękaw księcia. Z ręki Tracy'ego popłynął cienki strumyk krwi. Książę nie zwrócił uwagi na ranę. Kontrował tak zręcznie, że szpada Johna zadrżała, a on sam zrobił chwiejny krok do tyłu. Przez chwilę zdawało się, że to koniec walki, lecz odzyskał równowagę i postawił gardę.

Diana stała niemal tak blada jak jej ukochany. Przycisnęła dłonie do piersi. Widziała, że ciosy Johna nie są już tak precyzyjne i że uśmiech zniknął z jego ust. Rozchylił wargi: górna była całkiem sztywna. Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

Wtem ciszę wielkiego domu zakłócił sygnał dzwonka, szarpanego z wielką siłą.

Białe usta Johna poruszały się bezgłośnie, a Diana, zgadując, że przybył jej ojciec, podskoczyła i wzdłuż ściany pobiegła ku drzwiom.

Po chwili na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Towarzyszył mu wesoły, pogodny głos, a także niższy, poważniejszy.

Książę miał przerażającą minę, lecz Carstares nie zwracał na nic uwagi. W pewnym momencie pchnął z taką precyzją, że Tracy musiał się cofnąć o krok. Ktoś na korytarzu głośno spytał, co się dzieje w zamkniętym pokoju, a Diana, widząc, że John niemal całkiem opadł z sił, załomotała w drzwi.

- Szybko! Szybko! - wykrzyknęła. - Wyważcie drzwi, na litość boską, kimkolwiek jesteście! Są zamknięte na klucz!

- Dobry Boże, to kobieta! - zawołał ktoś. - Słuchaj, Dick! Przecież tam się toczy walka!

- Och, prędzej! - nalegała biedna Diana.

- Proszę się odsunąć, wyłamiemy zamek - rozkazał ktoś.

Pospiesznie odeszła od drzwi i ponownie skupiła uwagę na pojedynku pod oknem. Tymczasem Andrew rąbnął barkiem w solidne drewno. Przy trzecim uderzeniu zamek nie wytrzymał, a drzwi gwałtownie się otworzyły. Lord Andrew wpadł do pokoju.

Dwaj mężczyźni przy oknie nieprzerwanie walczyli, wymieniali ciosy coraz szybciej i szybciej, nie zważając na to, co się wokół nich dzieje.

- A niech mnie - wymamrotał Andrew i wbił wzrok w szermierzy. Z zainteresowaniem podszedł bliżej i nagle dostrzegł twarz Johna. Patrzył na niego zdumiony, a po chwili zawołał Richarda. - Dobry Boże! Chodź tutaj! Dick! Prędzej! To z pewnością... Kim jest tamten człowiek?

Diana spojrzała na wysokiego dżentelmena, który z wyglądu zaskakująco przypominał jej ukochanego. Nieznajomy stanął u boku młodego towarzysza. Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Usłyszała głośny krzyk i nim się spostrzegła, Richard dobył szpady i rozdzielił nią skrzyżowane główne, W tej samej chwili John poczuł się tak, jakby czas się cofnął: rozpoznał brata.

- Do diabła, Dick! Z drogi...!



Tracy stał wsparty na broni i patrzył na nich. Oddychał ciężko, ale z jego ust nie zniknął cyniczny uśmieszek.

Richard, widząc, że jego brat zamierza ponownie natrzeć na księcia, starł się z nim, by wytrącić szpadę z jego osłabionej dłoni.

- Johnie, ty głupcze, odpuść! Odpuść, powiadam! Wyrwał mu broń z ręki i cisnął ją na drugi koniec

pokoju. John bez jednego słowa zachwiał się na nogach i z głuchym łomotem upadł na podłogę.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY**

*W którym tragedia zamienia się w komedię*

Diana stłumiła okrzyk i pobiegła na drugi koniec pokoju, gdzie leżał John, lecz Richard okazał się szybszy. Ukląkł przy nieruchomym bracie i próbował zlokalizować ranę.

Diana przypadła do nieprzytomnego ukochanego i wbiła wzrok w jego twarz.

- To stara rana - wyjaśniła pospiesznie. - Och, on nie może... Z pewnością żyje, prawda?

Richard w milczeniu pokiwał głową i delikatnie odsłonił ramię brata. Rana krwawiła nieznacznie i oboje zręcznie ją opatrzyli związanymi chustkami oraz serwetą ściągniętą ze stołu.

- Moim zdaniem to wyczerpanie - oznajmił Richard i przysunął dłoń do bladych warg Johna. - Oddycha równo.

Diana odwróciła głowę i przez ramię wydała polecenie:

- Niech ktoś przyniesie wodę i koniak, prędko

- W jednej chwili - pospieszył z zapewnieniem Andrew i wybiegł z pokoju.

Diana ponownie nachyliła się nad nieprzytomnym Johnem i niespokojnie zajrzała mu w twarz.

- Będzie żył? Czy... czy pan jest tego pewien? Musiał... pokonać całą drogę z Maltby aż tutaj... dla mnie! -Zażęła i przycisnęła do ust jego bezwładną dłoń.

- Dla pani? - Richard popatrzył na nią badawczo. Pokraśniała.

- Tak... on... my... ja...

- Rozumiem - przerwał jej Richard z powagą. Skinęła głową.

- No właśnie... i księżę... pojmał mnie i... sprowadził tutaj... a potem... potem on się zjawił i... i mnie ocalił.

Wietrzyk wpadający przez okno poruszył mankietami przy koszuli Johna i musnął ciemny kosmyk Diany. Odsunęła niesforny lok i ze zdumieniem obserwowała Richarda.

- Zechce mi pan wybaczyć, ale... pan ogromnie go przypomina z wyglądu.

- To mój brat - odparł Richard zwięźle.

- Pański brat? Nie miałam pojęcia, że pan Carr ma brata!

- Pan... jaki? - spytał Richard.

- Carr. To nie jest jego prawdziwe nazwisko, prawda? Słyszałam, jak księżę zwrócił się do niego „Carstares” oraz „milordzie”.

- Mój brat to hrabia Wyncham - wytłumaczył Richard i wyciągnął rękę po dzbanek wody, przyniesiony przez Andrew.

- Wielkie nieba! - Diana odetchnęła głęboko.

- Ale on utrzymywał, że... że jest rozbójnikiem!

- Mówił szczerą prawdę.

- Prawdę? Ależ... To niedorzeczność. Jakże typowa dla niego! - Zanurzyła chustkę w wodzie i przemyła czoło Johna. - Nie dochodzi do siebie - zauważyła nerwowo. - Czy jest pan pewien, że on... on...

- Absolutnie. Lada moment odzyska świadomość. Wspomniała pani, że przebył długą drogę?

- Z całą pewnością... Jego bladość mnie martwi. Zatrzymał się u państwa O'Harów w Maltby.

- Co takiego? U państwa O'Harów?

- Właśnie tam. Z pewnością wyruszył z ich domu. Rana wciąż daje mu się we znaki. - Ponownie ucałowała bezwładną dłoń.

Stojący przy oknie książę oddychał miarowo i obserwował Andrew przez monokl.

- Czy mogę spytać, co cię tutaj sprowadza? - zainteresował się uprzejmie.

- I dlaczego postanowiłeś sprowadzić tu tego świętoszkowatego Richarda?

- Przyjechałem, bo uznałem to za wskazane. Nie sądziłem, że cię tutaj zastanę. Klnę się na mą duszę, że to prawda.

- A gdzie miałem być, w twoim przekonaniu?

- Mój drogi, nie poświęciłem ci ani jednej myśli. Nie jestem twoim pacholkiem.

- Dlaczego Richard tu jest?

- Istne przesłuchanie! Jest tu dlatego, że zabrał mnie ze sobą po drodze do Wyncham. Czy masz jakieś zastrzeżenia?

- Zastrzeżenia byłyby bezcelowe. - Tracy wzruszył ramionami. - Czyżbym zabił tego młodego durnia?

Andrew z niesmakiem popatrzył na księcia.

- Bynajmniej. Ledwie go musnąłeś, na szczęście.

- Dobry Boże! Skąd to nagle uczucie do Carstare-sa?

Andrew obrócił się na pięcie.

- Może i jest oszustem, ale to diabelnie dobry człowiek - rzucił przez ramię. - A niech mnie, gdy wszedłem, niemal cię trafił! - Zachichotał na wspomnienie tamtej chwili.

- Kilkanaście razy niemal mnie trafił - poprawił brata Tracy i zacieśnił opatrunek na rękę. - Walczy jak sto czartów, ale zmogło go zmęczenie.

Poszedł za Andrew i stanął nad nieprzytomnym przeciwnikiem.

Diana popatrzyła na niego wyzywająco.

- Niech pan się cofnie, książę. Nic tu po panu! Tracy dobył tabakiera i zażył szczyptę tabaki.

- Zatem tak się sprawy mają - rzekł. - Nie wiedziałem.

- Innymi słowy, z tą wiedzą potraktowałby mnie pan inaczej?

- Ależ skądże - pospieszył z zapewnieniem. Zamykana tabakiera trzasnęła cicho. - Najzwyczajniej nieco się zdziwiłem. Chyba tym razem dopisało mu szczęście. - Odszedł, bo ponownie zabrzmiał dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych.

Andrew, który właśnie nalewał koniak do kieliszka, znieruchomiał z uniesioną w powietrzu butelką.

- Do pioruna! Wkrótce będziemy mogli zorganizować bal. Kogo teraz tu niesie? - Odstawił kieliszek i wymaszerował z pokoju, cały czas z butelką w dłoni. Pozostali nagle usłyszeli jego zdumiony okrzyk i głośny śmiech, a w następnej chwili do pokoju wszedł O'Hara, w butach z ostrogami, opatulony w ciężkie palto. Szybko podszedł do grupki zgromadzonej przy Johnie i ukląkł na jedno kolano. W tej pozycji przyjrzał się wszystkim z najwyższą uwagą, a potem skierował wzrok na Richarda.

- Żyje?

Richard skinął głową, unikając surowego, zaniepokojonego spojrzenia nowego gościa. O'Hara pochylił się nad przyjacielem.

- Ranny?

- Nieznacznie - przemówiła Diana. - Ramię dało o sobie znać. Jazda go wyczerpała... Pan Carstares uważa, że omdlenie jest wynikiem zmęczenia.

O'Hara z niezwykłą delikatnością wsunął jedną rękę pod ramiona Johna, drugą pod kolana i wstał z taką łatwością, jakby podnosił niemowlę. Podszedł do kanapy i tam powoli opuścił rannego na poduszki, ułożone przez Dianę.

- Tutaj mu będzie lepiej - zdecydował. Popatrzył na dziewczynę. - Czy wszystko dobrze, dziecko?

- Tak, tak... Przybył w ostatniej chwili... Walczył o mnie. - Wytarła łzy. - Tak bardzo go kocham, a przed chwilą powiedziano mi, że to hrabia. - Westchnęła.

- Cóż, to bez znaczenia, ręczę. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi. Z ogromną ufnością uśmiechnęła się przez łzy. O'Hara odwrócił się i popatrzył na Richarda, który stał nieco z tyłu. Ze spokojem przyjął spojrzenie Milesa. -I co?

- Nic - odparł Irlandczyk i podszedł do miejsca, w którym lord Andrew zawzięcie dyskutował z bratem.

Richard ponownie stanął przy Johnie i niespokojnie się w niego wpatrywał.

Diana nagle krzyknęła z radością.

- Odzyskuje świadomość! Poruszył głową! Och, Johnie, kochany, popatrz na mnie. - Pochyliła się nad nim, wpatrując się w niego z miłością.

Lord zamrugał powiekami i otworzył oczy.

- Diana...

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Potem uniosła jego głowę i zajrzała mu w błękitne oczy. John objął ramieniem ukochaną i mocno przytulił. Dopiero po chwili oswobodziła się z uścisku i wstała. Wzrok Johna, nadal nieco zamglony, spoczął na bracie. Podparł się na łokciu.

- Czy ja śnię? Dick! - W jego głosie słychać było ogromną radość.

Richard szybko podszedł do brata i spróbował ponownie położyć go na poduszkach.

- Mój drogi... Nie, nie, leż spokojnie.

- Leż spokojnie! -wykrzyknął John i opuścił nogi na podłogę. -

Wykluczone! Doskonale się czuję, to tylko zawroty głowy. Jak, do pioruna, tutaj trafiłeś? To na pewno ty wytrąciłeś mi szpadę. Tak? Bezczelny szczeniaku! Natychmiast oddaj moją broń!

- Dlaczego chcesz wstać? - szepnęła Diana prosto do ucha ukochanego.

- Żeby wziąć cię w ramiona, najśłodsza - wyjaśnił i od słów przeszedł do czynów.

Następnie rozejrzał się po pokoju. Przy stole stała grupka podenerwowanych mężczyzn: rozsierdzony Andrew, zblazowany Tracy i wściekły O'Hara.

- A niech mnie kule biją - mruknął John. - Skąd się tutaj wzięli?

- Sama nie wiem. - Diana wybuchnęła śmiechem.

- Pan O'Hara dotarł kilka minut temu. Drugi dżentelmen przybył wraz z panem Carstaresem.

- Ach, tak, pamiętam go. To Andrew, prawda, Dicku? Dalibóg, ależ wyrósł! Ale o co oni się kłóczą? Milesie! Milesie, powiadam!

Zaskoczony O'Hara się odwrócił.

- Oho! Już ci lepiej, co? - Podszedł bliżej. -Usiądź.

- Skoro nalegasz. Jak tutaj dotarłeś?

O'Hara stanął z tyłu kanapy, żeby poprawić poduszkę pod ramieniem rannego i położył ręce na oparciu. Potem z rozbawieniem popatrzył na przyjaciela.

- Konno, rzecz jasna.

- Ale co ci przyszło do głowy, żeby tu jechać? Gdzie...

- Wszystko przez naszego małego łobuziaka

- wyjaśnił Miles. - Przez całą drogę do Fraserów Molly niepokoiła się i narzekała, przekonana, że dziecko pozostało bez należytej opieki. Po godzinie wizyty nagle oświadczyła, że jest absolutnie pewna, że w domu stało się coś złego, i dlatego mam ją natychmiast wieźć z powrotem. Dotarliśmy na miejsce w chwili, gdy Beauleigh odjeżdżał. Opowiedział nam całą historię; rzecz jasna, natychmiast kazałem siodłać Błękitnego Piotrusia i pognąłem za tobą. Niestety, parę razy skręciłem nie tam, gdzie trzeba, a i koń nie jest szybki jak błyskawica, więc przyjechałem dopiero teraz.

- Z pewnością dotarłeś niedługo po mnie - oświadczył John. -

Zmarnowałem pół godziny na poszukiwania przesmyku w żywopłocie, przez który da się przeprowadzić Jenny. Teraz klacz czeka w szopie, nakryta moją peleryną. Nie wątpię, że również jest spragniona.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał O'Hara. Andrew podszedł do rannego i złożył niezdarny ukłon. Carstares wyciągnął rękę.

- Na Boga, Andy! Ledwie cię poznałem!

Po chwili namysłu Andrew przyjął wyciągniętą dłoń. Lord zauważył jednak jego wahanie.

- Proszę... proszę o wybaczenie. Zapomniałem - rzekł sztywno.

Andrew usiadł obok niego, czerwony na twarzy.

- Och, do licha, Johnie! Niezdarny błazen ze mnie, nie chciałem, żeby to tak wyszło.

Richard stanął w świetle świec.

- Jeśli wszyscy mnie posłuchacie choć przez jedną chwilę, będę wielce zobowiązany - zapowiedział spokojnie.

- Dick! - krzyknął John ostrzegawczo. Podszedłby do brata, gdyby O'Hara nie położył mu ręki na ramieniu i nie powstrzymał.

- Spokojnie - mruknął Miles. - Daj mu skończyć.

- Nie wtrącaj się. Dick, zaczekaj! Chcę z tobą porozmawiać!

Richard nawet na niego nie spojrzał.

- Powiem wam coś, co powinno było zostać powiedziane siedem lat temu...

- Na miłość boską, zabraniam! - John usiłował oswobodzić się z uścisku O'Hary.

Miles pochylił się nad nim.

- Chłopcze, jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, osobiście cię zaknebluję, i tyle.

John zaklął, na co Diana położyła dłoń na jego ręce.

- Johnnie, proszę. Nic nie rób. Dlaczego nie pozwolisz panu Carstaresowi mówić?

- Nie wiecie, do czego on zmierza! - pieklił się John.

- Tak naprawdę, panna Beauligh, sir Miles i Andrew są niewtajemniczeni - wycedził książkę. - Richardzie, może ja im opowiem tę historię?

- Dziękuję, twoje wsparcie nie będzie mi do niczego potrzebne - padła chłodna odpowiedź. - Johnnie, muszę cię jednak prosić o ciszę.

- Nie ma mowy! Nie wolno ci...

- To przesądziło sprawę - uznał O'Hara i zasłonił dłonią usta przyjaciela. - Proszę mówić dalej - przykazał Richardowi.

- Przez wzgląd na pannę Beauligh muszę wyznać, że dopuściłem się oszustwa, kiedy siedem lat temu wraz z bratem poszedłem na przyjęcie karciane. On wziął na siebie winę i od tamtej pory był okryty niesławą, bo okazałem się zbyt wielkim tchórzem, aby wyznać prawdę. Tyle mam do powiedzenia.

- Czy dlatego chciałeś się ze mną widzieć w piątek? - spytał O'Hara.

Richard skinął głową.

- Tak. Wtedy zamierzałem złożyć oświadczenie.

- Hm. Cieszę się, że choć raz postanowiłeś zachować się jak mężczyzna.

John zaklął ponownie, wyzwolił się z uścisku przyjaciela i odwrócił ku niemu z gniewem.

- Za dużo sobie pozwalasz, O'Hara! - rzucił. Wstał niepewnie i podszedł do Richarda. - Dick powiedział wam tylko część prawdy. Nikt z was nie wie o przyczynach naszego zachowania. Znaście jednak Richarda na tyle dobrze, by wiedzieć, że musiały istnieć bardzo poważne powody, aby skłonić go do tego, by mi pozwolił wziąć na siebie winę. Gdyby ktoś z was miał coś do powiedzenia w tej kwestii, będę wdzięczny, jeśli zabierze głos właśnie teraz. -



Powiódł wzrokiem po zebranych i zatrzymał go na spokojnym obliczu O'Hary. Następnie się odwrócił, uśmiechnął smutno i wyciągnął rękę do brata.

- Jesteś w stanie ze mną rozmawiać? - spytał Richard, nie patrząc Johnowi w oczy.

- Dick, nie bądź śmieszny! Zrobiłbyś dla mnie to samo!

Andrew podszedł bliżej.

- Nie widzę powodu, by rozdrapywać stare rany. W końcu, jakie to wszystko ma teraz znaczenie? Sprawa od dawna jest nieistotna. Oto moja dłoń, Dick! Chryste, jakże miałbym odwrócić się od człowieka, który przez lata mnie finansował? - Zaśmiał się mimowolnie i ścisnął rękę Richarda.

John popatrzył błagalnie na O'Hare. Irlandczyk niechętnie podszedł bliżej.

- Muszę uczciwie przyznać, Richardzie, że nie podzielam zdania Andrew. Nie przeczę jednak, że moja opinia na twój temat jest znacznie lepsza teraz niż siedem lat temu.

Richard patrzył na niego z nadzieją.

- Nigdy nie uwierzyłeś w jego winę? O'Hara się roześmiał.

- Skąd!

- Wiedziałaś, że to ja?

- Miałem podejrzenia, to jasne.

- Szkoda... Och, jaka szkoda, że wtedy nie wyraziłeś ich głośno!

O'Hara podniósł brwi i zapadło krótkotrwałe milczenie. Książę Andover przerwał ciszę w typowy dla siebie, zaskakujący sposób. Rozejrzał się po pokoju i po zebranych w nim osobach.

- Jeden, dwa, trzy... cztery, pięć - policzył. - Andrew, każ nakryć w jadalni dla pięciu osób.

- A ty? - spytał jego zaskoczony brat.

- Już jadłem - odparł chłodno Tracy.

Usta O'Hary drżały przez moment, a potem Irlandczyk wybuchnął śmiechem. Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

- Do czarta! - prychnął. - Niech mnie licho, jeśli kiedyś spotkałem dowcipniejszego łotra! „Kaź nakryć dla pięciu osób”, a to dopiero!

- A może powinienem był powiedzieć, że dla sześciu? - ciągnął niezrażony książę. - Czy nie będę miał zaszczytu gościć pana Beauleigha?

O'Hara powściągnął wesołość.

- Nie, nie przyjedzie. Chętnie przekazał mi swoją misję, a sam powrócił do Littledean.

- Żałuję. - Książę przyjął ten fakt do wiadomości i odwrócił się ku Johnowi, który obejmował Dianę w talii i patrzył na niego wyzywająco. - Wszystko jest już jasne. Moje gratulacje. Nie mogę przestać żałować, że nie skończyłem z panem tamtego dnia na drodze. Pozwolę sobie zauważyć, że fechtuje pan w sposób godny szacunku.

John uklonił się wyniośle.

- Rzecz jasna, ze swej strony żałuje pan, że się mnie nie pozbył - ciągnął książę. - To zrozumiałe. Bez względu jednak na to, jak wielką darzy mnie pan pogardą i nienawiścią, nie może pan tego okazać, chyba że chce pan, by wzięto nas wszystkich na języki. Ja również wolę uniknąć tej tragedii. Ufam więc, że tej nocy pozostanie pan pod moim dachem jako gość... Andrew, nie zapomnij wydać polecenia, by przygotowano sypialnię. Potem nie musi pan nawet zbliżać się do mnie. W rzeczy samej, mam nadzieję, że będzie się pan trzymał z daleka.

John nie całkiem zamaskował uśmiech.

- Dziękuję, książę, za gościnność, z której, niestety, będę musiał skorzystać. - Zerknął na zmęczoną twarz Diany. - Co do reszty, zgadzam się w całej rozciągłości. Podobnie jak pan, wolę uniknąć tej tragedii.

Diana cicho zachichotała.

- Wszyscy są nieznośnie sztywni - oświadczyła.

- Idę spać.

- Wobec tego odprowadzę cię do schodów

- oznajmił John i oboje ruszyli do wyjścia.

Gdy mijali księcia, Diana przystanąła i spojrzała mu w twarz. Tracy złożył jej niski ukłon.

- Życzę dobrej nocy. Carstares będzie wiedział, który pokój przeznaczyłem dla pani. Na miejscu zastanie pani służącą.

- Dziękuję - odparła spokojnie. - Spróbuję puścić w niepamięć zdarzenia tego dnia. Dostrzegam prawdę w pańskich słowach, książę: nie możemy dopuścić, by świat dostrzegł nasz antagonizm, bo weźmie nas na języki. Wyznam, że łatwo mi wybaczyć panu postępkę dzisiejszego dnia, bo dzięki nim John jest teraz przy mnie. Gdybym nie znalazła się w tak dramatycznym położeniu, być może nigdy bym nie ujrzała ukochanego.

- A zatem, wszystko dobre, co się dobrze kończy - mruknął książę.

- Tego bym nie powiedziała - odparła i wyszła. Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Niezręczne milczenie jak zwykle przerwał Tracy.

- Proponuję, byśmy udali się do jadalni - oznajmił. - Jak mniemam, upłynie trochę czasu, nim doczekamy się powrotu Carstaresa. O'Hara, przodem!

- Zaraz - zaprotestował Miles. — Klacz Johna czeka w szopie. Obiecałem, że się nią zajmę.

- Andrew! - zawołał książę. - Gdy skończysz nadzorować podawanie kolacji, wydaj polecenia, by zadbano o klacz Carstaresa.

Andrew odkrzyknął coś z drugiego pokoju i zebrani natychmiast usłyszeli, jak wydaje polecenia komuś, kto przebywał w głębi domu.

Kolacja przebiegła w spokojnej atmosferze. Książę był uprzejmy i cały w uśmiechach, Andrew hałaśliwy i dowcipny, a O'Hara zdecydowany podtrzymywać rozmowę. Richard raczej milczał, lecz wniebowzięty i upojnie szczęśliwy John wkrótce go rozruszał i wciągnął do rozmowy, wypytyując o wieści z ostatnich lat.

O'Hara kilka razy miał poważne trudności z powstrzymaniem się od śmiechu, tak bardzo bawiły go własne myśli. Oto dwaj mężczyźni stoczyli poważną potyczkę, a następnie ich animozje znikły jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki. Miles doskonale wyczuwał komizm sytuacji: niedawni wrogowie spożywali wspólnie kolację. A przecież jeszcze przed chwilą żywił silne przekonanie, że John wybierze rozwiązanie tragiczne i odmówi przebywania w domu księcia choćby minutę dłużej.

Bracia zostali sami dopiero około północy, kiedy wszyscy poszli spać. W jadalni zapadła cisza, na stole walały się resztki posiłku. John stał pogrążony w rozmyślaniach i bawił się chochelką do ponczu, leniwie mieszając złociste drobiny na dnie wazy. Świece oświetlały mu twarz, dzięki czemu Richard, stojąc naprzeciwko, w cieniu, miał dogodną sposobność do studiowania oblicza brata.

Oglądał najbliższego sobie człowieka i miał wrażenie, że mógłby to robić bez końca. Odkrył, że John się zmienił, choć nie potrafił określić, w jaki sposób. Nie postarzał się znacząco, nadal był tym samym wesołym, pogodnym Johnem z dawnych lat, pomijając tę ledwie wyczuwalną różnicę. O'Hara także zwrócił na nią uwagę: chodziło o dyskretny dystans, odrobinę rezerwy.

John przerwał niezręczną ciszę. Zupełnie jakby wyczuł na sobie spojrzenie brata, popatrzył na niego z wesołym uśmiechem.

- Do czarta, Dicku, jesteśmy onieśmieleni jak dwaj uczniacy.

Richard nie odwzajemnił uśmiechu. John obszedł stół i zbliżył się do brata.

- Nie musimy nic sobie wyjaśniać, Dicku - ciągnął John. - Byłoby to zbędnie. Zawsze razem wpadaliśmy w tarapaty.

Przez moment stał z dłonią na ramieniu Richarda. W końcu ten ostatni odwrócił się twarzą ku niemu.

- Co ty musisz sobie o mnie myśleć! - wybuchnął. - Dobry Boże, kiedy sobie wyobrażam...

- Wiem. Wierz mi, Dicku, doskonale rozumiem, co musiałeś czuć.

Błagam jednak, zapomnij o tym. Wszystko skończone i pogrzebane.

Ponownie zamilkli. John w końcu cofnął rękę i przysiadł na krawędzi stołu, uśmiechając się do Richarda.

- Niewiele brakowało, a bym zapomniał, że jesteś tatą. Syn?

- Tak... Ma na imię John, po tobie.

- Przyznam, że mi to pochlebia. Boże, trudno mi myśleć o tobie jako o ojcu. - Zaśmiał się i obrócił monokl.

W końcu także na twarzy Richarda pojawił się uśmiech.

- Trudno mi myśleć o tobie jako o stryju. - zrewanżował się i napięta atmosfera nagle bezpowrotnie minęła

Następnego ranka Richard pojechał do Wyncham, a Diana, John i O'Hara wyruszyli z powrotem do hrabstwa Sussex. John postanowił nie wracać jeszcze do domu. Oświadczył, że najpierw weźmie ślub, a potem sprowadzi do Wyncham swoją wybrankę. Musiał jednak przekazać bratu kilka wskazówek na temat przygotowania domu. Na koniec zażądał, by Richard odszukał pewnego kupca nazwiskiem Fudby i uwolnił spod jego wpływu urzędnika o nazwisku Chilter, który miał trafić do Wyncham. Wszystkie te zalecenia wykrzyczał z okna powozu, tuż przed odjazdem.

Richard przyprowadził do drzwi pojazdu Jenny, na której zamierzał powrócić do domu.

- Ale co, do pioruna, mam zrobić z tym mężczyzną? - zawołał.

- Przekaż go Warburtonowi - polecił John. - Wiem, że potrzebny mu urzędnik, jak zawsze.

- Być może nie będzie chciał przybyć...

- Zrób wszystko to, co powiedziałem. Spodziewam się, że gdy dotrę do Wyncham, od razu go spotkam. *Au revoir!*

Cofnął głowę i powóz ruszył przed siebie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

*Lady O'Hara triumfuje*

Po niespokojnej nocy, spędzonej na budzeniu się przy najlżejszym szmerze i wysłuchiowaniu wybijającego godziny zegara, lady O'Hara wstała ani trochę nie wypoczęta i wyraźnie podenerwowana.

W nocy wyobrażała sobie potworności, które mogły dotknąć jej męża. Choć wraz ze świtem okropieństwa nieco przybladły, nadal zakłócały lady O'Harze spokój poranka i zmusiły ją do wędrówki między oknem w holu a bramą wjazdową.

Nie mniej zatroskany okazał się Jim Salter. Poprzedniego wieczoru powrócił z Fittering i odkrył, że jego pan oraz sir Miles znikli, lady O'Hara szaleje z niepokoju, a służba kręci się po domu. Nikt, a już najmniej ze wszystkich biedna Molly, nie wiedział, dokąd udali się obaj panowie. Potrafiła powiedzieć tylko tyle, że gdy wróciła wraz z mężem, w domu panował chaos, a pan Beauliegh stał przed drzwiami pośrodku grupy rozgorączkowanych służących. Miles przepchał się przez cizbę i pan Beauliegh opowiedział mu całą historię wprost do ucha. Następnie wyraźnie poruszony O'Hara natychmiast skierował żonę do środka, pospiesznie wyjaśniając, że John ruszył w pościg za Diabłem, który porwał Dianę, i dlatego trzeba pędzić jej na ratunek. Dziesięć minut później potwornie zaniepokojona, ujrzała męża galopującego wzdłuż podjazdu, ze szpadą u boku i pistoletami w olstrach. Molly zawołała za nim błagalnie i ledwie okrzyk przebrzmiał, pożałowała, że w ogóle się odezwała, i miała nadzieję, iż mąż niczego nie usłyszał.

Salter przybył niecałe pół godziny później i łatwiej sobie wyobrazić, niż opisać jego uczucia, gdy się dowiedział, że jego ukochany pan pojechał walczyć z Diabłem. Zamierzał bez namysłu ruszyć za nim w pogoń, lecz Molly zdecydowanie zaprotestowała. Oświadczyła, że pomoc sir Milesa wystarczy, a ona nie chce zostawać w domu całkowicie pozbawionym obrońców. Szacunek Jima do gospodyni był zdecydowanie zbyt wielki, by sługa ośmielił się zauważyć, że posiadłości strzeże pięciu silnych mężczyzn, nie licząc jego samego, ale skapitulował, skoro sir John nie pozostawił żadnych poleceń.

Następnego dnia dowiedział, jak marny z niego pocieszyciel, bo kiedy Molly pesymistycznie założyła, że Carstares i jej mąż niewątpliwie odnieśli rany, on - wbrew przewidywaniom - nie tylko jej nie zapewnił o ich dobrym zdrowiu, ale na dodatek z ponurą miną przyznał jej rację. Natychmiast posłała mu zirytowane spojrzenie i odwróciła się do niego plecami.

O szesnastej oboje siedzieli na korytarzu i niespokojnie obserwowali podjazd.

- Ponad wszelką wątpliwość zrobiło się potwornie późno - zauważyła Molly.

- Tak jest, milady.

- Gdyby... gdyby nic się nie zdarzyło, z pewnością byłiby już z powrotem, prawda?

- Tak, w rzeczy samej, milady. Lady O'Hara tupnęła nogą.

- Proszę nie mówić „tak”! - krzyknęła. Jim był zbity z tropu.

- Słucham, milady?

- Nie możesz bez przerwy potakiwać! W sumie musieli przecież pokonać długą drogę i teraz... są zmęczeni. Jenny mogła okuleć, przykłady można mnożyć.

- Tak, milady... to jest z całą pewnością - odrzekł Jim pośpiesznie.

- Właściwie wcale bym się nie dziwiła, gdyby zupełnie nic im się nie stało.

Z rezygnacją pokręcił głową, ale na jego szczęście lady O'Hara tego nie zauważyła i ciągnęła pogodnie:

- Mój mąż przecież po wielokroć podkreślał, jak doskonałym fechtmistrzem jest pan Carstares, i...

- Proszę mieć na względzie jego ranę.

Nie wiadomo, co na to odpowiedziałaby Molly, gdyż w tej samej chwili rozległ się chrzęst żwiru pod kołami nadjeżdżającego powozu. Oboje-lady O'Hara i Salter - rzucili się do drzwi i wspólnie je otworzyli.

Ujrzeni na podjeździe elegancki pojazd z lokajami w złotej i czarnej liberii, opatrzony herbami Wynchamów.

Molly z błyskiem w oczach zeszła po schodach tuż przed tym, gdy jeden ze służących otworzył drzwi powozu, by służyć pomocą. Carstares wyskoczył z wnętrza, a tuż za nim wyłonił się O'Hara.

Molly padła w ramiona męża i przytuliła go, nie zważając na służących.

Jim Salter pognął do lorda.

- Nie jest pan ranny, sir?! - krzyknął. Carstares wręczył mu kapelusz i pelerynę.

- Nie na tyle, by warto było o tym wspominać, Jimie. Everard omal mnie nie wykończył! - Roześmiał się, widząc zdjętą grozą twarz Saltera, i odwrócił się ku Molly, która zdążyła się już uspokoić na widok całego i zdrowego męża. Podeszła do Johna, pełna troski o jego ramię.

- Och, biedaku! - zawołała. - Miles wyjawiał mi, że twoje ramię ponownie ucierpiało! Powiedz, co się zdarzyło? Idę o zakład, że żaden z was, wielcy panowie, nie pomyślał o wezwaniu lekarza, a tak powinniście byli uczynić, bowiem...

- Cicho, dziewczyno! - przerwał jej mąż. - To tylko lekkie draśnięcie. Zabierz go do domu i zaproponuj coś do picia. Idę o zakład, że tego mu najbardziej potrzeba.

Molly wydeła usta, roześmiała się i posłuchała męża.

Przy piwie John opisał całą eskapadę do chwili rozstania z Dianą w Littledean. Wtedy O'Hara zachichotał i uzupełnił:

- Molly, możesz być pewna, że nigdy nie widziałaś nic równie zabawnego. Biedny, stary Beauleigh wyglądał przekomicznie, gdy jego córka wyjawiała mu nazwisko Johna. Rety, był tak podekscytowany, że zupełnie stracił głowę. Sądziłem, że panna Betty się rozchoruje z przejęcia, tak biegała między Di a Johnem. Nie wyobrażasz sobie, jak dziwnie się zachowywała.



Molly z szeroko otwartymi oczami wysłuchiwała tej relacji, odetchnęła głęboko, podskoczyła, klasnęła w dłonie i obwieściła, że jednak się nie myliła.

- Co masz na myśli, moje dziecko? - zainteresował się O'Hara.

- Czyż nie powtarzałam, że jeśli skłonię Johna do pozostania z nami, wszystko dobrze się ułoży? Milesie, przyznaj, że tak mówiłam.

- Pamiętam, że raz wspomniałaś coś podobnego - oświadczył jej mąż.

- Raz, też coś! Zawsze byłam o tym święcie przekonana. I namówiłam cię do pozostania, prawda, Johnie?

- Niewątpliwie - przytaknął. - Zapewniłaś mnie, że jeśli postąpię na tyle nieuprzejmie, by wyjechać, Miles uschnie z tęsknoty.

Zignorowała hałaśliwe okrzyki aprobaty ze strony męża.

- Zatem widzisz, że to tylko dzięki mnie... - Przerwała, aby uściskać O'Hare i spotkanie zakończyło się ogólną wesołością.

Wkrótce Carstares poszedł się przebrać. W pokoju zastał Jima, który już na niego czekał. Pozdrowił go pogodnie i zasiadł przed gotownią.

- Na dzisiejszy wieczór potrzebuję wyjątkowo uroczystego stroju, Jimie. Najlepszy będzie różowy aksamit i kremowy brokat.

- Doskonały wybór, panie hrabio - pochwalił służący.

John natychmiast się odwrócił.

- A cóż to ma znaczyć?

- Jak rozumiem, jest pan już hrabią - wyjaśnił biedny Jim.

- Co za pozbawiony taktu dureń ci to zdradził? Sam zamierzałem ogłosić tę nowinę. Podejrzewam, że znasz moją historię?

- Tak, znam. Jak sądzę, moje usługi nie będą już potrzebne?

- Na miłość boską, dlaczego? Zamierzasz mnie opuścić?

- Opuścić? Nie, skąd! Przyszło mi tylko do głowy, że będzie pan chciał zatrudnić bystrzejszego służącego, nie mnie.

John odwrócił się do lustra i wyciągnął szpilę z fularu.

- Nie bądź głupi.

Ten niejasny komentarz najwyraźniej bardzo poprawił humor Jimowi.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Służysz mi tak długo, że bez ciebie kompletnie bym się pogubił. Ożeń się z tą miłą dziewczyną z Fittering, to zatrudnię ją jako służącą mojej żony. A wkrótce sam zamierzam się ożenić!

- Doskonale, panie hrabio. Ogromnie się cieszę, panie hrabio. Kolor różowy? Ze srebrną koronką?

- Tak sądzę, Jimie. I kremowa.... bardzo jasnokremowa kamizelka z różowym haftem. Mam taką, wiem to na pewno.

- Tak, panie hrabio.

John popatrzył na niego z desperacją.

- Jimie!

- Tak, panie hrabio?

- Przykro mi, ale dłużej tego nie zniosę.

- Nie bardzo rozumiem, panie hrabio.

- Nie podoba mi się, że tytułujesz mnie „panem hrabią” za każdym razem, kiedy się do mnie zwracasz. Naprawdę, mam tego dość.

- Wobec tego, czy mogę nadal mówić „sir”? -Nalegałbym.

- Ach, sir, dziękuję...

W trakcie wiązania kokardy na peruce pana Jim znieruchomiał, a John dostrzegł w lustrze, że twarz służącego sposepniała.

- Co tam znowu? I co zrobiłeś z moimi pieprzyka-mi?

- Są w tym puzderku, sir... tak, w tym. Tak sobie myślałem... Tak sobie myślałem, że już nigdy nie zobaczę, jak pan napada na powóz.

Lord właśnie usiłował przykleić sztuczny pieprzyk w odpowiednim miejscu w kącie ust i choć starał się zapanować nad sobą, wybuchnął gromkim śmiechem, którego dźwięk dotarł do O'Hary w pokoju po drugiej stronie podjazdu i wywołał na jego twarzy szeroki uśmiech. Nie słyszał tego śmiechu od wielu długich dni.

## EPILOG

Książę Andover siedział przy oknie apartamentu w Wenecji i patrzył na trzymany w dłoni list, zaadresowany pismem jego siostry. Po chwili odetchnął głęboko, złamał pieczęć i rozpostarł kartkę na szerokim parapecie.

„Mój najdroższy Tracy!

Znowu wyjechałeś bez pożegnania z biedną siostrą! Czuję się bardzo urażona, niemniej rozumiem Twoje powody. Kiedy tylko moje oczy spoczęły na Dianie, od razu wszystko pojęłam. Rozpoznałam Twoją ciemnowłosą piękność. Ogromnie boleję nad Tobą, mój drogi. Dziewczyna mnie też się podoba, choć jej miły sposób bycia jest raczej męczący. Skoro jednak ona jest brunetką, a ja blondynką, to może nie będziemy sobie wchodziły w drogę.

Powrót do domu okazał się niesłychanie ekscytujący. Obecny był Andrew, a także Dick, rzecz jasna, no i ja. Pani Fanshawe też przyszła, gdyż poznała Johna za granicą. Pojawił się również osobliwy starzec, wielce niespokojny, pałał chęcią ujrzenia Johna. Potem przyszedł sir Miles z żoną. Uznałam ich za całkiem miłych ludzi, a na koniec zawitali do nas ojciec Diany i jej ciotka, raczej *bourgeois*.

Teraz wszyscy już znają prawdę. Większość ludzi zachowała się niesłychanie uprzejmie, sama też do nich należę. Najdroższy Dick jest radośniejszy niż kiedykolwiek i bardziej sympatyczny, dlatego pozostawanie wyrzutkiem towarzyskim niemal sprawia mi radość.

Kiedy Diana jest należycie ubrana, zgodnie z wymogami swojej pozycji (choć z przykrością zauważam, że zwykle woli ubierać się skromnie), wygląda na prawdziwie elegancką hrabinę. Obiecałam zaprowadzić ją do mojej krawcowej, co świadczy o moim niesłychanym poświęceniu, z czym niewątpliwie się zgodzisz. Wiem, że Londyn oszaleje na jej punkcie, a ci, którzy już ją

widzieli, czyli Avon i Falmouth, stracili rozum. Nie wątpię, że zanosi się na upokarzające widowisko, niemniej jakoś trzeba je znieść.

Diana i John są niesłychanie szczęśliwi z sobą. Bardzo to niemodne, ale tak się cieszę ze względu na Dicka, i teraz jest nas czworo, może więc wylansujemy nową modę.

Proszę, wracaj szybko, mój biedny Tracy, nie masz pojęcia, jak bardzo mi Ciebie brakuje. Zdumiało mnie, że wyjechałeś z panem Fortescue, nie podejrzewałam was o taką przyjaźń.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami

Twoja siostra Lavinia

PS Zapewnie zainteresuje Cię fakt, że Coventry żeni się z panną Gunning. W ostatnim tygodniu w mieście wybuchła chyba jakaś epidemia ślubów".

Książę powoli złożył kartki i wręczył je Fortescue, który właśnie wszedł do pokoju.

- List od mojej siostry. Może cię zainteresuje. Fortescue uważnie przeczytał pismo i zwrócił bez słowa. Tracy położył list na stole.

- Już na samym początku popełniłem błąd -oświadczył.

- Zgadza się - przyznał jego przyjaciel. - Ona... to nie tego typu dziewczyna.

- Zacząłem źle i nie potrafiłem się wycofać.

- Więc brnąłeś dalej - podsunął mu Fortescue łagodnie.

- Poślubiłbym ją ze wszystkimi honorami...

- Na swój własny, pewny siebie sposób, Tracy.

- Jak powiadasz: na mój własny, pewny siebie sposób. Gdybym mógł cofnąć czas o rok... Tylko po co? Nie będę jęczał. Wkrótce powrócę do Anglii i pokłonię się hrabinie Wyncham. Kto wie, może nie ogarnie mnie zazdrość? Nigdy nie wiadomo. Tak czy owak muszę złożyć jej wyrazy szacunku.

- Naprawdę to zrobisz? - Frank patrzył na niego przenikliwie. - Tylko tyle, Tracy? Chyba nie zamierzasz...

- Tylko tyle. Widzisz, Frank... Kocham ją.

- Wybacz mi zatem. Tak... Nie chciała cię za męża, lecz moim zdaniem wyraźnie cię zmieniła. Jest tak, jak kiedyś powiedziałem: kiedy nadchodzi miłość, przestajesz myśleć o sobie, bo szczęście dziewczyny staje się wszystkim.

Książę przez moment milczał, lecz po chwili na jego ustach pojawił się charakterystyczny uśmiech, nadał cyniczny, lecz mniej pogardliwy niż dawniej.

- Jakie to musi być miłe uczucie, przyjacielu, kiedy czyjeś przepowiednie tak szczęśliwie się spełniają - powiedział. - Pozwól, że złożę ci gratulacje!

KONIEC